

HETMAN KUBA

MARIA NIKLEWICZOWA

Powieść dla młodzieży

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

DO CZYTELNIKÓW

Skierbieszowa nie wymyśliłam, Skierbieszów istnieje, znajdziecie go na każdej dokładniejszej mapie Polski.

W murach jego kościoła, którego kamień węgielny położono przed sześciu przeszło wiekami, utkwiała kula ze szwedzkiego działa. Tam, gdzie niegdyś Kuba przeprowiał się czołnem, dzisiaj zamiast jeziora ciągną się podmokłe łąki. Ale pośród tych łąk zachował się nasyp zwany Zamczyskiem, choć teraz rośnie na nim pszenica i tylko wyorywane czasem cegły przypominają o fortyfikacji.

Na wzgórzu, gdzie niegdyś stał dwór obronny, dziś mieści się Państwowy Ośrodek Maszyn Rolniczych. Gdy jednak wozy ze zbożem wjadą na podwórze, rozlega się pod nimi głucho dudnienie - to lochy odpowiadają echem, te same lochy, które niegdyś usiłowała zbadać drużyna Dębowych Tarcz. Możemy tam wejść, ale do dalszych piwnic nie dotrzemy już, bo przejście zamurowano kilkadziesiąt lat temu, gdyż udusili się tam nieostrożni poszukiwacze skarbów.

Ba! jak za czasów Hetmana Kuby do dzisiaj w dniu ósmego lipca odbywa się jarmark zwany Kilianem, chociaż od przeszło pół wieku nie załatwia się już na nim krwawych całorocznych porachunków.

Ale skierbieszowiacy rwali się zawsze nie tylko do bójek sąsiedzkich. Z dawien dawna mężny lud tamtejszy stawał w pierwszym szeregu, gdy wypadło bronić ziemi ojczystej. Jeżeli kto z was wybierze się autobusem z Zamościa do Skierbieszowa, może starzy ludzie potrafią jeszcze wskazać mu w kierunku Lipiny mogiły z czasów wojny szwedzkiej, tam, gdzie partyzanci starli się z rajtarią. Krzyż między Sadami a Skierbieszowem przypomina o tych, którzy oddali życie w powstaniu styczniowym. O tym zaś, jak mieszkańcy tych stron walczyli przeciw najokrutniejszemu terrorowi hitlerowskiemu i ile od niego ucierpieli, opowiedzą wam ci, którzy przeżyli pacyfikację Zamojszczyzny.

Z myślą o dzieciach niedawnych partyzantów, o dzisiejszej młodzieży Skierbieszowa i okolicy pisałam tę książkę o ich pradziadach.

CO SIĘ DZIAŁO SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Kiedy zaczyna się ta opowieść, Kuba ma lat czternaście. Ale na to, żeby zrozumieć jego przygody, a także dzieje Dębowych Tarcz i całej skierbieszowskiej okolicy, trzeba na kilka chwil cofnąć się o siedem lat, do roku tysiąc sześćset czterdziestego ósmego.

Młoteczek dzwoni o blachę: dzyń-dzyń, dzyń-dzyń...

Co tato robi? pyta Kuba.

Widzisz przecie. Sprzączki obluzowały się towarzyszowi pancernemu u nagolennika, obiecałem naładzić je śpiesznie.

Matka mnie przysłała, żeby tata szedł na obiad.

Pójdę, zaraz pójdę, niechaj jeno wróci do warsztatu który z czeladników albo sam majster Grądek, teraz wszyscy są na obiedzie.

- Matka powiada, że każdy umie patrzeć jednej roboty, a tato potrafi zмайstrować wszystko. Tata może być i za miecznika, i za złotnika, i za rusznikarza. Nawet na puszkarstwie tato się zna, mógłby łać działa w ludwisarni. Czemu tak?

- A no, widzisz, mój ojciec był złotnikiem, więc przyuczał mnie swego fachu od małego. Ale mnie ciągnęło do zbroi, takiej, co to jest „do boju, nie do stroju”, więc wyzwoiliem się na płatnerza.

Gdzie, tato? Tu we Lwowie? Mistrz Szymon Harbarasz nie odpowiedział, tylko zaczął szybciej stukać młoteczką, aż zdawało się Kubie, że do wtóru dzwonią w oknach zielone, w ołów oprawne szybki. Pomyślał, że ojciec nie dosłyszał pytania, więc powtórzył głośniej:

- Gdzie, tato? We Lwowie?

Wtem drzwi szarpnięte od ulicy otworzyły się i z dworu wszedł mężczyzna.

Kuba cofnął się w cień i patrzył.

Mężczyzna był barczysty, o twarzy dziobatej. Podeszedł do stołu dzwoniąc ostrogami, dobył pistolet z olstra i bez słowa położył go obok imadła, przy którym pracował Harbarasz. Wskazał palcem kurek.

Mistrz Szymon wziął pistolet do ręki, obejrzał go i odłożył. Przybysz czekał chwilę, po czym trzasnął pięścią w stół i huknął:

Cóż to, nie pojmujesz asan, co masz robić?

Nie pojmuję tego, czego mi nie powiedziano odparł płatnerz spokojnie.

- Mam cię może tytułować łaskawym panem? Jeżeliś mistrz, a nie partacz, to sam widzisz, że kurek jest zbity na bok o kamień. Koń się ze mną obalił.

Myslałem, że ktoś z boku trzasnął po kurku szablą, jakeś waćpan zmierzył się z pistoletu.

Nikt cię nie pyta o to, coś myślał. Nie jesteś tu asan do myślenia, jeno do roboty.

Kuba zauważył, że ojciec zaczerwienił się nagle i spojrzał przybyszowi prosto w twarz. Ale odwrócił się natychmiast i pochylił nad pistoletem. Tamten mógł sądzić, że płatnerz bada uszkodzenie, lecz Kuba widział, jak dolna szczęka ojca zaciska się raz po raz i rozluźnia, aż mięśnie grają na policzkach.

Tymczasem przybysz przeszedł na drugą stronę stołu, założył ręce za pas i spytał:

-- Gdzie ja asana widziałem? To było dawno i nie we Lwowie. Jako cię zwa, Ormianinie? Gadaj żywo.

Gdy płatnerz milczał, przybysz wskazując go palcem krzyknął do Kuby:

- To twój ojciec? - Tak - odparł Kuba przestraszony.

Jak się nazywasz? Gadaj zaraz, bo w łeb dam. Kuba Harbarasz. A twój ojciec?

Szymon Harbarasz. - Hm... - mruknął mężczyzna kołyszając się na rozstawionych nogach. – Tamten zwał się inaczej. Żeby nie te lata, co twarz przebronowały, żeby nie wąsy, a także czupryna odmiennie przystrzyżona, przysięgłbym, że to... No, do jutra będę wiedział, pamiętaj, Ormianinie! Jeżeli nie nazywasz się Szymon, tylko Seweryn, i jeżeliś rodem z... At, nie potrzebuję ci mówić, skąd. Jeżeli tak jest, jak myślę, to mi nie ujdiesz, jako żywo! Wiesz, kto ja jestem, albo nie wiesz. Jak nie wiesz, to twoje szczęście. Jak wiesz, to dyktuj testament. A teraz zapamiętaj sobie, że jutro przyjdę po pistolet i to nie sam, tylko z imć panem Czuryłą. Wyszedł trzaskając drzwiami.

Tato, kto to był? spytał Kuba szeptem, jakby tamten mógł wrócić i usłyszeć. Wtem matka stanęła w progu.

Co tu się dzieje? – zapytała. - Krupnik stygnie. Kto to krzyczał? Ojciec nic nie odrzekł i matka podeszła bliżej. Coś ci się stało powiedziała.

Kto tu był?

- Hornostaj - odparł ojciec i oczy mu się zaiskrzyły.

Matka zbladła. Stała chwilę nieruchomo, wreszcie spytała:

Poznał cię?

Poznał, ale chciał jeszcze się upewnić. Zapowiedział, że do jutra się dowie. Milczeli chwilę, potem matka spytała:

Czego chciał?

Zostawił pistolet do naprawy. Ma jutro wrócić po niego z Czuryłą. - Z Czuryłą?! - wykrzyknęła matka.

Podniosła ręce ku piersi zaciskając pięście i pochyliła się ku przodowi, a twarz jej się zmieniła, jakby to już nie była matka Kuby, lecz jakaś obca, zła kobieta.

Po chwili pięście jej rozwarły się i opadły. Spytała cicho:

Co my zrobimy? -- Żeby nie dzieciaki, wiedziałbym, jak się z nimi rozprawić! krzyknął ojciec. - Za tyle lat, tyle lat! Niechby przyszła im śmierć albo mnie śmierć.

Dla dzieci ścierpimy. Jeno radzić trzeba. Musimy wyjechać stąd. Ale dokąd, za co?

Spotkałem rano Zachnowicza. Podobno przyjechali dwaj kupcy z Kaffy. Może zabralibyśmy się z nimi, jak będą wracać? Już dawno chodzi mi to po głowie.

- Zmiłujże się, chcesz na Krym? Teraz, kiedy orda idzie z Kozakami na Lwów, kiedy po drodze jeden mord i ogień? Toż jakby smokowi leżać w paszczękę!

- Mogli przewinąć się kupcy, moglibyśmy przy nich i my. Mówiłem ci, że w Kaffie mam wuja, bylibyśmy pośród swoich.

Może ty, ale nie ja. Nie chcę wyjeżdżać z Polski. Nie chcę za nic, choćby mnie tu zatłuc mieli.

Dopiero co mówiłaś, że dla dzieci ścierpimy.

Dzieci... powtórzyła matka i rozplakała się. Zaraz jednakże obtarła łzy fartuchem, podeszła do ojca i położywszy mu dłoń na ramieniu, powiedziała:

Nie gniewaj się, ja tylko tak. Już mi przeszło. Pojedziemy, gdzie wypadnie. Zaraz zacznę składać rzeczy. A ty idź na miasto, przepytaj po ludziach. Odziej się, bo zrobił się wicher i zięb, jakby już był listopad, a nie sam początek października dopiero.

Ojciec raz po raz przeczesywał palcami czuprynę. Widać było, że waha się jeszcze.

Jakoś będzie nie po ludzku tak rzucić nagle starego Grądka. Pomógł nam, urządził...

Powiesz mu wszystko. Mnie się wydaje, że on i tak czegoś się domyśla. To zacny człowiek i mądry, zrozumie. Przecież nie będzie chciał naszej zguby.

To pewne, że nie. Powiadają ludzie, że psy i dzieci najlepiej wyznają się na człowieku. Obacz, jak to nasz Jędrzek z Jadwiżką na kolana mu włożą, on zaś ich huśta, podrzuca, jeszcze im przygaduje, że „jedzie, jedzie chłop, chłop, na koniku, hop, hop”.

A no widzisz! Grądek najwięcej przepada za naszą Asią, bo ona najmniejsza, a taka przylepna. Wyznaj mu wszystko, zrozumie, że musimy się ratować.

Pójdę, przepytam po ludziach – powiedział ojciec.

Nie mów o nas upominała matka tylko, że niby dla kogoś. I pilnuj się na ulicy, a najgorzej pod winiarniami, żebyś się czasem nie nadział na tamtych dwóch.

Ojciec wyszedł.

Kuba, który dotychczas stał w cieniu za półką tak cicho, że go matka nie zauważyła, poruszył się teraz i strącił łokciem dłuto.

- Ty tu? krzyknęła. Ach, Kuba, takeś mnie przestraszył.

Dokąd uciekniemy przed tymi niedobrymi ludami, mamó?

Nie wiem. Ale nie powiadaj nikomu, coś słyszał. Rozumiesz? Nikomu!

Maruszce też nie?

Też nie. Ja sama jej powiem. - Maruszka jest duża, ona mamie pomoże wiązać tłumoki. Ale ja też jestem prawie taki duży jak Maruszka. Ja też pomogę.

- Dobrze, przynieś wody. Beczka już pusta, a trzeba zaraz robić pranie. Nie zabierzemy w drogę brudów.

Tylko że... ja jestem głodny, mamó!

Prawda, na śmierć zapomniałam o obiedzie. Idź jeść, Maruszka naleje ci krupniku.

A mama? Zjem, jak ojciec wróci.

No dobrze, połknę krupnik raz, dwa i zaraz naniosę wody pełną beczkę.

- To za dużo na ciebie, oberwałbyś się. Przynieś mi tylko dwa wiadra do kotła, niech się grzeje, póki jest ogień na kominie. Potem Maruszka pomoże, jak pozmywa naczynie.

Mamó, mnie już idzie przecież na ósmy rok. Mocny jestem.

- Kiedy jesteś mocny, to dorzuc drew do komina, zanim pójdziesz po wodę.

Dorzucę. Jeżeli nie ma porąbanych, to narąbię. Pobiegł do kuchni i usiadł na ławie za stołem. Ję drek i Jadwiżka kończyli obiad, Maruszka karmiła Asię. Nalała bratu na miskę i spytała:

Coś ty taki nadęty?

Bo ja coś wiem, a ty nie odparł zabierając się do jedzenia.

Ojej, jaki ważny! A nie mlaskaj jak pies – powiedziała Maruszka. Co wiesz?

Nie mogę powiedzieć. Idź do matki, to się dowiesz. Ale przygotuj sobie stołek, bo jak usłyszysz, co ja wiem, to nie ustoisz na nogach.

Głupiś. Z pewnością nic ciekawego. Możesz nie pytać, mama ci powie i tak. Co mi powie?

Ojej, znowu zaczynasz. Mówiłem ci przecież, że nie mogę powiedzieć. Lepiej pozmywaj prędko, bo zaraz będzie pranie.

-- Pranie teraz, po obiedzie? Też wymyśliłeś! Jakby miało być pranie, to ja bym już dawno o tym wiedziała. Przecież zawsze piorę z mamą i zaczynamy od rana.

No to raz zaczniesz od wieczora. Nie wierzysz? Założmy się.

O co?

Jak ja wygram, dasz mi pięć łyżek miodu. A jak ty wygrasz, wyplotę ci kobiałkę z wikliny. - Nie potrafisz.

Co z tego? I tak nie ty wygrasz, tylko ja.

Chcesz jeszcze krupniku? – spytała Maruszka pojednawczo. Miała nadzieję, że Kuba zdradzi swoją tajemnicę.

Nie, już się najadłem, Idę do studni. A ty dołóż dREW do ognia.

Kuba chwycił wiadro i wyszedł. Było zimno, więc się spieszył.

Wiedział, że ojciec nie może wrócić tak prędko, ale był taki ciekaw, jakie nowiny przyniesie, że wciąż spoglądał na furtkę.

Przyniósł wodę, potem raz po raz wyglądał do sieni.

Minęła godzina, a może dwie albo i więcej, zanim usłyszał kroki ojca na stopniach ganku.

Wiedział, że rodzice nie będą rozmawiać przy dzieciach o takich sprawach. Z warsztatu dolatywały głosy czeladników i kaszel starego Grądka, tam też rodzice nie byłiby sami. Domyślał się, że pójdą do alkierzyka, mają taki zwyczaj, kiedy chcą pomówić w cztery oczy. .

Nie czekając, aż ojciec wejdzie do mieszkania, Kuba wśliznął się do alkierzyka. Było tam prawie ciemno, bo zmiersch zapadał, a wąskie, północne okienko nie przepuszczało wiele światła nawet w samo południe. Stanął w kąci i czekał.

Wiedział, że nieładnie jest podsłuchiwać, ale nie mógł się powstrzymać. Działy się sprawy zbyt ciekawe. Czemu starsi o tylu rzeczach nie chcą rozmawiać z dziećmi?

Nie czekał długo. Najpierw weszła matka, za nią ojciec. Usiedli na ławie.

Nic nie da się zrobić powiedział ojciec. Ci dwaj kupcy nie przyjechali prosto z Kaffy, tylko z Brodów. Łydki im się trzęsą ze strachu. Podobno Chmielnicki i orda prowadzą więcej niż trzysta tysięcy ludzi, łuna za nimi goreje na pół nieba. Ci kupcy powiedzieli mi, że wcale nie mają zamiaru wracać teraz na Wschód, póki czas chcą ciągnąć na Przemyśl i Kraków.

To może my z nimi?

Za co? Oni mają towar i pieniądze, my jeno trochę marnych sprzętów, a grosza tyle, co na kilka postojów. Po drodze włączą się kupy grasantów, bandy rabują, jakże my z dziećmi puścimy się bez osłony?

Ratuj nas, Matko Czesłochowska, przecież tutaj zostać nie możemy! Znasz Hornostaja i Czuryłę, potrafią wyrznąć naszą rodzinę jak stado gęsi. Może przenieść się do kogo?

Nie wiemy, czy tamci dwaj szarpacze tylko przejeżdżają przez Lwów. Jeżeli zostaną tu dłużej, nie pomoże żadne schowanie. Wielcy panowie nie boją się nikogo, nikt nie wsadzi ich do wieży za posiekanie chudopachołka.

Hornostaj nie taki znów wielki pan.

On może zwykły szlachcic, ale Czuryło magnat. A trzymają się razem. Milczeli chwilę, po czym ojciec ozwał się znowu:

W Zamościu Hornostaj przychodził do pracowni mojego ojca jeszcze częściej niż Czuryło.

W Zamościu?" pomyślał Kuba. „Tata nie mówił o tym, że mieszkał z rodzicami w Zamościu. Czemu ani on, ani matka nigdy nie opowiadają o swoim dzieciństwie, o braciach i siostrach, o swoich rodzicach? Inni chłopcy, jeżeli nawet ich babcie i dziadkowie już pomarli, coś o nich wiedzą przynajmniej, a ja nic. Mama i tato o nich nie mówią, jakby spadli z księżycy". Idź teraz do Grądka

poprosiła matka. Stary będzie później spał, lubi kłaść się wcześniej.

Jak z nim mówić? frasował się ojciec. Sami jeszcze nie wiemy, co robić, deliberujemy dopiero. Co powiedzieć Grądkowi?

Poradź się go. To człowiek bywały, ławnik miejski, zna we Lwowie wszystkich znaczniejszych ludzi, a nam życzliwy jak nikt. Ja tymczasem wybiorę, co zabierzemy z rzeczy. Trzeba będzie sporo pozostawić u Grądka, może wrócimy po nie, jak będzie w kraju spokój.

Ale dokąd jechać? Mamy puścić się na hazard w taki czas okrutny, to może lepiej przywarować gdzieś we Lwowie i przeczekać.

A z czego żyć przez ten czas? Mogłabym sprzedać noszeniczko złote szyję, coś mi je wyrobił tak misternie i rubiny z szmaragdami w nie wprawileś. Ale teraz, kiedy nieprzyjaciel może niedługo uderzy w bramy miasta, wszyscy boją się kozackiego i tatarskiego łupiestwa i nikt nie da ani dziesiątej części tego, co takie noszeniczko jest warte. Każdy myśli o mące, o krupach, o suszonym mięsie, żeby przetrzymać oblężenie. Zresztą byłoby mi za bardzo żal sprzedawać to cacko, chowam je dla Maruszki na pamiątkę. A tymczasem jak na nie popatrzę, to mi się wszystko dobre przypomina, cośmy z sobą przeżyli.

Moje ty serce - powiedział ojciec cicho i pocałował matkę w rękę.

Ona zaś przytuliła się do niego i objęła go za szyję. Ale wyprostowała się zaraz i westchnęła.

Jakie dobre byłoby życie, żeby nie źli ludzie... No idź już do Grądka, kochany, idź!

Rodzice wyszli z alkierzyka. Kuba stał tam jeszcze czas niejaki, nie chciał zaraz się pokazać. „Rodzice kryją jakieś sekrety, to jasne”, pomyślał. „O Zamościu nigdy dotąd przed nami nie wspomnieli. A teraz jeszcze ci dwaj, Hornostaj i ten drugi — jak to on się zwie? — aha, Czuryło. Co im rodzice zrobili, Hornostajowi i Czuryło, że oni chcą się mścić? I co ów dziobaty Hornostaj mówił, że tato nie jest Szymon, tylko jakiś Seweryn? Bo że Hornostaj powiedział do taty: „ty Ormianinie”, to się zgadza”.

Kuba wiedział, że pochodzi z ormiańskiej rodziny. Chociaż z rodzicami rozmawiał po polsku, jednakże umiał mówić po ormiańsku, chodził w niedzielę do ormiańskiego kościoła, odwiedzał z rodzicami domy ormiańskich kupców i rzemieślników lwowskich, a także ich sklepy pełne najpiękniejszych rzeczy, jedwabnych kobierców przetykanych złotem, sprzętów rzeźbionych i pachnących sandałowym drzewem, iskrzących się klejnotów, drogocennych materii, wytłaczanych i złożonych skór, wonnych kadzideł, najcudniejszej broni.

Kuba nieraz pragnął chodzić jak smagli chłopcy ormiańscy w czerwonych safianowych pantoflach, w długiej szacie jedwabnej i w złotem szytej jedwabnej krymce na głowie. Gdy zwierzył się ojcu, ojciec powiedział:

Tyś Ormianin tylko w połowie, bo twoja matka wywodzi się z polskiej rodziny i wdałeś się w nią. W ormiańskiej szacie wyglądałbyś jak przebieraniec. Widzisz zresztą, że ja już noszę się po polsku.

Kuba zazdrościł Ormianom dalekich kupieckich podróży do Persji, na Krym, do Turcji i Włoch. Żeby chociaż mógł pojechać do Zamościa! Matiasek Zachnowicz widział tam w zwierzyńcu mały i żubra, z papugą ponoć rozmawiał jak z człowiekiem. Matiasek jeździł tam do krewnych i obiecał, że na przyszły raz zabierze Kubę.

Ale cóż, jeżeli Kuba przeniesie się ze Lwowa z rodzicami nie wiadomo dokąd, to wycieczka z Matiaskiem do Zamościa przepadnie.

Wtem przypomniał sobie, że ojciec mówił o łunie, która goreje na pół nieba za Kozakami i Tatarami. O tym, że uzbrojeni mieszczanie już ćwiczą na placu. Kuba sam ich widział. Widział nawet z daleka armaty wytoczone na wały.

Kuba, Kuba! To matka woła. Kuba wyślizguje się cicho z alkierzyka.

Gdzieś się podziewał? Siadaj i jedz zsiadłe mleko, a potem rozbieraj się do spania. Jędrak już śpi, Jadwiżka i Asia też. Maruszka już się układa.

Tato wieszerał?

Nie, poszedł do pana Grądka. Dopiero co przyszedł jakiś oficer z muszkietem do naprawy, ojciec tam przy nim dłubie.

Ojej, przy świecy? Lepiej by tato odłożył tę robotę do rana.

Wtem uchyliły się drzwi, wyjrzał nimi ojciec i powiedział:

Matko, pójdz na chwilę do nas, do warsztatu. Jest do ciebie ważna sprawa.

Kuba prędko przełknął mleko z kaszą, a potem nie wytrzymał i cicho przemknął się też do warsztatu. Naoliwione drzwi nie skrzypnęły. Nikt go nie zauważył, bo wszyscy byli zajęci rozmową.

Rodzice, pan Grądek i nieznajomy oficer siedzieli przy stole, na którym płonąła świeca w cynowym świeczniku. Obok leżał muszkiet, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. „Tato już go chyba naładził”, pomyślał Kuba.

- No i co myślisz o tym, Halszko? — zapytał ojciec.

Kuba widział tylko jego plecy obok pleców pana Grądka, za to twarz matki siedzącej naprzeciwko dostrzegął w blasku świecy wyraźnie. Oparła brodę na ręce i rozmyślała zmarszczywszy czoło.

Sprawa jest prosta, jejmość dobrodziejko – powiedział oficer zwrócony bokiem do Kuby. Tylko patrzeć, jak Kozacy z Tatarami podejną pod sam Lwów, a państwo macie ponoć pięcioro dzieci. Do Zamościa nieprzyjacielowi o wiele dalej. Zamość ma twierdzę potężniejszą od lwowskiej, a Skierbieszów jeszcze za Zamościem położony. Jakby do oblężenia przyszło, to nie tylko Tatarzy i

Kozacy murów Zamościa nie ukąszą, ale nawet Moskwa czy Szwedzi, choć potężną artylerię mają. W samym Skierbieszowie też mamy zameczek wcale dobry, od właścicieli uczyniony. Bo to, widzicie asaństwo, jest tak...

Tu rotmistrz odsunął muszkiet, pochylił się nad stołem i zaczął po nim wodzić palcem, tłumacząc:

Niech wam się zda, że tędy płynie rzeka niewielka, co ją zwą Kalinówka. Wpada ona do Wieprza powyżej Krasnegostawu, a płynie ze wschodu na zachód.

Rotmistrz przesunął palec po stole od strony prawej ku lewej i tłumaczył dalej:

Nad północnym brzegiem rzeki stoi wzgórze wapienne, na nim zamek, inaczej dwór z trzema basztami, ostrokołem obwiedziony. Zamek to drewniany, ale obronny, na podmurowaniu, siedziba dzierżawcy, imię pana Mokosieja. Teraz przejdźmy po moście na południowy brzeg Kalinówki.

Oficer skrobął paznokciem w poprzek wyimaginowanej linii wyobrażającej rzekę i mówił dalej:

- Przeszliśmy mostem ku grobli i cóż widzimy? Na lewo szeroko rozlane, płytkie jezioro, od południa i od wschodu puszcza obrzeżone, na jeziorze nasyp i na nim dość silną, choć małą fortalicję murowaną. Tu zaś, północnym skrajem jeziora, ciągnie się wieś Sady, jakoby przedmieście Skierbieszowa. Sam Skierbieszów z kościołem i rynkiem jest po drugiej stronie grobli, od jeziora na zachód. Widzicie więc państwo, że to nie jest zapadły kąt, tylko miasteczko. Jest osadzone na prawie niemieckim, ma swój samorząd.

- A my gdzie moglibyśmy mieszkać? - W fortalicji, pani dobrodziejko, bo tam właśnie potrzebny jest nam płatnerz. Mamy na miejscu zdolnego kowala, więc pomoc by była, ale on rozumie się tylko na prostej robocie. Z wyszczerbioną szablą łanowego żołnierza da sobie radę, kosę przekuje na sztorc, zardzewiałą rusznicę odczyści, ale na armacie się nie zna, broni palnej odebranej na nieprzyjaciela, a uszkodzonej, nie zdoła do użytku przysposobić, nie wprawi kamyka, co wypadł z głowicy szabli. Więc prosił mnie komendant, żebym rozejrzał się we Lwowie za odpowiednim płatnerzem, jeśli by się taki trafił, co na wszelkiej broni się zna, może nawet na działach.

Mąż zna się na wszystkim - powiedziała matka.

Właśnie, tak mi też powiadał imię pan Grądek podchwycił oficer. - Wszystko by się dobrze składało, jest tylko jedna mała przeszkoda.

To mówiąc uśmiechnął się, nieco skonfudowany, i podkreślił płowego wąsa.

U nas, jak to w fortalicji, miejsca zbyt wiele nie ma, a wasza rodzina dość liczna, siedem dusz. Nasz komendant życzył sobie mieć kawalera. Nie wiem, co mi powie, jeżeli przywiozę pełen wasąg ludzi.

- A nie potrzeba waćpanom gospodyni? — wtrąciła matka. -- Bo pomyślałam, że może ja bym się nadała. Chyba że wolelibyście waćpanowie młodszą, żeby było do kogo się umizgać, jak to się w wojsku praktykuje...

A wiesz, jejmość dobrodziejko, że to przednia myśl. Stara Pelagia, co u nas w kuchni zarządza, nie może już na nogi i wciąż się prosi, żeby ją puścić do rodziny. Tylko, że u nas więcej jest roboty niż w mieście. Prowiantu nie brak, bo żołnierz zawsze się wystara, byle mógł suto zjeść. A jeść potrafi,

że ho! Gęś na dwóch to za mało. Nie wiem, czy bieluchne ręczki jejmościne dałyby radę, choć dziewczki do pomocy zawsze się znajdują.

Jakie tam one bieluchne, te moje ręce skonfundowała się matka. Widzą się wam bieluchne, bom cały wieczór prała, podróż przeczuwając. Ale ja wszystko w domu robię, grubszą robotę też, tyle że córka już mi pomaga.

Jeżeli córuchna do pani matki podobna, to i będzie do kogo z komplementem uderzyć rzekł oficer i znów węża podkreślił. Jam jest po prawdzie niemłody, ale i młodszy się znajdują.

O, O, wypraszam sobie, mości panie przerwała matka żywo. Moja Maruszka to dzieciak jeszcze, na jedenasty rok idzie jej dopiero.

Takie dziecko i już ją waćpani do pracy zaganiasz?

Nie zaganiam, sama się poczuwa. Jakże by to było, gdyby wszystką robotę na rodziców ładować, a dzieci żeby tylko próżniaczyły? Potem wyrosłyby z nich takie nic dobrego, co to i sobie w życiu nie poradzą, i dla innych żadnego z nich pożytku. Tu ojciec włączył się do rozmowy.

Jak moja żona zacznie mówić o dzieciach, to zapomina o bożym świecie. A my musimy postanowić o sprawach, na których zawisło całe dalsze życie i nasze, i tych dzieci.

- Za tobą jest racja, panie dobrodzieju – przytaknął stary Grądek. Ja dotąd nie wścibiałem moich trzech groszy do waszej rozmowy, tylkom słuchał pilnie. Ale widzi mi się, że skoro dla słusznych powodów gotowicie wyruszyć ze Lwowa w świat, to lepsza sposobność nie trafi się wam prędko. A waszej miłości też nie prędko trafi się taki płatnerz, jako jest imć Szymon Harbarasz. Przeciwno sobie samemu to mówię, boć nie wiem, jak wydolę mój warsztat prowadzić, kiedy mi jego zabraknie. Jam już stary, sam czeladników w ryzach nie utrzymam, a drugiego takiego jak Harbarasz nie znajdę. A no, co robić: mus, to mus. Ale ciężko będzie bez moich przyjaciół. A te ich dziatki cóż to za skarby! Asia mianowicie, mój błazenek miły, pocieszka moja...

Pana Grądka ogarnęła taka rzewność, że aż nosem pociągać zaczął, a dobywszy z kieszeni kapoty chustkę wielką na kształt kraciastego obrusa, osuszył nią zwilgotniałe oczy i nos wysiękał. Potem rozkaszał się stary, usta dłonią przesłaniając.

Oficer począł kręcić się na zydlu, skonfundowany nieco rozrzewnieniem pana Grądka. Wtem izbę oczami omiótłszy zauważył drobną postać skuloną w rogu. Wyciągnął ku niej żyłasty palec i zawołał:

- A toż kto taki? Mara jakowaś, czyli żywy intruz?

Matka spojrzała w kąt, w który celował palec oficera, zaś ojciec aż się na stołku obrócił. Na widok syna huknął:

A ty tu, Kuba, za czym pozwoleniem, hultaju jeden? Pytałeś się ojca, matki? Czekał, już ja ci skórę wygarbuję, żebyś się oduczył podsłuchiwania! Toś nie słyszał, gałganie, że ciekawość do piekła prowadzi?

Kuba byłby się najchętniej zapadł pod ziemię ze wstydu. Co najgorsze, to że oficer zagrzmiał takim śmiechem, aż się po udach klepał z uciechy.

- A tuś mi, basałyku! — zakrzyknął basem i zerwał się z zydlu.

Ogromny, roześmiany sunął ku chłopcu, który chciałby wsiąknąć w ścianę. Stanąwszy przed nim złożył Kubie dworski ukłon i zarekomendował się niespodziewanym dyszkantem:

Rafał Bolestraszycki jestem, do usług imć pana dobrodzieja. A waćpan jako się zwiesz? Nie odpowiadasz mi, kawalerze? No to będę zgadywał. Kuba kub znaczy, a po ojcu pewnoś jest Harbarasz. Słusznie suponuję, czylim się może pomylił? Gadaj, waćpan, inaczej wyjdzie na to, że z ciebie nie człowiek, jeno pień albo posąg kamienny obleczony chłopczyńskim przyodziewkiem. Konia dosiąć potrafisz? Z pewnością nie potrafisz, jako żeś w mieście chowany.

A właśnie, że potrafie! — zawołał Kuba.

To dobrze, będą z nas przyjaciele, bom koniarz okrutny – powiedział Bolestraszycki i poklepał Kubę po ramieniu.

Chłopak nie zasłużył sobie na łaskawość waszej miłości, jeno na baty - wtrącił ojciec.
- Darujże mu, asan

- prosił oficer bym stać się przyczyną kary na tego kawalera. Są gorsze wady aniżeli ciekawość, która wprawdzie jak asan słusznie przypomniałeś, wiedzie do piekła, wszakoż, śmiem zauważyć, prowadzi również do wiedzy. Kawaler nauczy się z czasem, kiedy ciekawość jest godziwa, a kiedy na naganę zasługuje.

Kuba poczuł, jak na kształt fali wzbiera w nim nagła miłość do tego olbrzyma, co pachnie skórą i koniem, a rękę ma taką twardą, że można by zda się wbijać nią gwoździe w ścianę, a jednak ostrożną i opiekuńczą wobec słabszego.

Matka wstała tymczasem z ławy i podeszła do ojca. Położywszy mu rękę na ramieniu szeptała coś do niego, on zaś przytakiwał jej z powagą.

Oficer odwrócił się ku nim i powiedział zwykłym swoim basem:

Jakie warunki komendant może ofiarować, tom waszmości z grubsza powiedział. Jeszcze dodam, że gdyby nasza żołnierska kwatery widziała się asaństwu za ciasna i nie dość zasobna w gospodarskie wygody, to dałoby się donajć coś w Sadach, jako że z tego przedmieścia, wstyd wyznać, garść mieszkańców zbiegła niedawno na kozaczyznę.

Dużo jest takich, co uciekają do Chmielnickiego? - zapytał Grądek.

Dużo nie dużo, ale się trafiają. Jedni mają na pieńku z sądami i wyroki na nich zapadły, od których chcą się salwować. Drugim obmierza pańszczyzna, szukają swobody. W stronę Chełma i Hrubieszowa sporo się trafia ruskich, a z tych część woli cerkiew schyzmatycką od tej, co z naszym kościołem unią się złączyła. A niektórzy to ot, takie duchy niespokojne, którym się zawsze wydaje, że tam lepiej, gdzie ich nie ma. Są i tacy, co wracają pokosztowawszy kozackiej swobody pod komendą moskiewskiego cara. Ale z takimi trzeba być ostrożnym, bo czasami wygadują na Chmielnickiego, a naprawdę to on ich nauczył, odesłał jako swoich szpiegów i werbowników.

- Jakby nasi panowie i ich urzędnicy tak chłopów nie cisnęli, jak to niektórzy czynią, to by nikt nie chciał uciekać ze swojej ojczyzny na Sicz - wtrącił Grądek.

- Toś waćpan słusznie powiedział — zgodził się Bolestraszycki. — Ja, choć posesjonatem nie jestem, wszelakom szlachcic z dziada pradziada, ale że to żołnierz po świecie się włóczy, więc

widziałem niejedno i przyjrzałem się ciężkiej doli tych, co żywią nas swoją pracą. Ale wracajmy do rzeczy. Jakom rzekł, dałoby się panią dobrodziejkę ulokować tak, żeby nie było zbyt niewygodny. Z Sadów na nasze Zamczysko, tak to ludzie zwą naszą fortalicję, idzie się do Skierbieszowa groblą, a na drugą stronę rzeki mostem. Z przyczyny mostu asanstwo mieć kosztów nie będziecie, bowiem miejscowi nie płacą mostowego, jeno ci, co przejeżdżają przez miasteczko albo przybywają na targi. Do Sadów idzie się mostem, ale można też czółnem przeprowić się wprost, zaś tam, jako sama nazwa wskazuje, jabłka, gruszki i śliwki rodzą się na podziw, co dla dzieci miłe jest i zdrowe.

- A wiśnie ? - zapytał Kuba, który powoli wysuwał się ze swego kąta ku stołowi i nabierał śmiałości.

Wiśnie, kawalerze, wiadrami sobie naniesiesz jak nie z Sadów, to z Majdanu czy z Podwysokiego, bo tam, na wzgórzach, ich ojczyzna. A że pasiek i barci też w naszych stronach nie brakuje, będzie mogła jejmość dobrodziejka taki wiśniaczek sycić, że sam król by nim nie pogardził. Opowiadają ludzie, że król Jagiełło razem z królową i z bratem swoim Witoldem w czasie zarazy schronił się do naszych puszczy przed morowym powietrzem. Na polowaniu złamał nogę i parę miesięcy leczył się w Krasnymstawie. Nic mu nie pomagało, aż dopiero jeden z naszej szlachty zagrodowej, niejaki Orłowski, którego potomkowie żyją do dziś, zawiózł królowi antałek naszego miodu i król od razu przestał chromać na nogę. Ludzie sprzecząją się dotąd, jaki to był miód, wiśniak czyli też maliniak. Ja myślę, że to był maliniak, bo nie ma jak leśne maliny na przeróżne choroby i febry.

Więc jak będzie z wyjazdem? zapytał Grądek. - Bo asanstwo gadu, gadu, za o najważniejszym cisza.

Ze mnie człowiek chytry odparł Bolestraszycki wesoło i robię co mogę, żebyście asanstwo nabrali smaku na nasz Skierbieszów, bo wtedy sama podróż to furda. Mam z sobą wasąg wcale pakowny. Prócz tego razem ze mną jedzie mój kompanion, porucznik Czachórski z Krasnegostawu, którego pani podstarościna krasnostawska obligowała, żeby przy sposobności wziął pod swoją opiekę furmankę z wiktuałami i podarkami dla jej siostry we Lwowie. Teraz furmanka wracać będzie próżna, każemy jej jechać na Skierbieszów, bo to nakład drogi niewielki, jeno że ludzie unikają tego szlaku, bo u nas wciąż góry i doliny. Jak państwo widziecie, z podróżą trudności nie będzie. Tylko w żywność radzę się zaopatrzyć, bo nie dacie wiary, co się teraz dzieje na gościńcach, a nawet na bocznych drogach. Dość na tym, że na głównych szlakach gdzieniegdzie w ciągu dnia wody w studniach brakuje.

Tyle jedzie ludzi?

A tak, mościa dobrodziejko, jadą i jadą na zachód, za Bug, aż gdzieś od Dniepru. Jakem przejeżdżał przez Narol, tom się zdumiał i przeraził. Bo to miescina mała, a tam z pięćdziesiąt tysięcy, ba! więcej jeszcze najechało i tak z dziećmi obozują, kto w miescie, kto po wsiach dokoła, kto w skleconym lada jak szałasie. Jakby nie daj Boże naskoczyli Kozacy albo Tatarzy, to by były jatki.

Można z dziećmi przejechać bezpiecznie? spytała matka zaniepokojona.

Teraz jeszcze można, ale za tydzień nie ręczę odparł Bolestraszycki. -- Chyba, że Chmielnicki i chan zawrócą swoich z powrotem, ale to się nie stanie aż przed samą zimą, kiedy ich obawa mrozów przepłoszy.

Wtem imć Bolestraszycki trzepnął się po kolanie, zerwał się z zydla i zawołał:

Wyproście mnie za drzwi, asanstwo dobrodzieje, bo ja tu nocować gotów!

Nieszczęścia w tym nie widzę, byłby nawet zaszczyt dla nas i przyjemność, gdybyś wasza miłość zechciał u nas zanocować powiedział Grądek. Chętnie odstąpię łóżko, a sam na ławie się prześpię. Skromnie tu u nas, bez pańskich wymysłów, ale robactwa nie ma, co się po gospodach trafia. Zakąskę pani Harbaraszowa znajdzie, a miodek w gąsiorku może okaże się nie gorszy od skierbieszowskiego.

Serdecznie prosimy – powiedziała matka, ojciec zaś zawtórował.

Imć Bolestraszycki trząsł głową i palcami strzepywał, jakby się oganiał, ale oni zrazu nie dali mu przyjść do słowa. Nawet Kuba, zupełnie już ośmielony, wyskoczył na środek izby i chwyciwszy oficera za ramię wołał:

– Bo szablę odpaszę! Bo szablę odpaszę!

Jednakże wojaka niełatwo było zastraszyć. Już chwycił czapkę i muszkiet, już kłaniał się brząkając ostrogami i wołając:

Gdzież ja bym robił taką subiekcję! Dziękuję, ale mam miejsce w gospodzie, czeka tam na mnie mój pacholik. Do jutra! Zaraz po sumie zajadę po was.

Harbarasz ledwo zdążył chwycić go za ramię i poprosić, żeby nikomu nie mówił o ich umowie i o projektowanym wyjeździe do Skierbieszowa.

Bo to, proszę waszej miłości, mamy wroga, co mógłby nam przeszkodzić. Lepiej, żeby nie wiedział. Niech się tu nazywa, że ruszamy w kierunku Krakowa.

Bolestraszycki kiwnął głową na znak zgody i wybiegł w ciemność.

-- Dobrześ waść zrobił, żeś sobie zastrzegł milczenie - powiedział Grądek do Harbarasza. - Ja też nikomu nie pisnę ani słowa. Jutro niedziela, świadków waszego wyjazdu nie będzie, a jak przyjdą tamci, co was przesładują, powiem im to samo, co będzie mówił ten oficer. Tak będzie bezpieczniej.

To mi się jeno nie podoba, że mamy jechać przez Zamość – powiedziała matka.

Czemu, mamo, czemu? zawołał Kuba. Ja przecież tak chcę zobaczyć Zamość! Tam są małpy, żubry i papugi. Matiaszek Zachnowicz opowiadał, że...

Nic nie rozumiesz przerwał mu ojciec. Idź spać.

Okazało się, że pan rotmistrz Bolestraszycki nie przesadził nic a nic, w drodze było ze wszystkim jak zapowiedział. Toteż Harbaraszowie poczuli się raźniej, kiedy niebawem przyłączyło się do nich za Lwowem kilkunastu uzbrojonych chudopachołków. Ci bowiem, usłyszawszy, że księżę wojewoda ruski pociągnął na Zamość, żeby na wszelki przypadek przysposobić go lepiej na przyjęcie nieprzyjaciela, postanowili oddać się pod rozkazy tego sławnego wojownika.

Może nas weźmie do dragonów albo do piechoty mówili. - Z daleka tak ciągniecie? - spytał Bolestraszycki.

Z daleka, spod Połonnego. Cały nasz zaścianek Kozacy złupili i wybili.

A konie skąd macie?

Połapaliśmy po jarach, gdzie Kozaki nie zdążyły jeszcze trafić. Ledwośmy uszli z życiem.

Kiedy padła twierdza nasza w Połonem?

Oj, panie, co się tam działo, to sądny dzień! wołał młody mężczyzna. — Z początku tośmy myśleli, że nasze wojska wstrzymają kozacką czerń. Samych armat było w twierdzy ze siedemdziesiąt. Aż tu aniśmy się opatrzyli, jak Kozacy wjechali nam na karki, zaczęli palić i rżnąć. Bogu dzięki, że moja chata pod samym lasem, to zdołałem zbiec. Ale co się stało z rodzicami, nie wiem i myśleć nie mogę, bo we mnie serce mgleje.

Toście wszyscy z jednej wsi?

Skąd znowu, wasza miłość! Dobrze, jak z jednej okolicy ocalało choć dwóch czy trzech. Po lasacheśmy się zebrali do kupy. Rodzin, co je nam wyrżnięto, do życia nie powrócimy, niechby człowiek choć pomścił ich śmierć.

Ciągnęli więc dalej na północ przez ziemię lwowską i bełzką. Kraj tu był spokojniejszy, jednakowoż trwożne wieści krążyły z ust do ust i nikt nie był pewien jutra.

Gdy zbliżali się do Zamościa, Harbarasz zaczął się uskarżać na ból zębów, które tak mu ponoć dokuczały, że żona obwiązała mu głowę. Zaledwie czubek nosa i oczy wyglądały spoza ręcznika.

Bolestraszycki spodziewał się w Zamościu wielkiego ścisku, więc z ostatnim noclegiem rozłożono się w wiosce. Dzieci z matką przespały się w stodole u kmiecia, jeden Kuba uprosił, żeby mu pozwolono ułożyć się na wasagu.

Mężczyźni stróżowali obok przy koniach, rozpaliwszy ognisko. Porucznik Czachórski poszedł pierwszy na siano spać z pacholikiem, o północy mieli się zmienić. Bolestraszycki został przy ognisku z Harbaraszem, który zdjął z twarzy przewiązkę i wyglądał znów po ludzku.

Zbliżyli się z sobą nieco w czasie drogi pomimo różnicy stanu i warunków życia, więc pan Szymon nie obawiał się poruszać spraw osobistych, na co przedtem nie byłby się ośmielił.

Dziwi mnie to, że wasza miłość będąc rotmistrzem i towarzyszem poważnego znaku zakopałeś się w małym miasteczku - powiedział Harbarasz.

Rotmistrz pogrzebał patykiem w żarze i dorzucił doń trochę drew, po czym odparł:

Zauważyłeś waść zapewne, kiedy konia dosiadałem, a także przy innych okazjach, że prawą ręką nie władam dobrze i muszę posługiwać się lewą. Chociaż nabyłem w tym niejakej wprawy, wszakoż do wojaczki już się nie nadaję. Pamiątka to spod Beresteczka, gdzie lat temu cztery pod hetmanem Lanckorońskim ostatni raz walczyłem w polu. Nie wypada mi żałować ręki, skoro naszym udało się Tatarów rozgromić. Ciężko jednakże z tym kalectwem żyć, jam przecie człek nie stary.

Rotmistrz znów pogrzebał patykiem w ogniu i mówił dalej:

Przez lata wojaczki nabrało się niejakej eksperencji, więc służę nią ojczyźnie miłej jak potrafię, choć już nie w polu. Kiedy poznasz waść kraj, który się ciągnie między Zamościem a Krasnymstawem, na wschód od głównego traktu aż gdzieś po Wojsławice i Grabowiec, to przyznasz, że takich koni, jakie tam hodują nawet kmiecie, daleko szukać by trzeba. W górach

ciężko obrobić pola wołami, tam zaś rzadko gdzie trafi się grunt równy, stąd rolnik potrzebuje więcej koni. Zwózki też są uciążliwsze. Ale właśnie na tych górach, z wapienia przez samą naturę uformowanych, konie udają się najprzedniejsze, może mniej zdatne dla pancernych czy artylerii, ale dla lżejszych znaków nieporównane, bo to bestyjki urodziwe, a zwinne, szybkie i wytrzymałe. Pod górę czy w dół, przez debry czy wpław, wszędy żołnierza poniosą. Mówię waści, żeby to nie były dobra duchowne i magnackie, jeno królewsczyzny, dawno by tam hodowano umyślnie najpierwsze stadniny na potrzeby wojskowe. Może sprawia to wapno w trawach i w wodzie, a także ćwiczenie od źrebaka we wspinaniu się po wertepach? Dosyć, że sam hetman zwrócił uwagę na przedziwną cnotę tamtejszych koni, które oglądał u rycerzy i łanowych z tych okolic. Teraz więc, kiedy wojskom kwarcianym wciąż koni potrzeba, osadzono mnie w tamtejszych stronach, żebym je skupywał. Bo trzeba waści wiedzieć, że kawaleryjskiego konia nie kupi byle Żyd, Cygan czy nawet gospodarz, trzeba mieć specjalną eksperyencję w takowej materii. Trzeba samemu przemierzyć niejedną milę na końskim grzbiecie w mróz czy w spiekę, jadąc na wojnę czy z wojny wracając, to po zwycięstwie, to po klęsce, zdrowym będąc czy rannym... Trzeba z wrogiem rąbać się na szable, gnać kulom naprzeciw, żeby wiedzieć, jaki ma być kawaleryjski koń!

Wierzę zgodził się Harbarasz. Konia dosiąć potrafię, ale wybierać wierzchowce dla kawalerii to rzecz insza, tego bym się nie podjął. Za to byleś mi wasza miłość położył na chwilę przed oczy guldynkę, czy muszkiet, czy pistolet, zanim je wezmę do ręki powiem waszmości, jak będą strzelały.

Bo z waści jest płatnerz, a ze mnie kawalerzysta. Wyznam waści jeszcze, skoro ciekaw jesteś mojej pracy, że pomagam jak umiem naszemu komendantowi, imć panu Kuropatwie. Ma on wiele różnych spraw na głowie, nieraz trzeba dojechać tu czy tam, a to już człowiek w leciech. Przy tym w dzisiejszych niespokojnych czasach nie można bodaj na dzień jeden pozostawić bez nadzoru ani Zamczyska na jeziorze, ani obronności dworu na górze. Ale cóżeś to asan zdjął obowiązanie głowy, czy zęby boleć cię przestały?

Tak — bąknął Harbarasz — lepiej mi trochę, a takim już się czuł w tym pakunku, jakbym był ślimakiem ściśniętym w skorupie.

- Znam w Zamościu cyrulika, który rwie zęby tak gładko, jakby je z masła wyciągał, mogę waści zaprowadzić.

Dziękuję, to już chyba innym razem odparł Harbarasz.

Rozmowa się urwała. Dopiero teraz dosłyszał Kuba dalekie kumkanie żab. Przypomniały mu się łąki za wałami we Lwowie. Wtedy, kiedy to z Matiaskiem starali się wykręcić ligawkę i nie dali rady. Kora wierzbowa była cierpka, żaby kumkały...

Gwiazdy, gwiazdy, tyle ich w górze świeci. Kto je zapala? I jak to jest, że ich nie gasi wiatr?

Kuba zasnął.

Rano znów bolały ojca zęby. Matka obwiązała mu twarz zanim jeszcze ruszyli w drogę. Sama zawinęła się w wełnianą chustę, wyglądała w niej jak te wieśniaczki, co przyjeżdżają do miasta na targ.

Wjechali niebawem do Zamościa przez Bramę Lwowską. Popasali jednak tylko chwilę na Rynku Solnym, podczas kiedy rotmistrz miał podjechać wierzchem, żeby zameldować się na zamku. Konie były dopiero co napasione i napojone, więc Harbaraszowie nie zsiadali nawet z wasąga.

Kuba upominał się wprawdzie o obejrzenie zwierzyńca, ale rotmistrz powiedział:

- Zwierzyńiec zamknięty, będzie go można oglądać dopiero jak wróci spokój. Kiedyś ci go jeszcze pokażę, tymczasem musimy śpieszyć do Skierbieszowa. Zaraz będę z powrotem.

Rotmistrz musiał wszakże chwilę poczekać, aż wąską uliczką wmaszeruje na rynek oddział chłopów z kosami osadzonymi na sztorc. Szli w ordynku pod komendą oficera. - Czy to żołnierze? - zapytał Kuba zdziwiony.

Żołnierze i to nader dzielni żołnierze odparł rotmistrz. Tu wszyscy są teraz uzbrojeni, nie tylko wojsko. Żebyś widział, jak ćwiczą studenci tutejszej akademii pod wodzą imć pana rektora Kowalskiego! Mieszczanie też są pod bronią.

Rotmistrz odjechał, a Kuba rozglądał się dokoła.

Wtem doleciał go zgiełk sprzed sieni dużego, murowanego budynku. Uwijały się tam jakieś dwie kobiety, z których jedna miała na ręku koszyk pełen jabłek, a druga wieniec obwarzanków na sznurku. Tak się z sobą kłóciły, że jedna drugiej zdarła chustkę z głowy. Rozswarzone kobiety doskakiwały do siebie i każda wykrzykiwała na drugą. Dokoła zebrali się gapie, z których jedni baby podjudzali, inni śmiali się z nich do rozpuku.

Byłyby się chyba pobily, ale wnet wyskoczyli dwaj umundurowani pachołkowie i zabrali je do sieni. Gawiedź zaraz się rozeszła.

Co oni tam robią? Co tam jest w tej sieni? - spytała Maruszka, ale rodzice nie umieli jej odpowiedzieć.

Jakaś przechodząca kobieta usłyszała zapytanie Maruszki. Przystanęła obok wasąga i wyjaśniła:

Za sienią urzęduje w sali trybunał. Widać, że z was nietutejsi ludzie, kiedy o tym nie wiecie. Dwa razy w tygodniu mamy targ, jako i dzisiaj właśnie. Trybunał się zbiera tylko cztery razy do roku w ważnych sprawach, ale jest tam jeszcze specjalny sąd jarmarczny, a także policja targowa, która pilnuje, żeby kupcy nie oszukiwali. Jeżeli ktoś obije kogo lub okradnie w czasie jarmarku, albo sprzeda zły towar, tedy sąd jarmarczny zaraz rozpatruje sprawę.

Gdy wyjechali z Zamościa, matka otworzyła kobiałkę i rozdała dzieciom chleb z wędzonką.

Niebawem wjechali w las, wasąg podskakiwał na korzeniach. Kuba wciąż żałował, że nie mógł porozmawiać z papugą.

Prawie siedem lat minęło od opisanych tu wypadków. Nie były to lata łatwe.

Kozacy wraz z Tatarami wzięli we Lwowie olbrzymi okup. Później obciążeni łupami posunęli się pod Zamość, pustosząc cały szlak, którym szli, i pałac wsie i dwory dookoła Zamościa. W Narolu wyrznęli po drodze czterdzieści pięć tysięcy ludzi.

Usiłowali zdobyć Zamość szturmem, ale im się to nie udało i zgodzili się odstąpić od twierdzy w zamian za okup. Spalili jednakże zamek, chociaż Chmielnicki obiecał, że go oszczędzi.

W czasie oblężenia dotarła do Zamościa wieść, że sejm obrał nowego króla, którym został Jan Kazimierz.

Tymczasem Harbaraszowie osiedlili się na dobre w Skierbieszowie. Z początku trudno im było się przyzwyczaić, jednakże z czasem przywykli.

Następnego lata urodził im się trzeci syn, nazwali go Krzych.

Z Kozakami stanęła ugoda, ale obie strony były niezadowolone i nie dotrzymywały warunków rozejmu, więc znowu przyszło do wojny. Tym razem jednak toczyła się ona dalej, a mieszkańcy ziem położonych w okolicach Zamościa i Krasnegostawu odetchnęli przez czas niejaki. Zaczęli się odbudowywać po wojennych pożogach.

Szły wieści, że w różnych stronach Polski chłopci powstają przeciwko panom, nie chcą odrabiać pańszczyzny ani płacić czynszów. Kto wie, czy i w zamojszczyźnie do tego samego by nie doszło, aliści przywiało do nas ze wschodu straszliwą zarazę. Ludzie ją zwali: „czarna śmierć”.

Chorych obsypywały krosty i wrzody, gorączka rozum niektórym odejmowała, zarażeni marli całymi gromadami jak muchy jesienią.

Na domiar klęski rozmnożyły się nad miarę myszy, żaby, muchy, pluskwy, komary i gady wszelakie. Ludzie wystraszeni uciekali w góry i w puszcze, ziemia leżała odłogiem, głodne czeredy rabowały i paliły.

Zgorzał wtedy Lublin i wiele innych miast. Ustał handel, poczty stanęły, gospody pozamykano, a jeśli wóz jaki przemykał przez miasto, to podróżni zakrywali twarze i poganiali konie, żeby prędkiej wrócić na odludzie.

Czarna śmierć nie ominęła Skierbieszowa. Harbaraszom zabrała dwoje dzieci, Jadwizkę i Jędrka.

Wojny toczyły się tymczasem dalej, aż wreszcie Chmielnicki z Kozakami poddał całą Ukrainę Moskwie.

Straszny był dla Rzeczypospolitej ów rok tysiąc sześćset pięćdziesiąty czwarty. Znów ognisty wał pustoszył ją od wschodu, bo szła na Litwę i Polskę armia cara moskiewskiego i posuwała się coraz dalej.

Każdy z polskich magnatów miał swoje oddziały wojsk, ale nie wszyscy oddawali je na potrzeby ojczyzny, dołączając je do wojsk królewskich. Byli i tacy, co wiązali się z wrogami, jeżeli spodziewali się od nich korzyści dla siebie. Zdrajca Radziejowski aż do Szwecji pojechał, aby judzić Szwedów przeciwko Janowi Kazimierzowi i namawiać ich do najazdu na Polskę.

Tyle tylko było pociechy, że zaraza wreszcie wygasła.

Jednakże nie obchodzono wesoło świąt Bożego Narodzenia, zbyt dużo było biedy i świeżych mogił.

Aliści jakoś około lutego następnego roku rotmistrz Bolestraszycki, który wciąż jeszcze żył i działał w skierbieszowskiej fortalicji, wybrał się do Zamościa korzystając z dobrej sanny i przywiózł stamtąd wiadomość, że Tatarzy odstąpili Kozaków i przyłączyli się do wojsk polskich, te zaś odniosły walne zwycięstwo nad połączoną armią Kozaków i Moskali aż gdzieś blisko Dniepru.

Wieść o tym rozeszła się w mig i zapanowała radość, że może wreszcie będzie pokój. W lud wstąpiła ochota do życia budząc nowe siły. Zabrano się do naprawiania zaniedbanych narzędzi

gospodarskich, a gdy rola rozmarzła, częć pól oczyszczono z chwastów i obsiano, na wszystkie nie starczyło sprzężaju ani siewnego ziarna.

Baby obielily chaty na święta wielkanocne, a po świętach ani się obejrzano, kiedy nastala pora sianokosów, zaczęto więc kosić łąki i suszyć siano, żeby zgromadzić na zimę paszę dla inwentarza.

Rotmistrz Bolestraszycki uskarżał się, że trudno znaleźć konie dla kawalerii, jednakże napotykał już gdzieniegdzie piękne źrebce o tyle odchowane, że na następny rok można by ich dosiąść.

Tak to w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym piątym przybliżał się dzień ósmy lipca, kiedy od niepamiętnych czasów odbywał się w Skierbieszowie odpust z dorocznym jarmarkiem, zwany Kilianem.

Od tego momentu zacznie się właściwa opowieść o niezwykłych przygodach Kuby, który zdążył już tymczasem ukończyć lat czternaście.

ROZDZIAŁ I

„POCZEKAJ, ODDAM CI NA KILIANA”

Jan Kuryło, woźny skierbieszowski, przestąpił wysoki próg kuźni na Zamczysku, zdjął słomiany kapelusz, położył go na ławie i zapytał kowala:

Macieju, a nie ma u was czasem Kuby?

Kuby Harbarasza? Nie, nie ma go. Na co wam Kuba?

On dobrze czytać potrafi, a ja, hm, wiecie... Wiem.

Właśnie. Mam tu kartel wojowniczy, który imć pan Oźga przykazał odczytać na jutrzejszym jarmarku, więc muszę się tego pisma nauczyć, żeby mi gładko szło, z pamięci czytając.

Wiecie co, Janie? Przejdźcie do Harbaraszów i poproście Maruszkę, siostrę Kuby. Ona też czyta gładko drukowane i pisane.

Kiej się wstydzę. - To może chcecie, kumie, żebym ja poszedł po Maruszkę?

Dajcie pokój. Poczekam u was chwilkę, może Kuba nadejdzie.

Widziałem, jak z samego rana szedł z wędką. Pewno siedzi tam, gdzie ta stara wierzba i łowi ryby.

Poczekam, odpocznę, spieka dziś szkaradna. Jak nie nadejdzie, no to pójde go poszukać.

Woźny Kuryło usiadł na ławie pod ścianą, a Maciej obok niego. - To nie robicie? – zagadnął woźny.

Nie ma dzisiaj roboty. W południe złączą się do nas zjeżdżać wedle jutrzejszego jarmarku, wtedy się zaraz trafi jaka podkowa czy obręcz, tu albo na folwarku. Teraz każdy ma co innego na głowie, święty Kilian jest tylko raz do roku.

U Bezucha w kuźni młoty dzwonią zauważył woźny.

Bezuch robi w miasteczku, to co innego. Kupców dużo tam już najechało?

Nawet dosyć, nie ma co narzekać. Pewno że nie to, co przed kozacką wojną, ale więcej niż łońskiego roku. Rozstawiają kramy na rynku. Ale, o, Kuba idzie. O wilku mowa, a wilk tuż. Kuba, Kuba, pójdź no tu!

Chłopak podbiegł natychmiast, przeskoczył przez próg, błysnęły w słońcu jasne jego pukle i zaraz zgasły we wnętrzu kuźni.

Dużoś ryb nałowił? - E, nie biorą dziś, panie Macieju. Złapały mi się jeno dwa szczupaczki, ale nieduże, o takie.

Pokazał na przedramieniu obyczajem rybaków, jakie to były szczupaki. Wtem zauważył Kuryłę i zwrócił się żywo do niego:

Dzień dobry, panie woźny! No i jak będzie? Dużo ludzi porznie się w tym roku na Kilianie? Ponoć Zienkiewicz, ten z Zawody, szykuje się od stycznia na Łonia. O jakieś sągi się pokłócili i

Zienkiewicz odgrażał się w karczmie, jak zobaczył Łonia przez okno. „Poczekaj”, krzyknął ponoć, „oddam ci na Kiliana!” Czy to prawda? Woźny machnął ręką lekceważąco.

- E, Zienkiewicz mocniejszy w gębie niż w pięści - powiedział. Gorsza rzecz, to że Osełka zasadził się podobno na waszego bratana, Macieju, i też tylko czeka Kiliana.

Czego on chce od Pietrka? Osełka na Zawodzie, Pietrek na Podwysokim, jeden nic nie ma do drugiego.

Osełka powiada, że ma. Nie będę wam tłumaczył przy chłopcu, zresztą chyba sami się domyślicie - tu pan Jan mrugnął na pana Macieja i przeczesał palcami wąsy.

Ja i tak wiem oświadczył Kuba. Osełka chciałby się ożenić z Maruszką, a Maruszka woli Piotra Orłowskiego. I będzie go miała. Pietrek jest chłop jak piorun, a Osełka lis wyleniały. Kowal chrząknął udając, że nie słyszy i powiedział:

Ale ja cię tu zawołałem, bo pan woźny ma do ciebie sprawę.

Jaką sprawę? Woźny dobył z torby karteluszek i powiedział:

Jest tu do przeczytania odpowiedź, znaczy kartel wojowniczy. Ja na oczy nie bardzo... hm... więc może ty...

Żebyś odczytał na jarmarku? Ha, to ci będę miał zabawę!

Nie na jarmarku, przecież nie tyś woźny, tylko ja. Chcę żebyś tu przeczytał mi głośno parę razy.

Kto z kim się wadzi?

Pan podczaszy Oźga odpowiada panu stolnikowi Nietyxie.

Kuba gwizdnął i trzepnął się rękami po udach. — A to ci facecya! — zawołał. — O co im poszło?

O te stogi za Hajownikami, co to już w sianokosy nasyłali ludzi jeden na drugiego z ich przyczyny i kazali je przestawiać ten tu, ten tam. Pan Oźga powiada, że te stogi jego, a pan Nietyxa, że jego. Ponoć spotkali się w Chełmie na rynku i przymówili sobie szpetnie, byłoby doszło do siekaniny, tylko że biskup akurat przejeżdżał, więc sąsiedzi jakoś ich rozdzielili. Ale pan podczaszy swego nie daruje, a pan Nietyxa też szabli nie nosi po próźnicy.

- Będzie bigosowanie, będzie - powtarzał Kuba i oczy mu błyszczały.

Nie masz się czego cieszyć powiedział Maciej Orłowski. - Wcale niepięknie i nie po chrześcijańsku panowie postępują. Jak się dwa psy gryzą, to się na nich wodę leje i człowiek mówi sobie, że to bestie nierozumne. Ale żeby ludzie, i do tego kształceni, to obraza boska!

To już taka nasza okolica, bo nie tylko szlachta wciąż się tu bije - wtrącił woźny. - A już najgorzej z tym odpustem, wszystkie porachunki odkładają na ósmego lipca, na Kiliana. Strach puszczać dzieci na jarmark, żeby przypadkiem nie dostały się w jaką awanturę. No, ale czytaj, Kuba, czytaj, bo a nuż ktoś nas zajdzie i przeszkodzi.

Kuba wziął od niego karteluszek, stanął przy kowadle i starając się przybrać groźną minę, czytał co następuje:

„Ja, Dionizjusz Ożga, tobie, Hieronimie Nietyxo oznajmuję, że czyniąc dosyć prawu pospolitemu posyłam ci odpowiedź przez dwóch szlachciców, Mikołaja Chłopeckiego i Łeśkę Pieczymuchę i woźnego Jana Kuryłę, iż ty nie umiejąc uważać sobie stan nasz zacny szlachecki polski, nie tylko stogi mi zabrałeś, ale nadto ważyłeś się targnąć na honor mój, przeto się mnie strzeż na wszelakim miejscu: chodząc, śpiąc, jedząc, pijąc, w domu, w drodze, w kościele, w łaźni, bo się tej krzywdy na tobie mścić będę i da Pan Bóg na gardle twoim usiędę. Dan w Chełmie, gdzie do aktów grodzkich chełmskich odpowiedź ta wniesiona została, die 4 Junii 1655”. Tego, co na końcu, nie rozumiem i może źle przeczytałem, bo to jest po łacinie - dodał Kuba.

- Ciekaw jestem, czy pan stolnik Nietyxa się przelęknie.

On może nie, ale jego siostra, a nasza pani dzierżawczyni, to spazmów dostanie ze strachu, żeby jej brata pan podczaszy nie pokrzywdził - powiedział kowal.

Jeśli mam prawdę rzec, Janie, to na waszym miejscu też nie byłbym spokojny o własną skórę. Po co wy się godzicie na to, żeby takie kartele odczytywać i różne prywatne pozwy nosić od jednego pana do drugiego? Przecież obowiązani do tego nie jesteście.

– Pewno, że obowiązany nie jestem, ale dużo bym zarobił, jakbym tylko te sprawy załawiał, do których jestem obowiązany? Jak zanoszę papier urzędowy, to mi z urzędu płacą marny jeden grosz za milę drogi, tymczasem szlachcic jak mi prywatnie swój interes zleci, da zarobić kopę groszy. Łeśko Pieczymucha i Mikołaj Chłopecki też mogliby mi nie asystować, a jednak asystują. Prawo wymaga, żeby mi w każdej czynności asystowali u boku dwaj szlachcice, choć ja jako woźny szlachcicem być nie muszę i jak wam wiadomo, szlachcicem nie jestem. Oni dwaj to osiadła szlachta, choć zagrodowa i zgołociała, więc idę ze mną, za co im pan podczaszy Ożga czy inny pan też grosza nie poskąpi. Gruntu mam tak mało, jakbym go nie miał, bo co znaczy nędzne ćwierć łana i to z bratem do spółki, a w domu pomimo zarazy jeszcze siedem gąb do żywienia zostało. Dla mnie każdy szeląg więcej wart niż bogatemu czerwony złoty.

– Mam przeczytać jeszcze raz? zapytał Kuba ofiarowując swoje usługi. Teraz będę czytał wolniuśko, a wy powtarzajcie za mną.

Zaczęła się nauka. Kuba przysiadł na pieńku obok woźnego, a ten powtarzał pocąc się, przeczesując palcami wąsy i raz po raz skrobiąc się za uchem.

Wreszcie udało się woźnemu powtórzyć gładko bez podpowiadania. Westchnął więc z ulgą i sięgając do torby powiedział:

Ja ci z tych moich groszy przyniosłem piątaka za fatyge, bo nie chcę twojej krzywdy.

Kuba skoczył jak oparzony.

- Co też wy! - zakrzyknął - schowajcie tego piątaka z powrotem, bo ja go nie tknę.

No to Bóg ci zapłaci – powiedział woźny nie upierając się zbytnio, a Kuba mruknął:

Życzę wam, żeby was ludzie stolnika nie pobili...

lii, Nietyxa nie przyjedzie do nas na jarmark, bo, jak słyszałem, do Krasnegostawu pociągnął. Ja tam strachliwy nie jestem, mam też swoje sposoby. Umieję w potrzebie i pana z mańki zażyć. Pan Wereszczyński, co jest raptus znany ze swojej pasji od Lublina aż po Zamość, kiedyś tak mnie

pobić kazał, a moich asystentów ze mną, żeśmy się potem ze dwa tygodnie kurowali. Nie minął rok, aż tu znowu kazano mi dostarczyć mu pozew. „Jak zrobić”, myślę sobie, „żeby pozew wręczyć, a nie być pojmanym?” Dowiedziałem się, że pan Wereszczyński pszał do miasteczka furmankę po sól, leżały na niej dwie beczki. Ale że kupiec soli dużo nie miał, więc jedna beczka wracała pusta. To ja nie wiele myśląc wlałem do niej, przyczałem się i jadę. Podjechałem aż pod kredensa imć pana Wereszczyńskiego, gdzie klucznica miała odebrać zakupy. Zanim się służba pańska opatrzyła, ja hyc! do środka, położyłem pozew i uciekłem przez okno. Szlachciców dla asysty tom sobie wtedy umówił nikomu tam nieznanym i posłałem ich przodem, żeby wymyślili jakąś niby sprawę i poczekali na mnie przed dworem ichmościów Wereszczyńskich.

Nie wiedziałem, że pan Kuryło taki spryciarz.

Ja nie pan, nie pan zachnął się woźny.

Jan Czuryło to wielki pan, ale Jan Kuryło to prosty chłop.

„Czuryło”, pomyślał Kuba, „gdzieś słyshałem to nazwisko...” Spytał:

---- Kto to taki, pan Czuryło?

- Szlachcic możny, panów z Goraja krewniak i jak oni, Korczakiem na aktach się pieczętuje. Srogi pan, jakbyś go kiedy spotkał, to obchodź go z daleka, jak dzika w kniei.

A Hornostaj?

Kiedyś słyshał i o Hornostaju, to musisz wiedzieć, co to za bestia. Jeżeli Czuryło dzik, to ten chyba do rozjuszonego tura podobny. Ale zważ, jak to dziwnie bywa na świecie: zdawałoby się, że oni dwaj rozszarpia się kłami i rogami, a tymczasem nie ma serdeczniejszych przyjaciół, jeden za drugiego w ogień gotów skoczyć. Hornostaj niewielki jest posesjonat. Co wziął po ojcach, to oddał w dzierzawę i tak się tłucze po obcych kątach. Najczęściej u Czuryły siedzi. Razem polują po bagnach i puszczech nad Porem, gdzie i biesy się plenią, Radecznice jeno obchodząc z daleka.

Czemuz to Radecznice diabły omijają?

Bo tam święty Antoni pastuszkom się ukazał i naprzekór szatańskim odmętom źródło przeczystej wody spod ziemi wyprowadził, a ta woda jest na różne choroby dziwnie pomocna. Jeszcze ci powiem, że o Czuryle i o Hornostaju ludzie historie opowiadają. Były kiedyś na dworze u jejmości pani Zamoyskiej dwie piękne panny respektowe, jedna zwała się Chodorowska, a druga Zagwoyska. W jednej kochał się Czuryło, a w drugiej Hornostaj, ale one ich nie chciały, ci zaś nastawali ostro. Dość na tym, że Zagwoyska wstąpiła do klasztoru, a Chodorowska gdzieś przepadła jak kamień w wodę. Ojciec jej się wyparł, bo on chciał ją wydać za Czuryłę.

I co się później stało?

A no, pan cześnik Czuryło wziął sobie żonę nie. młodą i chorowitą, ale z wielkim posagiem i ta go prędko odumarła. A Hornostaj sam ostał, jako luzak objija po świecie. Jakiś czas u Radziwiłła w Kiejdanach był za oficera, ponoć nawet i pod austriackim cesarzem wojował, ale nigdzie długo miejsca nie zagrzał i zawsze wracał w te strony, do swego druha Czuryły. My, woźni, jedni drugich znamy, a każdy z nas jest w ruchu, to jak się czasem spotykamy, opowiadamy sobie co ciekawsze sprawy, choćby działy się już dawno. A chyba o nikim tyle nie ma do opowiadania, co o tych dwóch, bo to odkąd pamięcią sięgnąć, wciąż zajazdy, a intromisje, a pozwy, wizje, ran klasyfikacje, ani chwili nie dają ludziom spokoju. Robota przy obu jest, ale jest i zarobek, bo trzeba im oddać

sprawiedliwość, że żaden z nich grosza nie skąpi. A już jak chodzi o to, żeby kogoś pognębić, do kogo rankor czują, to gotowi syznąć nawet dukatami, byle go na dnie wieży osadzić, albo zasiekać zgoła, a postawić na swoim. Mówię ci, Kubo, i ostrzegam: broń Boże wejść im w drogę! Jakby się kiedy tak zdarzyło, że który z nich pojawiłby się w tych stronach, to od niego uciekaj jak od morowego powietrza.

A nie, nie będę uciekał. Bo tego Hornostaja to ja już raz w życiu widziałem i rad bym go jeszcze raz zobaczyć.

- Po co ci to, szalony chłopaku?

- Przygwoździłbym mu połą do ławy, a potem bym uciekł.

Myślisz, że on by nie potrafił strzelić za tobą i położyć cię trupem?

To by go obwiesili, albo kat by go ściął na pieńku. Byłby spokój w okolicy raz na zawsze.

Oj, chłopaku, chłopaku, nie znasz ty świata ani sądów! Po pierwsze nie skazaliby go na gardło, najwyżej na grzywnę, bo on pan, a tyś chudopacholek. A po drugie grzywny też by z niego nie ściągnęli, choćby wyrok zapadł. U nas w Polsce wyroki zapadają, ale wykonać ich nie ma komu, ot co. Już ty lepiej nie próbuj z panami zwady, bo oni zawsze są górą.

Nie zawsze wtrącił pan Maciej. Nie pamiętacie, Janie, co to się działo pod Krakowem albo i na halickiej ziemi? Toż to było niedawno, może się powtórzyć.

Ssst... - psyknął woźny i obejrzał się trwożnie o takich rzeczach nawet myśleć nie trzeba, co dopiero mówić.

- A ja ci powiadam, że wiek wieków pańszczyzna trwać nie będzie, bo i nie zawsze była. Kiedyś się ta niewola zaczęła, to i skończy kiedyś.

Widać nie w smak była ta rozmowa ostrożnemu panu Janowi, bo wstał i śpiesznie się pożegnał.

Kuba wyszedł także, ale w przeciwnym kierunku. Kuryło poczłapał przez groblę, na której stały jeszcze kałuże po nocnej burzy, a Kuba wziął łopatę i poszedł między zarośla za murami, żeby nakopać robaków na wieczorny połów.

Ledwo znalazł się na podwórzu, jak spod ziemi wyrósł Krzych i zapytał nieśmiało:

Gdzie ty idziesz? Kuba udął, że nie słyszy. Malec powiedział:

Ja wiem, idziesz po robaki.

Jak wiesz, to po co pytasz? Krzych nie odpowiedział, ale podreptał za bratem. Zabiegł mu drogę, chudy, bosi, czarniawy jak Cyganiątko i jął prosić:

- Daj wiaderko, ja ci poniosę. Albo łopatę. Daj, Kuba!

Nie potrzeba - mruknął starszy. A ja coś mam, aha... – pochwalił się malec. Co masz? Mam trzy kulki ołowiane. Pokaż. Kto ci je dal?

Komendant. Jak mi dasz nieść wiaderko z robakami, to ci jedną podaruję.

Wielka mi armata! Poproszę, to mi komendant także takie da bez twojej łaski.

I jeszcze mam sześć orzechów powiedział Krzych, chociaż bardzo żał by mu było je oddawać.

Jak przeczuwał, orzechy zainteresowały brata. Kuba przystanął i wyciągnął rękę. Krzych wydobył orzechy zza pazuchy i położył na dłoni Kuby. Ten popatrzył na malca i roześmiał się. Wepchnął mu z powrotem do ręki pięć orzechów, a tylko jeden rozgryzł i zjadł. Potem wspaniałomyślnie podał bratu wiaderko na robaki i poszli razem.

Kuba, weźmiesz mnie jutro na Kiliana, powiedz? - zapytał Krzych, podczas gdy brat wykopywał robaki.

Nie, nie wezmę. Bo co?

Bo na Kiliana ludzie się biją, mogłoby i tobie się dostać. Albo by cię stratowano.

Kto by mnie stratował? Konie albo woły. Albo ludzie. A ty, Kuba, pójdziesz? Pójdę. Ciebie nie stratują?

Nie. Ja jestem duży. A ty, jeżeli chcesz iść na Kiliana, poproś ojca i matkę, może cię zabrają.

Kupią mi glinianego kogutka, takiego do świstania?

Nie wiem.

Krzych westchnął. Zerwał listek babki, poślinił i przylepił pod kolanem.

Co ci się stało? zapytał Kuba. Boli mnie. Od czego?

Michałko wysiekł mnie witką po łydkach. Uciekałem, ale on gonił za mną i siekł.

Kuba mruknął coś brzydkiego. Michałko był większy i silniejszy od Kuby, miał szesnaście lat. Ojciec Michałka był na Zamczysku wachmistrzem, rotmistrz Bolestraszycki bardzo go chwalił, bo Turzański znał się na koniach.

Z Michałkiem miał Kuba na pieńku z powodu różnych rzeczy, także i dlatego, że tamten nie potrafił przejść spokojnie obok Asi i Krzycha, zawsze im dokuczył

„Muszę się z nim rozprawić”, pomyślał. Jak to się stanie, jeszcze nie wiedział. Trzeba będzie coś obmyślić.

ROZDZIAŁ II

KRWAWY JARMARK

Rodzice nakazali Kubie, żeby nie szedł sam do miasteczka na Kiliana. Że zaś oni unikali zbiegowisk, więc na jarmark się nie wybierali i poprosili kowala, żeby wziął pod swoją opiekę Maruszkę i Kubę.

Kowal Orłowski, człek już niemłody, stracił był w czasie zarazy prawie całą najbliższą rodzinę, został mu tylko brat na Podwysokim, też kowal, a także syn, który pracował w Dólniku przy młynie. Więc na jarmark wybierał się pan Maciej sam. Kiedy Harbarasz poprosił go, żeby zabrał z sobą jego starsze dzieci, kowal ucieszył się, że będzie miał wesołą parę towarzyszy, chociaż i bał się nieco, czy potrafi ich ustrzec w razie awantury.

Krzych i Asia mieli zostać w domu. Krzych aż się popłakał. Pocieszył się trochę dopiero wtedy, kiedy ojciec powiedział do Kuby:

Kup dzieciakowi glinianego kogutka, niech ma. Dał pieniądze Kubie na owego kogutka i na kozik, a dla Asi na wazonek do przesadzenia mirtu. Jedna tylko Maruszka nie upominała się o nic dla siebie.

Kuba doczekał się wreszcie chwili, gdy pan Maciej w nowej szaraczkowej kurcie i w wysokich butach wyruszył z młodymi Harbaraszami na mszę świętą, od której jarmark się rozpoczynał.

Dzień zapowiadał się gorący i sposobniejsza byłaby płótnianka niż sukmana, a i buciska ciążyły panu Maciejowi, wszelako nie godziło się iść do kościoła i na jarmark bez uroczystego stroju.

Węższą groblą wiodącą od Zamczyska wyszli na drugą, szerszą, która prowadziła od dworu do miasteczka poprzez most na Kalinówce.

Przystanęli na chwilę, bo pan Maciej miał jakąś sprawę do krewniaka, który tam się uwijał pobierając mostowe za pojazdy i za stworzenia dostarczane na targowisko.

Ci, co przyjeżdżali na jarmark do Skierbieszowa od strony Zamościa, płacili myto przy bramie, bo nie potrzebowali przejeżdżać nad rzeką. Wszelako inni, co ciągnęli od Hrubieszowa na Grabowiec lub na Wojsławice, a także ci, co od strony Chełma lub Krasnegostawu jechali, musieli opłacić mostowe, żeby było za co i most, i drogi naprawiać.

Jarmark w Skierbieszowie cieszył się niejaką sławą. Sunęły więc wozy, małe biedki i wielkie bryki, poręczne kałamaszki i wygodne kolaski, pędzono bydło i stada gęsi. Gospodynie wiozły wieprzki powiązane na dnie woza, a prosiaki w klatkach z deszczulek, gdzie kwiczały żałośliwie cienkimi głoskami. Kto miał na sprzedaż odchowanego już nieco podświnka, ten wiódł go na postronku uwiązany u tylnej nogi. Piesi szli skrajem grobli, pilnując się, aby dyszel ich nie uderzył, aby orczyk lub oś mijającego wozu nie zaczepiły ich i nie zepchnęły z grobli.

Wszystko to przesuwało się przez most w gwarze rozmów i pokrzykiwań, w ryku, kwiku i gęganiu, w obłoku pyłu, który z oddali podobny był do białej gąsienicy pełzającej gościńcem.

Kuba słuchał, jak żyd w chałacie targował się o mostowe za kozę, którą wiódł na postronku.

Pobieramy mostowe więcej niż sto lat, a wyście też już nieraz szli przez nasz most gorączkował się poborca --- i do tej pory nie możecie zapamiętać, że za chudobę się płaci?

- Nu, co sze pan gniewa - uspokajał go Żyd ja nie jestem bogaty kupiec, ja nie mogę tyle płacić, koza to nie wół.

Za wołu zapłacilibyście całego szeląga. Tu nie sklepik, nie ma targowania, na wszystko jest taksa. Przecież mostowe biorę nie dla siebie. Jakbym komu opuścił, to bym dołożyć ze swego musiał.

Ale Żyd jeszcze próbował się targować, choć inni ponaglali, bo sami chcieli prędzej zapłacić i przedostać się za most. Pan Maciej machnął wreszcie ręką i powiedział:

Chodźcie, bo później nie dostaniemy się do kościoła.

Poszli więc ku kościołowi. Wcisnęli się jakoś, ale za nimi wciąż dopychali się nowi, toteż ścisk i zaduch zrobił się gęsty. Z głównego ołtarza patrzyła na nich poważna twarz malowanej przed wiekami na desce Matki Boskiej, którą zdobiła korona i srebrna sukienka. Ale najokazalej przybrano w tym dniu boczny ołtarz, gdzie stał posąg świętego Kiliana, wyrzeźnany w drzewie przez krakowskiego snycerza i pomalowany pięknie.

Przeto wzywam was i błagam, parafianie moi, abyście zarzucili wreszcie ten obyczaj krwawych porachunków w dniu ósmego lipca, któren to obyczaj obmierzły jest i szatański! wołał ksiądz Pieszko z kazalnicy.

Kuba rozglądał się ukradkiem, czy nie dostrzeże gdzie Michałka, ale go nie było. Proboszcz to pochylał siwą głowę, to podnosił ją ku sklepieniu, ręce składał i rozkładał, twarz mu się rozogniła i kazał dalej:

Co roku proszę was i zaklinam, a wy wciąż swoje. Wszystkie żale i pretensje, jakie kto zgromadzi w swoim sercu do rodaków przez cały rok, na ósmego lipca zrachowuje niby lichwiarz ludzkie długi i na jarmarku szuka odwetu. Łońskiego roku woźny w tym dniu obwołał dwa trupy, a co ran, co sińców, co podrapań, tego by na wołowej skórze nie spisać. Powiadam wam, że jak mnie ksiądz biskup naznaczył do waszej parafii, to mnie chełmianie ostrzegali: „Niech ksiądz dobrodzieja Pan Bóg ma w swojej opiece”, mówili, „bo cała skierbieszowska okolica to potomkowie banitów ze wszystkich stanów, szlachty i chłopów, polskich i ruskich. Zamiast takiego skazać na gardło, to go za karę osadzano w skierbieszowskiej puszczy, żeby ją karczował, bo w te ostępy, w te góry i jary ludzie po dobrej woli iść nie chcieli”. A teraz, kiedy Bóg pobłogosławił waszej pracy, kiedyście się przekonali, jaka pod tą puszczą jest ziemia piękna i urodzajna, jaka w borach obfitość jagód, orzechów, buczyny, grzybów, miodu i zwierza, jakie tu dzieci dorodne się rodzą, teraz chcecie ściągnąć na siebie gniew boży, żeby wam rola opustoszała i zarosła cierniem od wojen i morowego powietrza? Przecie ja, wasz pasterz, dobrze wiem, że w was i cnoty są cenne dla kraju, jako to męstwo wobec nieprzyjaciela Ojczyzny naszej miłej, choćby za nią życie położyć wypadło. Wroga więc gromić wam w potrzebie, nie brata krzywdzić! Niewiasty czulszego serca jęły pochlipywać.

Czyżeście zapomnieli – ciągnął ksiądz dalej że święty Kilian to wielki, święty biskup, co z dalekiej wyspy irlandzkiej przybył nawracać dzikich Niemców bawarskich, a tam ścięty został u stóp ołtarza na rozkaz wiarołomnej księżniczki? Was też smoki szkaradne szarpać będą jak tę księżnę morderczynię, jeżeli się nie opamiętacie, a święto męczennika Kiliana krwią pokalacie...

Dreszcz przeszedł po zebranych, a ksiądz Pieszko tak kończył:

Wszakóż nie dość pomstę odłożyć, trzeba jej zaniechać na zawsze i przebaczyć.

„To ja także mam przebaczyć”, zastanawiał się Kuba, „choć Michałko wciąż pierwszy zaczepia? Mam mu darować, a on będzie dalej siekł Krzycha i Asię po łydkach i ciskał w nich kamieniami? Mogę mu przebaczyć, zgoda, ale w pierw go zbiję. Nie ma innej rady, tylko muszę go sprać. Nie gniewaj się na mnie, święty Kilianie! Jako starszy brat muszę bronić Krzycha i Asi. Spiorę Michałka, a potem mu przebaczę i dalej mścić się nie będę”.

Tak w swoim mniemaniu zawarłszy pakt ze świętym i uspokoiwszy sumienie, Kuba starał się modlić, bo proboszcz już zszedł z kazalnicy i powrócił do głównego ołtarza. Ale myśli chłopca wciąż się rozbiegały i nie mógł ich pozbierać.

Maruszka klęczała obok niego zapatrzona w ołtarz i usta jej coś szeptały. „Pewno modli się za swojego Pietrka”, pomyślał Kuba.

Oj, ten Pietrek, ten Pietrek! Taki zgrabny do wszystkiego, taki zwinny i mocny. Pietrek Orłowski z Podwysokiego i Demko Klimczuk z Majdanu to najpierwsza młodzież w całej okolicy.

Rozejrzał się, ale nie mógł wypatrzeć Pietrka w tłumie.

Kiedy nabożeństwo się skończyło i ludzie zaczęli cisnąć się do wyjścia, Piotr od razu się znalazł. Przywitali się przed kościołem. Maruszka się zarumieniła, ale nie rozmawiali z sobą.

Rodzice też są? - dopytywał się Maciej bratanka.

Nie, bo ojciec trochę słabują, a matka nie chciała zostawiać go samego. Wyprawili mnie, żebym sprzedał miód, ojciec już trochę go podebrał. Nie za młody jeszcze?

zainteresował się pan Maciej. - Ja bo nie podbieram pierwszego miodu przed świętą Anną, a nawet później.

- Ojciec podebrał tylko z pięciu pni -- odparł Pietrek. - Lipy w tym roku kwitły wcześniej, to i pszczoły się pośpieszyły. Teraz na miód lepsza cena, bo go mało. Ojciec chce żelaza, więc mu pieniądze potrzebne.

- Żelaza mogę bratu pożyczyć powiedział pan Maciej. - Poproszę komendanta, to nie odmówi, nasz komendant jest ludzki.

Pójdę zająć się miodem, stryju rzekł Pietrek. - Nasz wóz stoi za kuźnią Bezucha, garnki z miodem wstawiłem do ich mieszkania.

- My pójdziemy kupić sito dla jejmości Harbaraszowej -- odparł pan Maciej. — Pewno się potem spotkamy gdzieś między kramami, ale jakby nie, to pamiętaj zajechać do nas w powrotnej drodze, zjesz z nami obiad i pogadamy. Harbaraszowie się nie pogniewają, dodatkowy obiad zawsze się znajdzie.

Kuba widział już kilka razy rynek skierbieszowski w dniu dorocznego jarmarku, ale nie miał nigdy dość tego widoku, pomimo że znał sklepy lwowskie, o tyle wspanialsze od jarmarcznych bud. W miejskich sklepach brakło jednak tej wesołości, tego podniecenia, tej zbiorowej zabawy. Nie było też tylu rzeczy różnorodnych naraz.

Tu na ławie leży pokrajany chleb i przy nim stoi faska z kiszonymi ogórkami, do których gruba kupcowa zaraz ci z kotła wyciągnie kawał parującej kiełbasy. W sąsiednim kramie wiszą pod płótnianym daszkiem korale i różańce. Dalej jest żydowski kramik z czapkami, obok niego szewc

porozwieszał buty. Tam znów na trawie rozmieścili swój towar garncarze, dalej bednarze, dalej stolarze, dalej kotlarze. Wszędzie uwijają się kupujący, oglądają, przymierzają, próbują, aż zabawnie na to patrzeć.

A stoiska garncarskie! Ileż tu donic, misek i miseczek polewanych rozmaicie, w kogutki, w palemki, w strumyczki, w lilijki, w ptaszki, w rybki, w pazurki. Każda ozdoba inną ma nazwę. Różne też są garnki, dzbany, kubki, dwojaki. Młodzież woli ozdobne, ale doświadczona gospodyni wie, że kwaśne mleko najsmaczniejsze jest z siwej hładyszki, nie z polewanej.

Przed kupnem wszakże należy ostukać ją knykiem ze wszystkich stron, bo jakby coś brzękło, znaczyłoby to, że garnek jest pęknięty.

Dookoła tego stoiska wciąż rozlega się gwizdanie, coś fiuka, coś cirlika na różne głosy. To dzieciarnia dmucha w gliniane kogutki. Z sąsiedniego stoiska odpowiada im świstanie i zawodzenie fujarek, których całe pęki leżą na stolnicy, białe, żółte i brązowe do wyboru. Na długich da się wygrać wszystko, na krótkich tylko pięć nutek.

Przy fujarkach leżą drewniane łyżki i koziki składane, nad nimi wiszą na kołku prawdziwe gęśliczki. Dołem stoją różnokolorowe wózeczki dla zabawy, zaprężone w drewniane koniki czerwone lub zielone.

Załatwili zakupy i przeszli dalej. Ciżba stłoczyła się obok wędrownego Szkota, który siedział przy otwartym kuferku, a miał w nim koraliki z morskich muszelek, wstążki, piankowe fajki, arkusze papieru, pańskie różańce z perłowej macicy i inne rzadkości. Jednakże kobiety oglądały z jeszcze większą oskumą towar na kramie ormiańskim, gdzie koronki, atłasy, pończochy i najdroższe materie można było kupić, lub przynajmniej nasycić nimi oczy.

Pan Maciej, Maruszka i Kuba okrążyli plac i zaszli pod kapliczkę stojącą na wzgórzu, za którym droga opadała do zwierzęcego targu, a potem mijając cmentarz biegła ku Zamościowi.

Kuba miałby ochotę zejść na targowisko i obejrzeć konie. Każdego oprowadzano przed kupującymi, starając się pokazać jego zalety, wady zaś ukryć. Widać było z góry rotmistrza Bolestraszyckiego na targowisku - gdzież by mógł być, jak nie przy koniach?

Pod figurą rozsiadł się lirnik w płótniance i łapciach z łyka. Jedną ręką kręcił korbę, palcami drugiej przebierał po strunach wtórując pieśni. Śpiewał o Dnieprze, o Tatarach, o Kozakach, czasem z ruska zaciągając. Dokoła słuchała gromadka ludzi. Kuba trącił z lekka pana Macieja w łokieć i szepnął:

Ten lirnik to niby ślepy, a przed chwilą tak łypnął okiem w naszą stronę, jakby nas widział doskonale.

Może i widzi odparł pan Maciej. Niejeden żebrak udaje kalekę, żeby się nad nim ludzie litowali. Ponoć Chmielnicki ma pośród nich sporo szpiegów i werbowników.

Jaka szkoda, że matka nie przyszła z nami - powiedziała Maruszka, która przyglądała się nie lirnikowi, lecz płachcie rozłożonej w cieniu na trawie.

Leżały na płachcie kupki suszonych ziół. Zielarka, nie mniej wysuszona niż te liście, korzonki i kwiatuszki, zachwalała ich skuteczność na wszelakie choroby, przeplatając swą opowieść zdrowaśkami.

Kupujcie kurze ziele i korzeń kornakowy od moru, niech idzie za góry, za lasy i na wieczne czasy. Pijcie goryczkę i nagietek, jak się wam wątroba przewraca, moczcie w winie korzeń dzięgielowy na wszystkie choroby, Zdrowaś Maryja, łaskiś pełna... Kupujcie kadzidło z ruty i rybiej żółci przeciwko złemu oku i czarom wszelakim, kupujcie, dobrzy ludzie, kupujcie...

Wtem tłum zgromadzony dokoła lirnika poruszył się, zabrzmiały okrzyki:

Czego się pchasz? Rozbójnik! Nie był to jednakże rozbójnik, tylko dragon z załogi Zamczyska. Błądy i spotniały torował sobie łokciami drogę do pana Macieja, a gdy stanął przed nim, zaczął wołać:

Chodźcie, chodźcie prędko, bratanka wam ubili! Nieszczęście... Puszczajcie nas, ludzie, bo tam człowiek skona od ran!

Wydostali się z ciżby i biegli za żołnierzem naokoło, byle ominąć tłum, Maruszka z Kubą na przodzie, kował za nimi, aż nad Kalinówkę, gdzie kuźnia Bezucha. Obok niej, pod wierzbą, zebrała się gromadka ludzi.

Pietrek! — krzyknęła Maruszka i upadła na kolana obok nieprzytomnego.

Leżał na trawie, miał koszulę we krwi i skrwawione, mokre włosy, które ktoś widać polewał próbując cucić. Położono mu pod głowę zwiniętą kapotę.

My go tu w cień przenieśliśmy... tłumaczyła Bezuchowa i otarła oczy fartuchem

bali my się dźwignąć dalej, żeby na rękę nie zmarł.

Gdzie kończył się cień wierzby, leżał rozbity garnek. Miód wyciekł z niego na ziemię i uwijały się tam osy.

Maruszka zerwała z głowy świeżo upraną chusteczkę i wsunęła na pierś rannego, pod koszulę. Pietrek jęknął.

Żyw! - krzyknął pan Maciej. - Wymoście wóz, dobrzy ludzie! Zabiorę Piotra do siebie na Zamczysko, komendant Kuropatwa zna się na ranach. Na Podwysokie za daleko.

Kuba skinął na swego przyjaciela, Józka Bezucha. Schowali się za węglem i szeptali.

To Osełka tak go urządził?

Osełka. Ja rąbałem drwa na podwórzu, a Pietrek Orłowski wziął garnek z miodem i wyszedł przez wrota, miał zanieść miód na rynek. Pietrek skręcił w lewo, jużem go potem nie widział zza płotu. Ale usłyszałem krzyk, coś się zakotłowało. Wybiegłem, patrzę: Pietrek leży na ziemi, już go widać. Osełka zdążył dźgnąć nożem. Był z nim drugi, ten zamachnął się siekierą, ale w tej samej chwili wybiegł na drogę mój ojciec i jeszcze jeden sąsiad, więc tamten nastraszył się świadków, porzucił siekierę i w nogi.

Kto to był, ten drugi? Nie wiem, twarzy nie widziałem. Masz jego siekierę? Leży koło drewni.

To ją schowaj. Może dojdziemy po siekierze, kto ją przyniósł.

Bezuch z Maciejem ostrożnie dźwignęli rannego, Maruszka podtrzymała mu głowę i ułożyli go na wozie. Piotr wciąż był nieprzytomny, chwilami jęczał.

Mieli właśnie wyjechać z podwórza, kiedy przez wrota wkroczył woźny Kuryło ze swą szlachecką asystą: gapiowato uśmiechniętym Łeśkiem Pieczymuchą i chudym Mikołajem Chłopeckim.

Komu tutaj gwałt uczyniono? - spytał urzędowym głosem.

Wyglądał nader godnie w kurcie, z połami podpiętymi na guzy. U lewego boku zawiesił szablę i kaganiec, zaś u prawego torbę z sarniej skóry, w ręce dzierżył mocną pałkę. Od razu można było w nim poznać urzędową personę.

Komu gwałt uczyniono? powtórzył zapytanie, ponieważ obecni krzatali się koło rannego i nie odpowiedzieli mu od razu.

Bezuch, który był świadkiem zamachu, wytłumaczył, jak się sprawa miała.

Kuryło szedł przed wozem, a po bokach Chłopecki z Pieczymuchą, wszyscy trzej wzywali tłum do rozstąpienia się.

Tak przebyli szczęśliwie rynek i mieli skręcić w lewo przed kościołem, kiedy nagle ze stojącej obok kolaski rozległ się okrzyk kobiecy: - Trzymać woźnego! Dawać go tu!

Kilku pachołków uzbrojonych w kije rzuciło się ku woźnemu, chwyciło go za ramiona i powlokło ku kolasce. Pieczymucha z Chłopeckim próbowali go bronić, jednakże wnet odstąpili, widząc groźną postawę dworskich pachołków.

Kuba chciał zeskoczyć z woza na pomoc Kuryło, ale pan Maciej, który furmanił, przytrzymał go za rękaw i rzekł:

- Poniechaj, nie dasz rady, a tylko oberwiesz. To żona imć pana Mokosieja.

Wystrojona jejmość z wypiekami gniewu na policzkach stanęła tymczasem w kolasce i wołała:

Jak śmiesz, ty chudopachołku, ty chamski synu, przeciwko jaśnie wielmożnemu panu Nietyxie, bratu memu, jakoweś paszkwile proklamować i dyshonor mu czynić od Oźgi, którego infamizem winien być ogłoszony? Przyznaj się, ileś wziął w tę swoją gnojem umazaną łapę za takową przysługę. Myślisz, że woźny coś znaczy dla mnie? Ja i ciebie do lochu wsadzę, i całą waszą radę miejską rozpędzę na cztery wiatry, przekonasz się!

Obok rozindyczonej pani siedział w kolasce niemłody, dość gruby szlachcic, który daremnie próbował umitygować krewką niewiastę. Ciągnął ją za fałdy obfitej spódnicy i błagał:

Usiądź, jejmość, tak nie można, moja duszko, bo cię krew zaleje i nie daj Boże gniew uderzy ci do głowy. Jak się uspokoisz, to zawołasz go do dworu, wyperswadujesz...

- Co ja mu mam do perswadowania, temu piskorzowi? Kijem go należy wygarbować, a nie w perswazie się wdawać! Eee, puśćże mnie jegomość, bo ludzie patrzą.

Jedźmy, panie Macieju - prosiła Maruszka. Ruszyli ostrożnie dalej, starając się, żeby wóz nie trząśł rannego, szczególnie na grobli.

W fortalicji wszczęło się larum. Kto nie poszedł na jarmark, ten śpieszył przed mieszkanie kowala, który z pomocą Harbaraszów bratanka na swoim łóżku ułożył.

Zebrani przed kuźnią wypytywali o zajście. Kuba im opowiadał. Niebawem zjawił się komendant, pan Kuropatwa, i wyprosiwszy kobiety jął badać rannego.

Obejrząwszy ranę starannie, powiedział, że nie jest groźna, bo nóż na szczęście ześliznął się po żebrach. Tylko głowa mocno potłuczona.

Pietrek otworzył oczy i poprosił pić.

ROZDZIAŁ III

HAJŻE, NA BORSUKA

Mijał tydzień za tygodniem, a rana Piotra Orłowskiego nie goiła się. Jego rodzice raz po raz przychodzili w odwiedziny, szczególnie matka, i biadali, że Pietrek mizernieje. Harbaraszowa zapewniała, że obie z Maruszką starają się jak mogą i wciąż mu coś do jedzenia podają, cóż kiedy Piotr stracił całkiem smak do jadła. Jak skubnie trochę jajecznicy

mówiła to najwyżej z pięciu jaj i już więcej nie może.

Orłowska za każdą bytnością przynosiła z Podwysokiego coś, co syn lubił: to pieróg nadziany soczewicą z pieprzem, to pieczone kwiczoły, to kawał szynki z dzika uwędzonej w jałowcowym dymie. Tłumaczyła przy tym pani Halszce:

Niech się imość nie obraża, proszę, bardzo proszę! Jakżeż matka może przyjść do chorego syna z próżnymi rękami?

Harbaraszowa czuła się istotnie trochę urażona, bo ktoś mógłby pomyśleć, że ona choremu skąpi jadła albo nie dba o niego. Ale nie pokazywała tego po sobie. Maruszka wyczuła tę zadrę, więc kiedyś powiedziała:

Mamo, czy to nie wszystko jedno, kto Pietrkowi jadła nawarzył, byle on je zjadł?

- Pewnie, pewnie - zgodziła się pani Halszka, ale nie wydawała się przekonana.

Jedno tylko Pietrek był gotów jeść w każdej ilości, # mianowicie poziomki ze śmietaną. Że zaś obrodziły tego roku na podziw, więc Maruszka zwerbowała całą bandę dzieciaków, które na zmianę zbierały poziomki po lesie.

Zrobiłabym ci pierogi z jagodami mówiła ale w skierbieszowskich lasach czernice nie rosną.

Bo u nas ziemia ciężka, gliniasta, a one wolą piaski - odrzekł Piotr. Ale gdzie to Kuba się podziwewa, że go teraz prawie w domu nie widać?

-- Sama nie wiem, co za mucha go ukąsiła, że ani chwili nie usiedzi na Zamczysku, chyba że go ojciec zatrzyma do pomocy. To leci groblą do miasteczka, to czółnem się gdzieś wyprawia. Jak go pytam, dokąd, wykręca się sianem.

Kuba istotnie przepadał, nie on jeden zresztą. Dla wykonania pewnego planu zebrał dziesięciu przyjaciół, on zaś był jedenasty. Spotykali się na Łopianówce. Chłopcy nazwali Łopianówką zapadły kąt wąwozu oddzielającego dworski ogród owocowy od wsi Sady. Rosły tam łopiany, pośród których można było się schować.

Zaledwie Kuba zjadł kwaśne mleko z kaszą tatarczaną na wieczerzę, natychmiast wyszedł znowu.

Żebyś mi późno nie wracał! zawołał za nim ojciec. – Na jutro szykuje się kupa roboty, musisz wcześniej wstać.

Za Kubą wyśliznął się Krzych. Dogonił brata nad rzeką i zaczął prosić:

Weź mnie z sobą, Kuba!

Nie mogę cię wziąć odpowiedział tamten. Wracaj do domu.

Krzych westchnął. Stał nad wodą i patrzył, jak Kuba płynie ku Sadom wiosłując „na pycha”. Czólno małało, małało, wreszcie znikło w szuwarach.

Spłoszone stadko cyranek zerwało się z furkotem, Nie odleciały daleko, zaraz opadły znów na wodę. W Łopianówce czekał na Kubę Józek Bezuch.

Wiesz, Józek - powiedział Kuba – Pietrek Orłowski już wstał i próbował chodzić po obejściu, ale słaby jeszcze. Rana się nie goi.

Czekaj, toż to niedługo będzie miesiąc, jak go te hultaje poraniły – zastanawiał się Józek. — Jednego sąd jeszcze nie pokarał, a o drugim nie wiadomo nawet, co zasz.

Poschodzili się inni chłopcy, więc omówiono parę spraw, potem Kuba powiedział:

Słuchajcie, chłopaki. Jedni z was mieszkają na Sadach, inni w Skierbieszowie i w Zawodzie, a Kisielińscy aż na Bryczówce. Lecę po którego na koniec świata, a jego akurat nie ma w domu.

- Bo jest wciąż robota - usprawiedliwiał ich Pierożek. – Dziś ledwo zdążyłem, bo ojciec zatrzymał mnie we młynie. A brat robił w polu, przebił nogę na ścierniu i nie mógł przyjść.

Ja też muszę pomagać tacie, nie mogę być wam cały dzień na posyłki

tłumaczył Kuba. — Trzeba mi kogo do pomocy. Po co? ozwał się Tomek Putkowski.

Jest na to sposób.

Jaki sposób?

Przywiąż jaką szmatę do kija, będziesz wywieszał chorągiew na tej dużej wierzbie, co stoi koło grobli od Zamczyska. Będziemy wyglądać. Jak wisi, to lecimy wieczorem na Łopianówkę.

Dobry pomysł - powiedział Kuba z uznaniem. - Spryciarz z ciebie. Ja bym to jeszcze trochę zmienił: jeżeli kij z chorągwią sterczy do góry, to znaczy, że zbieramy się wieczorem na Łopianówce, ale jeżeli wisi w dół, to sprawa jest pilna i macie natychmiast meldować się do mnie na Zamczysko. Zgoda?

Wszystkim się ten pomysł podobał, tylko Witek Kisieliński zwany Pierożkiem nie był zadowolony.

- Od nas z Bryczówki nie będzie widać waszej wierzby - tłumaczył.

- Z Zawody też nie. Trzeba by lecieć co dzień kawał świata, żeby wypatrzeć.

To się umówicie jedni z drugimi. Ze Skierbieszowa po kładce nie jest daleko na Zawodę, a znów z Zawody blisko na Bryczówkę. Więc umówcie się, kto komu da znać, jak wywieszę chorągiewkę na wierzbie.

Zgodzili się, że tak będzie dobrze i na tym zebranie się skończyło.

Kiedy Kuba wylądował na Zamczysku, od razu obejrzał wierzbę, żeby wybrać odpowiednią gałąź dla przywiązywania kija. Potem spróbował wdrapać się na wierzbę. Nie było to łatwe, bo pierwsze gałęzie miała wysoko. Ale się udało.

„Zdałby się śliwka na chorążego”, pomyślał Kuba. Nikt nie łąził po drzewach tak zręcznie jak Antek Kornega zwany Sliwką.

Kuba poszedł ku domowi. Po drodze podbiegł do niego ich pies, Kurta, witał go, doskakiwał mu do ręki, lizał ją i czekał z radości.

W domu Kuba zastał woźnego Kuryłę, którego matka częstowała żurem. Rozmawiali o Pietrku.

Bo ja mówię, że jemu trzeba na ranę borsuczego sadła. Od borsuczego sadła w mig by mu się rana zagoiła.

Gdzie go teraz wziąć? Borsuki dopiero na zimę nabierają sadła ozwała się Maruszka. Wiem o tym, bo komendant Kuropatwa też radził borsucze sadło. Chodziłam po całym Skierbieszowie i szukałam, ale nigdzie nie znalazłam.

- A ja wam powiadam, że byle tylko upolować borsuka, to by się już na nim trochę sadła znalazło - upierał się Kuryło. - Toć to nie maj, tylko połowa lata. Pewno, że nie byłby to jeszcze taki wieprzek jak później, pod zimę, ale na ranę wiele tego sadła nie potrzeba.

Są borsuki na Górnisz, ja wiem powiedział Kuba. – Pamiętacie, gdzie kamień wylupują wapiennicy, koło drogi na Lipinę? Za kamieniołomem jest debra, nad debrą nora borsuka. Wypatrzyłem ją jeszcze tamtego roku, jak chodziliśmy na orzechy. Borsuk podobno wychodzi na żer wieczorem, kiedy się ściemni, wtedy można go zdybać.

Nigdy nie widziałem, jak się poluje na borsuka powiedział Harbarasz. - Ale wiem, że skóra z niego jest wyśmienita, chociaż włos ma taki twardy, że pędzle z niego wyrabiają. Torba uszyta z borsuczej skóry razem z włosiem nie zużyje się, choćbyś ją nosił całe życie. Ładownice też bywają z niej przednie.

Na borsuka najlepiej jest polować z psem wyjaśniał Kuryło. – Pies musi być specjalny, przyuczony do tego, żeby laź do nory i żeby dał sobie tam radę. Borsuk jest twardy i cięty.

Może nasz Kurta by potrafił? zastanawiał się Kuba. Kuryło pokiwał głową z powątpiewaniem.

Nie próbowaliście go, więc nic nie wiadomo na pewno. Ale nie myślę, żeby się nadał, bo jest za duży i nogi ma za długie. Pies do polowania po norach powinien być więcej zwięzły i przysadzisty. Wiecie co? Jest na Lipinie jeden Rusin, wołają go Ilko. Stary już, ma bez mała sto lat. Ale szkaradnie zawzięty na borsuki. Ilko zawsze ma takiego psa, jakiego wam trzeba. Jak mu jeden zdechnie, zaraz układa sobie drugiego.

Pies sam nie będzie chciał polować, chyba że ze swoim panem - zauważył Kuba.

- Pewnie, ale co wam szkodzi zabrać z sobą Ilkę? Zna się na tym jak nikt, przy nim borsuk pewny. Ilko nic za to nie weźmie, on tak tylko, z amatorstwa. Najwyżej gorzałką go poczęstujecie i chlebem z wędzonką.

A zajdzie to sam z Lipiny na Górnice, kiedy taki stary? zastanawiała się pani Halszka.

- Co by nie miał zająć! On w tych swoich łapciach znalazłby jeszcze powolutku nawet do samego Lublina. Zresztą możecie go podwieźć, chociaż z Lipiny na Górniczą bliżutko.

Krzych, który przysłuchiwał się rozmowie z takim przejęciem, że mu czarne oczka biegały od jednego do drugiego, odważył się na pytanie:

Alboż to nam wolno polować na borsuka? Bo Pietrek opowiadał, że jak jeden kmić, nie pamiętam już gdzie, zabił żubra, to go wsadzili za to do lochu. Więc Kuryło zaczął malcowi wyklądać:

Wierę, bo chodziło o żubra. Są, widzisz, różne łowy, małe i wielkie. Małe łowy, to kiedy się poluje na ptactwo albo na drobne zwierzęta, jako są wiewiórki, lisy, wydry, zające, sarny. Chłopom na nie polować niby nie wolno, ale jak się panu czymś odpłaca, to pan zezwoli. Tylko kłusownicy nie dbają o niczyje pozwolenie, toteż ich karzą. Wielkie łowy są wtedy, kiedy się poluje na grubego zwierza, jako są dziki, niedźwiedzie czy wilki. Na taką zwierzynę wolno polować tylko panom, chłop żaden nie dostanie zezwolenia, chyba sołtys poniekiedy. Jeszcze ważniejsze są łowy królewskie. Król zastrzegł sobie, że tylko jemu wolno polować na tury, żubry i bobry, bo to są bestie szlachetne a rzadkie. Więc się nie dziw, że tamtego kmięcia wsadzili do lochu, kiedy się poważył zabić żubra, bo przez to obraził samego króla.

A borsuk? Komu wolno polować na borsuka?

Nie wiem dokumentnie, do których łowów borsuk się dołącza, ale po mojemu to do małych. Bo on nie jest ani duży, ani bardzo rzadki. Byłoby jeszcze więcej borsuków na świecie, gdyby nie ów smalec, na który wszyscy są łasi, bo pomaga na różne choroby.

No to zapolujemy na borsuka! zawołał Kuba. Krzych przysunął się do niego, trącił go w łokieć ostrożnie i szepnął:

Zabierzecie mnie? Kuba popatrzył na niego, uśmiechnął się i odparł cicho:

Poproszę matkę za tobą. Dosłyszała tę rozmowę Asia, o trzy lata starsza od Krzycha i taka sprytna, że nic nie uchodziło jej uwagi. Popatrzyła na młodszego brata, wydeła wargi i powiedziała:

Idź na polowanie, idź! Ciekawa jestem, co zrobisz, jak będą tego borsuka zabijać! Jak Kurta zagryzł szczura, to cię zemdliło. A jak zarzynają kurę, to uciekasz. Zresztą ja też, nie cierpię tego. Wydaje mi się, że już nigdy nie zjem kury.

A potem zjadasz, aż ci się uszy trzęsą i prosisz: „mamo, jeszcze...”. Takie masz czułe serce żartował Kuba.

Też myśliwy się znalazł! odcięła się Asia. Z łuku do dyni nie trafi, za to najlepiej ze wszystkich poluje na muchy.

Trafiła Kubę w czułe miejsce, nosił on bowiem zadrę w sercu od dnia zawodów łuczniczych. Został wówczas pobity przez Michałka Turzańkiego, owego syna wachmistrza, z którym miał i tak niejedno na pieńku. Odtąd pilnie ćwiczył się w strzelaniu z łuku, ale czynił to w tajemnicy przed wszystkimi, ukrywając łuk w dziupli spróchniałej wierzby. Zabierał go na łódkę i odpłynawszy za Sady strzelał pod lasem, gdzie nikt nie widział. Był pewien, że już teraz Michałko by go nie pobił, ale chciał stać się prawdziwym mistrzem, zanim znów zgłosi się na zawody.

Co do polowania na muchy, to Asia miała na myśli placki do bicia much, które Kuba wyrabiał na tuziny z odpadków skóry przymocowanych do patyków, a później wymieniał na haczyki do wędki, na orzechy, na wiśnie, albo zgoła na kości dla Kurty.

Przytyk Asi trafił więc celnie. Kuba udał jednakże, iż go nie dosłyszał i wdał się z woźnym w poważną rozmowę dotyczącą sposobów polowania na borsuka.

Trzeba nasłuchiwać pilnie, w którą stronę borsuk się cofa, co poznasz po szczekaniu psa pod ziemią. Nora borsuka miewa niejedno wyjście. Kiedy myśliwy odgadnie, którędy zwierz ma wyjść, to się tam zasadza po cichu i łapie go, gdy borsuk wylezie spod ziemi.

A pies? - Pies wylezie później też. Czasem jest srodze pocięty i całą mordę ma pokiereszowaną, osobliwie nos. Ale psy norniki okrutnie lubią te polowania. Chociażby je borsuk pogryzł, one tym więcej się robią zajadłe i tak się rwą do nory, że niejednego utrzymać trudno, zanim myśliwy wybierze, którym włazem go wpuścić.

Kuba przypomniał sobie, co mówiono o Kurylu, że zanim został woźnym, żaden kłusownik nie był nad niego zręczniejszy, chyba tylko sławny Osuch. Ale Osuch to był zbój, nie tylko kłusownik.

Tak czy owak, jedno było pewne, to że Kuryło znał się na myślistwie.

Kuba miał małą własną strzelbę, którą ojciec mu podarował. Była to lekka ptaszarka, ale jak się ją nabiło grubszym śrutem albo siekańcem i dobrze prochu podsypało, mogła być niebezpieczna i dla nieco większego zwierza, a nawet dla człowieka.

Toteż Harbarasz nie powierzył jej synowi, póki się nie przekonał, że chłopak potrafi ostrożnie obchodzić się z bronią. Pod tym względem zawdzięczał on wiele rotmistrzowi, który polubił Kubę i uczył go nie tylko prawidłowego strzelania, ale również ostrożności i utrzymywania broni w porządku. Bo to, widzisz - mawiał

prawdziwego strzelca poznasz nie tylko po tym, czy celnie trafia, ale jeszcze lepiej ocenisz go po tym, jak broń nosi, gdy z nią idzie, stoi czy jedzie, a także jakie koło niej ma staranie. Bywa taki, co broń niesie pod pachą, a lufę ma wycelowaną przed siebie, nie zaś w ziemię. Wystarczy, żeby się potknął albo potrafił kurek niechący i gotowe nieszczęście, może zabić człowieka. Zapamiętaj sobie na całe życie, że najwięcej wypadków zdarza się z nie nabitą bronią, to znaczy z taką, o której ktoś myślał, że jest nie nabita.

Wiele podobnych nauk dawał rotmistrz Kubie. Ale nie gderał ani się nie wyśmiewał, jeżeli coś się Kubie nie udało.

Pewnego razu a było to wiele lat wcześniej, na samym początku nauki strzelania - Kuba przy strzale zapomniał mocno przycisnąć swoją strzelbę do ramienia, a ona palnąwszy tak go kopnęła, że aż łzy mu się w oczach zakręciły i policzek mu spuchł. Rotmistrz nic, tylko rzekł poważnie:

Na dzisiaj dosyć. Teraz będziesz wiedział, jak masz się składać do strzału.

ROZDZIAŁ IV

TAJEMNICZY WŁAZ

Polowanie na borsuka odbyło się w dwa dni później.

Dzień był skwarny, na polach uwijali się żeńcy, ale raz po raz ktoś podnosił oczy ku niebu, wypatrując, czy nie nadciąga burza. Jaskółki kołowały tak nisko, jakby chciały piersią zamieść kurz na drodze. Drzewa stały nieruchomo, tylko czasem liśćmi wstrząsał nagły dreszcz.

Powtarzano sobie z ust do ust trwoźne wieści, chociaż nikt nie wiedział, o co właściwie chodzi. Symcho, Żyd arendarz, miał widać swoje wiadomości, bo w południe zamknął karczmę i poszedł do dworu na naradę. Karczma nie była jego własna, tylko dzierżawiona tak samo jak folwark.

Kiedy wyszedł na górę, pytał u wrót nie tyle o pana dzierżawcę, ile o panią dzierżawczynię, bowiem wiadomo było każdemu, że jeśli pan Achacy Mokosiej jest głową rodziny, to pani Pudencjana Mokosiejowa, z domu Nietyxianka, jest szyją, która głową obraca.

O czym Symcho rozmawiał z Mokosiejami, nikt poza nimi nie wiedział.

W Zamczysku też jakby burza wisiała w powietrzu. Komendant długo konferował na osobności z rotmistrzem, po czym rotmistrz kazał osiodłać konia i gdzieś śpiesznie wyjechał.

Tymczasem pod wieczór woźny Kuryło, Maciej Orłowski i Kuba załadowali się na wóz. Na wszelki wypadek Kuryło zabrał muszkiet, a Kuba swoją ptaszniczkę, choć wiadano, że do borsuka strzelać nie należy, żeby mu skóry nie poharatać. Ale w lesie nie wiadomo nigdy, co się może zdarzyć.

Droga była pylna, a gdy zjechali z góry nad łąki i pociągnęli skrajem lasu w kierunku Lipiny, rzuciła się na nich chmara gzów i jęły tak ciąć konie po karkach i po łopatkach, że biedne zwierzęta byłyby chyba poszalały, gdyby pan Maciej nie zerwał gałęzi i nie zaczął nią tłuc i odpędzać gzów. Jadący na wozie też musieli bronić się przed bolesnymi ukąszeniami.

Za kamieniołomem czekał już stary, brodaty Ilko ? synem Hawryłą i z psem. Pies nazywał się Łatka, był mały, biało-czarny, z zakręconym ogonem i sprytną mordką.

Kuryło i Kuba zleźli z woza, Kuba chciał prowadzić do nory borsuczej, lecz okazało się, że Ilko wie o niej i ruszył już przodem z Łatką. Stary objął komendę jako coś, co rozumie się samo przez się.

Gdy niezadługo znaleźli się na miejscu, Ilko skinieniem ręki zatrzymał wszystkich, a sam odszedł kilkanaście kroków, skulił się i badał jak najstaranniej wejścia do nory. Potem zbliżył się do pozostałych i półgłosem rozkazał Hawryle:

Dawaj sobakę! Skąd Ilko wiedział, że borsuk jest w norze? Na jakiej podstawie wybrał ten, a nie inny właz? Nie powiedział tego nikomu.

Pies wyrywał się co sił. Zaledwie Hawryło spuścił go z postronka, Łatka znikł w jamie.

Ilko ukląkł o parę kroków dalej jak do modlitwy i może istotnie westchnął o pomoc w łowach, po czym zaraz wyciągnął się na mchu i przyłożył ucho do ziemi.

Minęło kilka chwil. Obecni nie słyszeli nic jeszcze, kiedy Ilko zerwał się na nogi jednym zrywem jak młodzik, łzy pociekły mu po policzkach, on zaś wznosząc ramiona ku niebu jął wołać ze szlochaniem:

Bresze sobaczka, bresze! Lecz uniesienie trwało zaledwie chwilę. Ilko zaraz opuścił ramiona, padł na ziemię i przyłożywszy znów do niej ucho nasłuchiwał. Teraz jednak coraz to czołgał się nieco dalej, piędź za piędzią, w miarę jak pod ziemią przesuwał się pies napastujący borsuka.

Hawryło z woźnym wiedzieli, jaka przypada im rola. Każdy z nich trzymał jeden z końców grubego sznura, pośrodku którego znajdowała się zaciągana pętla.

Rozstawili się cicho po obu stronach wylotu, który wskazał im Ilko, i czekali.

Czas mijał. Kubie trudno było zachować spokój.

Wtem z jamki wysunął się ryjek, potem cały podłużnie pręgowany, szaro-czarny łebek. Zanim borsuk zdążył wyleźć, już woźny z Hawryłą zarzucili mu pętlę na szyję, wywlekli i tak przytrzymali go we dwóch między sobą.

Sznur był wciąż nieco wyprężony, aby borsuk nie mógł go przegryźć.

- Wiąż! - zawołał Kuryło.

Kuba przyskoczył od tyłu i związał tylne nogi borsuka, który rzucił się rozpaczliwie, ale nie mógł ani odwrócić się, ani gryźć, ponieważ łeb jego tkwił w pętli.

Kubie było bardzo żal borsuka. Czuł, że nie potrafiłby go związać, gdyby mu nie chodziło o Pietrka.

Nie chciał patrzeć na to, co będzie się teraz działo. Poprosił pana Macieja, żeby huknął na niego, gdy będą mieli wracać i poszedł głębiej w las.

Nie umiał później zdać sobie sprawy, jak to się stało, że zszedł wówczas w głąb jaru. A jednak gdyby nie był tam zszedł, nie wpadłby na trop tajemnicy, od której zależało tak wiele.

Już tego samego wieczora zaczęto choremu przykładać do rany szmatki maczane w łożu borsuczym.

Wieczór nie był spokojny. Zaledwie słońce zaszło, rozpętała się burza. Pioruny biły, coś zapaliło się widać za łąwcem, bo niebo w tamtej stronie zapłonęło łuną, która przeglądała się w wodzie.

Potem deszcz zaczął sieć okrutny. Łuna przygasła, ulewa z wichrem szumiła tak, jakby miała pozrywać dachy i powyłamywać drzwi i okna.

Okolo północy zapanował wreszcie spokój.

Rotmistrz wrócił dopiero o szarym świcie, widać musiał gdzieś przeczekać burzę.

Gdy zatrąbiono ranną pobudkę, niebawem żołnierze człapiąc po błocie i ziewając, zaczęli zmierzać jeden po drugim ku stajniom dla obrzędzania koni. Kuba wyszedł także.

Zwykle o tej porze jeszcze spał, a jeśli czasami zbudziła go pobudka, przeciągał się i błogo pogrązał znowu we śnie.

Tym razem jednak zerwał się z posłania i po chwili już był na podwórzu. Myślał i myślał o swoim odkryciu. Wyobrażał sobie, co powiedzą chłopcy.

Rozglądał się za Bolestraszyckim, ale nigdzie go nie było.

Burza bardzo ochłodziła powietrze. Kubie zrobiło się zimno. Zszedł nad jezioro, ale mgła leżała na nim tak gęsta, że już o kilka kroków nic nie widział.

Wrócił na podwórze. Przechodził obok drzwi wiodących do izby komendanta, gdy drzwi te otworzyły się i wyrzwał rotmistrz.

Co ty tu robisz? zapytał.

Ja nic... tak sobie przechodziłem. Czemu już nie śpisz?

Obudziłem się i nie mogłem na nowo zasnąć. Czy coś złego się stało, panie rotmistrzu? Bolestraszycki popatrzył na chłopca i rzekł:

A no, chodź do mnie, to się dowiesz, Kuba poszedł za rotmistrzem do jego izby. Zanim przestąpili jej próg, Bolestraszycki starannie oskrobał patykiem błoto z butów. Kuba obtarł boscie nogi w słomie, którą ktoś rozrzucił po ubitej z gliny podłodze sieni.

Izba była prawdziwie żołnierska: wąski tapczan zarzucony kilimkiem, nad łóżkiem ryngraf z Matką Boską, pod oknem niewielki stół i przy nim dwa stołki, na trzecim stołku miednica i przy niej na podłodze z tarcic dzban z wodą, zaś obok tej umywalni skrzynia. Nie było ani firanek w oknach, ani dywanika.

- Siadaj! – powiedział rotmistrz wskazując stołek.

Kuba usiadł. Nie pytał o nic, tylko czekał, aż rotmistrz sam zechce mówić. Czuł się trochę jak żołnierz. Bolestraszycki usiadł z drugiej strony stołu.

Szwedzi złamali rozejm i najechali Polskę wiedział. Zamiast z nimi się bić, wojewoda Opalinski i inni panowie poddali wojsko wielkopolskie Szwedom za namową zdrajcy Radziejowskiego. Pospolite ruszenie rozbiegło się do domów, Szwedzi idą na Warszawę. Hańba, nieszczęście...

Rotmistrz ścisnął pięściami skronie. Ale wnet je oderwał, uderzył dłonią w stół i powiedział:

– Nie może to być! Wojewodowie, kasztelanowie i inni magnaci pod Ujściem poddali się Szwedom, pospolite ruszenie wielkopolskie rozbiegło się do domów, ale to jeszcze nie koniec. Nie wierzę, żeby wszyscy senatorowie polscy byli bez czci i sumienia. Nie wierzę, żeby cały stan rycerski miał kryć się po domach.

Ale prócz nich jest jeszcze cały odważny polski lud, jest piechota łanowa, znajdą się ochotnicy. Będziemy się wspólnie bronić, każdy jak potrafi - każdy, ty też. Nie jesteś już dzieckiem dlatego ci o tym mówię.

Rotmistrz uderzył Kubę dłonią po ramieniu. Potem wstał i powiedział:

Idź już. Czeka mnie dużo pracy, ale zanim się do niej wezmę, muszę umyć się i odpocząć trochę. Jadę prosto z Krasnegostawu, ze starostwa. Powiedz wachmistrzowi, niech każe mi przynieść gorącego mleka.

Kuba nie wrócił prosto do domu. Poszedł nad jezioro, wlaż na wierzbę i wywiesił chorągiew prosto w niebo.

Chłopcy spodziewali się wezwania, bo straszna wieść o Szwedach rozeszła się szybko. Wieczorem zebrali się na Łopianówce. Ale wnet zaczął siąpić deszcz i niebawem rozpadało się na dobre.

Chodźcie do mnie na Sady – powiedział Grzesiek Baran. — Do mnie najbliżej.

Nie będzie można gadać swobodnie sprzeciwił się Tomek.

Jak się nie da w domu, to schowamy się do stodoły.

Poszli więc ku Sadom. Ale zawahali się u wrót do obejścia Baranów, bo ze stodoły dolatywał stukot cepów o klepisko.

No i widzisz, nic z tego ozwał się Tomek półgłosem.

A jakby w oborze? zastanawiał się Kuba. Kiedy krowy dziś nie na pastwisku, bo deszcz.

Czekajcie, mam myśl szepnął Tomek. Nie pokazujcie się.

- Pewno, że się nie pokażę, ojciec zagnałby mnie do młocki zachichotał Grzesiek.

Tomek ruszył na zwiady. Jego tu znali, matka Tomka była komornicą u Baranów. Po chwili wrócił do towarzyszy.

Droga wolna, bo kobiety poszły do doju. Chodźcie do komory. A pies?

spytał ostrożny Witek Kisieliński. Pies gotów narobić jazgotu.

- Jego buda jest od podwórza, a my przejdziemy przez płot, od łąki. Znamy tam z Grześkiem jedną dziurę, nieznaczną.

Najpierw przelazł przez dziurę wielki, piegowaty Grześ, a kiedy ten się zmieścił, poprzelazili za nim inni, na ostatku chudy Tomek Putkowski w obstrzępionych porciętach. Weszli ostrożnie do chaty Baranów i wsunęli się do komory. Komora była taka maleńka, że ledwo się w niej pomieścili. Okienko przepuszczało niewiele światła, bo zamiast szybki miało płachtę z nawoskowanego płótna. Stał tam tapczan, na którym słomę okryto konopną płachtą. Obok rozesłano słomę na glinianej podłodze. Kuba jeszcze nigdy tu nie był. Zapytał Tomka:

To ty śpisz na tapczanie?

Nie, tu śpi matka z Zawadzichą, tą drugą komornicą. Ja śpię na słomie, na podłodze.

Nie znalazło się dla was lepsze miejsce? Dom przecie duży tu Kuba spojrzał na Grześka Barana.

Nas jest z rodzicami ośmioro tłumaczył się Grzesiek a jeszcze dwie komornice i dwóch parobków, to nam ciasno. Ale bez nich nie dalibyśmy rady, bo prócz niedzieli co dzień dwoje musi ze sprzężajem robić na pańskim. Florek Gwiazdowski zniecierpliwił się i zawołał:

Chłopaki, czy my tu się zeszli na pogwarki, czy na naradę?

– Drzyj się jeszcze głośniejsze, żeby cały dom zmiarkował, że tu jesteśmy – mitygował go Janek Chodun.

Kuba się zawstydział, bo i rzeczywiście: lada chwila Baranowa z Putkowską mogą wrócić od udoju, a oni tracą czas, zamiast mówić o najważniejszym. Zwrócił się do towarzyszy:

- Pewno słyszeliście, że Szwedy weszły do Polski. Poszli na Warszawę. Chyba jej nie wezmą, ale jakby wzięli, to mogą przyjść i tu. Trzeba się naradzić, co wtedy robić, jak się przygotować.

Co będziemy robić? Szwedów nie wpuścimy, ot co! — ozwał się czupurny Florek Gwiazdowski.

- To nie sztuka być mocnym w gębie – powiedział Kuba. – Trzeba pomyśleć, co może być potrzebne i nauczyć się tego. Kto nie umie pływać, niech podniesie rękę.

Podnieśli rękę obaj bracia Kisielińscy i Maciek Łoń.

Co zrobicie, jak wam wypadnie przebyć Kalinówkę wpław? Szwedzi mogą przecież zerwać most. Albo jak sobie poradzicie, jeżeli grobla będzie rozmyta i czółna zabraknie, a trzeba będzie przedostać się na Zamczysko? Musicie umieć pływać. - Ja ich nauczę

odezwał się Grześ. Grześ pływał najlepiej, więc Łoń i Kisielińscy bardzo się ucieszyli, że podejmuje się ich uczyć.

Ej, Rudy, Rudy, porządny z ciebie chłop powiedział Kuba.

Grześ Baran obruszył się:

- Co wy mi ciągle wypominacie moje włosy? Jestem rudy, no to jestem, ale moglibyście nazywać mnie inaczej. Wymyślcie dla mnie coś innego.

Szczupak – podpowiedział Janek Kisieliński, który odzywał się rzadko, ale nieraz pierwszy znajdował radę w trudnościach.

-Niech będzie Szczupak

zgodził się Grześ, za nim inni.

- Teraz następna sprawa. Czy umiecie obchodzić się z bronią?

Okazało się, że z łuku i z procy strzelają wszyscy, lepiej lub gorzej. Natomiast na broni siecznej nie znają się zupełnie, a na broni palnej prawie wcale.

- Rozmówię się z rotmistrzem Bolestraszyckim powiedział Kuba - Jeżeli się zgodzi, będziecie przychodzić na Zamczysko i poćwiczymy razem.

To była dopiero myśl! Chłopcy jęli wypytywać Kubę, kiedy rozmówi się z rotmistrzem, czy aby dziś? A jeżeli tak, to kiedy zaczną się ćwiczenia w fechtunku i strzelaniu? Kuba musiał obiecać, że im da znać jak najprędzej.

Teraz powiedzcie, co wam się jeszcze wydaje potrzebne i w czym powinniśmy się ćwiczyć. Kto z was mógłby nauczyć innych czegoś pożytecznego?

Ja to chyba niczego... zafrasował się Witek, który nie był zarozumiały. - Ale Kornega mógłby nas nauczyć łażenia po drzewach.

Po co? zdziwił się Józek. Nam nie chodzi teraz o zabawę. Ale Tomek Putkowski był odmiennego zdania.

Witek dobrze mówi powiedział. Może to być potrzebne, na przykład żeby wypatrzeć Szwedów z daleka. Albo żeby schować się przed nimi w lesie.

Zgodzili się, że to może być potrzebne. Ale jeszcze pożyteczniejsza wydała im się umiejętność wytrwałego, długiego marszu, a także szybkiego biegania.

Tego to już nikt nas lepiej nie nauczy niż Janek Chodun - powiedział Józek Bezuch. On nas wszystkich przegania. Ciekaw jestem, jak on to robi.

- Po prostu ma długie nogi – powiedział Tomek.

To nie dość tłumaczył Józek ja też mam długie nogi, ale on mnie zawsze prześcignie, próbowałem się z nim.

Kłusak mruknął Janek Kisieliński. Co, Kłusak?

No on, Janek Chodun. Dajmy mu przydomek Kłusak.

Nie, nie, ja nie chcę. Nazwijmy go Jabłkowity -- upierał się Florek Gwiazdowski.

Dlaczego Jabłkowity?

Bo nie ma włosów jednego koloru, tylko siwe pasmo nad czołem. Ja się na to nie zgadzam zaprotestował Janek Chodun.

- Kłusakiem mogę być. Ale nie chcę, żebyście się ze mnie wyśmiewali, że niby „jabłkowity”. Został więc Kłusakiem.

No to teraz postanówmy, kiedy będziemy ćwiczyć zaproponował Kuba.

Okazało się, że to trudniejsze, niż wyglądało na początku. Ten miał przeszkody o tej porze, tamten o innej. Na razie umówili się tylko co do najbliższej lekcji pływania.

Kuba, miałeś się zająć tym, żeby każdy z nas otrzymał imionisko. Niektórzy już je dostali, inni nie przypomniał Józek Bezuch.

Nie ma czasu na głupstwa, nie jesteśmy już dziećmi

protestował Florek. Ale Bezuch upierał się przy imioniskach i tłumaczył:

To nie jest wcale zabawa. Czasem może być bardzo ważne, na przykład kiedy nieprzyjaciele albo zdrajcy kogoś poszukują i on musi się ukrywać, albo jeżeli rozmawiamy przy kimś, kto nie powinien rozumieć, o czym mówimy.

No więc kto już ma imionisko? zastanawiał się Kuba. Janek Chodun to - Kłusak. Grzesiek Baran - Szczupak. Witek Kisieliński - Pierożek.

Witek zaprotestował:

-- Dlaczego mam być Pierożkiem? Ja też nie chcę, żebyście się ze mnie wyśmiewali.

- Kochany, Pierożek to przecież nie jest nic złego, przeciwnie uspokajał go Tomek Putkowski. tak lubimy pierożki! Co może być lepszego? Jeżeli zgodzisz się być na zawsze Pierożkiem, będziemy cię lubić jeszcze więcej niż teraz.

Zgódź się - powiedział Janek, starszy brat Witka. Cóż miał zrobić biedny Pierożek? Zgodził się... Kto jeszcze nie ma przydomka?

spytał Kuba Ja odezwał się Józek Bezuch.

Ty jesteś strasznie mocny, najmocniejszy z nas wszystkich. Proponuję, żebyś się nazywał Żubr.

Podobało się to wszystkim, Józkowi też.

Co do Antka Kornegi, to orzekli, że już nazywa się Śliwka, a Śliwka to nic gorszego niż Pierożek.

Tomka Putkowskiego przezwano Wiewiórką, ponieważ był drobny, zręczny i sprytny. Starszego z Kisielińskich Milczkiem, Maćka Łonia Chomikiem, a to dlatego, ponieważ był taki zapobiegliwy, że zawsze miał to, czego komuś było potrzeba.

Pozostają jeszcze Florek i Staszek stwierdził Kuba. Florek Gwiazdowski mógłby być nazwany Krzesiwkiem, bo zapala się tak prędko jak krzesiwko.

- I tak samo prędko gaśnie – mruknął Milczek.

Zgodzili się na Krzesiwko od razu, natomiast trudniej było znaleźć imionisko dla Staszka Szafarskiego.

Staszek, syn dworskiego owczarza, był lubiany przez wszystkich, a szczególnie przez dzieci i zwierzęta. To pomagał jakiemuś malcowi i cierpliwie odpowiadał na jego pytania, to bronił kota przed chłopakiem, który ciskał w niego kamieniem, to zimą karmił wróble i sikorki.

Miał klatkę, ale ta klatka nie była więzieniem, tylko szpitalem dla drobnych stworzeń. Kiedyś siedział w niej nawet zaskroniec, któremu kosiarz niechcący przetrącił ogon, innym razem jastrzęb ze złamanym skrzydłem. Jastrzęb dziobał każdego, kto zbliżał się do klatki, tylko Staszka nie.

Staszek był zwykle rozczochrany, więc jeden z chłopaków proponował, żeby go przezwali Wicherkiem, drugi Jagniętkiem z uwagi na zajęcie jego ojca. Ale innym to się nie podobało. Wreszcie Staszek został nazwany Opiekunem.

No, skończyliśmy z imioniskami powiedział Kuba.

Teraz opowiem wam, co znalazłem na Górnisze. Jak to skończyłeś?

przerwał mu Krzesiwko a ty sam to co? Ty sam będziesz bez imioniska?

Rzeczywiście! Zapomnieli przezwać swego prowodyra, Kubę Harbarasza.

Teraz dopiero posypały się projekty! Każdy z chłopców wysuwał inny. Czego tam nie było: Głowa, Ważny, Furman, Uzdeczka, coraz to ktoś wymieniał nowe, ale zgody nie było.

Wreszcie, kiedy umilkli i zdawało się, że nie potrafią wymyślić nic takiego, co podobałoby się wszystkim, ozwał się Milczek i wypowiedział jedno jedyne słowo:

Hetman. Zapadła chwila ciszy. Potem zapominając o ostrożności wszyscy zaczęli wołać:

Tak! Hetman! Wybornie! Niech będzie Hetman Kuba!

Kuba zaczerwienił się z radości. Wtem otworzyły się drzwi i w progu stanęła Baranowa.

Co się tu dzieje? Co wy robicie w ciemnej komorze? Czego taki wrzask?

Mamo, to nic, my tylko tak, chłopcy już się rozchodzą -- uspokajał ją Szczupak.

Kuba nie zdążył tym razem opowiedzieć o Górnisze. Postanowił jednak zwierzyć się Józkowi, bo Żubr był jego największym przyjacielem.

Pożegnali się z Wiewiórką i Szczupakiem.

Gdy znaleźli się w dziewięciu na dworze w ciemnościach, Kuba pociągnął za rękaw Żubra na znak, że ma do niego interes.

Deszcz już nie padał, lecz nogi ślizgały im się po błocie. Szli kawałek drogi razem, potem Chomik i Opiekun skręcili w prawo do dworu, dwaj bracia Milczek z Pierzochką poszli dalej przed siebie, a z nimi Śliwka i Krzesiwko, którzy mieszkali na Zawodzie. Trzej skręcili na most: Kłusak, Żubr i Hetman Kuba.

Kuba miał ochotę pozbyć się Kłusaka, a pogadać z Józkiem, tylko nie wiedział, jak to zrobić. Kłusak sam mu to ułatwił, bo gdy przystanęli na moście, powiedział:

Słuchaj, Józek, nie gniewaj się, że nie idę z tobą, ale wy się wleciecie noga za nogą i gadacie, a mnie się bardzo śpieszy.

Po chwili znikł w ciemnościach. Hetman i Żubr zostali sami na moście.

Józek, powiem ci sekret odezwał się Kuba ale pamiętaj, żebyś nie powtórzył tego nikomu, póki się na to nie zgodzę.

Nie powtórzę. - To było wtedy, jakeśmy polowali na borsuka. Kiedy go złapali, poszedłem sam jeszcze kawałek dalej. Pamiętasz kamieniołom przy drodze na Lipinę?

Pamiętam.

Więc jak się przejdzie nad kamieniołomem, to jest dalej w lesie głęboka debra, boki ma strasznie strome, łatwo nogę skrócić. Ledwo zlazłem, powiadam ci.

Po co złażyłeś? Nie wiem, coś mnie tknęło. No i co?

Z początku nic. Szedłem sobie kawałek po kamykach na samym dole. Potem było parę większych kamieni, przed nimi rosły krzaki. Wlazłem na jeden z kamieni, patrzę, a tam za nim otwór czernieje. Taki duży otwór, że można wleźć. Ułamałem gałąź i pomacałem w głębi, co jest na dnie jamy, bo myślałem, że może jest przepaść i kto wlezie, ten wpadnie jak do studni. Ale nie.

Wlazłeś tam? Nie. Trzeba by mieć światło. Może tam są skarby? Może to jaskinia zbójców? Nie wiem

odparł Kuba. Wiesz, trochę się boję. Ale chciałbym się przekonać powiedział Żubr.

Ja też. Od początku o tym myślę. No to zrobmy wyprawę. We dwóch?

Można we dwóch... Ale chyba lepiej z wszystkimi innymi chłopakami.

Ja też myślę, że lepiej z innymi. Opowiem im i ułożymy wycieczkę.

Trzeba będzie chyba wziąć krzesiwo.

Tak, krzesiwo i trochę suchych trzasek na podpałkę.

A jeżeli tam siedzi dziki zwierz?

Chyba nie. Nie czułem żadnego zapachu. Na dnie debry jest wilgotna ziemia, byłyby na niej ślady, a nie było.

Może je zmyła burza?

Burza była dopiero potem. - Kuba, co to może być za jama? Kto ją zrobił?

Nie wiem

W czym ona jest wyrobiona, w ziemi czy w kamieniu?

- Po wierzchu jest ziemia z połupanym wapniakiem, ale pod spodem chyba kamień.

Może to nora borsucza albo lisia?

Nie, bo ich nory mają właz mały, a ten, powiadam ci, jest taki duży, że człowiek by się przecisnął.

Kuba, musimy tam wleźć koniecznie!

ROZDZIAŁ V

O STRACHACH I INNYCH SPRAWACH

Następnego dnia była niedziela, chłopcy mieli czas. Bo w tygodniu każdy miał robotę, szczególnie teraz, latem. Dawniej używano ich do pasienia, ale już z tego wyrosli, za krowami i gęśmi chodzili teraz ich młodszy bracia i siostry. Oni zaś pomagali ojcom w polu, przy stadzie, w warsztacie czy w młynie.

W polu bywało, że i w niedzielę praca kipiała, gdy groziła słońca albo burza szła. Najprzyjemniej było dorwać się do zwózki. Wysoko, wysoko na wozie naładowanym snopami trząść się i kołysać łuskając kłoski pszenicy.

Zresztą niedziela nie była nigdy dniem całkowitego odpoczynku. Chudoba zjeść chce także i w dzień boży, ludziom też uwarzyć stawę trzeba. Ale w niedzielę młyn nie terkocze, nie klepią kijanki praczek nad rzeką, nie stukają cepy. W obejściu cicho, zaledwie ktoś zanuci, albo pies zaszczeka leniwie.

Kto mógł, ten w przeddzień wyparzył się i wyszorował w łaźni, która stała nad rzeką naprzeciwko Zawody, inni nagrzali sobie wody w domu. Chłopcy się pogoliły, baby wyszorowały podłogi, przygotowały czyste koszule, poprasowały chusteczki na głowę. Wszystko po to, żeby w niedzielę było czysto, odświętnie, pięknie,

Po mszy chłopcy zwykli byli spotykać się na Łopianówce. Ale teraz Łopianówka przestała ich ciągnąć. Dookoła runęła ściana zboża, która chroniła ich przed niepowołanym okiem. W wąwoziku krowy pasą się na ściernisku i tratują łopiany.

Zmówili się na spotkanie w dworskiej stodole. W środku miała klepisko do młócki, po bokach piętrzyło się zboże. Cicho tam było w niedzielę, tylko jaskółki ćwierkały pod okapem, a przez szpary pomiędzy deskami padały słoneczne smugi.

Chomik i Opiekun byli tu swoi, bo ich ojcowie służyli we dworze. Nikomu z dworskich nie zdało się dziwne, że poschodziły się do nich w niedzielę obce chłopaki. Przecież i wróble lubią tego dnia baraszkować na podwórzu gromadą korzystając z tego, że wozy po nim nie dudnią, kierat się nie obraca, żuraw mało kiedy zaskrzypi.

Kuba wybrał się trochę później niż inni, bo matka posłała go najpierw z pierogiem do przytułku dla starców, który stał za plebanią, obok sierocej ochronki. Staruszkowie lubili przy sposobności pogwarzyć z ofiarodawcami i posłuchać nowinek, ale Kuba śpieszył się do kolegów, więc ledwo położył pieróg na stole, zaraz się pożegnał. Przebiegł groblę i most, jął piąć się prędko pod górę.

Na górze w cieniu lipy stała Biejata Mokosiejówna. Kiedy dostrzegła Kubę, zawołała na niego.

Gdzie Maruszka? Czemu nie przyszła do mnie prosto z kościoła?

Pannie Biejacie było tak ślicznie w wianuszku z różyczek na rozpuszczonych włosach, że Kuba zapatrzył się na nią, o odpowiedzi zapomniawszy.

Nie słyszysz, o co pytam? Co robi Maruszka, mu jej dotąd nie ma? — dopytywała się marszcząc brwi niecierpliwie.

- Nasz Krzycho trochę słabuje dziś na gardło, a matce zabrakło żywokostu i posłała Maruszkę do zielarki - odparł wreszcie Kuba.

Toś ty nie mógł pójść? Ja się na ziołach nie znam.

To się naucz. Cóż można odrzec na takie powiedzenie? Kuba zaczerwienił się, ale milczał, tylko ukłonił się pannie Biejacie. Czuł, że to zrobił niezręcznie i odszedł zawstydzony.

W owych czasach każdy dwór musiał być forteczką. Dom z lamusem i podwórko przy nim otaczane ostrokołem, przed którym jeszcze i fosa napełniona wodą pierwszy impet wrogów wstrzymywała.

Na skierbieszowskiej górze nie było jednakże wody, więc i fosy być nie mogło. Próbowano wykopać studnię, ale najbieglejsi studniarze nie potrafili dotrzeć do wody. Dla dworu wożono ją beczką ze źródeł, które tryskały u stóp góry nad rzeką zasilając stawy rybne. Chudobę pojono u żurawia poniżej podwórza.

Ale takim sposobem nie można by napełnić wodą fosy, więc na obronę musiało wystarczyć ogrodzenie z ostro ociosanych pali, w dole dla wzmocnienia podsypane ziemią i podgrozdzone silnym płótem.

W tym ostrokołe stały trzy baszty dębowe na podmurowaniu, zaś pośrodku, od drogi, która pięła się wydrążonym przez wody jarem, zbudowano z północnej strony bramę z okraglaków na kształt domku, było to samborze. Miało ono przejazd w środku, zaś nad przejazdem i po obu jego bokach mieściły się trzy izdebki niewielkie z oknami zakratowanymi żelazem. Na górze mieszkał wrotny, który strzegł bramy, na dole zaś strażnicy, wrotnemu do pomocy.

Stały tam też duże śmigownice czyli długie armatki, zwykle wycelowane przed samą bramę na wypadek napadu. Wrota dębowe były zamknięte na kute wrzeciędzie, z mocowane od wewnątrz belkami wpuszczonymi w żelaza, tak że nie dały się wyłamać. Same zaś drzwi były na wylot nabite gwoździemi, żeby nie można ich było porąbać.

Na co dzień służyła obok wrót otwierająca się furtka, która od wewnątrz dała się łatwo zabezpieczyć.

Podwórze gospodarcze z jego budynkami i ogród znajdowały się poza tym najwarowniejszym pierścieniem chroniącym dom, zaś otaczał je drugi pierścień obronny w postaci wału, mocnej palisady, górą ocierniowanej.

Kiedy Kuba zajrzał do stodoły, okazało się, że chłopcy już się tam zebraли i żywo rozprawiają.

Więc jak: w lewo źle, czy w prawo źle? - dopytywał się Wiewiórka.

- Mówiłem przecież: jak się beczka toczy pod górę, w stronę śpichrza, to jest na szczęście. Ale jak w dół, do stajni, to na śmierć - odpowiedział Piereżek.

Oj, nie mogę już słuchać... Widział z was kto tę beczkę?

Czekaj przerwał Żubr nie pytaj Piereżka, co mieszka na Bryczówce. Pytaj tutejszych, Opiekuna i Chomika

Ja nie widziałem powiedział Chomik ale nie każdy widzi zaczarowaną beczkę. Ona rzadko kiedy się wytacza, bardzo rzadko.

A kto ją widział?

Dużo jest takich. Moja babcia też. Zaraz potem umarła, bo beczka potoczyła się do stajni.

Ja o tym nic nie słyszałem powiedział Kuba zaciekawiony. — Skąd ona się wytacza?

Spod baszty, co stoi w ostrokole, od podwórza. Ale wytacza się nie w dzień, tylko jak się ściemni.

E, pewno się komuś przywidziała.

Co ty? ---- obruszył się Szczupak. - Może powiesz, że nie ma strachów, co? A o Dębowicy nie słyszałeś?

Ojej... nie wiem, czy są strachy, czy nie, ale tak lubię o nich słuchać

gorączkował się Krzesiwko opowiedzcie jeszcze coś! Co było w Dębowicy?

Mnie to opowiadał jeden taki, co jego ojciec tam służył

zaczął Żubr. Więc zjechali się raz panowie, a to był Wielki Piątek. Oni nic sobie z tego nie robili, tylko pieczeń zjadali, popijali winem, śpiewali. Aż tu burza się robi, piorun trząś w ten dwór i wszyscy zapadli się pod ziemię. Dwór się ostał, tylko oni się zapadli, rozumiecie? Ze stołem, z jadłem, z winem, ze wszystkim. I co się nie dzieje: ponoć od tej pory zawsze w Wielki Piątek o północy karety pańskie toczą się przed ganek, słychać turkot i trzaskanie z bata. Panowie wychodzą z karet, idą do sali jadalnej, a tam już mięsa i wina czekają. Oni czym prędzej siadają za stołem, bo są strasznie głodni, rozumiecie? Przez cały rok diabły nic im w piekle nie dają jeść. Aż tu ledwo sięgną do misy, burza się robi jak wtedy, piorun trrrrach! i po wszystkim... Znow zapadają się pod ziemię. Tak ma być do skończenia świata.

A ci, co tam mieszkają, to co? dopytywał się Kłusak nie boją się? Ja bym się bał.

Każdy by się bał. Toteż nikt tam nie mieszka.

Owa! Pod Szczebrzeszynom w jednym zamku co się działo, a ludzie mieszkają. Po jednej stronie sieni duchy, a po drugiej stronie ludzie – mówił Żubr.

I co te duchy robią?

Zaraz wam opowiem. Raz jeden człowiek się trafił, co mówił, że on się duchów nie boi. Więc mu inni powiedzieli, że jak tak, to niech przenocuje w tej komnacie, gdzie straszy. No to poszedł do tej komnaty i zaczął się rozdziewać. Wtem słyszy, za drzwiami jacyś ludzie gadają, brzękają talerze. A to już było po wieczery, więc się zdziwił. Wziął świecę, uchylił drzwi, patrzy nic, ciemno tam, nikogo nie ma. Jak zamknął drzwi, to w tamtym pokoju znow słychać krzątanie. I tak parę razy. Nie wiedział, że to zwykła rzecz, miejscowi już o tym wiedzą. Tam duchy hałasują, a za sieni ludzie żyją spokojnie i wcale nie zwracają na to uwagi.

Brr... nie chciałbym tam mieszkać otrząsnął się Wiewiórka.

Słuchajcie, co było dalej. Podróżny wreszcie się położył i zasnął. Wtem ktoś go budzi, taki wielki, straszny, na twarzy siny, a oczy to ma jak ogień. Ten się przestraszył, chce uciekać, a duch cap! go za połę i woła: „Coś ty, taki owaki, powiedział na mnie przy wieczerzy, że ja nieuczciwie ten majątek nabyłem?” Bo to był dawny właściciel, umarł już będzie ze sto lat. „To ja cię teraz wywlekę do piekła za to!” Złapał go ten duch i ciągnął, okno wywalił i oknem chciał go porwać, ale tamten się zaparł w tym oknie i tak się bronił, że duch nie dał rady i sam odleciał. Cała ściana była podobno podrapana około okna, jakby ją kto nożem podziabiał.

- Ja w to wszystko nie wierzę i już – powiedział Kuba. - Mało to rzeczy ludzie wymyślają, albo im się przywidzi?

Nie gadaj tak, żeby cię co złego nie spotkało odparł Piereżek. - U nas we młynie też czasem straszy, sam słyszałem.

Pewno szczury. Nie, jakie tam szczury! Moja siostra widziała. Co widziała?

Parę butów, co same wchodziły po schodach. Zaczęła tak wrzeszczeć, żeśmy myśleli, że oszaleje. W nocy to coś tak stuka i tłucze się i trzaska, że jakby mi nawet dukata dawali, i tak bym sam nie wszedł. Latają czerepy, wióry, kamienie, licho wie co.

U was we młynie? pytał Kuba niedowierzająco.

U nas

- upierał się Piereżek. Ty, Janek, widziałeś to i słyszałeś? - spytał Kuba Milczka.

Nie. Ale inni u nas widzieli.

A wiecie wy, że strachy można podrabiać? powiedział Kuba.

Jak? Opowiedz, Kuba! Pokaż! zainteresowali

się wszyscy

- Na przykład wydrąży kto dynię, a tu, gdzie mają być usta, nos i oczy, wydłubie tak, żeby została tylko cieniuszka błonka. Potem przymocuje taką dynię do kawałka szerokiej deski, włoży do środka zapaloną świecę i spuści nocą na wodę. Jeszcze byłem mały, jak to zrobili we Lwowie, ale takem się nastraszył, że do dziś pamiętam, jak po wodzie posuwała się ta straszna ognista twarz. Innym razem jeden z czeladników owinął się w białą płachtę i zaszedł drugiemu drogę w nocy o księżycu. Tamten o mało nie zemdlał, tak się wystraszył i potem opowiadał, że widział ducha.

Ja bym się nie dał oszukać – powiedział Piereżek.

Zależy jak byłoby robione. - No to zróbmy coś takiego, chłopaki! Nastraszymy wrotnego albo panią Starą.

Wrotnego może by się dało, ale pani Stara za chytra – zauważył Opiekun. — Będiesz myślał, że ją oszukałeś, a to ona ciebie wystrychnie na dudka.

Po co mamy sobie zawracać głowę podrabianiem duchów albo szukaniem takich miejsc, gdzie straszy? - powiedział Kuba. – Ja znam ciekawsze miejsce. Zresztą w tym miejscu mogą być także duchy, kto wie.

Tu, w Skierbieszowie?

Tak. Ale zanim wam powiem, gdzie, musicie mi przyrzec, że nikt nie zdradzi tajemnicy. Jakby zdradził, to będzie wyrzucony z naszej kompanii.

Chłopcy obiecali, że nie pisną ani słówka nikomu. Wtedy Kuba opowiedział im o swoim odkryciu w jarze na Górnisze.

Wrażenie było piorunujące. Za tajemniczym włazem mogło ukrywać się wszystko: duch albo smok, może rozbójnicy, może czarownica. Mogło tam być nawet zejście do piekieł. Trudno było wyobrazić sobie coś ciekawszego.

Baleś się tam wejść, boś był sam, tak Hetman? dopytywał się Wiewiórka.

Pewno, że się bałem, ty byś też się bał. Ale wejść byśmy nie mogli, nawet gdybyśmy tam byli wszyscy. Bo przecież na to trzeba mieć światło, a ja nie miałem ani łuczywa, ani świecy. - Najlepiej świecę. Ale skąd ją wziąć?

U nas w domu są łojówki – powiedział Szczupak. Matka ułała z baraniego łoju.

To na nic - odparł Kuba. – Łojówki łatwo topnieją, jak się je trzyma w ręku. Nam potrzebna jest świeca woskowa. Ale o woskową będzie trudno, teraz nie pora na podbieranie wosku. Kto sobie ułał kiedyś świecę woskową czy gromnicę, ten nie da, aż będzie nowy wosk.

Poprosimy panią Starą doradził Milczek. Ona jest klucznicą nad wszystkimi dworskimi zapasami.

- Albo to nam da? zawołał Kuba. Maruszce to by może dała, ale nas przepędzi. Wtem przyszedł mu do głowy pomysł.

Wiecie co - powiedział -- poszukajmy Maruszki i niech ona poprosi o woskową świecę. Maruszka miała przyjść do panny Biejaty, może nawet już jest. Poszukajmy jej. Ale nie wszyscy razem, bo by nas przepędzono ze dworu.

Najlepiej idź sam radził Żubr. Kuba poszedł w stronę kuchni. Przed samborzem w cieniu, na ławie siedział wrotny. Kuba przywitał się ze starym i zapytał:

Czy nie widział waćpan mojej siostry, panie Jacenty?

Czy nie widziałem Maruszki? Owszem, widziałem powiedział Srokowski chodziły razem z panną Biejatą po wirydarzu i zrywały kwiatki, a później przeszły tędy furtką i do domu. Pewno chciały włożyć kwiatki do wody. Poszukaj ich, tylko nie pokazuj się jaśnie pani Mokosiejowej, bo czegoś dzisiaj zła.

Kuba nie poszedł do dworu od frontu, przez ganek, tylko od kuchni. Przed kuchnią krzątała się pani Stara brzękając kluczami u pasa. Dziewczyną zbierała wiśnie, które suszyły się nanizane na sznurki, rozwieszane na słońcu, a pani Stara zsuwała ususzone kulki ze sznurków do miski. Była wysoka, koścista, głos miała niski, a twarz groźną, ale kiedy się uśmiechnęła, to każdy bać się jej przestawał.

A co, Kuba, pewno szukasz Maruszki? spytała. - Jest w pokojach z panną Biejatą. Stroją kwiatami jadalną komnatę, bo spodziewamy się gości na podwieczorek. Jak masz interes do Maruszki, to ją tam znajdziesz

- Kiedy się boję.

Nie bój się, panna Biejata głowy ci nie urwie, a jaśnie państwo dopierutko poszli do sadu. --- To mnie przegna pan Sikorski.

Walenty? E, ten się służbą nie przemęcza, nie lubi zwijać się po pokojach. Ręczę, że kręciwąs Walenty spija resztę pańskiego miodu, podrzemując na ganeczku w cieniu wina i piernikiem toruńskim pogryzając, bom widziała, jak tam zmierzał, skoro tylko zobaczył, że imć pan Mokosiej poszedł z jaśnie panią do ogrodu. Idź śmiało do swojej Maruszki, tylko nie zabawiaj zbyt długo na komnatach i niczego nie ruszaj. Słuchaj no zawołała za Kubą

a przynieś mi parę pacek na muchy, bo strasznie są w tym roku uprzykrzone!

Kuba przeszedł na palcach przez kuchnię i kredens. Drzwi do jadalni były uchylone. Stał w progu i nie śmiał wejść dalej, bo panny Biejaty ani Maruszki nie było, tylko z sieni dolatywał ich śmiech i rozmowa.

Mamcia to nas oboje wciąż przepytuje z herbów - opowiadała Bietka. — Tozio, mój brat, tak to sobie do serca bierze jak mama i wuj Nietyxa, ale mnie to nudzi i śmieszy. Mamcia każe nam się tak bawić: Tozio mwi jakieś nazwisko, a ja mam powiedzieć imiennie, skąd się wywodzi ten ród, a także mam wymienić herb. Jak dobrze odpowiem, to wtedy ja pytam, a Tozio odpowiada. Mamcia poprawia nas i fantuje. On zawsze zbiera fanty i objada się potem słodyczami.

Takim sposobem panna Biejata uczy się o wielkich panach?

- Nie tylko o wielkich panach. Mamcia mówi, że dobrze urodzony powinien wiedzieć o każdym szlachcicu, skąd jego ród się wywodzi, jakim herbem się pieczętuje, bo bez tego nie ma konwersacji w wielkim świecie. Powie Tozio: „Fredro” to ja muszę zaraz odpowiedzieć „Z Pleszowic, herbu Bończa”. Potem ja mówię: „Bolestraszycki!” a Tozio odpowiada: „Z Irządza, herbu Lis”. To takie nudne jak flaki z olejem. Już wolę nawet haftować na tamborku.

Bolestraszycki? — zdziwiła się Maruszka. jest taki rotmistrz w fortalicji.

Wiem odparła Bietka. Ale mamcia mówi, że on nie jest z tych wielmożnych Bolestraszyckich, tylko z tych zagrodowych, a na takich to mamcia nosem kręci.

Kuba czekał w progu cierpliwie, kiedy dziewczęta wrócą do jadalni. Przyglądał się tymczasem zczerniałym portretom przodków, które wisiały rzędem nad drzwiami. Makaty, kobierce i kilimy pokrywały stoły, ławy, ściany i podłogę, a były takie barwiste, jakby sala jadalna kwitła. Z pułapu zwieszała się kobieta wyrobiona z mosiądzu z rogami jelenimi zamiast skrzydeł, trzymała w każdej ręce świecznik.

Ale najciekawsza była broń po ścianach rozwieszona. Na bronii Kuba się znał, od dziecka widywał w rękach ojca różne jej rodzaje. Wiedział, że tarcza jest podługowata, a kałkan okrągły, że rusznica jest dłuższa od guldynki, że szabla jest bardziej krzywa od pałasza, że kirys to pancerz z blachy, a kolczuga - z plecionych metalowych kółeczek. Nauczył się nazywać broń i podziwiać ją, gdy była piękna. Toteż zapatrzył się na ściany jadalni, nad każdą sztuką bronii się zastanawiając.

Nie skończył jeszcze tego przeglądu, kiedy przez drzwi z sieni wbiegła śmiejąc się Biejata, a za nią Maruszka.

- O, a ty tu czego? zawołała Maruszka. Kto ci pozwolił wejść?

Pani Stara tłumaczył się Kuba, speszony wymówką, która go spotkała w obecności panny Biejaty. Ja... ja chciałem z tobą... na chwileczkę...

Idę powiedziała Maruszka.

Kuba cofnął się do kredensu, siostra przeszła za nim.

- Słuchaj, mnie trzeba koniecznie woskowej świecy -- szeptał Kuba - poproś panią Starą.

Po co ci?

Muszę ją mieć. U nas w domu już świece wyszły, sama wiesz. Może później powiem ci kiedyś, teraz obiecałem tajemnicę. Maruszka miała słabość do Kuby, więc uległa. Idź do sadu – powiedziała

i czekaj za chłodniczką. Jeżeli dostanę świecę, to ci ją przyniosę.

Kuba wyszedł. Maruszka zwierzyła się pannie Biejacie.

Ależ to nic takiego, zaraz będziesz miała świecę powiedziała Bietka i pociągnęła przyjaciółkę za rękę.

Zetknęły się w progu z klucznicą, która mówiła do dziewczyny niosącej za nią wiśnie:

- Ja poświęcę i zejdę do podruny przodem, a ty zawrócisz za mną z miskami dwa razy, bo byś inaczej rozsypała.

Cóż imość tak pracujesz przy niedzieli, ładnie to? — przekomarzała się Biejata.

Słońce pali, burza pewno będzie znowu, to mi wisien szkoda, bo już wyschły na pieprz. Panna Bietka sama będzie się zimną przymilać. „Baczyńsiu, daj wisienki!” „Baczyńsiu, daj śliwieńki!” naśladowała pani Stara głosik swej ulubienicy.

Bietka roześmiała się i chwyciwszy z rąk dziewczyny pełną miskę podała ją Maruszcze, a drugą sama wzięła ze stołu i rzekła:

My poniesiemy, Kasia tu niepotrzebna.

Oho, łasować się pannie Bietce zachciało ważyła pani Stara niby to srogo, ale oczy jej się śmiały.

Zapaliła stoczek i zeszyły do piwnicy. Owionął je chłód, klucz szczękął w zamku. Za piwnicą Baczyńska otworzyła drugą kłódkę i znalazły się w podrunie.

Była to duża, sklepiona piwnica. Na starannie wymiecionej, ceglanej podłodze ustawiono na podłużnych deskach pełne worki, skrzynie i faski. Pod ścianami biegły półki.

Pani Stara lubiła chwalić się podruną jak magnat skarbem, toteż chętnie pokazywała Maruszcze dostatki domu. Czegoż bo tam nie było!

Tu w workach kasze i krupy przeróżne, manna, tatarczana, owsiana, jajeczna, żytnia, pszenna, perłowa, jeszcze inne o nazwach nieznanych Maruszcze. Tam gotowe przystawki i smaki, żeby można w razie niespodzianych gości podać coś bez zwłoki. Leżą więc rozłożone po półkach małdrzyki przypiekane i placki, z haków po półkach zwisają szynki i kiełbasy w jałowcowym dymie wędzone, obok półgęski zwinięte na kształt osełek. Tu znów ryb suszonych obfitość na piątki i na adwent. W faskach stoją kiszone ogórki i rydze. Tam suszone śliwy węgierskie z kminem na słomki nawleczone i w snopki powiązane, ówdzie konfekty smażone w cukrze i w miodzie, jako to gruszki, brzoskwinie i włoskie orzechy. W gąsiorach octy winne, piwne, miodowe, agrestowe, jabłeczne.

A ile napojów na rozgrzewkę, na wesele i święta! Gorzałka własnego warzenia, miód pitny własnego sycenia, piwo z własnego mielczuchu, a przy tym wiśniaki, maliniaki, jabłeczники, no i nalewki przeróżne, od królowej śliwowicy do słodkich likworów ziołowych.

Najdziwniejsza była tych skarbów obfitość. Szynki nie na sztuki, ale na kopy, suszone szczupaki na dziesiątki fasek, masło topione takoz, półci słoniny obwędzonych nie zliczysz...

Maruszka rozważała, że chyba z pół roku oblężenia można by przetrzymać z tymi zapasami. Ale kiedy sobie przypominała, ilu to domowników trzeba było żywić nie tylko do posługi, ale i do różnych przemysłów, boć co tylko potrzebne, robiło się w domu – tedy przestała nie dziwić obfitości jadała.

Pani Stara poczęstowała je gruszkami w miodzie, a kiedy Biejata poprosiła o woskową świecę, znalazła się i świeca, którą dała Maruszcze.

Tymczasem Kuba skubnął po drodze opadłe jabłka w sadzie i zawędrował aż za chłodniczek czyli altanę, gdzie Maruszka mu kazała czekać na siebie.

Ocieniało go dzikie wino, a z tyłu znalazł Kuba krzak porzeczek, wprawdzie już w lipcu obrany, jednak w głębi, pod liśćmi, można było jeszcze wydziobać trochę żółtych perełek. Zajął się tym pilnie i nie zauważył, że ktoś wszedł do chłodniczka.

Doleciały go stamtąd dwa głosy, męski i kobiecy, z których domyślił się imię państwa Mokosiejów.

Bał się ruszyć, żeby go nie spostrzegli, bo o ile pan Achacy był człowiekiem łagodnym, póki w nim gniew nie zakipiał, o tyle pani Pudencjana była kwaśna, a cukrowała się tylko dla obcych, skoro jej na nich zależało.

– Taki jestem czegoś niespokojny — ozwał się pan Achacy wzdychając. — Najgorzej mnie niepokoi to, że nie mogę dowiedzieć się niczego pewnego o Szwedach. Jedni mówią, że już szturmują Warszawę, inni, że się cofnęli. Trzeba będzie posłać po Symchę, karczmarz zawsze wie najlepiej.

Po co ci Symcho? I tak nic nie pomożesz. Na wojnę przecież nie pójdziesz w twoim wieku.

A jakbym poszedł?

Achacy, zmiłuj się, oszalałeś chyba! Zamiast myśleć o głupstwach, zająłbyś się lepiej dziećmi. Biejatkę czas wydać za męża, pomyślałbyś o jakim stosownym kawalerze. Żeby był majątny, z nazwiskiem...

- Zaraz byś jejmość chciała jakiego Lubomirskiego czy Ossolińskiego.

- A choćby! Pewno, że jak ją wychowamy na chłopkę, to i męża znajdzie najwyżej w łapciach i z szablą na postronku. Zadaje się z chamkami i mieszczkami, chodzi w wianku, przetowłosa...

Jej tak ładnie w wianuszku, mnie się to podoba.

Tobie, tobie! Nie ty będziesz się z nią żenił. Teraz w wielkim świecie inaczej się noszą. Włosy trefione w loki, na nich zawój po francusku.

Śmieliby się z niej, przecież nie jest mężatką.

Niech się śmieją, parafiany. Żebyś wiedział, że ja też mam dosyć odziewania pod gardło. Na królewskim dworze noszą teraz suknie opadłe.

Co to znaczy?

E, ty nic nie wiesz! Opadłe, to znaczy żeby szyja i gors były odsłonięte.

Ależ moja duszko, toż to bezeceństwo! Ja bym się wstydził z tobą ludziom pokazać, jakbyś się taka goła prezentowała.

A ja się wstydzę twojego podgolonego łba.

No, no, pamiętaj, że są na nim blizny spod Smoleńska.

Co mnie i tobie z nich przyszło? Nawet o starostwo nie umiałeś się wystarać. Zaś o bezeceństwach nie mówiłbyś jegomość, bo takie suknie sama królowa Maria Ludwika z Paryża przywiozła.

Jej Miłość z Francji pochodzi, a ty z Polski. - A ja zapowiadam jegomości, że wybieram się do Zamościa po materię, zanim Szwedzi kupców obrabują.

- Pudeńsiu, serce moje, opamiętaj się! Ojczyzna w opresji, a ty mi nową suknią głowę zawracasz i pieniądze chcesz szastać na stroje.

- Tak mówisz jegomość, jakbyś nie wiedział, że nasza ojczyzna wiecznie w opresji. Jak nie Kozaki to Moskwiciny, jak nie Moskwiciny to Tatarowie, a jeszcze Szwedy z Niemcami... Polskie niewiasty nigdy nie mogłyby się stroić, jakby miało być po waścinemu.

Pan Achacy był spokojny do czasu, potem tracił cierpliwość nagle i gniew przychodził na niego raptem jak letnia burza. Tak się stało i teraz. Kuba usłyszał potężne grzmotnięcie w stół, aż zatrzęsły się pędy dzikiego wina i rozległ się głos tubalny jakby nie potulnego przed chwilą pana Achacego, tylko jakowegoś Goliata:

Milcz asińdzka i pilnuj swego! Tozio błazen całymi dniami nic nie robi, zaczyna się dobierać gdzie nie trza, zaś asińdzka we wszystkim mu folgujesz. Przewracasz mu w głowie swoimi Nietyxami, któren to ród jest szlachecki, nie przeczę, ale jak i mój senatorów z siebie nie wydał Twój braciszek tak samo w Hajownikach siedzi na dzierżawie jako i ja w Skierbieszowie. Co mamy, to z mojej pracy, to ten mój podgolony łeb i te garście wyrobiły.

Będziesz mi waść wyrzucał, żem posagu nie wniosła! Ach ty niewdzięczniku, ach ty stary szlachetko zagnojony, czemużem za ciebie wyszła, kiedy takie świetne partie mi się trafiały...

– A szkoda, szkoda, tylko że to żal po niewczasie. Tak do mnie gadasz jejmość, jakbyś sama była boginią olimpijską. Wypominasz mi starość, a tyś już też niewiasta podtuptana. Dość mi tego słuchać! Wracaj asińdzka do swego herbarza, a ja wrócę do mego gnoju, z którego pszenica się rodzi.

Grubianin... - jęknęła pani Pudencjana i zaczęła spazmować.

W tym krytycznym momencie Kuba dostrzegł z daleka zbliżającą się Maruszkę.

Między gałęziami sadu słońce sypało dukaty na jej czarne włosy, ona zaś szła lekka i roześmiana, w pąsowym staniczku bez rękawów na białym giezłeczku i w czarnej jubce, co tańczyła dokoła jej opalonych, bosych nóg.

Nadchodziła z boku, więc nie mogła widzieć, że w chłodniczku ktoś jest. Ale państwo Mokosiejowie mogli ją dostrzec w każdej chwili między liśćmi i byliby zapewne dostrzegli, gdyby nie to, że nazbyt pochłonęła ich sprzeczką.

Kuba ją dawać siostrze rozpaczliwe znaki, ona zaś szczęściem spostrzegła je. W ostatniej chwili zdążyła cofnąć się między drzewa, gdy imć Achacy wyskoczył z chłodniczka i popędził jak kogut w stronę dworu, a za nim mdlejącym krokiem podążyła jego połowica.

Rodzeństwo przeczekalo jeszcze chwilę w ukryciu, po czym wzięwszy się za ręce jęli zbiegać ku rzece śmiejąc się i skacząc.

Tak mi wesoło, wiesz Kuba mówiła Maruszka zadyszana od biegu. Tak mi wesoło! Pietrek już wstał dziś rano i chodził po izbie. Zaraz usiądzie z nami do obiadu.

Kuba myślał jednak nie o Pietrku, tylko o tym, że po obiedzie ma się spotkać z chłopakami i że pójda razem na Górnichę, do tajemniczego wjazdu.

Kiedy znaleźli się na grobli, niespodziewanie dojrżeli wyjeżdżający z fortalicji wóz, na którym siedzieli obok siebie oboje starzy Orłowscy z Podwysokiego.

Gdy się z nimi zrównali, zobaczyli leżącego na słomie Pietrka. Wóz przystanął.

Maruszka nic nie rzekła, tylko podeszła i czekała. Pierwsza ozwała się Orłowska.

Jużem dziękowała twoim rodzicom, a najprzeważniej matce, że tak się opiekowali naszym Pietrkiem. Teraz i tobie dziękuję, Maruszko. Wiem, jaka byłaś dla niego. Nawet czytać podobnoś go nauczyła. Choć w naszym stanie korzyści z tego nie ma, ale Panie Boże ci zapłać za trud. Przyjechalim po niego, no bo dość już waszej przy nim mitręgi, czas mu wracać na swoje.

Żeby mu tylko jazda nie zaszkodziła - powiedział Kuba.

- E, mocny on, nic mu nie będzie odparł Orłowski.

Pietrek i Maruszka tylko patrzyli sobie w oczy, nie mówili nic.

Wreszcie Maruszka, która wiedziała przecież, jak należy zachować się przystojnie, opamiętała się, spuściła wzrok i ozwała się:

Czyście chociaż zjedli wcześniej obiad u nas przed odjazdem? A jakże

uspokoiła ją Orłowska twoja matka nakarmili nas aż za wiele. Nie chcieli nas wypuścić, chociażem mówiła, że u nas też obiad czeka na Podwysokim. No to ostawajcie z Bogiem,

Jedźcie z Bogiem... Pożegnali się i wóz odjechał ku mostowi.

Maruszka stała cicha i nie ozwała się już ani słowem. Kuba rozumiał, jak z nią jest, więc jej nie nagabywał.

ROZDZIAŁ VI

ZNALEZIONY PLAN

Po obiedzie Kuba wziął świece, krzesiwo i kawałek nasiarkowanego lontu.

Pogwizdując szedł ku Górnisze miedzą, grzbietem wzgórz. Widok miał pod sobą rozległy, na prawo jezioro i przycupniętą na jego skraju wieś Sady, za jeziorem Iłowiec i znów zalesione wzgórze, opadające aż hen, ku Zamościowi. Na lewo łąki, stawy pod młynem i wysokie, jarami pocięte wzgórze zwane Karpatami, u stóp których tryskały źródelka świętego Antoniego.

Z jednej strony tych wzgórz rosły dębowe lasy pały się tam świnie z Majdanu i Zawody, ale dzieciaki bały się zbierać tam grzyby dla obfitości żmij. Z drugiej strony Karpat piął się jarem między polami gościniec do Majdanu i dalej aż hen, na Krasnystaw.

Niebawem Kuba wszedł w las. Poszedł obok wąskiej, wyboistej drogi, ale nie oddalał się od niej zbyt, gdyż wiosenne wody poryły oba stoki wzgórze jarami, najlepiej szło się więc samym grzbietem.

Spotkanie naznaczyli sobie nad kamieniołomem, z którego okoliczni mieszkańcy wyłupywali wapien. Kiedy Kuba tam przyszedł, zastał tylko Józka Bezucha przezwanego Żubrem.

Wiesz co? — powiedział Kuba — takim sobie myślał po drodze, na co też sąd skarże Osełkę za poranienie Pietrka.

Żaden sąd go nie skarże, chyba że kara boska go dosięgnie.

- Przecież mają go sądzić w grodzie, w Krasnymstawie.

Jak mają go sądzić, kiedy zbiegł? Osełka zbiegł? Nicem o tym nie słyszał!

Zapomniałem ci powiedzieć, jakeśmy się rano spotkali.

- Jakże to się mogło stać? Przekupili strażników, czy co?

- Może i przekupili, a może z niedozoru się stało. Po wyroku albo byłby skazany na gardło i nie żyłby już, albo siedziałby na dnie wieży, skąd nikt nie da rady uciec. Ale że to było jeszcze przed wyrokiem, więc trzymali go w zwyczajnym areszcie.

No i patrzcie, gdzie tu sprawiedliwość rozważał Kuba. — Ciekawe, dokąd on zbiegł, chyba najprędzej do Kozaków.

- O, idą Kisielińscy - zauważył Żubr. - Wszyscy się znów spóźniają.

Nie czekali jednak długo, po chwili cała gromadka była w komplecie oprócz Tomka Putkowskiego

— Nie wiecie, co się dzieje z Wiewiórką, czemu go nie ma? — zapytał Żubr.

— Mój starszy brat kazał mu iść z sobą na ryby odrzekł Szczupak.

— Dziś przecie niedziela, nie powinien pędzać go do roboty.

– Tylko na ryby... żeby wiosłował płątał się Szczupak. – A wiosłowanie to nie robota?

Czego się mnie czepiasz - odburknął Szczupak, zły, że go wstydzą przy innych chłopakach.

- Idźmy już - wtrącił Krzesiwko, który nie mógł się doczekać, kiedy nareszcie zacznie się wyprawa.

Podniósł się ogólny gwar, bo wszystkim było pilno. Kuba poszedł przodem, wskazując drogę.

W pewnej chwili Pirożek zrównał się z nim, trącił go w łokieć i spytał:

Powiedz, czy wszyscy zejdziemy pod ziemię?

Chyba nie, w każdym razie nie wszyscy razem odparł Kuba.

Ja też tak myślałem. Trzeba żeby ktoś został i pilnował, no nie?

Kuba odgadł, że Pirożek się boi. Ale nic nie powiedział, tylko zaczął schodzić do debry.

Nie było to łatwe, ściany jaru opadały stromo. Wreszcie znaleźli się jednak wszyscy na dnie.

Kuba poprowadził ich kilkanaście kroków w prawo, pod górę i tam, w najwyższym miejscu gardzieli, wskazał im parę dużych kamieni obrośniętych dokoła krzakami.

Chyba się teraz podzielimy - powiedział. — Jedni wejdą, a inni zostaną, żeby było ubezpieczenie. Co może się stać?

pytał Pirożek. Nie wiem, nigdy się nie wie, kiedy się idzie pierwszy raz w takie miejsce. Jakby nam się coś stało, będziecie nas ratować, albo sprowadzicie pomoc.

A ty włączysz, Kuba? Pewno, że włączę.

Więc jak ma być? – dopytywał się Sliwka. - Kto ma iść, a kto ma zostać?

Sami wybiercie – powiedział Kuba. Kto chce wleźć do jamy, ten niech podniesie rękę.

Podnieśli wszyscy, po chwili wahania nawet Pirożek.

Kuba uśmiechnął się. Był rad.

— Słuchajcie, zrobimy tak – powiedział. – Jest nas dziesięciu, będziemy ciągnąć losy i wejdzie pięciu. Potem ci wyjdą, a wlezie drugich pięciu. Zgoda?

Wszystkim spodobał się ten pomysł. Kuba podniósł mały kamyk i schował ręce za plecami.

- Ciągnijcie po kolei. Kto wyciągnie kamyk, ten zejdzie od razu, inni poczekają. Zaczyna Pirożek: prawa, czy lewa?

Kiedy skończyli losowanie, okazało się, że pierwsi zejdą Żubr, Krzesiwko, Kłusak, Chomik i Pirożek.

Kuba wolałby iść z nimi. Ale cóż - jak sprawiedliwość, to sprawiedliwość. Sam wymyślił przecież to losowanie. Oddał Żubrowi świecę i krzesiwko z lontem.

Na szczęście nie było przeciągu i świeca paliła się równo. Ale właz był wąski, trzeba było pełznąć. Nie było to łatwe ze świecą.

Co tam? zapytał Kuba, kiedy Żubr znalazł się pod ziemią.

Trochę ciasno, ale da się przejść odezwał się głuchy, zmieniony głos Żubra. Teraz ja powiedział Krzesiwko. Jemu poszło łatwiej, bo był mniejszy.

Czy równo tam? Nie mokro? dopytywał się Kuba. Słyszał, że Żubr coś odpowiada, ale co nie zrozumiał. Tak by chciał pełznąć tam razem z nimi, pierwszy! Widzieć od razu, co tam jest! Ledwo mógł wytrzymać, żeby nie wleźć także.

Najgorzej było, kiedy weszło już pięciu i pozostało tylko czekanie.

Umówili się, że za pierwszym razem chłopcy nie zapuszczą się głęboko pod ziemię. Jednakże piątce pozostałej na powierzchni wydawało się, że czekają chyba z pół godziny.

Wreszcie ukazała się w otworze kędzierzawa głowa Krzesiwka. Z początku nie mogli poznać, który to z chłopaków, taki był umazany gliną.

Ależ ty wyglądasz! roześmiał się Kuba.

Poczekaj, zaraz będziesz taki sam mruknął Krzesiwko, wyprostował się i nabrał tchu.

Co, duszno tam? spytał go Śliwka. Krzesiwko powiedział, że tylko z początku.

Tymczasem wylazili kolejno inni, zrobił się gwar, jedni pytali, drudzy odpowiadali na wyścigi. Z ich opowiadań wynikało, że najpierw trzeba było pełznąć wąską szyją, ale zaraz korytarz się rozszerzał, niebawem można było stanąć na nogach, a później znaleźli sporą, murowaną piwnicę.

- To chyba wyjście z tych lochów, co ponoć idą od Zamczyska. Niektórzy ludzie mówili przecież, że tam są lochy i że idą het, daleko, ale nikt nie wierzył, żeby to mogło być.

Musimy dojść do końca! wołali chłopcy jedni przez drugich.

A pamiętacie, co mówił rotmistrz o Dorohusku? przypomniał Kuba. Opowiadałem wam przecież. Poszło tam dwóch szukać skarbów i nie wrócili. Albo coś ich zadusiło, albo się zgubili.

Chłopcy umilkli. Wyobrażali sobie ciasne, podziemne korytarze, wypaloną świecę albo zgubione krzesiwko... Kto wie, czy duchy tych dwóch, co się tam zagubili, nie snują się dotąd w podziemiu... Wreszcie ozwał się Kuba:

Teraz my idziemy! Ale jakem na was popatrzył, tom pomiarkował, że głupio zaczęliśmy wyprawę. Trzeba było się rozebrać, wyglądacie teraz jak nieboskie stworzenia.

- Jak my się teraz w domu pokażemy?

Kuba już zrzucił koszulę i portki, za jego przykładem poszli inni. Po chwili włązili do podziemnego korytarza, nago jak do kąpieli.

Wiedzieli od kolegów, że wąska gardziel za chwilę się poszerzy, jednakże z początku było im straszno.

Kiedy znaleźli się w lochu, rozejrzeli się po nim dokładnie. Loch był suchy, górą sklepiony, w głębi czarna czeluść zdawała się wskazywać, że uda się tamtędy przejść dalej.

- Mały kawałek można przecież pójść Szczupak.

Warto by obejrzeć chociaż sąsiednią piwnicę.

Tak też zrobili. Drugi loch był mniejszy. Dalej wiodły z niego dwa otwory: jeden na wprost, drugi w prawo.

- Tylko zajrzę powiedział Kuba.

Poświecił na wprost i przekonał się, że to przejście prowadzi do małej, kwadratowej piwniczki, skąd dalszego wyjścia nie ma. Natomiast loch położony na prawo był ogromny. Nie wchodząc do niego trudno było zdać sobie sprawę przy słabym oświetleniu, czy łączy się on z dalszymi, czy też na nim podziemie się urywa. Nie wchodził tam

upominał Kubę Kłusak. Już dosyć na pierwszy raz.

Ale Kuba nie wytrzymał z ciekawości. Koniecznie chciał się przekonać, czy podziemie ciągnie się dalej. Przeszedł więc do dużego lochu, a za nim Śliwka. Inni chłopcy pozostali w poprzedniej piwnicy, stłoczeni u przejścia.

Kuba podniósł świecę i rozejrzał się. Na wprost dostrzegł czarną czeluść, a więc był tam dalszy loch.

W rogu dojrzał coś na kształt kręconych schodków murowanych, na poły zrujnowanych. Śliwka w paru susach był już przy nich i jął wspinać się na te schodki coraz wyżej i wyżej.

Co ty robisz? zawołał Kuba. Uważaj! Noga ci się obsunie, albo cegła się wykruszy i spadniesz! To nie grusza, żebyś się tam wspinał!

Śliwka jednakże stanął już na murowanym występie stanowiącym rodzaj balkonu.

Poświeć no zawołał z góry.

Kuba podszedł bliżej i uniósł świecę, ile zdołał.

Co tam widzisz? zapytał.

Tu jest takie zagłębienie, jakby okienko, od biedy przesunąłbym się na drugą stronę. Ale trochę się boję, nie wiem, co tam jest. Wróć, Antek! - nalegał Kuba.

Złaz już! Śliwce widać było zał opuścić ciekawe miejsce, bo wsunął rękę do okienka jak mógł najgłębiej i macał.

- Pełno gruzu – mruknął.

Wtem wyciągnął rękę i krzyknął podniecony:

Kuba! Znalazłem coś! Co? Jakąś puszczkę!

Złaz zaraz, otworzymy razem! Śliwka zszedł po wykruszonych schodach zręcznie jak kot. Pozostali chłopcy usłyszeli okrzyk Kuby. Nie wytrzymali z ciekawości, po chwili wszyscy byli już w dużym lochu.

Kuba miał w ręku puszkę metalową w kształcie krótkiej rurki i mocował się z nią, żeby otworzyć. Śliwka trzymał świecę.

Nie puszcza, wieczko widać się zastało powiedział Kuba. Albo rdza nie daje.

- Daj potrzymać - prosił Opiekun. Ja tylko chcę zobaczyć, jaka ona jest ciężka. Wziął puszkę z rąk Kuby i zaczął nią potrząsać.

Całkiem lekka i nic w niej nie klekocze – stwierdził rozczarowany.

Może tam nic nie ma? Jakby nic nie było, to by nie chowali — mruknął Milczek.

A jeżeli tam jest proch? Jeżeli ta puszka wybuchnie? zastanawiał się Szczupak.

- Nie wybuchnie, bądź spokojny - odparł Kuba. Jest taka lekka, jakby w niej było co najwyżej pierze. No, chłopaki, chodźmy już.

Po chwili cała usmarowana piątka po kolei wyłaziła z otworu. Mrużyli przy tym śmiesznie oczy, oślepione blaskiem

- Tak długo was nie było, żeśmy się już bali — powiedział Żubr.

Kuba pokazał puszkę. - Patrzcie, co Śliwka znalazł.

Chłopcy rzucili się oglądać, każdy usiłował puszkę otworzyć, nawet Żubr nie dał rady. - To jak będzie? zastanawiali się.

Trzeba rozbić kamieniem.

- Ani mi się ważcie! - krzyknął Kuba. Nie wiadomo, co tam jest, mogłoby się zepsuć! U ojca w warsztacie otworzę, to nie sztuka, tylko trzeba mieć narzędzia.

Pilno im było dowiedzieć się, co jest w puszcze, ale nie mogli wrócić od razu do domu, trzeba było najpierw doprowadzić się do porządku. Ślady czołgania się ciasnym przejściem pozostały przede wszystkim na łokciach, kolanach i plecach, niektórzy mieli także włosy umazane.

Druga piątka naciągnęła portki i postanowili pójść do rzeki. Należało się śpieszyć, żeby przed wieczorem nie tylko obmyć siebie, ale również wyprać i choć trochę przesuszyć odzież tych, co szli pierwsi. Wiedzieli, że i tak z matkami będzie przeprawa, kiedy wyprasowane niedzielne koszule wrócą zmięte. Niechże przynajmniej nie będą zbrukane.

Szli więc szybko lasem, najpierw od debry nieco w górę, później, gdy wyszli na grzbiet wzgórza, ścieżką gęsiego. Nie zatrzymywali się nawet wtedy, gdy po drodze nęciły poziomki lub maliny,

Chcieli wykąpać się w miejscu odludnym, żeby cała wyprawa pozostała w tajemnicy. Znali takie miejsce za Sadami, gdzie Kalinówka poza jeziorem wiła się między olszyną, obrośnięta tatarakiem. Dno niezbyt muliste pozwalało pływać i nurkować.

- A jak z pływaniem zagadnął Kuba Szczupaka. Uczysz chłopców, jak obiecałeś?

Uczę, Chomik już nawet coś niecoś potrafi. Kłopot mam tylko z Kisielińskimi, bo mało kiedy przychodzą.

Od nas dalej - tłumaczył Pirożek. Chłopcy wypławili się, wyprali wspólnymi siłami płótnianki i rozwiesiwszy je w słońcu na gałęziach, grzali się leżąc nad brzegiem rzeki. Puszka spoczywała między nimi na honorowym miejscu.

Tak sobie myślałem, jakeśmy szli do debry, żeśmy powinni mieć jakiś znak, po którym byśmy się rozpoznawali powiedział Kuba. Jaki znak?

spytał Chomik. – No, na przykład przyjdzie jeden do drugiego z ważną sprawą i nie zastanie go. Chciałby mu zostawić wiadomość, że był, ale tak, żeby tylko ten jeden dowiedział się o tym, inni nie. Przecież mogłoby się zdarzyć, że dookoła są wrogowie. Albo nawet nie wrogowie, tylko tacy ludzie, przed którymi mamy tajemnice. Więc mógłby ten, co był, zostawić po sobie jakiś znak.

Chłopcom wydało się to słuszne. Zaczęli rozważać, co by to był za znak. Powinno być coś zwyczajnego, co nie zwróci uwagi obcych, a jednak nie spotyka się tego na każdym kroku.

Liść? Nie, bo liście więdną, zresztą w zimie ich nie będzie. Kamyk albo patyk? Na stole czy na łóżku dadzą się zauważyć. Ale spróbujcie położyć je na ziemi, wtedy ten człowiek, dla kogo są przeznaczone, może nie zwrócić na nie uwagi. Kamyków i patyków spotyka się tyle, że nie będzie wiedział, czy ktoś podłożył je umyślnie, czy znalazły się tam przypadkiem.

Żołędziowa miseczka odezwał się nagle Milczek, który dotąd nie zabierał głosu.

Pomysł był dobry. Kilka żołędziowych miseczek nie trudno mieć zawsze w kieszeni. Nikt obcy na nie się nie złakomi, a dadzą się zauważyć.

Jak byłem mały, to myślałem, że żołędziowe miseczki to są tarcze wojska skrzatów powiedział Śliwka.

Będziemy wojskiem Dębowych Tarcz roześmiał się Kuba. - No, a teraz kto się musi suszyć, niech się suszy, ja pójdę tymczasem do domu i spróbuję otworzyć puszkę.

Pójdę z tobą, bo ja ją znalazłem zawołał Śliwka.

Doskonale. Kto chce, niech idzie, powiem, co znalazłem. Jeżeli nie będzie nikogo w warsztacie, to zaraz puszkę otworzę. Zaczekacie koło mostu, nad jeziorem, tam pogadamy swobodnie.

Opiekun i Szczupak poszli z Kubą. Podwórzec na Zamczysku był pusty, mieszkanie także, tylko z komina kuchni ulatywał niebieskawy dymek — znak, że matka gotuje wiecezrę.

Kuba zdjął klucz z kołka i wszedł do warsztatu niedostrzeżony. Puskę otworzył bez trudu. Wewnątrz znalazł jakiś papier. Rozłożył go na warsztacie. Papier był pożółkły, atrament wyblakły, mimo to widać było. wyraźnie jakiś rysunek. Były tam kreski proste i ukośne, czasem kółko lub

strzałka, przy nich napisy. Tylko kształt liter był jakiś staroświecki, Kuba nie bardzo umiał sobie z nimi poradzić.

Na górze dużymi literami wykaligrafowano: „EXITUS” niezrozumiałe słowo, chyba łacińskie. Poniżej z trudem Kuba odczytał dalszy ciąg pisany po polsku:

„podług prawdziwego położenia R.P. 1618 na Mappie pokazany”.

Co to może być ten EXITUS zastanawiał się Kuba. Dalej napisano dziwacznymi, drobnymi literkami coś, czego nie mógł odczytać.

Zwinął papier starannie, wsunął go do puszeki i puszkę schował w zanadrzu.

Wychodząc zamknął za sobą warsztat, po czym wrócił do mieszkania, powiesił klucz na kołku i chciał pójść do chłopaków na umówione miejsce.

Zaledwie przestąpił próg mieszkania, natknął się na Michałka.

Michałko stał na podwórzu z rękami w kieszeniach, wyglądało na to, że czekał tu na Kubę. Spoglądał na niego z góry, bo starszy był o dwa lata i wyższy o pół głowy.

Kuba czuł, że Michałko szuka zaczepki. Wiedział, że kiedyś musi dojść do rozprawy między nimi, ale wolałby jej uniknąć teraz, gdy miał przy sobie cenną puszkę.

Udał, że nie widzi Michałka i próbował skrócić od razu w prawo ku grobli. Tamten jednakże zrobił dwa kroki i zagroził Kubie drogę.

Czego chcesz ode mnie? spytał Kuba starając się zachować spokój. Ja nie mam do ciebie żadnej sprawy.

Nie masz żadnej sprawy do mnie, Kubusiu? przedrzeźniał tamten. A ja mam do ciebie sprawę, Kubusiu.

Gadaj, o co ci chodzi!

To ty gadaj, po co byłeś sam jeden w warsztacie i co tam ukradłeś!

Tego było nadto. Kuba zamierzył się i byłby uderzył Michałka, ale tamten chwycił go za garść i nachylając złe oczy ku jego twarzy, wycodził:

Jeżeli chcesz być żyw, to ci radzę, żebyś się nie wtrącał do nie swoich spraw, rozumiesz, szpiegu jeden?

Drugą ręką uderzył Kubę w pierś. Kułak jego trafił w puszkę. Michałko puścił Kubę, ale jednocześnie przyparł go do muru i ryknął:

Pokaż, co tam masz!

Niewiele myśląc Kuba błyskawicznie pchnął go z całej siły prawym ramieniem, a jednocześnie wsunawszy lewą nogę między kolana przeciwnika podciął jego prawą nogę. Michałko się zachwiał.

Tej jednej chwili wystarczyło, by Kuba wyrwał w bok i zemknął. Biegać umiał szybciej niż Michałko i nie bał się jego pogoni.

Znalazłszy się na grobli Kuba spojrzął za siebie, a widząc, że nie jest ścigany, przestał biec. Szybkiem, ale spokojnym krokiem poszedł groblą w stronę mostu.

Został sześciu chłopaków. Oprócz Opiekuna, Szczupaka i Śliwki czekali tam Żubr, Kłusak i Krzesiwko.

Wyschliście? spytał Kuba. Nie całkiem, ale prawie – odparł Krzesiwko.

Tamci nie przyjdą? - Kisielińscy poszli do domu, a Chomik powiedział, że jest głodny i że dowie się jutro. No i co z puszką?

Otworzyłem.

Otworzyłeś? Pokaż! Co w niej było? chłopcy stłoczyli się dookoła Kubę.

Czekajcie, odsuńcie się trochę, bo rozdepczecie mapę.

- Jaką mapę? dopytywali się chłopcy, jeszcze bardziej rozgorączkowani. Gdy Kuba wyjął i rozwinął plan, rozszedł się szmer:

Co to jest? Co tu napisane? Co to za rysunek? Kuba przyznał, że nie wie. Ale ponieważ mapkę znaleźli w lochu, może się okazać, że jest to plan podziemi. To by było wspaniałe, no nie?

Co do napisu, jest tam u góry jakiś wyraz łaciński, bez którego nie sposób dorozumieć się znaczenia całości. Tego, co jest na dole, nie można przeczytać wcale.

Zaczęli się naradzać, co robić dalej. Trzeba by iść po radę, ale do kogoś takiego, kto umiałby dochować tajemnicy. Wybór padł na księdza Pieszkę, który dobrze znał łacinę.

Nieszpory skończyły się już dawno i moment wydawał się odpowiedni. Stara Agata, gospodyni proboszcza, pomrukiwała wprawdzie, że jegomość dość się napracował od rana i należy mu się odpoczynek, ale kto by wstrzymał gromadę chłopaków. Zresztą ksiądz Pieszko, który przechadzał się z brewiarzem po ogródku, dostrzegł ich przez płot i zaprosił na ganek. Kuba zapytał wszakże, czy ksiądz dobrodziej nie zgodziłby się porozmawiać z nimi na osobności.

- A no, proszę, mili moi odparł proboszcz wejdźcież tedy do izby, czemu nie, pogadamy sobie. Najpierw powiedzcie mi, barankowie, czy nie wiecie, kto by u nas miał pawia. Bo to w waszym wieku każde miejsce się spenetruje, mociumdzieju. Wszystko się wie, gdzie i co. Wiecież co o pawiu?

Zafrasowali się. Większość nigdy pawia nie widziała i wiedzieli tylko tyle, że ani pawia, ani pawicy, ani nawet pawiego jaja nie znajdzie nikt w Skierbieszowie i okolicy. Ciekawa rzecz, na co proboszczowi potrzebny paw? Widząc ich zdziwienie ksiądz Pieszko wytłumaczył:

Kłopot mam okrutny, mili moi, bo zapowiedział się Jego Ekscelencja ksiądz biskup z Chełma. Woli tu przyjechać na odpoczynek aniżeli do innych folwarków biskupich i nie dziwota, bo nasz Skierbieszówek piękny jest jak jabłuszko. Ale, ale, chcecie jabłek?

Podsunał im pełną misę i usiadłszy za stołem ciągnął dalej:

Jego Eksceleńcja zamieszka we dworze, u państwa Mokosiejów, niechaj więc oni się martwią o to, żeby miał wygodę odpowiednią godności i wiekowi. Ale i ja będę musiał choć raz wystąpić z obiadkiem, więc się frasuję, mociumdzieju, czym podejmę taką personę. Swojego czasu, jak byłem dopiero wikarym, ksiądz dziekan podał na proszony obiad pawia, którego był tak misternie upieczony, że nie tylko dumnie wznosił łebek, ale cały ogon mienił się nad nim na kształt wachlarza. „Pamiętaj”, powiedział mi wtedy dobrodziej, „że jakby ci wypadło ugościć personata, nie ma to jak paw”. Ale skąd go wziąć, tego pawia? Gospodarstwo mam jak u chłopka, pół łana za ledwie, z tacowego żyje organista i łąta potrzeby kościelne. Zresztą i czasu nie mam, żeby myśleć o frykasach, parafianie mili siarczyście tu grzeszą i długo się potem spowiadają. Skąd mam wziąć pawia, niech mi kto powie.

Proszę dobrodzieja — ozwał się Kuba nieśmiało - może by się poradzić pani Starej? Ona chyba znajdzie sposób na pawia, a jak nie, to może wymyśli inny nie mniej godny traktament.

A wiesz, kochasiu, że to rada wcale, wcale. Widzę, że główkę masz nie od parady. Poradzić się pani Starej... no, no, niech będzie. Toś mnie wybawił z kłopotu. Teraz gadaj, z czymieście przyszli.

To wielka tajemnica, proszę dobrodzieja, nie powie jegomość nikomu?

Nie powiem, nie. Że też mnie samemu nie przyszła do głowy pani Stara, mociumdzieju...

Kuba wyjął puszkę z zanadrza i położył ją na stole. Nie powiedział, skąd ją mają, tylko przyznał się, że jest znaleźna. Proboszcz z zaciekawieniem rozłożył plan, a ponieważ ten się zwijał, obciążył go z jednego brzegu buteleczką z inkaustem, z drugiego zaś jabłkiem i jął studiować rysunek.

- Co znaczy to słowo, proszę księdza proboszcza, o tu? – dopytywał się Kuba, wskazując łaciński tytuł niezbyt czystym palcem.

EXITUS znaczy wyjście, kochasiu. A z czego wyjście? Człowiek jakiś wyrysował labiryntus gwoli uciechy, a może w poważniejszej intencji, kto go wie. Może nie ma już na świecie tego człowieka, boć data wskazuje, że prawie czterdzieści lat minęło od tamtej pory. „R. P.” znaczy „Roku Pańskiego”. Byłem wówczas młodzikiem jeszcze, ale pamiętam ten rok, bo wszak ci to właśnie w tysięcznym sześćsetnym osiemnastym roku dwa razy napadli na Polskę Tatarzy.

A tu w dole co stoi wypisane, proszę księdza dobrodzieja?

Czekajcie, barankowie, oczy mam już nie te co dawniej - odparł ksiądz Pieszko i jął czytać powoli:

„Kto by kolwiek tajemnicę mapy niniejszey zdradziwszy, wyiawił komu nie bacząc iż ani calamitas ani periculum mortis nie zagraża takowego zdrajcę niechay fulgur z nieba porazi niechay go czarna śmierć zgładzi niechay takowego zatopią elationes maris. Bacz tedy człowieku abyś pod pieczęcią milczenia tajemnicę onę zachował”.

Co to znaczy, proszę dobrodzieja? – pytali chłopcy przestraszeni. Co tu napisano? Bo my nic nie rozumiemy.

– Więc posłuchajcie – odparł proboszcz. Powiem wam to samo takimi słowy, żebyście zrozumieli. „Kto zdradzi tajemnicę tej mapy i wyiawi ją komuś, chociaż nie będzie to konieczne z powodu jakiejś grożącej klęski lub niebezpieczeństwa śmierci, niech takiego człowieka piorun trafi, niech

go zabije morowa zaraza, niech go zaleją wody wzburzone i zatopią. Pilnuj się więc, człowieku, żebyś zachował przy sobie tę tajemnicę i milczał!".

Chłopcy popatrzyli po sobie. Kuba odchrząknął i spytał:

- Proszę księdza dobrodzieja, czy to wszystko może się stać?

Może, ale nie musi, boć los każdego z nas zależy od Boga, a choćby ktoś życzył nam śmierci, bez bożego przyzwolenia włos nam z głowy nie spadnie. Wszelako tajemnica niech będzie tajemnicą, bez potrzeby nie trza jej wyjawiać. Bo skoro ktoś powierzył wam swą tajemnicę, to jakby dał wam swój skarb na przechowanie. Ja też nikomu nie powiem o tej mapie, jako wam obiecałem. Ale pamiętajcie też, co stoi w owym piśmie, że jakby można sobie albo komu życie tym sposobem uratować, tedy należy mapą się posłużyć. Tylko jak?

Ksiądz zaczął oglądać plan jeszcze raz dokładniej.

- Popatrzcie no, chłopczkowie - powiedział. — Ta strzałka oznacza północ, a ta południe. Widzicie tu kółeczko? Jest przy nim napis: FORTALITIUM. To będzie chyba umocniony dwór skierbieszowski, bo kółko jest na północnym brzegu rzeki. Rzeka to ten wężyk niebieski.

Chłopcy śledzili za palcem księdza, ten zaś mówił dalej:

Na południowym brzegu rzeki widzicie krzyżyk, może on oznaczać kościół. A tu, na prawo od kościoła, duża niebieska plama i na niej białe kółko z napisem ARX. „Arx” znaczy po łacinie zameczek. Będzie to więc pewno nasze Zamczysko skierbieszowskie. Tylko nie rozumiem, co oznaczają te linijki, te jakby dróżki, co łączą poprzez rzekę zameczek z dworem, a dalej rozwidlają się i ciągną się aż het, po las. Krążyły dawniej gadki o jakowychś lochach pod fortalicją, wszelako lochy nie mogłyby sięgać tak daleko, więc musi to być coś innego, może ścieżki dawne i drogi, nie wiem.

Chłopcy znów popatrzyli po sobie, ale zmilczeli.

Ksiądz pokiwał głową, podumał, wreszcie mapę złożył i oddał ją Kubie.

- Schowajcie ten dokument starannie – powiedział na pożegnanie. Weźcie jeszcze po jednym jabłku i marsz do domu, bo już się ciemno robi. A tobie, Kubo Harbaraszu, dziękuję za radę w materii dla mnie kłopotliwej. Jeżeli się nie zbłąźnię moim obiadem przed jego ekscelencją księdzem biskupem, będzie w tym coś niecoś i twojej zasługi.

ROZDZIAŁ VII

PAN STOLNIK W OPALACH

Nazajutrz rano rotmistrz Bolestraszycki wszedł do warsztatu Harbarasza i zapytał:

- Czy nie pożyczylbyś mi waść Kuby na jeden dzień?

Kuba podniósł głowę znad prochownicy, przy której majstrował, i poczerwieniał z radości na propozycję wyprawy z rotmistrzem.

Trzeba mi jechać do Grabowca tłumaczył Bolestraszycki mam sprawę na zamku. Chcę prosić komendanta, żeby mi wypożyczył choć z dziesięć hakownic, bo swoich, jak waćpan wiesz, mamy za mało. Będzie już z pół roku, jak mi obiecali w Krasnymstawie dwa dziesiątki, ale czekaj tatka latka, choć urguję jak mogę. Jakby się udało wytargować w Grabowcu jeszcze tuzin muszkietów, to bym do nich ludzi tutejszych zwerbował i mielibyśmy mocniejszą obsadę. Komendant Węgleński w Grabowcu dostał ponoć przednie toruńskie muszkiety. Kuba mi się przyda, a pozna przy tym porucznika Węgleńskiego, to mąż wielce doświadczony i mężny.

Harbarasz zawahał się, bo roboty było sporo, ale wreszcie przystał.

Muszkiety zabierzemy na wóz — mówił rotmistrz

a po hakownice komendant Kuropatwa posłałby umyślnych. Jadłeś, chłopcze, śniadanie?

Jadł odparł Harbarasz. Poleć jeszcze, Kuba, do matki, żeby ci dała prowiant.

- W Grabowcu nas nakarmił powiedział rotmistrz ale owszem, jaka kromeczka przyda się na drogę.
- Nie trzeba - próbował Kuba oponować, lecz ojciec zmarszczył czoło i popatrzył na niego, więc Kuba poszedł, jak kazano.

Kłopot mam, wasza miłość ozwał się Harbarasz, kiedy został sam z rotmistrzem. Bo to Kubie już idzie na piętnasty rok, trzeba by go oddać z domu, niech uczy się między ludźmi. Żeby to były inne czasy, oddałbym go do Lwowa na naukę, a jakby podrósł, uderzyłbym w prośbę do Serebkowiczów, najpierwszych we Lwowie karawanbaszów, niechby go wzięli z sobą w daleką drogę. Ja sam, jakem miał lat osiemnaście, jeździłem pod Serebkowiczem, ojcem tych dwóch braci, co teraz prowadzą nasze ormiańskie karawany, aż do tureckiej stolicy.

Toś musiał waść użyć wszelakich emocji i kawał świata zwiedzić wtrącił rotmistrz zaciekawiony.

Ach, panie, co to była za podróż! Wyjechali my ze Lwowa przez Łyczakowskie przedmieście, potem traktem wołoskim na Złoczów, Kamieniec Podolski i Jassy, a dalej przez Adrianopol aż do Stambułu. Mieliśmy cały tabor wielkich najętych wozów, płaciło się furmanom od wagi towaru.

Słyszałem, że Ormianin starszy w obozie, czyli jak waść powiadasz, karawanbasza, zawsze być musi człowiek okrutnie obrotny i doświadczony.

- To się rozumie, przecież najbogatsi kupcy powierzają mu skarby, a jedzie się przez kraje niebezpieczne. Nasza karawana, na przykład, wiozła ze Stambułu dla jednego tylko kupca sto pięćdziesiąt najcenniejszych kobierców. A ile makat, ile pasów perskich złotolitych, ile bel jedwabiów i innych cennych materii, ile szafranu i korzennych przypraw wszelakich! Toteż byle kogo karawanbasza nie przyjmował do karawany, tylko samych ludzi walecznych a znanych z

uczciwości, była to jakby wyprawa wojenna. Nasza nacja to ma do siebie, że po całym świecie interesa prowadzi. Bywa tak, że teść we Lwowie, syn w Persji, brat na Krymie czy w Stambule, a zięć w Wenecji. Ale nasi lwowscy Ormianie już przeważnie zżyli się z Polską i za Polaków się uważają, tylko że podróże ich ciągną, zawód kupiecki tego wymaga, zaś Ormianin to albo rzemieślnik, albo kupiec, albo jedno i drugie razem. A nieraz staje się kimś na kształt posła, małoż to ważnych i sekretnych spraw nawet królowie taką drogą załatwiają.

- Języków od młodości uczycie się chyba przeróżnych?

Pewnie, że tak, i to nie tylko włoskiego, francuskiego czy niemieckiego, ale i wschodnich, którymi oprócz Greka i Ormianina prawie nikt u nas w Polsce nie włada. Ormianin musi znać także język turecki, tatarski, perski, arabski. A już koniecznie musi znać taki język wspólny, w którym wyrazy z różnych języków Wschodu przemieszano jakby w jednym worku z włoskimi. Oprócz znajomości języków, musi też Ormianin dobrze władać szablą, celnie strzelać, jeździć konno, czytać, pisać, rachować, a z tym wszystkim znać ludzi i obyczaje najprzeróżniejszych krajów. Próbowałem ja coś niecoś Kubie z tego wszystkiego tłumaczyć, czegoś go nauczyć, ale w tym zapadłym kącie mi nie idzie. To ja nie mam czasu, to on nie słucha, bo go to jeszcze nie obchodzi. Może przyjdzie taka chwila, kiedy sam przypomni sobie, że po mnie jest Ormianinem.

No, no, nie narzekaj waść obruszył się Bolestraszycki. Widzi mi się, że Kuba nie stracił tu czasu. Płatnerza jużście z niego zrobili lepszego niż niejeden czeladnik Konno jeździć i strzelać potrafi nie gorzej niż nasi dragoni. Chłopak jest przy tym bystry, odważny, zaradny i zdrow jak rydz. Czego waść chcesz więcej? Harbarasz pokiwał głową.

Panie rotmistrzu, jakbyś wasza miłość miał własnego syna, to byś wiedział, że każdy ojciec chce, żeby jego syn zaszedł dalej niż on sam. Tak więc i ja. Miałem w życiu pewne przeszkody, które kiedyś może wyznam waćpanu, i nie tak mi się wszystko złożyło, jak być mogło. Nie skarzę się, bo mi los zgotował za to inne szczęście. Nie odziedziczają po mnie dzieci majątku ani w roli, ani w mieszk, niechby go miały w głowie. I w sercu, mości Harbaraszu, i w sercu

dorzucił Bolestraszycki - a ten majątek Kuba już posiada.

Dzięki Bogu, panie rotmistrzu, bo to grunt. Ale sam waćpan wiesz, że grunt trzeba obsiać. Nie chciałbym, żeby Kuba wyszedł na rębajkę, jak to bywają, co to się zajmują do wojaczki temu, co lepszy żołąd obiecuje. Ani żeby całe życie w Skierbieszowie czy nawet w większym mieście pracował tylko dla chleba. Niech będzie, czym zechce i co Bóg da, ale co ma robić, niech robi jako mistrz w swoim fachu. To bym mu chciał zapewnić. Tylko jak wziąć się do rzeczy w naszych niespokojnych czasach? To jest właśnie moja troska. Krzych od Kubu młodszy o całych osiem lat, z im mamy jeszcze czas, ale Kuba...

W tym momencie Kuba wszedł do warsztatu i rozmowa się urwała.

Wasąg był długi, słomą wymoszczony, której wzięli dużo, aby się muszkiety nie obijały, gdyby je mieli wieźć. Rotmistrz zabrał też worki konopne, a na dno wasążka załadował mały antałek małmazji, który udało mu się utargować okazją w Zamościu. Wiedział, że jego przyjaciel, komendant Węgłęński, wielce jest na nią lasy.

„Przyjemniej darować, niżli dary przyjmować” mawiał rotmistrz, toteż pieniądze go się nie trzymały, ale przyjemności miał za to wiele, a także szczerych przyjaciół.

Ranek był pogodny, po obfitej rosie droga nie kurzyła, więc jechało im się nader przyjemnie. Kuba powoził.

Gdzieniedzie uprzętao jeszcze ostatnie owsy. Przed Hajownikami rotmistrz nagle wskazał palcem w lewo:

Patrz a przyglądaj się pilnie, jak owies tu sieką.

Ojej, kosami? zdziwił się Kuba. Przecież kosami żnie się tylko trawę, a zboże sierpem.

A no widzisz, taki jest nowy sposób. Tu jest folwarczek mały, ale Ratajski gospodaruje na nim nad podziw. Powiada, że niezadługo wszyscy sprzątać będą zboże kosami, a sierpy zostaną chyba dla kobiet, co są za słabe, żeby machać kosą. A no, zobaczymy.

I zagony tu szersze, nie takie wąziutkie jak u nas...

Bo tutaj w ogóle gospodarka inna. Chłopi tu czynszowi, chaty mają z kominami, nie zaś kurne. A drogi patrz, jakie równe.

Zaledwie jednak minęli lasek, zaraz zaczęły się jamy a wykroty takie, że Kuba nieraz był w kłopotcie, którądy wasąg przeprowadzić, żeby go nie wysypać. Raz nawet zaklął z cicha. Rotmistrz się zaśmiał.

Dobrze, że cię pani matka nie słyszała. Ależ bo Nietyxa wyrzuchiwał drogę jakby się bał najazdu nieprzyjaciela! Bo tu już nie grunta Ratajskiego, jeno hajownickie. Patrzaj: żyto u Nietyxów jeszcze w kopach stoi, deszcz je zalewa, pewno porosło. Nie ma komu zadbać. Właściciel bawi się w stolicy i wojażuje, a dzierżawca leń, chociaż taki kat na ludzi, że ostatnią kurę chłopu odbierze. Jego na polu nie widać, o niczym nie pomyśli, nie dba. Chłop głodny, słaby, robotnika za mało. A poskarżyć się chłopina nie ma komu ani gdzie się odwołać. Dzierżawca jak chce, tak robi.

Mijali nędzną wioskę, której kurne chałupy, przeważnie plecione z chrustu i gliną oblepione, krzywe były i ciasne, szerniałe strzechy mchem porosłe, płoty dziurawe – istny obraz nędzy. Na widok przejeżdżających dzieciaki brudne i obdarte uciekały ze strachu do chat. Pośrodku wsi musieli przejechać przez bajoro zajmujące cały środek drogi. Trafiały się chaty na pół rozwalone, rozgrodzone i puste.

Chyba tu zaraza wieś wyludniła powiedział Kuba.

Tak, zaraza tu gorsza była niż w Skierbieszowie, bo gdzie ludzie słabi i wygłodzeni, tam mór szaleje. Ale niektóre chaty opustoszały i dlatego, że wielu chłopów zbiegło. Co mieli robić, kiedy żaden sąd się za nimi nie ujmie? Gdzie trafi się pan poczciwy jak nasz Mokosiej, tam poniektóry chłop nawet się trochę do- robi. Ale jak się trafi zły, to chłop nie ma na niego sposobu.

Mijali kępę topoli i lip, za którymi krył się dwór hajownicki.

Sąsiedzi też mają z panem Nietyxą na pieńku powiedział Kuba. Sam słyszałem, jak pan podczaszy Ożga groził Nietyxie przez woźnego na jarmarku.

Podczaszy jest człowiek krewki, ale stolnik Nietyxa może najspokojniejszego przywieść do egzasperacji, wciąż się wadzi i procesuje. Wyroki zapadają przeciw niemu, ale co z tego, skoro nie ma komu ich wykonać.

Gdy wyjechali z gruntów hajownickich, droga poprawiła się nieco.

- Czas będzie popasać - powiedział rotmistrz. Ujechaliśmy przeszło pół drogi, niezadługo miniemy Skomorochy. Ze Skomorowskimi Nietyxa ponoć też się procesuje. Samych wrogów robi sobie dookoła - dziwił się Kuba.

Zatrzymali się na skraju drogi pod rozłożystym bukiem. Cień był już krótki, jako że zbliżało się południe. Kuba założył koniom na szyje torby z obrokiem, sami zaś usiedli na trawie i dobyli z kobiałki chleb z wędzonką i kwaśne ogórki.

Nie popasali długo, bo ze Skierbieszowa do Grabowca było niespełna dwie i pół mili drogi, więc i konie się nie zmęczyły, natomiast cięły je bąki. Załadowali się z powrotem na wasąg, Kuba dał znak lejcam i konie ruszyły posłusznie.

Wcale na nie bata nie trzeba, na te srokacze zauważył.

Bo imć pan Rafał Bolestraszycki sam je chował od źrebaka - odparł rotmistrz zadowolony muskając wąsa. Choć przyznam ci, że ja srokaczy nie lubię. Miałem, powiadam ci chłopcze, konia, jakem pod hetmanem Lanckorońskim służył... To był dopiero koń! Złotocisawej maści, noga wsiadana za pięcinę biała... Jak proch zwietrzył, a wziął pęd, to aż prychał i fukał z rankoru, a niósł! No i co? Wracal raz pode mną zhasany nocą, jakeśmy wycieczką nieprzyjaciela podchodzili. W lesie dół był haniebny, on się potknął, nogę złamał. Sam dostrzelić musiałem. Alem płakał. Nie wstydzę się, płakałem.

Rotmistrz pomilczał chwilę, potem machnął ręką i dokończył:

A te, cóż, wałachy niczego, ale ot, gospodarskie szłapaki, więcej nic.

Wyjechali z lasu na bagniste łąki i wnet ukazała im się twierdza. Kuba nie był tu jeszcze nigdy, więc patrzył zdziwiony, bowiem nie spodziewał się takich murów potężnych i baszt.

Tys myślał, że to taki gołębnik jak nasza fortalicja skierbieszowska? - zaśmiał się rotmistrz. - Pewnie, że Zamościowi grabowiecka twierdza nie dorówna, ale jakbym się miał bronić w Grabowcu albo w Krasnymstawie, dalibóg nie wiem, co bym wybrał. Tam położenie samo przez się obronniejsze, ale tu jakoś wszystko nader foremnie i poręcznie zbudowano. Coś ty się tak zapatrzył i zadumał?

- Bo tak sobie nieraz myślałem, panie rotmistrzu, że jakbym miał służyć w wojsku, to najbardziej bym chciał w fortecznej artylerii. Ale jeszcze bardziej to bym chciał fortece budować. Nie tylko fortece, kościoły i zamki też. Albo całe miasta, jako jest Zamość, żeby w nich później ludzie mieszkali.

Komendant Węgleński, mężczyzna w wieku rotmistrza, jeno że mniej sterany, tak się ucieszył na widok dawnego towarzysza broni, że aż ramiona roztworzył.

A toś mi radość sprawił, panie bracie kochany! zakrzyknął. Pójdź, niechże cię uściskam! Co cię do nas sprowadza?

Kiedy się wyściskali i rotmistrz wyłożył swoją sprawę, Węgleński powiedział:

Innemu bym nie dał broni, ale tobie muszę. Jeno mi rewers zostawisz, bo ja też wyliczyć się winienem. A także słowo dasz, że jakby cię wsparły te sknery marudne z Krasnegostawu, to mi

zaraz odeślesz, coś pożyczysz. Już to, przyznać muszę, imć Kuropatwa ma z ciebie wygodę, ma! Mogłeś po prawdzie osiąść tu w Grabowcu przy starym kompanie, zamiast zakopać się pośród skierbieszowskich wertepów.

Z pewnością tak bym uczynił, ale zważ, że jakem osiadł w Skierbieszowie, tyś siedział za Bugiem. A potem, jakeś tu nastal, trudno mi było opuścić starego Kuropatwę, któren mi serce w ciężkiej chwili okazał tłumaczył się Bolestraszycki Wiem, wiem, ale mi mrucho- odparł Węgleński. A to co za pacholik? - rzekł wskazując Kubę. Nie pacholik, jeno syn płatnerza naszego, niejakiemu Harbarasza, lwowskiego Ormianina.

- Mało podobny do Ormianina.

- Bo z matki Polki się rodzi. Ale żebyś zobaczył jego starszą siostrę i braciszka, to byś przyznał, że Ormianie wykapani.

- Ormianie to naród zdolny i obrotny powiedział Węgleński. Widziałeś w Zamościu Ormiańską ulicę, chłopcze?

Tak rozmawiając zasiedli do obiadu. Po obiedzie rotmistrz mrugnął na Kubę, a ten, znak zrozumiawszy, wstał żywo od stołu i po chwili przydźwigał antałek z małmazją.

- Przepijemy teraz do siebie, panie bracie powiedział rotmistrz. Nie chciałem ci zaraz po przyjeździe sunąć przed oczy tego specjału, żebyś snadź nie pomyślał, że chcę cię przekupić wedle owej broni, o którą prosiłem.

- Ani by mi to w głowie postało! wykrzyknął komendant.

- Chodź, bracie, do arsenału, wybierzemy muszkiety, a potem zasiądziemy spokojnie przy pucharkach.

Tak też zrobili.

Przy małmazji języki się rozwiązują, ani spostrzegli więc, kiedy słońce stoczyło się za bory.

Rotmistrz porwał się nagle z ławy.

Wieczór już, a tośmy się zagadali! zawołał. Kuba, leć po konie!

W mig zaprząg był gotów, że zaś muszkiety upakowano pierwej, więc zaledwie chwila minęła, a już wasąg wytoczył się po zwodzonym moście.

Konie wypoczęte i nakarmione niosły ich rażno, rotmistrz zaś, rozochocony przyjacielską pogawędką przy małmazji, pomrukiwał:

Własna stajnia wam pachnie, basałyki jedne! Stary człowiek jest jak koń, mnie też do własnego wyrka ciągnie. Jeno młody tęskni coraz to do nowego pastwiska... Uważałeś, Kuba, jakie mają działa w Grabowcu? Jeszcześ pewno takich wielkich nie widział.

Widziałem w Zamościu i we Lwowie jeszcze większe, jeno że z daleka, bo pan generał Arciszewski nie kazał dopuszczać do nich cywilów.

Pan generał Arciszewski to wielki mąż, ho, ho! Słyszałem ci ja o nim, słyszałem. W holenderskiej flocie dawniej służył i działami kierował, na wojennych okrętach zna się jak nikt u nas w Polsce. Ile arsenałów pobudował, jak artylerię koronną opatrzył! Przy nim by ci służyć, chłopcze, to byś wyszedł na ludzi. Tylko że to już człek stary, w wojnach zdrowie sterał. Mnie samemu żal, że pod nim nie służyłem. Kiedym się bił pod Beresteczkiem, to naszą artylerią nie on, tylko imć pan Przyjemski kierował.

Kuba nieraz słyszał od rotmistrza o bitwie pod Beresteczkiem, więc kiedy Bolestraszycki znów poruszył ulubiony temat, chłopak słuchał niezbyt uważnie, tym bardziej, że zmierzch zapadał, w lesie gęstniały ciemności i trzeba było mieć baczenie na drogę.

Gdy wyjechali na wielkie poręby, gdzie las był zniszczony dla wypalania potażu, Bolestraszycki westchnął.

Serce się kraje, kiedy się patrzy, ile to borów naszych idzie z dymem na te smoły a potaże! Magnaci się na tym bogacą, kupiectwo i zagranica także, a nasza Polska pustoszeje. Obcym się nie dziwię, że ich to nie boli, ale nasi? Sami winni rozumieć, co gotują synom i wnukom, którzy po nich spalone pustkowia dziedziczyć będą. Ale patrzaj no, chłopcze, co to się tak niebo rumieni? Albo mi w oczach miga na starość, albo pożar przed nami.

Tak, to łuna zawołał Kuba. Coś się pali, żeby nie Skierbieszów, bo w tej stronie.

- Wszyscy święci! — zakrzyknął rotmistrz. — Dawaj lejce, jam wprawniejszy, pojedziemy prędzej.

Pochwyił lejce i wasąg potoczył się szybko, podskakując na wybojach i korzeniach.

Las stał się gęstszy, trudniej było więc zdać sobie sprawę, jak wielki jest pożar i w jakim kierunku znajduje się główne jego ognisko, jednakże łuna barwiła już niebo nad ich głowami.

Wreszcie wyjechali z lasu. Teraz widzieli wyraźnie, że płonie dwór w Hajownikach. Wielkie drzewa parku rysowały się czarno na tle pożogi, płomienie strzelały nad nie wysoko strumieniami iskier.

Aż na skraj lasu dolatywał groźny szum pożaru, trzask walących się belek, okrzyki tłumu.

Wtem wśród tego hałasu rozległy się inne odgłosy, które z początku wydawały się niewiarygodne.

Strzelają? zastanowił się rotmistrz i wstrzymał rozbiegane konie.

Stanął niespokojne, strzygąc uszami i szarpiąc za uprząż.

Tak, strzelają odparł Kuba, który stanął w wasągu i starał się coś dojrzeć.

Co się dzieje? mówił rotmistrz gorączkowo. Szwedzi czy Kozacy? A może Tatarzy?

Droga wiodła prosto do płonącego dworu, oddalonego już tylko o kilkaset kroków. Rotmistrz chciał skręcić w bok, do lasu, który okalał wieś. Wtem doleciał ich płacz dziecka i czyjś lament. Od strony pożaru potykając się biegła kobieta z niemowlęciem na ręku. Gdy ich spostrzegła, przerażona skuliła się przy drodze.

Co to, w Hajownikach bitwa? - zapytał rotmistrz, a gdy nie odpowiedziała, powtórzył pytanie głośniejsze.

Panoczku, jam nie winna, ja nic nie wiem – jęczała wylękniona kobieta - ja swoje dziecko ratuję...

Łuna ponad dworem opadała nieco, za to rozjarzyła się w innym miejscu. Widać ogień przerzucił się na zabudowania folwarczne.

Ja przyjezdny, nic złego wam nie zrobię, kobieto uspokajał rotmistrz. Mówcie, co się tam dzieje? Nagle słowa jakby połały się z niej wraz z jękiem i płaczem.

To sąsiad zajechał naszego pana z ludźmi i z wozami. Stogi rozrzucałi, siano przewozili za kopce graniczne, tam ustawiali stogi z powrotem. No to nasz pan, jak pomiarkował co się dzieje, tak wyskoczył gankiem ze strzelbą i kazał służbie tamtych rozpędzać. Zanim ze służbą dobiegli na łąki, pan się obejrzał i zobaczył, że dwór się za nimi pali, i zawrócił. Ale tymczasem już wieś rzuciła się na dwór rabować rzeczy. Pan chciał ratować dobytek, no i w tym pomieszeniu ponoć ktoś dźgnął go widłami. Czy kto podpalił dwór, czy sam się zajął, ja nie wiem, ja na komornym. Cały mój dobytek mam tu w tym węzełku, co na plecach.

Gdzież wy tak uciekacie, kobieto? Zmarnujecie siebie i dziecko reflektował ją rotmistrz.

Za Tatarów, panie, ja tak z mężem w lesie, w jamie żyła do zimy.

A teraz gdzie wasz mąż? Lepiej było zostać z nim.

Mąż w ziemi, panie, jeszcze przed Gromniczną drzewo go w lesie przytłukło. Matkę mam w Sadach, u Baranów na komornym, może wielmożny pan zna Barana Stanisława.

To czegoż biegniecie nie do matki, tylko w przeciwną stronę?

Człowiek głowę traci... Tu do lasu bliżej... Aby tylko dziecko skryć... tam ogień i strzelać się wzięli...

Przysiądźcie się na wóz, o tam, z tyłu – komenderował rotmistrz. Podwiozę was, jadę przez Sady.

Tędy nie przejdziecie, panie.

Przejadę naokoło, lasem. Kobieta zrzuciła węzełek z pleców na dno wasąga, a sama nadspodziewanie zręcznie wgramoliła się razem z dzieckiem. Ruszyli. Skręcili zaraz w prawo i niebawem skrył ich las.

Do Hajownik nie mamy po co jechać mówił Bolestraszycki półgłosem do Kuby. — Cokolwiek się tam dzieje, nic nie pomożemy we dwóch, a jakby czern rozchwytała broń i na dodatek proch i kule, mogłoby być jeszcze gorzej, a nam przepadłyby muszkiety.

Taki przyszedł koniec na pana Nietyxę rozważał Kuba.

Dobrze, że chociaż nie ma żony ani dzieci, nie osierocił nikogo dodał rotmistrz.

To widać Oźga zrobił najazd.

Z pewnością Oźga, bo wiem, że odgrażał się i miał wyrok za sobą, tylko daremnie ubiegał o jego wykonanie.

Jechali teraz wolno, bo droga była haniebna, parę razy omal nie wywrócili się w ciemności. Raz wypadło im przejechać między drzewami przez takie wykroty i wyrwy, że Kuba z kobietą wyskoczyli oboje i podpierali wasąg, choć gdyby się wywrócił, mógłby ich przygnieść, tym bardziej, że bronią był obciążony.

Wreszcie, ominąwszy Hajowniki i nadłożywszy z pół mili drogi, wydostali się znów na gościniec.

Łuna tymczasem nie zmniejszyła się wcale za nimi, tylko przysłoniła ją las.

O Jezu, musi wieść się nasza teraz pali — jęknęła kobieta.

Niebawem zamajaczyły przed nimi pierwsze chaty Sadów.

- Powiedzcie, kiedy będziemy koło tej chałupy, gdzie mieszka wasza matka – powiedział rotmistrz. Na Sadach jest kilku Baranów.

Jego wołają Stanisław, to z tamtego skraju, od Skierbieszowa tłumaczyła kobieta. · Tylko, że psa musi spuścili...

Wieś, zwykle głucha i ciemna o tej porze, teraz nie spała. Ludzie gromadzili się na drodze i po opłotkach, z różnych stron dolatywały głosy, płacz dzieci, szczekanie psów, gęganie spłoszonych gęsi.

- Kto tam jedzie? - zawołał ktoś z bliska. Do Zamczyska odparł Bolestraszycki - my tamtejsi. A wy.

kto? A, to pan rotmistrz! Ja sołtys tutejszy, Węclawik. Co to się dzieje, panie rotmistrzu? Won do budy, Cygan - krzyknął na ujadającego kundla. – Wasza miłość z Hajownik jadą?

Z Grabowca, pożar objechaliśmy dookoła. Wieś się pali, czy dwór? Wpierw palił się dwór, teraz chyba wieś.

Bitwa tam, czy co? Bo będzie temu z godzinę, jak galopem bez wieś przejechał konno pan stolnik hajownicki samotrzeć. On jechał poprzód, a dwaj słudzy za nim, nie poznałem którzy, bo ciemno szkaradnie. Myślelim, że ich kto goni, ale nie.

Więc żyje pan stolnik! Mówiono, że zabit w tumultcie. To pan podczaszy Oźga najechał Hajowniki.

Tak i myślałem, panie rotmistrzu, przecież jeszcze na Kiliana pan Oźga kazał woźnemu odgrażać się hajownickiemu dzierzawcy. Wtedy, co to pani Mokosiejowa potem taki despekt Kuryle uczyniła.

Widzieliście, dokąd pojechał pan Nietyxa?

Nie, bo było ciemno. Ale chyba do dworu, bo jakby jechali do miasteczka, to by zadudniło na moście, a nie słyhać było.

Kobieta zlazła tymczasem z wozu i umocowawszy węzełek z rzeczami na plecach, wzięła dziecko i jęła dziękować rotmistrzowi, błogosławiąc go i wzywając wszelkich łask niebieskich.

Jedźmy dalej – powiedział rotmistrz i ruszyli. W Zamczysku też nikt nie kładł się dotąd spać, czekano powrotu rotmistrza. Chociaż noc zapadła, a łuna dogasała, nie podnoszono mostu łączącego fortalicję z groblą. Kiedy nareszcie wasąg się ukazał, otoczyli go wszyscy, nawet

komendant Kuropatwa wybiegł na podwórze tak rażno, jakby mu ze dwadzieścia lat ubyło. Pytaniom nie było końca, lunę oglądano już wszak od paru godzin.

Jedna tylko Harbaraszowa, przekonawszy się że Kuba wrócił zdrow i cały, odłożyła na później zaspokojenie ciekawości i poszła smażyć jajecnicę na słoninie, żeby nakarmić przybyłych.

ROZDZIAŁ VIII

SPRZYSIĘŻENIE

Chłopcy ukryci w zaroślach rozłożyli mapę na trawie.

Proboszcz mówił, że ta strzałka oznacza północ – powiedział Kuba.

Skąd się dowiesz, gdzie jest północ? dopytywał się Wiewiórka. Słońce już zaszło, to nie zmiarkujesz.

Ja i tak wiem. Jak się patrzy w niebo sprzed śpichlerza dworskiego, to północna gwiazda stoi het, nad Majdanem. Insze gwiazdy wschodzą i zachodzą, a ta północna wciąż w miejscu stoi. O tam, w tamtej stronie. Tata mi pokazał, jak ją znaleźć.

Można pomiarkować i wedle dworu na górze, bo dwór ma front prawie na południe. Wrotny powiada, że dwór patrzy na jedenastą godzinę. dodał Opiekun i roześmiał się.

- Jak to, na jedenastą godzinę? spytał Kuba zainteresowany.

Bo jak postawić dom całkiem na południe, to od tyłu słońce nigdy nie zajrzy. Więc kiedy panowie stawiają sobie dwory, to je coś niecoś wykręcają, żeby miały słońce przed sobą już o jedenastej godzinie. Wtedy i od tyłu też słońce zagląda choć na chwilkę.

Z tego wszystkiego wychodzi, że północ jest tam rzekł Kuba i wskazał grzbiet wzgórza nad Sadami, zwieńczony na cyplu pańską siedzibą. Proboszcz dobrze mówił, że kółko na mapie to dwór w ostrokole. Ale na mapie są trzy kółka - zauważył Szczupak. To te inne co mają znaczyć?

Nietrudno odczytać odparł Kuba. Pie są dwie gwiazdy z kółkami, a jedno kółko bez gwiazdy. Ciekawa zagadka, prawda? Ja myślę, że to jest tak: ta gwiazda z kółkiem, na północ od rzeki, to dwór z ostrokołem, a jednocześnie włącz do lochów. Kółko zrobiono trochę z boku, więc włącz jest chyba nie pod domem, tylko pod jedną z baszt. Druga gwiazda z kółkiem jest na południe i trochę na wschód od pierwszej, to Zamczysko z drugim włączem. A trzecie kółko, tam daleko w prawo, na wschód, i bez gwiazdy, to wylot lochów na Górnisze. Kreski z rozgałęzieniami pomiędzy kółkami to podziemne lochy. Jak wam się zdaje, czy dobrze się domyśliłem?

Chłopcy zakrzyknęli, że dobrze, świetnie, doskonale! Jeden tylko Milczek był zdania, że to się okaże, czy dobrze. Bo jeżeli dobrze, powinni odnaleźć jeszcze dwa wejścia do lochów.

Ciekawa rzecz, która to baszta zastanawiał się Chomik. W ostrokole są trzy baszty: jedna od podwórza, niedaleko samborza, druga od zachodu, naprzeciwko Zawody, zaś trzecia od strony rzeki. Trzeba wymiarkować, którą z nich oznacza kółko na mapie.

Pochylili się znowu nad planem. Przekonali się, że jeżeli cały domysł był trafny, w takim razie kółko oznaczało wieżę graniczącą z podwórzem gospodarczym, tak zwaną przez wrotnego Gelazynekę.

Wrotny Srokowski ponadawał bowiem basztom nazwy. Tę od Zawody nazwał Dziobatą, bo miała hełm przypominający wzniesiony w niebo ptasi dziób. O południowej mówił: Różana, bo u jej stóp były kwietne rabaty. Trzecią zaś, najpotężniejszą, nazwał Gelazyneką, na pamiątkę sławnej Gelazyнки lwowskiej, gdzie w lochu ratuszowym znajdowało się najsrozsze z więzień miasta.

W baszcie Dziobatej, a także w Różanej, która była ze wszystkich najwyższa, założono w górnych izdebkach czatownie, gdzie w niespokojnych czasach przez całą noc czuwało po dwóch chłopków. Na zmianę dęli w piszczałki albo przyśpiewywali na znak czujności, że zaś wesoło im tam nie było, więc i dźwięki z obu baszt dobywały się nocą żałośliwe. W Różanej baszcie prócz tego przechowywano na dole narzędzia ogrodnicze, zaś w Dziobatej była izdebka dla przejezdnych. Zapas broni wrotny przechowywał pod własnym okiem w samborzu, gdzie okna były tak samo opatrzone kratami jak we wszystkich trzech basztach, a klucze miał w swoim ręku.

Jednakże o ile do baszt Różanej i Dziobatej, już choćby z uwagi na służbę w czatowni, imć pan Jacenty Srokowski wpuszczał czasami postronnych, to całego wnętrza Gelazynki nikt nie widział od wielu lat oprócz niego oraz pana Achacego Mokosieja, któremu jako dzierżawcy folwarku wstęp należał się wszędzie. Wiedziano tylko o małej celce, do której wiodły w lewo od wejścia okute drzwi zamykane na osobne wrzeciędzie, zdarzało się bowiem czasami, że kogoś w tej celi zamknięto, zanim go przekazano sądowi gminnemu lub w cięższych sprawach - grodzkiemu.

Co więcej mieściło się w Gelazynce, o tym chodziły tylko słuchy. Najprawdopodobniejsza wydawała się ludzom pogłoska, wedle której nie dało nic się tam przechowywać, ponieważ oprócz goszczących w Gelazynce przestępców zamieszkały w niej na stałe duchy.

Z tej to Gelazynki - mówiono - wytaczała się sławna beczka, wróżąca bądź szczęście, bądź śmierć. W okienku górnej izby Gelazynki ukazuje się kobieta w śmiertelnej koszuli, kiedy ma nadejść zaraza. Na szczycie Gelazynki najchętniej siadają puszczyki, pod nią najbujniej krzewi się trujący szaleń i wytepić się nie daje, lecz co roku odrasta na nowo. Choćby nikogo w więzieniu nie było, jeśli kto mija Gelazynkę, snadnie usłyszeć może brzęk jakoby łańcuchów albo sprzętów przesuwanie.

Dziwną natomiast pobłażliwość okazują duchy zamkniętym w celi przestępcom, bo nie molestują ich żadnym sposobem ani się nad nimi nie znęcają. Różnie sobie to ludzie tłumaczą.

Wszystko to przypomniwały sobie Dębowe Tarcze i strach je obleciał. Jak można myśleć o poszukiwaniach w tak strasznym miejscu?

Kuba czuł, że nie należy nikomu wyznaczać takiego zadania, chyba że ktoś zgłosi się na ochotnika.

Zastanawiał się chwilę, po czym zwrócił się do Chomika i Opiekuna.

Wy dwaj mieszkacie z dworską czeladzią, więc musicie wiedzieć, czy jest jakiś sposób na to, żeby dostać się do Gelazynki.

Obaj stwierdzili zgodnie, że takiego sposobu nie ma. Żadna baszta nie jest tak obronna i żadnej imć pan Srokowski nie strzeże tak pilnie, nie mówiąc o duchach.

To źle powiedział Kuba. Nie ma tam okna, strzelnicy, nic?

Okna są, ale zamknięte i zakratowane żelazem. Strzelnice owszem, są otwarte, trzy od podwórza i trzy od domu, ale takie wąskie, że chyba najwyższy kot mógłby się tam wśliznąć, gdyby miał po co.

Widziałem te strzelnice powiedział Śliwka. Ja bym tamtędy się zmieścił. Tylko że strach...

Zapadło milczenie. Trudno było znieść nawet myśl o tym, że ktoś mógłby wleźć w pojedynekę do wieży duchów.

- Trzeba by to sobie obejrzeć - powiedział Kuba. - Wtedy pomyślimy, co robić dalej. Tylko że dzisiaj jest za późno.

W tym sęk, że wciąż jest jakaś robota - odparł Żubr.

Oprócz niedzieli nie możemy nigdy zejść się wszyscy razem, zawsze niektórych brak.

Trudno, musi tak być, przynajmniej do zimy. Więc jak będzie? Poczekamy do niedzieli, czy też kto może, ten przyjdzie wcześniej? Mnie się zdaje, że za długo czekać nie warto. Lochy to strasznie ważna sprawa. Czasem aż się boję, że to wszystko zależy od nas. Żeby tak można pomówić z rotmistrzem, albo z panem Maciejem, albo z moim ojcem...

- Kuba, co ty! — przerwał Krzesiwko i ciągnął dalej uroczyście wytężając swój dziecienny jeszcze głos: „zdrajcę niechaj piorun porazi, niechaj go czarna śmierć zniszczy, niechaj go zaleją wody wzburzone”. Pamiętasz?

Pamiętam i nikomu nie mówię. Ale żałuję, że nie można.

Co będzie, jak Szwedzi tu nadejdą, a my nie będziemy jeszcze wiedzieć dokładnie o lochach? Przecie w tę niedzielę będzie już dwa tygodnie, jakeśmy z proboszczem gadali. Październik się zaczyna, a my nic rozpamiętywał Szczupak. - Szwedzi łupią... Kuba westchnął.

Tak, łupią. Na zamku w Warszawie to ponoć nawet złocenia pozeskrobywali i zabrali, drzewi rzeźbione powyjmowali, okna ze szkłem wydłubali, powyrywali marmurowe posadzki. Wszystko spławiają do Szwecji albo wysyłają do Niemiec.

Po co do Niemiec? spytał Pierożek zdziwiony.

To nie wiesz, że w ich wojsku więcej jest Niemców niż Szwedów, a ich król z ojca Niemca się urodził?

Oni teraz nie dowożą już nawet wojska ze Szwecji, tylko raz po raz zaciągi robią w Niemczech, Z nas łupią pieniądze, a do Niemiec wysyłają, żeby za to żołnierzy przeciwko nam werbować.

To ci łotry! A ty skąd wiesz?

Od rotmistrza Bolestraszyckiego. Oficerów mają Niemców, szeregowych Niemców, że już i nie wiadomo, z kim wojna, ze Szwedami, czy z Niemcami. A w Warszawie, jak kto chce iść do kościoła, to oni każą za to sobie zapłacić. Nawet ksiądz musi się im opłacić, jak ma mszę odprawić.

Chłopcy zamilkli. To się nie chciało w głowie pomieścić.

W Wilnie - ciągnął Kuba — rotmistrz opowiadał, że znów niszczą i grabią wojska moskiewskiego cara. Ponoć wyrznęli więcej jak piętnaście tysięcy ludzi, a i dzieci porwali do siebie. Wybili wszystkich dominikanów do jednego. Miasto się paliło więcej jak pół miesiąca. A ci ludzie, co ocaleli, rozbiegli się po lasach i błotach.

To już nie wiadomo, kto gorszy nieprzyjaciół powiedział Żubr.

A nie wiadomo. Szwedzi z Niemcami pospołu to tak ludzi ze wszystkiego obdarli, że powiedzieć trudno. Widać są łasi na żelazo, bo gdzie przeszli, tam nie zostawili różna do pieczenia, siekiery do

rańbania. Zresztą oni na wszystko są łasi, na księgi, na obrazy, na kobierce, na pomniki. A ile zjeść potrafią! To nie do wiary.

Jakby lochy były gotowe, to by się w nich można schować. Cały Skierbieszów by się w nich zmieścił zastanawiał się Krzesiwko. Ale Kuba go zreflektował.

Cały Skierbieszów nie, bo Szwedzi by się zmiarkowali, wleźliby do lochów i wszystkich by wybili. Kogo tam będzie można wpuścić, to się jeszcze okaże. Grunt, żeby jak najprędzej znaleźć te wyjścia.

No to kiedy się spotykamy, chłopaki?

Najlepiej jutro wieczorem, niech przyjdzie, kto może. Ale nie tu, tylko za groblę, żeby bliżej było na podwórze - powiedział Kuba. – Zgoda?

- A ja myślę, że nie trzeba iść na podwórze całą gromadą odparł Śliwka. – Jak ja pójde z Kubą i z jednym z tych, co tam mieszkają, to wystarczy. Reszta niech poczeka na dole przy grobli. Bo im więcej nas się zejdzie, tym trudniej będzie tak się dostać do baszty, żeby nie złapali.

- Ale ja z tobą, Śliwuniu – napraszał się Krzesiwko. — Gdzie ty się przecisniesz, tam i ja. We dwóch będzie nam ździebko różniej, no nie?

Na tym się rozeszli.

Nazajutrz o tej samej porze spotkali się w umówionym miejscu, ale nie wszyscy. Brakowało Szczupaka, Chomika, a także braci Kisielińskich.

Na górę poszli z Kubą: Śliwka, Opiekun i Krzesiwko. Szli wolno, baraszkowali po drodze, jakby nigdy nic.

Kłusak, Żubr i Wiewiórka zostali nad groblą.

Pan Jacenty Srokowski, który siedział przed samborzem na ławie, o ścianę modrzewiową wsparty, spojrzął na nich z roztargnieniem i nawet się nie zainteresował, czego tu szukają.

Co prawda inny temat go zaprzętał, bowiem wszczął właśnie ciekawą rozmowę z panią Baczyńską, która wracała z sadu niosąc jabłka w koszyku.

Masz waść smak na jabłko, panie Jacenty? spytała przystając obok ławki.

Pan Jacenty przymrużył jedno oko i odpowiedział pytaniem na pytanie:

Jak asińdzkę zowią? Bo ja dotąd myślałem, że Paulina, aż tu się okazuje, że chyba Ewa. Tylko że ja nie Adam, na jabłka łasy nie jestem.

- Że też waści ten srokaty język do podniebienia nie przyrośnie!

- Musi być srokaty, kiedym Srokowski. Nieboszczyk mąż jejmości też musiał mieć język nie od parady, żeby językowi żony placu dotrzymać.

No, no, tylko mojego męża niech mi waść nie zaczepia! Był krzywkę chuderlawy, ale za to umiał czytać, nie to co waszmość, któren ukształcenia nie posiadasz.

Pewno to umiał jeno czytać, co mu zajęce na śniegu pisały. Kiedy jejmości tak dobrze było z mężem, to czemuś asińdzka wdowieństwo zaprzysięgła? Mogłabyś godnego poszukać, póki jeszcze czas.

W Skierbieszowie godnych nie widzę, a daleko szukać nie mam życzenia. Asan też wolisz stan kawalerski niżeli żeniaczkę.

Pewno, że wolę. Jeść mi aśćka i tak dać musisz, bo jestem we dworze na stołowaniu, koszulę mi Kaśka czy Maryśka wypierze, a kłopotu i ekspensów nie mam. Jestem wolny jako ta ptaszyna.

Jaka tam ptaszyna! Jakeś waść Srokowski, a Jastrzębcem się pieczętujesz, toś nie ptaszyna, tylko zgoła dwa ptaki z waszmości. Aż mi czasem dziwno, skąd się taka ptaszarnia w tym Skierbieszowie rozpleniła. Rękodajny imć pana Mokosieja Sikorski herbu Cietrzew, to z waćpanem już cztery ptaki. A na Zamczysku komendant Kuropatwa, Jastrzębczyk jako i waść, to już ptaków sześć. Tylko żeś waćpan bezpieczniejszy od komendanta, jako że nigdy nie słyszano, ażeby jastrzębie polowały na sroki, podczas kiedy na kuropatwy srodze są zawzięte. Dobrej nocy waćpanu!

Pani Stara obróciła się na pięcie i odeszła w stronę kuchni, furkocząc nakrochmaloną spódnicą.

Na takie dictum pan Jacenty zapomniał języka w gębie, co mu się rzadko zdarzało i siedział chwilę z oczyma w słup, rozważając co jejmość Baczyńska powiedziec przez to chciała. Potem głową pokiwał i mruknął:

Przedziwnego obrotu kobieta... Oparł na kolanach dłonie z rozcapierzonymi palcami i medytował jeszcze chwilę z głową opartą o ścianę. Przymknął oczy, opadła mu broda pod białym wąsem i coś majaczyć mu się zaczęło pod brzęczenie pszczoł nad kwitnącą w pobliżu rabatką.

Wtem otrząsnął się z napływającej na niego drzemki i oprzytomniawszy od razu, rozejrzał się dookoła.

Wszakże niedawno jakieś urwisy się tu kręciły. Był z nimi Staszek, syn owczarza Sebastyjana, to on pewno naprowadził tamtych trzech. Gdzie oni się podzieli? Takie chłopaki bywają psotne, pewno już gruszki albo jabłka trzęsą w sadzie. Staszek Szafarski spryciarz do takich rzeczy.

Pan Jacenty dźwignął się z ławy i wymachując kijaszkiem ruszył wzdłuż ostrokołu w stronę sadu.

Aliści nie uszedł więcej nad kilkadziesiąt kroków, kiedy usłyszał kilka głosów chłopczyńskich.

Przystanął za dawno okwitłym jaśminowym krzakiem.

Tej kłapy dźwignąć nie mogliśmy, bo ciężka okrutnie, więc... mówił jeden głos. Drugi mu przerwał:

Szarпалиśmy we dwóch za ten żelazny pierścień i nawet ździebko podnieśliśmy, ale więcej nie dało się. Żubr dałby radę, ale on nie potrafi tam wleźć, bo za duży.

Kłapa jest na samym dole? - zapytał trzeci głos, grubszy nieco.

Jest na dnie baszty, schodzi się po kamiennych schodkach. Ledwo co widać. Ktoś z wierzchu słomą przyrzucił kłapę dla niepoznaki. Ale mówię ci, Kuba, że tam jest wejście do lochów.

Może łatwiej nam będzie wleźć do nich od strony Zamczyska? — odezwał się głos Staszka Szafarskiego.

Imć pan Jacenty nie czekał dłużej. Wynurzył się zza krzaka tuż przy czwórce spiskowców i zakomenderował:

- Marsz za mną, basałyki!

Chcieli pierzchnąć jak stado wróbli, jednak Kuba ich wstrzymał. Błysnęła mu myśl, że jeżeli zaczną wojnę z wrotnym, to wstęp do Gelazynki zatrzaśnie się raz na zawsze. Nie wiadomo, co stary słyszał, trzeba próbować po dobroci.

Pan Jacenty wprowadził przestraszoną czwórkę do swojej izby w samborze, zamknął za sobą drzwi i zapytał:

Co wy wiecie o lochach i skąd? Chłopcy popatrzyli po sobie.

Wrotny spoglądał na nich groźnie i czekał odpowiedzi.

Mówił nam jeden taki... wykręcał się Kuba.

Kto? - Nie pamiętam.

Aha, nie pamiętasz. A kto z was pamięta?

Właściwie to... to nam się wszystkim przyśniło próbował wyplątać się Śliwka.

Wszystkim czterem przyśniło się to samo? Dziwne zdarzenie, niezwykle -- szydził pan Srokowski. – Radzę wam, żebyście się przyznali pókim dobry, zamiast mi piaskiem w oczy ciskać. Co wyszperaliście na Zamczysku? Co wam wiadomo o lochach?

-Że są

powiedział Kuba, kiedy zrozumiał, że Pan Jacenty i tak wie.

Od Gelazynki do Zamczyska pod rzeką?

Aha... Pan Jacenty przeszedł parę razy po izbie tam i nazad, po czym rzekł:

Słuchajcie, chłopaki. To nie jest zabawa, to rzecz poważna. W tych lochach kryli się ludzie za napadów tatarskich. Może znów będą się kryli, kto to odgadnie? Ale kryjówka jest dobra póty, póki wróg o niej nie wie. Czyście mówili komu o tych lochach?

Nie mówiliśmy, panie wrotny, bo myśmy sobie obiecali tajemnicę.

– To już lepiej – odparł pan Jacenty i odetchnął jakby z ulgą. Ale nie gadać o tym, to jeszcze nie dość. Jak będziecie się kręcić koło lochów i nosy do nich wścibiać, może was kto zauważyć, albo podpatrzeć umyślnie. Dobrze, że tym razem trafiło na mnie, który sam strzegę tajemnicy lochów jak oka w głowie. Ale jakby zamiast mnie podpatrzył was szpieg?

Kuba pierwszy spuścił głowę. Zrozumiał, jak nieopatrnie postąpili. Pan Jacenty mówił dalej:

Wyszperaliście, którądy wchodzi się do lochów od tej strony i wiecie, że drugi wjazd jest na Zamczysku. Pewno chcieliście wykryć i tamten. Otóż proszę was i zaklinam na Boga, nie róbcie tego.

Proszę waszmości zaczął Kuba nieco śmieiej, widząc że pan Srokowski zwraca się do nich z zaufaniem - rozumiesz waćpan przecie, jakie te lochy są ważne. Gdyby nadeszli Szwedzi, można dostarczać przez lochy broń i amunicję do fortecy, można tamtędy wprowadzić posiłki, można kogoś schować...

Można, można przerwał mu Srokowski właśnie po to nasi pradziadowie je robili, choć nie mało trudu ich to kosztowało. Bo tam pod ziemią lochy rozwidlają się wiele razy i trzeba wiedzieć, jak iść, żeby się nie zgubić. Zrobiono tak umyślnie, aby wrogom utrudnić pościg. Pośród nas w każdym pokoleniu są zawsze dwaj strażnicy lochów. Dwaj, bo mogłoby się zdarzyć, że jeden z nich umrze, zanim zdoła przekazać tajemnicę następcy. Tylko ci dwaj wiedzą, jak się przechodzi lochami stąd na Zamczysko.

Kuba popatrzył z szacunkiem na pana Jacentego. Zrozumiał, że jest on jednym z dwóch strażników. Kto jest drugim, o to nie śmiał pytać.

Imć pan wrotny dodał jeszcze:

- Chciałbym, żebyście w mojej obecności przysięgli przed wiszącym tu krzyżem, że nikomu nie wyjawicie tajemnicy lochów.

Chłopcy złożyli przysięgę. Potem Kuba powiedział:

- Jest jeszcze kilku chłopaków, którzy wiedzą o lochach. Ale my dopilnujemy, żeby oni także przysięgli.

Dobrze. Kiedy już wszyscy jesteśmy sprzysiężonymi, wyjawię wam, kto jest tym drugim strażnikiem tajemnicy i pilnuje wylotu od strony Zamczyska. To kowal Maciej Orłowski.

Pożegnali wrotnego. W powrotnej drodze Śliwka zapytał:

Kuba, coś ty taki markotny?

E, myślałem, że my jedni wiemy o lochach. Ksiądz Pieszko widział mapę, ale nie zmiarkował. Teraz się pokazuje, że i Srokowski wie, i pan Maciej wie. Niedługo baby pod kościołem będą plotkować o naszych lochach, przekonasz się.

Wydał wargi i szedł zasepiony, od czasu do czasu ze złością bosą stopą odrzucał z drogi to grudkę ziemi, to patyk. Śliwka i Krzesiwko szli za nim z opuszczonymi głowami. Wreszcie Śliwka nie wytrzymał.

Słuchaj, Hetman. Srokowski i pan Maciej wiedzą przecież tylko o tutejszych lochach, a o leśnych nie.

Kuba przystanął. Że też nie przyszło mu to do głowy! Racja, wiedzą o Zamczysku i o Gelazyńce, ale o Górnisze nie wie nikt oprócz Dębowych Tarcz. Oni zawsze będą górą, bo znają wylot leśny i mają mapę. Z radości zaczął gwizdać udając kosa.

ROZDZIAŁ IX

NAPAD W LESIE

Szymon Harbarasz miał wyruszyć w drogę. Rzadko

mu się to zdarzało tak rzadko, że Kuba aż się dziwił, jak ojciec potrafi wytrzymać tyle czasu w jednym miejscu. Podobno za młodu lubił podróżować, a teraz nawet do miasteczka rzadko kiedy wyjdzie.

Dragoni z panem Maciejem lubili pójść na wino do Symchy, pogadać. Trafiał się gość z dalszej okolicy, przywiózł nowinki. Próbowali wyciągnąć i płatnerza, ale ten, choć od siedmiu lat mieszkał w skierbieszowskiej fortalicji, nie zajrzał do karczmy ani razu.

Teraz też nie wybierał się daleko, bo tylko pod Zamość, a do Zamościa niejeden ze skierbieszowiaków potrafił nawet pójść pieszo. Wszelako z własnej woli imć Harbarasz nie byłby się podjął i tej wycieczki, gdyby nie polecenie, jakie otrzymał od komendanta.

Pan Kuropatwa miał starego druha, ponoć trochę dziwaka, niejakiego Gałęzowskiego, który mając duży majątek pod Hrubieszowem przekazał go był dzieciom, a sam zamieszkał w puszczy w małym futorze na północ od gościńca łączącego Hrubieszów z Zamościem.

Opowiadano sobie, że imć pan chorąży Gałęzowski miał za sobą chlubną i burzliwą przeszłość wojskową i że nabrawszy abominacji do magnatów, których w czambuł pomawiał o brak miłości ojczyzny i o prywatę, osiadł na odludziu z jednym starym sługą i jeśli się gdzie ruszył, to tylko w niedzielę do Zamościa. Ale unikał wówczas kolegiaty, gdzie zbierali się karmazyni, i z samego rana podjeżdżał biedką w jednego konia zaprzęzoną przed kościół ojców franciszkanów, aby tam wysłuchać cichej mszy świętej.

Otóż pan chorąży przysłał komendantowi Kuropatwie przez umyślnego list zapieczętowany następującej treści:

„Łaskawy Dobrodzieju, a mnie wielce miły panie bracie!

Wybacz, że nie jawię się personaliter, wszakoż wiek mój i obyczaje, które znasz, stawają na przeszkodzie. Sprawę mam ważną i pilną, bo wróg stoi ante portas, większą część Ojczyzny naszej nieszczęsnej obmierzłym swym butem tratując. Za inkursji kozackiej i tatarskiej, jak ci wiadomo, dookoła Zamościa ścierali się z nimi nasi to w bojach, to w potyczkach, czasem nawet samowtór czy samotrzeć, gdy zaś poległ swój czy wróg, trafiała się przy zabitym broń. Czasem jeno kosa lub byle rura kowalskim sposobem do strzelania przysposobiona, ale czasem grzeczna ruszniczka, pistolet czy szabelka. Byłem w onczas młodszy i nogi niosły mnie chyżo, więcem po puszczy bobrując jął polować na porzuconą broń i znosiłem ją do chaty. A szczególnie jakem strzały gdzie usłyszał, tom się wyprawiał umyślnie. Z tego zebrał się u mnie z latami arsenalik wcale grzeczny, w którym nawet działko polowe figuruje, jako że Kozakom w błocie ugrzęzło, że zaś byli w tym momencie ścigani przez nasze wojsko, porzucili to działko za sobą. Broń tę mam wszystką przechowaną i oprócz mego starego sługi nie wie o niej nikt. Teraz wszakże, gdy wielu z drobnej szlachty, a nawet chłopów rycerskim animuszem i miłością ojczyzny rozgorzałych, gotuje się do odparcia Szweda, widzi mi się rzeczą słuszną, aby ta broń przeze mnie uciulana znalazła się w godnych rękach i pro publico bono służyć mogła.

Jednakże w tym sęk, że nie wszystko być może do tego się nada, trafiają się bowiem sztuki uszkodzone. Potrzebny byłby płatnerz, co by to doświadczonym okiem przepatrzył i co się da zabrał gwoli naprawy, a co do naprawy niezdatne, niechby się zakopało dla niepoznaki.

Doszły mnie słuchy, że ty tam, mój łaskawco, masz zdolnego Ormianina w fortalicji, który by taką robotę zgrabnie mógł uczynić. Proponuję więc waści, żebyś go tu przysłał dla przepatrzenia, a potem zabrałbyś co przydać się może albo dla fortalicji, albo ochotnikom. Zrób mi to i nie omieszka, bo jutro niepewne, a nie daj Boże, aby wróg przyszedłszy dobrał się do tego arsenaliku, który czasem z narażeniem życia kompletowałem.

Dziwisz się zapewne, że mając Zamość pod bokiem udaję się z tym do Ciebie. Wszelako Zamość ma tyle własnego sprzętu, że mój skromny magazynek to dla nich jak dla olbrzyma jedna skwaruszka, jeszcze by go do lochu wrzucić gotowi na zapas i tam by rdzewiał bez pożytku. A w twoim ręku ufam, że niejednego Szweda nadkąsi, jeśli owym arsenalikiem nie pogardzisz i zabierzesz go sobie.

Gdybym i Ciebie, panie bracie, mógł przy tej sposobności u siebie ujrzeć i miodkiem poczęstować, rad byłbym waści z całego serca, wierzaj mi i przyjeżdżaj”.

Pan komendant skierbieszowski pomyślał chwilę nad listem, po czym posłał wachmistrza po płatnerza.

Panie Harbarasz rzekł obróciwszy ku niemu siwe, zmęczone oczy - chciałbym, ażebyś waść pojechał jutro zlustrować mały składzik starej broni u pana Gałęzowskiego pod Jarosławcem. Może nie znajdziesz tam nic godnego uwagi, ale jakbyś znalazł odłóż, pošlę dragonów i zabierzemy. Weź waść małą kałamaszkę w jednego konia i wypraw się z samego rana, to na wieczór wrócisz. Nie zapomnij sam o broni na drogę, bo czas niespokojny i coraz więcej grasantów się włóczy. Do pomocy weź waść którego z pachółków.

Zabiorę Kubę, jeśli wasza miłość pozwoli odparł Harbarasz.

To jeszcze lepiej – rzekł komendant. Podczas kiedy będziesz asan przeglądał broń u pana Gałęzowskiego, niech Kuba podjedzie do Zamościa, niech odszuka na żydowskiej pierzei doktora Calmansona i weźmie od niego dla mnie krople na oczy, które już raz brałem. Od pana Gałęzowskiego do Zamościa nie więcej nad pół mili, a Kuba chłopak obrotny, będzie umiał się sprawić. Powiesz asan panu Gałęzowskiemu, że nie piszę listu, bo mi wzrok szwankuje, ale odwiedzę go za dni parę i sam mu wtedy podziękuję.

Kiedy Kuba dowiedział się, co go czeka nazajutrz, aż podskoczył z radości. Pobiegł zaraz z wieczora do dworu, trzeba było odłożyć zebranie Dębowych Tarcz, naznaczone na jutrzejszy dzień.

Kuba od pewnego czasu był w łaskach nie tylko u wrotnego Srokowskiego, ale nawet u pani Starej. Zaczęło się od kłódki, a było tak:

Pani Stara lubiła mieć wszystko pod kluczem, a już najbardziej podrunę, gdzie przechowywały się największe skarby gospodarcze. Toteż jak grom z jasnego nieba spadło na nią odkrycie, że ktoś się do nich dobiera.

Nie był to złodziej zwyczajny, taki, co to wyrwie skobel albo kratę w oknie, wygarnie wszystko, co unieść zdoła i przepadnie. W podrunie rozgospodarował się złodziej przemyślny, dla niepoznaki podskubywał i popijał wszystkiego po trosze, lecz stale. Było jasne, że miał podrobione klucze.

Pierwsza kłódka, przy drzwiach piwnicy, była duża i ciężka, wszelako dość zwyczajnej konstrukcji. Za to druga, ta od podruny, wydawało się, że nie ustąpi przed żadną sztuczką. Ktoś chyba podrobił klucz, albo miał wytrych nad wytrychy.

Kto to mógł być, tego imię pani Baczyńska może się domyślała, ale nie mając dowodów, nie mówiła o tym nikomu. Jeden tylko Walenty Sikorski, rękodajny imię pana Mokosieja, mógłby zauważyć, że pani Stara spogląda na niego coraz mniej przychylnym okiem.

Kuba dowiedział się o tym od Maruszki, ta zaś od Biejaty. Postanowił działać.

Do owego działania okazały się potrzebne dziwne rzeczy: hak, sznurek, wiadro mialkiego, przesianego popiołu i duży cynowy dzbanek.

Panią Starą wypadło wtajemniczyć, bowiem trzeba było, żeby otworzyła z klucza pierwszą piwnicę. Nikt jednak nie miał wiedzieć o pułapce oprócz niej, Kuby i Maruszki. Hak został wbity nad drzwi podruny i...

I okazało się rano, że pan Walenty Sikorski nie przyszedł na śniadanie, a pytającym go o przyczynę odpowiadał przez drzwi, że jest niedysponowany. Gdy zaś dziewczyna chciała przynieść mu śniadanie do izby, powiedział, że nie jest głodny.

Może słyszał śmiechki rozlegające się pod drzwiami i odgadł, że nie trudno było domyślić się jego nocnej przygody po śladach w sieni i w korytarzu przyprószonym popiołem, toteż nie chciał narażać się na kpinki i podchwytliwe słówka. A może zbyt dużo miał pracy z doczyszczeniem kapoty, włosów i reszty przyodziewku.

Od tego dnia pani Stara lubiła sobie Kubę.

Toteż gdy go zauważyła dnia tego na podwórzu, zawołała go przed piekarnię i spytała:

Co tak śpieszysz? Chodź na chwilę, dopiero co wyjęłam z pieca kołaczki z serem, dam ci pokosztować.

Kuba nie był od tego, ale powiedział od razu, że ma załatwić pilne sprawy i zaraz musi iść.

Co się stało? spytała pani Paulina.

Jutro jadę z ojcem przez Jarosławiec do Zamościa. Pani Stara klasnęła w ręce i wykrzyknęła:

Do Zamościa, powiadasz? Słuchaj, kochasiu, zapytaj ojca, czy by mnie nie zabrał! Bo ja miałam jechać pojutrze z jejmością, ale ona nie potrafi wybrać się rano wczas. Jej się nie śpieszy, bo nie ma tyle spraw. Jej dość, aby tylko do szwaczki zdążyła. Ale ja mam tyle do załatwienia, że jak przyjedziemy po obiedzie, to nie dam rady. Wszyscy straszą, że znów będzie u nas niepokój, a nam brakuje cukru, przypraw korzennych, ryżu

co ci mam wszystko wyliczać, i tak się na tym nie znasz. Chciałabym też z bratem się zobaczyć, którego z rodziną mieszka na przedmieściu, za Lwowską Bramą. Gdzież ja bym zdążyła z tym wszystkim? Może jejmość pani Mokosiejowa pozwoli, to bym zabrała się z wami i zanocowałabym w Zamościu u brata, a wróciłabym z panią na drugi dzień. Nazajutrz rano

za zgodą komendanta kałamaszka poniosła nie dwóch, lecz troje podróżnych. Imię pan Kuropatwa nie był wprawdzie z tego rad, ale nie chciał odmówić i przez to wzbudzić podejrzenia, że wysyła

płatnerza w tajemniczych sprawach. Zastrzegł sobie wszelako, że o prawdziwym celu jazdy Harbarasz i Kuba mówić nie będą.

Dzień był pogodny, mimo rannej pory pluskotały nad rzeką kijanki praczek, jakby kłócąc się z cepami, które przybijały gniewnie od strony miasteczka.

Gdzie spojrzeć dookoła, wszędzie stogi siana i sterty zboża, albo orzące pługi i za nimi wrony. Na szkarpach nad drogą to czerwieniały głogi, to czerniały tarki. „Z głogów będzie wino, z terek nalewka”, rozmyślała pani Stara. „Wszystko Pan Bóg stworzył ku ludzkiemu pożytkowi, byle nam dowcipu nie zabrakło, czego i jak mamy użyć”

Minąwszy kotlinkę za Skierbieszowem klaczka jęła ciągnąć pod górę, zaś Harbarasz z Kubą zeskoczyli z kalamaszki i szli pobok, aby ulżyć ciężaru.

Z początku jechali zamojskim gościńcem, wnet jednak za górką skręcili w las, chcąc drogę skrócić. Kuba znał leśne przesmyki lepiej niż ojciec, który przeważnie z fortalicji się nie ruszał.

„Aż mnie dziw bierze, kiedy pomyślę, że dawniej chciałem być podobny do ojca”, zastanawiał się Kuba. „Gdzieżby mi się dzisiaj chciało jak on tkwić w jednym miejscu niby ten pien! Ludzie mówią o nim, że zdolny, że wszystko potrafi, a co z tego ma? Ani się nie dorobił, ani świata nie ogląda, a my pleśniejemy z nim. Co mi po takiej małej fortalicji, kiedy są na świecie piękne miasta, zamki bogate, obce kraje? Trafiają się tacy ludzie, co nawet po morzu pływali, co widzieli wieloryby i syreny, a ja co najwyżej kręcę się w małym czółenku tam i nazad po naszym jeziorze jak mucha w misie z barszczem. A matka? Widać po niej, że kiedyś była kształcona, choć nie zdradzi się nigdy, gdzie to było. Rozmawiać potrafi tak dwornie i z pańska, że lepiej niż pani Mokosiejowa. Czyta i pisze jak sam kanclerz, wierszyki i pieśni zna przeróżne, we Lwowie miała nawet luteńkę i czasem w nią brząkała. Kto ją tego wszystkiego uczył i na co, kiedy teraz jeno garnkami brząka? Nigdy się na nic nie uskarża, ale czasem to tak się zapatrzy, zaduma...”

Kuba spojrział ukosem na ojca. Ale nic nie mógł wyczytać z jego twarzy. Ojciec nie uśmiechał się nigdy, chyba że popatrzył na matkę albo na którego z malców, bo za dziećmi przepadał.

Jechali teraz pięknym bukowym lasem. Ze wszystkich drzew Kuba najbardziej lubił buki. Są takie mocne i piękne o każdej porze, a cień pod nimi najgęstszy. Pnie i konary mają jak z żelaza wykute, a wieńczy je korona niby ze złota i szkarłatu. Sporo liści już opadło, kałamaszka toczy się jak po rozsypanych przez czarodzieja dukatach. Nie ma tu gęstego podszycia jako bywa w innych lasach, toteż okiem sięgasz daleko w głąb, widzisz przed sobą pagóry i garby jedne za drugimi, a wszystko się złoci.

Górą uwijają się wiewiórki buczyną uczując, a dołem spod uschłych liści gdzieniegdzie rumieni się ostatni muchomor, albo kępa opieniek przycupnie niby rodzina królicza.

Opieńki przypomniały pani Starej, że trzeba na gwałt zacząć je solić do fasek, bo jak przyjdą jesienne słyty, to i las opustoszeje. „Trzeba i księdzu proboszczowi nasolić faseczkę, skoro tak je lubi staruszek”, postanowiła.

A ot i nie przyjechał do nas ksiądz biskup powiedziała.

Proboszcz tak się turbował, prosił mnie nawet, żebym się wystarała o pawia, a tu nic. Ksiądz biskup ponoć słabuje odparł Harbarasz. - A czasy niespokojne, to mu niesporo wyjechać.

Co to się dzieje na świecie rozważała pani Paulina. Kozaki, Moskale, Tatarzy, Szwedy, Niemce, każdy się pcha, gdzie go nie proszono, osobliwie na kraj nasz nieszczęsny, że wciąż opędzać się trzeba na wszystkie strony. Ponoć Szwedy Kraków szturmują, słyszałeś waszmość?

Słyszałem, ale widzi mi się, że Kraków im się oprze, bo pan Czarniecki dowodzi obroną, a to wojak srogi.

Czarniecki? Wiem, znałam jego siostrę, bo oni się z Czarnocy wywodzą, z chęcińskiego powiatu, a to niedaleko Sandomierza, moja mamusia z tamtych stron. To porządni ludzie, ci Czarnieccy, ale bogaci to nigdy nie byli. Siedzą ot, na takim szlacheckim folwarczku, wielcy panowie mają ich za hetkę pętelkę, przez to nawet Stefanowi trudno było się wybić. Jak się kto urodził w wielkim a bogatym domu, to się na niego dygnitarstwa sypią od młodości jak grad. A Stefan Czarniecki, patrz waść, ile czasu służył, nim się awansu doczekał. Toż ze trzydzieści lat minęło, jakem go widziała w kościele w Czarnocy dzieckiem prawie będąc i już w wojsku służył.

Przecie go promowali na pułkownika i na chorążego sandomierskiego - zauważył Harbarasz.

Tak, jeno policz waszmość, wiele czasu minęło, nim się tego dochrapał wreszcie. Przesłużył już wtedy dwadzieścia lat bez mała, i to nie w jakimś cichym garnizonie, jeno w ustawicznym boju a znoju. Mało to razy piersi za ojczyznę nadstawiał? Toż w wojnie moskiewskiej dokazywał cudów waleczności, a jeszcze i w tatarskiej niewoli się natyrał.

To pan Czarniecki był przez Tatarów wzięty? zdziwił się Kuba, który z wielkim zaciekawieniem przysłuchiwał się tej rozmowie.

· A jakże! Toś ty o tym nie wiedział? oburzyła się pani Paulina. Pod Żółtymi Wodami go chwycili w jasyr, w tej strasnej bitwie, w której kwiat naszej młodzieży wyginął. Tyś jeszcze dzieckiem był wtedy, bo to było jakoś wiosną tego samego roku, kiedyście nastali do nas, do Skierbieszowa.

No i co, uciekł z jasyru? — dopytywał się Kuba. - Za okupem wyszedł powiedział Harbarasz. Później odznaczył się znów pod Beresteczkiem, dowodził naonczas chorągwią królewską. Wielki to wojownik, jeno że ponoć nazbyt okrutny czasem bywa.

A ja powiadam waści, i nie tylko ja, bo wszyscy tak mówią, że pan Czarniecki dawno powinien być hetmanem! dowodziła pani Stara i tak się zaperzyła, jak gdyby jej się ktoś sprzeciwiał. - Jak do boju, to pan Stefan im dobry, ale jak do buławy hetmańskiej, to godniejszy im się zda pierwszy z brzegu, byle z możnego rodu. No i wyznaczają takich, z których potem Chmielnicki się naśmiewa, że to nie wodzowie, jeno pierzyna, łacina i dziecina tfu!

Słusznie jejmość mówisz, że Czarnieckiemu należała się buława hetmańska i z pewnością bronić magnatów nie będę – mitygował ją Harbarasz – wszelako nie można wszystkich potępiać w czambuł, bo i wśród wielkich panów trafiają się tacy, co ojczyznę szczerze miłują i dzielnie jej bronią, jako na ten przykład pan Paweł Sapieha, wojewoda witebski. Nasi Zamoyscy też z wrogiem nie paktują. A Wiśniowiecki jak się bił, a Żółkiewski... Rzadkie to rodziny, rzadkie burczała pani Stara.

Że rzadkie, to przyznaję, jeśli się zważy, ilu jest tych, co z każdym wrogiem gotowi się kumać, byle fortunę swoją salwować, jak Radziwiłłowie. A temu wszystkiemu winna chciwość i pycha nieszczęsna, która się pleni nie tylko wśród magnatów. Nie dziw, że człowiekowi miło wspomnieć przodka, co przysłużył się Ojczyźnie i za to herb dostał, ale cóż za głupstwo sobie samemu zasługi tego przodka przypisywać.

Oj, to, to: pycha! zgodziła się Baczyńska. Czy dasz waszmość wiarę, że pan Nietyxa, naszej pani brat, nie przyznawał się do powinowactwa z Czarnieckimi, póki pan Stefan posesjonatem nie został z nadania królewskiego i pułkownikiem? Teraz zaś, odkąd imć Czarniecki na kasztelana wyniesiony, to już o nim pan Nietyxa inaczej nie mówi jak „mój pan brat”.

Siedzi w nas pycha głęboko – przytaknął Harbarasz

Zważ jejmość, jak chłop bogaty wynosi się nad swego komornika, jak Żyd Klein, co ma kamienicę w Zamościu, z góry patrzy na naszego skierbieszowskiego arendarza Symchę, ten zaś na biedną Gitlę wdowę.

Czy pan Nietyxa osiadł u nas na stałe? - spytał Kuba.

- Kto go wie - odparła pani Stara. W Hajownikach dom spalony i nie wiadomo, kiedy go odbudują, no to siedzi u siostry, chociaż z naszym panem nie zanadto się lubią i...

Tu Baczyńska urwała nagle, zreflektowawszy się widać, że jej nie wypada obmawiać rodziny, u której pracuje. Umilkła więc, a po niej jakim czasie drzemać zaczęła.

Wiesz, tato - powiedział Kuba półgłosem do ojca odkąd pan Nietyxa mieszka w Skierbieszowie, Tozio Mokosiej chodzi za nim krok w krok i wszystko po nim powtarza, a do nas, chłopaków, nawet się nie odezwie. Dawniej zatrzymał się czasem, jak spotkał którego z nas, pogadał o tym i owym, a teraz nosa zadziera przechodząc, jakby nas nie widział. Taka mnie wtedy bierze złość, że rad bym mu nagadał.

Nie warto, synu. Co znaczy Tozio i to, jak on na ciebie spogląda? Ważne jest nie to, co Tozio o tobie myśli, tylko kim jesteś naprawdę.

Ale on mnie złości... Ojciec nic więcej nie powiedział, machnął tylko ręką lekceważąco.

Kubę, który był podrażniony wspomnianiem Tozia Mokosieja, uraziło owo machnięcie ręką. Smagnął batem niewinną temu klaczkę i zamilkł. „Ojciec mnie nie rozumie”, pomyślał. „Byle swoją robotę odrobił, do niczego się nie wtrąca, nic go nie obchodzi. Nikt go widać w życiu nie nadepnął, więc nie wie, jak człowiek człowiekowi potrafi dokuczyć. Macha na mnie ręką? Dobrze, nic więcej mu nie powiem”.

Jechali dalej w milczeniu.

Wedle opisu komendanta miarkowali, że chyba nie będzie więcej niż pół mili do futoru Gałęzowskiego, bowiem napotkali kapliczkę świętego Jana nad źródłem, skąd prosto z góry droga doprowadzić ich miała do celu.

Wtem usłyszeli krzyk.

Ktoś krzyczał przed nimi za pagórkem, na który klaczka wspinała się właśnie, więc nie mogli widzieć, co się tam dzieje.

Pani Stara od razu otrząsnęła się z drzemki i przeżegnała strwożona. Na znak dany przez ojca Kuba zatrzymał pojazd na równiejszym miejscu, Harbarasz zaś chwycił nabity muszkiet i szablę, ukryte na wszelki wypadek pod siedzeniem, rzucił lejce pani Paulinie i szepnąwszy do Kubie: „wyjmuj z olstra pistolet!” — nadspodziewanie sprężyście wyskoczył z kałamaszki, a Kuba za nim.

Tuż przed nimi był szczyt pagórka. Zaledwie przeszli kilkanaście kroków pod górę, gdy ujrzeli przed sobą przewrócony wózek i nieruchomo leżącego na ziemi człowieka, podczas gdy nieopodal jakiś drab szarpał się z krzyczącym wyrostkiem, który usiłował wyrwać mu z ręki nóż. Od strony wozu biegł ku tamtym drugi drab z podniesionym pałaszem i lada chwila miał od tyłu ugodzić w wyrostka.

Harbarasz stanął, odrzucił szablę, zmierzył się zza buka i strzelił. Biegący upadł na pierś, kilka razy jeszcze rzuciło nim i znieruchomiał.

Kuba puścił się z pagórka, aby z bliska poczęstować drugiego rozbójnika z pistoletu, ten jednakże nie czekał na to. Widząc śmierć towarzysza rzucił się do ucieczki i znikł między pniami. Tymczasem z pagórka nadbiegła już pani Stara.

Co jejmość robisz, klaczka sama się spłoszy! zawołał Harbarasz.

Kuba podbiegł w stronę kałamaszki, zaś Harbarasz z panią Pauliną zbliżył się do leżącego.

Był to stary, brodaty zakonnik w brązowym habicie, leżał bez czucia, po siwych włosach spływała mu krew.

Pani Stara zerwawszy z głowy chustkę jęła ostrożnie obwiązywać ranę.

- Podtrzymajże mu waść głowę – powiedziała do Harbarasza.

Ten wszakże osunąwszy się na kolana wyrzekł drżącym głosem: „Jezu miłosierny...” i tak jakoś zzieleniał i zesłabł nagle, jakby sam miał postradać zmysły.

Wstydzilibyś się waćpan, krwi dotąd nie widziałeś? — mruknęła zgorszona.

Lecz płatnerz opanował się już i wsunąwszy ręce pod głowę starca, delikatnie uniósł ją nieco, aby ułatwić opatrunek

Zakonnik otworzył oczy na chwilę, zaraz jednak zamknął je znowu.

Tymczasem nadjechał z góry Kuba. Razem z ojcem podnieśli wóz i ustawili go z powrotem na drodze. Koń przy nim szarpał się jeszcze chwilę w zaprzęgu, lecz uspokoił się wnet.

- Gdzie się podział tamten chłopak? – zapytał Harbarasz.

Kuba rozejrzał się i dostrzegł młodego braciszka zakonnego ukrytego za drzewem. Chodźże tu do nas, nie bój się zawołał. Tamten zbliżył się powoli. Błady był na twarzy jak pergamin, lewą ręką podtrzymywał prawą i nogi się pod nim ugiwały, jakby lada chwila miał się przewrócić.

Kuba skoczył ku niemu i prowadząc go pod ramię zapytał:

Co ci zrobił?

Chyba mi rękę złamał albo przetrącił, boli okrutnie. Podeszli do koni.

Skąd jechaliście i dokąd? - spytała pani Stara,

My z Zamościa – odparł braciszek. – To jest brat Leon, franciszkanin z tamtejszego klasztoru, a ja dopiero zacząłem nowicjat. My byli w Hrubieszowie i wracali stamtąd lasami, aż tu w kotlinie wyskoczyło ich dwóch i krzyczą na brata Leona: „Dawaj sakwę!” Brat Leon tłumaczy, że nie mamy pieniędzy, ale oni nie uwierzyli. Jeden krzyknął: „Po kweście jeździłeś, musisz mieć!” Brat Leon powtórzył, że nie ma pieniędzy, bo my wcale nie kwestowali. Zaciął konia, a wtedy jeden chwycił konia u pyska, a drugi, ten co tam leży zabity, podparł z boku wózek i wywrócił. Wtedy ja... - tu braciszek zamilkł i cicho płakać począł. - Mów, bracie, dalej - ozwał się Harbarasz.

Powinienem był bronić brata Leona, wiem. Ale ja... jakim wypadł z wozu, tom porwał się na nogi i zacząłem uciekać. Braciszek zapłakał znowu, po czym opowiadał dalej:

Nie widziałem, kiedy ten zbój ciął Leona. Święty Franciszek chyba cud uprosił, że nie rozplątał całkiem głowy. Ten drugi puścił konia i mnie ucapił, chciał nożem, alem go złapał obu rękami za garść, więc on mnie trzepnął drugą pięścią. Żeby nie wy, moi panowie, byłaby nam obu śmierć.

Harbarasz zastanawiał się chwilę, co dalej robić, wreszcie zwrócił się do pani Baczyńskiej:

Najlepiej będzie chyba, jeżeli ułożymy rannego na ich wozie, tylko słomy więcej podścielemy z naszego siedzenia. Waćpani z młodym braciszkiem musicie się jakoś tak pomieścić, żeby ranny nie miał niewygody i Kuba poprowadzi wóz do Zamościa, prosto do klasztoru. Ja za ten czas sprawię się w Jarosławcu. Waćpani chcesz zostać w Zamościu, to się dobrze składa, bo Kuba sam może z Zamościa pieszo do mnie trafić. To przecież nie dalej jak ze Skierbieszowa na Majdan. Tylko żebyś nie zapomniał o kroplach dla komendanta, Kuba!

Gdy Harbarasz odwrócił się ku zakonnikowi leżącemu na mchu, zobaczył, że tamten ma oczy otwarte i wydało mu się, jakby nasłuchiwał. Ale oczy zaraz mu się zawarły i kiedy go dźwigali na wóz, nie dawał znaku życia i nawet nie syknął, tylko brwi ściągnęły mu się jakby z bólu.

Płatnierz wziął syna na stronę i wytłumaczył mu, jak ma odnaleźć futor pana Gałęzowskiego. Rozjechali się w różne strony

W drodze do Zamościa Kuba rozpamiętywał to, co się stało. A najbardziej odwagę ojca i celny jego strzał.

Spoglądał raz po raz na leżącego starca, ten jednak nie dawał znaku życia.

ROZDZIAŁ X

W ZAMOŚCIU I FUTORZE

Kiedy wózek wytoczył się z lasu i znalazł się na gościńcu, biegnącym skroś podmokłe łąki ku widnym już niedaleko murom zamojskiej twierdzy, uderzył jadących niezwykle ruch. Piesi i konni, wozy i kolasy, od strony Hrubieszowa zaś przeważnie obciążone tobołami... Co tu się dzieje, proszę brata?

spytał Kuba młodego nowicjusza, który jechał w milczeniu z twarzą skurczoną bólem. Nie widziałem czegoś takiego pod Zamościem od dawna, chyba od tego czasu, kiedy jako mały chłopak jechałem tu od Lwowa, a Kozacy prawie następowali nam na pięty.

Bo i teraz następują ozwał się braciszek i westchnął, nie wiedzieć czy z bólu, czy też na wspomnienie grozy wojennej. Jeździli my do Hrubieszowa, brat Leon chciał się widzieć z tamtejszym starostą, imć panem Łukaszem Opalińskim, który ponoć krewniakiem jest brata Leona, aleśmy go nie zastali w Hrubieszowie. Więcśmy tylko zajechali popasać do księdza Kotuli, którego jest prezbitem cerkwi unickiej. Strach, co opowiadał Kozacy dopieruteńko znowu w Hrubieszowie grabili, gwałty czynili, ludzi nazabijali, wreszcie pociągnęli na Lublin i ponoć tam to samo robią, a przedmieścia palą. Kto wie, którego dnia i tu pod Zamościem staną?

Patrzajcie odezwała się pani Stara - a my jak na wyspie w Skierbieszowie siedzimy! Powiadała mi jedna kobieta z Lipiny, że daleko za Wojsławicami luna gorzała na niebie wielka i że to chyba wojna idzie znów na nas od wschodu, alem nie dała temu wiary.

Nie tylko od wschodu idzie wojna, jeno ze wszystkich stron – prawil braciszek żałośliwie dalej. O Lwowie waćpaństwo słyszeliście?

- Wiemy, ponoć wojska moskiewskie, kozackie i tatarskie otoczyły go dookoła pierścieniem i w tamtym miesiącu szturmować zaczęły, jeno nie wiemy, czy wzięły Lwów, czy odstąpili.

- Wielkopolska poddała się Szwedom, Litwę poddali im Radziwiłłowie, Kraków i Lwów obleżone, nasze wojska przechodzą do wroga, sądny dzień chyba nadszedł i znikąd ratunku!

Nie wstyd to waści, braciszku, takie rzeczy prawić? Terminujesz w zakonnej służbie u Pana Boga, a grzeszysz nie ufając niebieskiej pomocy. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy, zakonotuj to sobie. Żeby nie to, że widzę, jak się z bólu skręcasz, to bym ci szpetniej przymówiła. A swoją drogą trzeba mi wracać prędzej do Skierbieszowa, bo nigdy nie wiadomo, kiedy i przez kogo powrotna droga może być odcięta. Pamiętaj, Kuba, żebyś jeszcze dziś wieczorem poszedł do mojej pani i powiedział, że ja tu czekam i żeby się pośpieszyła. Najlepiej by było, jakby jejmość pani Mokosiejowa wcale nie jechała do Zamościa, bo komu teraz myśleć o nowych sukniach i gwoli fatałaszków na niebezpieczeństwo się narażać! Opowiedz, jaką mieliśmy przygodę, to zrozumie, że i ona może znaleźć się w opresji. Niechby mi jeno przysłali wasąg pakowny na zakupy z pustą beczką na sól, a przy tym koniecznie ze trzech uzbrojonych pachółków na powrotną drogę, bo diabeł nie śpi. A ty, Kuba, uważaj na siebie, jak będziesz szedł lasem do ojca.

Mam broń powiedział Kuba i trzepnął się po boku.

No, no, bo wypali – zawołała pani Baczyńska. Pożegnawszy się wysiadła na lwowskim przedmieściu, oni zaś wjechali do miasta i zaraz znaleźli się przed furtą klasztoru ojców franciszkanów przy kościele, którego niedawno został pięknie wymurowany na miejscu drewnianego.

Kiedy braciszek zameldował się u brata furtiana, zrobiło się wielkie larum. Sam przeor uwiadomiony o wypadku wyszedł natychmiast do furty.

Gdy otworzywszy bramę wprowadzili konia i wóz na podwórze, Kuba zeskoczył i raz jeszcze pochylił się nad leżącym starcem. Ocucony być może zatrzymaniem się pojazdu i głosami lamentujących nad nim konfratrów, ranny otworzył oczy, a napotkawszy wzrok Kuby patrzył mu przez chwilę prosto w twarz, coraz bardziej ściągając siwe, krzaczaste brwi.

Kuba pożegnał się natychmiast z zakonnikami i choć młody braciszek chciał go zatrzymać tytułując „zbawcą”, wymknął się na miasto. Zamierzał sprawić się szybko i zaraz ruszyć na futor, ażeby z ojcem zdążyć do Skierbieszowa przed nocą.

Aliści pośpiech dnia tego nie był mu sądzony. Zaledwie nabył doktora Calmansona krople dla imć pana Kuropatwy i przystanąwszy na mgnienie oka u wejścia do podcieni ulicy Ormiańskiej, wciągnął w rozdęte nozdarza ów zapach safianu, cynamonu i różanego olejku, który zawsze przypominał mu Lwów gdy z otwartych drzwi najbliższego sklepu wybiegł kruczowłosy wyrostek. Miał minąć Kubę, lecz w przelocie spojrział na niego. Przystanął, przyjrzeni się sobie i rozległy się dwa okrzyki:

- Matiasiek! Kuba! Aleś się zmienił, ledwom cię poznał! A ja ciebie od razu.

Co ty tu robisz, Kuba? Skądęś się tu wziął? Ludzie mówili, żeście wyjechali całą rodziną do Krakowa.

Kuba wiedział, że rodzice dla jakichś ważnych powodów nie chcą, ażeby lwowscy znajomi znali miejsce ich pobytu, więc odparł wymijająco:

Ja w Zamościu tylko chwilowo... A ty co tu robisz?

Przyjechałem do wuja Krzysztofowicza na lato, a teraz nie mogę wrócić do Lwowa. Chodź ze mną do wuja, mieszkamy przy Akademii, pogadamy.

Nie mogę, muszę się śpieszyć... Ach, Matiasku, rad bym pogadać, tyle lat! Odprowadź mnie kawałek, opowiedz o sobie.

Wyszli z podcienia na rynek. Tacy byli sobą zajęci, że Kuba omal nie wywrócił drabiny opartej o ścianę kamienicy. Jakiś człowiek huknął na niego z góry:

Oczu nie masz? Kuba przeprosił skonfundowany.

Sprawdzają po całym mieście i poprawiają uchwyty na pochodnie i na latarnie, bo nie były w użyciu od poprzedniej inkursji kozackiej. Mogą być znów potrzebne, żeby w mieście było widno na wypadek nocnego szturm wyjaśnił Matiasiek.

Nie zakopcą to ścian i tych cudnych na ścianach rzezanych ozdób? Żeby to ja umiał takie domy murować! Ormiańska ulica chyba najpiękniejsza jest z całego Zamościa.

A kolegiata, a pałac? A kościoły, a bóżnica obronna, a bramy? A ratusz? Tylko że teraz nie czas myśleć o tych pięknościach. Lada dzień mogą się na nie posypać kule armatnie, albo wróg podłoży ogień.

- Nie gadaj tak, Matiasek.

To z desperacji, bo czasem mi się zdaje, że nienawidzę Zamościa. Licho mnie tu przyniosło, a teraz nie wiem, co we Lwowie i nie mogę tam wrócić. My, Ormianie, zawsze mamy swoje wiadomości, więc doszły mnie słuchy o jakowychś targach o okup pomiędzy radnymi lwowskimi a Chmielnickim, ponoć nawet mój ojciec był posłany do jego obozu razem z tą delegacją jako przedstawiciel Ormian. Boję się o tatę. - I co sprawili?

Nic. Dostarczyli ze Lwowa Chmielnickiemu jadła i gorzałki, on z nimi pił i tak przez kilka dni ściągał ich do siebie z poczęstunkiem i przy kielichach bałamucił, a moskiewskie armaty bombardowały tymczasem miasto. Czym się to skończy? Tak się boję o Lwów i o moich! Wiesz, Kuba, jużem nawet kombinował, czy by nie spróbować w przebraniu przedostać się do nich. Ale podobno obce wojska obstawiły Lwów takimi ogromnymi siłami, że dwie mile trzeba by się między nimi przemykać - nie ma sposobu!

Zbliżali się do bramy Lwowskiej. Kuba zastanawiał się, co ma powiedzieć Matiaskowi. Nie chciał okłamać przyjaciela, a prawdy wyjawić nie miał prawa. Postanowił tak właśnie powiedzieć: „nie pytaj, bo to nie moja tajemnica i milcz o naszym spotkaniu”.

Jednakże nie doszło do tego, bo nieopodal bramy podszedł do nich nagle młody braciszek zakonny i spytał zwracając się do Kuby:

To asan przywiozłeś nam rannego brata Leona, prawda? Gdy Kuba skinął głową, braciszek powiedział:

Proszę na chwilę do klasztoru. Brat Leon chciałby sam podziękować.

Więc oprzytomniał! zawołał Kuba uradowany. - Mnie nie ma za co dziękować. Ja nic, to mój ojciec...

Ale ojciec mi przykazał, żebym nie mieszkając wracał zaraz do niego.

Wstąpił asan choć na chwilę — nalegał braciszek. - Ojciec przeor wysłał mnie umyślnie po waści, kazał koniecznie odszukać na mieście i przyprowadzić. Kuba spojrzał na Matiaska.

Zaraz – odparł muszę rozmówić się z przyjacielem. Wziął Matiaska na stronę i powiedział cicho:

Ile mogę, tyle ci wyznam, o więcej nie pytaj, rozumiesz, Matias? I nie mów nikomu, żeś mnie spotkał.

Rozumiem.

Jechałem z ojcem przez las. Ojciec uratował dwóch zakonników, zbójcy na nich napadli. Odwiozłem tych zakonników do klasztoru i teraz jeden z nich chce się ze mną zobaczyć. To ranny starzec, odmówić nie mogę. Potem muszę śpieszyć do ojca, który czeka na mnie pod Zamościem. Ja zawsze jestem i będę twoim przyjacielem, Matias! Da Bóg, że może się jeszcze spotkamy. Będę się o to starał.

Podali sobie ręce w mocnym uścisku. Matias, zadumany, odszedł wolnym krokiem, a Kuba udał się z braciszkiem ku furcie.

Brat Leon leżał w celi na wąskim tapczanie, na którym, jako że był ranny, podesłano mu na deski trochę słomy. Głowę obwiązano mu płótnem. Zakonnik siedzą, cy przy jego wezgiłowiu wstał i bez słowa podsunął stołek Kubie.

Starzec patrzył na niego długą chwilę, wreszcie powiedział z wysiłkiem:

Dziękuję ci, chłopcze. Jak się nazywasz? Kuba Harbarasz. Gdzie mieszka twoja rodzina?

Kuba zawahał się: mówić, czy nie? Ojciec nie zastrzegł tajemnicy, a to był człowiek duchowny.

W Skierbieszowie powiedział.

Przyjechaliście ze Lwowa? Znów chwila wahania i wreszcie odpowiedź:

Tak Starzec przymknął oczy. Splótł palce na piersiach i milczał. Potem otworzył oczy i patrzył przed siebie, na czarny krucyfiks wiszący na ścianie. Trwało to tak długo, iż Kuba pomyślał: „może on zapomniał, że ja tu jestem?” Brat Leon przemówił jednak:

A... twoja matka? Mama jest z nami. To twoja rodzona matka? Tyś do niej podobny?

Tak – odparł Kuba zdziwiony tym pytaniem. Starzec znów milczał. Kuba zaczął się niecierpliwić. „Ojciec będzie się gniewał, że mnie tak długo nie ma”, pomyślał.

Wtem ze zdziwieniem zobaczył dwie łzy, które wypłynęły spod przymkniętych powiek starca i wolno staczały się po pobrużdżonych policzkach.

Masz rodzeństwo? — spytał brat Leon ciszej. Mam.

Jak się nazywają? Mów po kolei, wylicz mi wszystkich, od najstarszego do najmłodszego.

Maruszka, ja, potem była Jadwiżka i Jędrak, ale pomarli. Jest jeszcze Asia i Krzych. Krzych jest najmłodszy, idzie mu siódmy rok.

Jak wam się powodzi?

Bardzo dobrze. Ojciec jest płatnerzem, więc na niczym nam nie zbywa.

A matka? Czy zdrowa? Czy wesola?

Zdrowa. Zresztą mama jest taka, że jakby była chora albo nieszczęśliwa, to by się nie przyznała.

Tak... szepnął starzec. Oddychał z trudnością.

Wracaj, chłopcze, do ojca rzekł wreszcie. Powiedz rodzicom, że... ich błogosławię... i modłę się za nich... Rad bym dać ci jakąś pamiątkę, ale nie posiadam już nic...

Coś ścisnęło Kubę za gardło. Nie mógł zrozumieć potem, czemu pochylił się nagle nad starcem i ucałował go w rękę.

W kilka chwil później przekroczył Bramę Lwowską i jak umiał najszybciej ruszył w kierunku Jarosławca.

Harbarasz rzeczywiście niecierpliwił się, bo nie chciał wracać po ciemku do Skierbieszowa.

Zanocuj waść u mnie - zapraszał Gałęzowski. Żona byłaby niespokojna - powiedział Harbarasz

To mnie dziwi, że głód chłopca do nas prędzej nie sprowadza.

Jeszcze nie jest późno uspokajał go pan chorąży. -- Czuję, że chłopaka tylko patrzeć.

Przecucie nie omyliło pana Gałęzowskiego, bowiem nie minęły dwa pacierze, gdy zjawił się Kuba. No, jesteś, kawalerze!

zakrzyknął gospodarz. Twój ojciec nie mógł się ciebie doczekać. Serwacy!

huknął na sługę klaszcząc w ręce. Dawaj no tu, kochasiu, te pieczone cyranki!

Wyszły na wiór... mrucał Serwacy, który był zły, że ludzi podłej kondycji pan sadza z sobą do stołu. Wasza miłość kazała się pośpieszyć, a potem czekały i schły.

No nic, dawaj tylko i basta. Będzie jak z sarną w Stepankowicach, pamiętasz? Serwacy wyszedł urażony, a pan chorąży opowiadał:

To było jeszcze zanim w tej głuszy osiadłem, lat temu pewno ze dwadzieścia. Przyjechali do mnie pan Aleksander Zborowski z Rytwan i pan Ludwik Wydźga z Sypic. Zapolowaliśmy w kompanii i wesołość była wielka, bo pan Zborowski z panem Wydźgą kochali się okrutnie i lubili facecje, jeno że Wydźga był gorączka, a Zborowski flegmatyczny. Ale jak przyszło do miski i do kielicha, to jeden drugiemu pola godnie dotrzymywał. Miałem ci ja wtedy więcej sług, nie to co tutaj, a imć Serwacy był za kucharza. Pan Wydźga przepadał za sarniną z buraczkami, że zaś zwierzyzna lubi skruszeć, więc ustrzeliłem grzecznego koziołka na kilka dni przedtem i kazałem go tego dnia upiec na rożnie, bo wiadomo, że z rożna bestyjka najsmaczniejsza. Wracamy więc z polowania zziębnięci i głodni, no i wołam, żeby prędzej obiad podawano. Co się okazuje? Przypiekł koziołka mój Serwasio tak dokumentnie, że z wierzchu, powiadam wam, węgiel nie mięso! Co było robić: obkrajaliśmy spalone, a resztęśmy zjedli, kiełbasą i kapłonami żołądka dopełniając. Po obiedzie zawezwałem Serwacego i na osobności zacząłem robić wymówki za taki despekt uczyniony memu domowi w obliczu gości. On ustawił na mnie oczy jak niewinna dziecina i pyta: „A zostało co?” „Nic nie zostało”, mówię, „bośmy byli głodni okrutnie”. Na to Serwacy: „Jak nie zostało, to dobre było”. No i gadaj tu z takim!

Roześmiał się pan Gałęzowski szeroko, a Kuba mu zawtórował. Pan chorąży poklepał go po ręce przyjacielsko i rzekł:

Nie mówmy już teraz o tym więcej, bo Serwacy tu się pojawi zaraz z cyrankami, byłoby mu przykro. Tak to było dawnymi czasy - westchnął nagle chorąży. Pan Aleksander dawno już w ziemi leży, a pan Ludwik pomimo wieku swego jeszcze ponoć dzielnie pod Ochmatowem wojował. Nie wiem jeno, czyli Wydźga dosiadał wtedy owego tureckiego gniadosza, co mu go Zborowski testamentem zapisał, razem z rządzikiem złocistym, z szablą i koncerzykiem srebrnym.

Ale chyba nie, boć to i zbroje teraz insze, i konia żywot krótszy jeszcze niżli człowieczy.

Kuba dzielnie oporządził trzy cyranki, kostki jeno pozostawiając na misie, więc pan chorąży dogadywał, że widać dobre były, kiedy nic nie zostało.

Na rozmowę z ojcem nie miał Kuba ani czasu, ani miejsca przy obcym człowieku, choć pan Gałęzowski miał w sobie coś takiego, że dawał się lubić od pierwszego wejrzenia i nader był przystępny.

Cieszę się, że mi los zdarzył waści pod moim dachem powiedział chorąży do Harbarasza bo to rozkosz dla starego wojaka móc z kimś o broni porozmawiać, kto tak się na niej zna jak waćpan. Wydawało mi się, że i ja się na niej rozumiem, wszelako przez ten dzień nauczyłem się od waści niejednego. Ale miałeś mi waść opowiedzieć, co to za przygoda wam się przydarzyła, przez którą syn waszmościna do Zamościa per pedes iść był zmuszony.

„Ojciec nie lubi ściągać pochwał na siebie”, pomyślał Kuba, „i z tego powodu zmilczał”.

Zabrał więc głos śmiało i opowiedział o przygodzie, bo mu przyjemnie było pokazać, że ma dzielnego ojca. Pan chorąży zdumiał się wielce.

To waść ratował brata Leona? No, no rozpamiętywał. Na co mu przyszło, biedakowi, żeby go zbójcy w lesie zasiekli

Nie zasiekli, bo kiedym miał wyjść z Zamościa, to już był zdrowszy.

Harbarasz wstał od stołu i przeprosił gospodarza, że musi iść konia założyć, bo na nich czas.

Ja zaprzęgnę, tato zawołał Kuba – niech tato porozmawia jeszcze i wypocznie. Ale ojciec dość miał widać rozmowy, bo wyszedł razem

z synem. Pan chorąży podążył za nimi, snadź uprzykrzyła mu się zwykła samotność i rad był, że trafiła się sposobność do pogawędki.

- Czekażże, waszmość, zdążysz przed nocą do waszej fortalicji, a ja mam drobną sprawkę do tego kawalera – rzekł i położył Kubie rękę na ramieniu. Zajrzyjmy jeszcze raz do mojego składziku, bo mi się coś widzi, że jedna guldynka, ta z wpuszczaną w kolbę perłową macicą, w sam raz nadałaby się dla waszego chłopaka.

Kubie serce zabiło. Własna guldynka! On przecież dawno marzył o takiej strzelbie, z której można strzelać do prawdziwej zwierzyny, nie tylko do ptactwa.

Poszli więc wybierać broń. Panu Gałęzowskiemu przypomniała się widać niedawna rozmowa, bo nawrócił do uratowania starego zakonnika.

Trzeba wam wiedzieć mówił że brat Leon w świeckim życiu nazywał się Chodorowski, Demetriusz miał na imię i Korczakiem się pieczętował. Miał folwark grzeczny za Szczebrzeszynem, ale nie był to wielki bogacz. Za to pycha była w nim niezmierna. Po prawdzie koligatów miał pośród senatorów, ale też zdawało mu się, że nad Chodorowskich nie masz większego rodu w całej Rzeczypospolitej. O, widzisz waszmość, ja o tej guldynce myślałem przerwał żywo pan chorąży.

Na widok guldynki Kuba mniej uważnie słuchał opowieści o bracie Leonie, którą pan Gałęzowski ciągnął dalej.

- A miał on córkę przedziwnej urody, jedynaczkę, ten pan Chodorowski. Że zaś żonę utracił wcześniej i nie było komu dziewczęcica chować, oddał ją ojciec do Zamościa, pod opiekę nieboszczki pani Zamoyskiej, matki pana starosty kałuskiego. Wielu zacnych kawalerów potraciło dla tej panny głowę, ojciec swatał ją już nawet po swojej myśli. Ale ona, imaginujcie sobie, wołała

mieszczanina, wcale nie szlacheckiej kondycji. Gdy ojciec gniewem uniesiony chciał na niej wymóc, by wyszła za tego, kogo dla córki upatrzył, znikła dnia pewnego z Zamościa razem z owym mieszczaninem i tyle ich widziano. Głośna to była historia w swoim czasie. Stary z początku nie dał wymówić przy sobie imienia córki, potem szukać jej kazał, ale napróżno. Wreszcie zdziczał, od ludzi się odgradził w swojej puszczy nad Porem i skończyło się na tym, że wstąpił do klasztoru. Miarkujcie, jakimi to dziwnymi drogami Pan Bóg człowieka prowadzi, że ten, co tyle miał pychy w sobie, teraz żywot kończy jako pokorny braciszek bez imienia, bez majątku, ba! nawet habit ten wyłatany, który na grzbiecie nosi, nie należy do niego na własność... Ale gdzież to się ojciec podział? – zaniepokoił się pan Gałęzowski, dopiero teraz zmiarkowawszy, że płatnerz go nie słucha.

Do konia poszedł rzekł Kuba i skłoniwszy się do kolan chorążemu jął dziękować za upominek z takim uniesieniem, jakby mu chorąży cały futór darował.

Pan Gałęzowski lubił młodzież, a własnego syna nie miał, toteż chwycił Kubę w ramiona i uściskał z całego serca, po czym palcem mu pogroził, upominając:

- Pamiętaj jeno, strzelaj z niej celnie i wstydu mi nie zrób, że guldynka kija warta!

ROZDZIAŁ XI

TAJEMNICA RODZICÓW

Kuba wracał wesół i pośpiewywał, klaczka wypoczęta i nakarmiona biegła rażno prychając do domu, jeden ojciec milczał i jakby się czymś trapił lub rozważał

trudne sprawy.

Wyobraź sobie, tato, kogo ja w Zamościu spotkałem: Matiaska Zachnowicza

- powiedział Kuba, który nie lubił, gdy ktoś się przy nim smucił. – Przyjechał do wuja, do Zamościa, a teraz nie może wrócić do Lwowa. Matiaszek mnie zapraszał i byłbym poszedł chętnie, ale nie chciałem się spóźnić do taty.

I tak długo cię nie było. Czy u doktora czekać ci wypadło?

Nie, krople dostałem zaraz. Ale ten zakonnik, co go zbój rąbnął, kazał mi przyjść, więc nie wypadało się wymówić. Posłał po mnie brata na miasto, kazał mnie odszukać i sprowadzić.

Widziałeś go? Rozmawiał z tobą? Rozmawiał, o wszystko się dopytywał. O co?

Tak, o wszystko. Widać słyszał trochę z tego, o czym mówiliśmy z panią Starą po drodze, bo zapytał mnie, czy to prawda, że przyjechaliliśmy ze Lwowa. A potem gdzie mieszkamy, jak nam się powodzi, czy mama zdrowa, czy mam braci i siostry. A potem przypomniał sobie Kuba - na zakończenie przykazał mi tak: „powiedz rodzicom, że ich błogosławię i modłę się za nich”. Tato, co tacie jest? zaniepokoił się widząc, że ojciec przesłonił twarz rękami.

Nic mi nie jest, kochany odparł ojciec i objął go ramieniem przyciskając dziwnie mocno. Tylko widzisz, synu, muszę ci wyznać ważną rzecz. Póki byleś mały, nie mogłem o tym mówić, bo byś nie zrozumiał.

- Ojcu nagle głos się zmienił, jak gdyby ochrypł. — Brat Leon to jest twój dziad, mój synu. Demetriusz Chodorowski, matki twej ojciec rodzony.

Minęła długa chwila, zanim Kuba był zdolny wymówić słowo.

Tato zapytał wreszcie jak to się stało?

Ja jestem tym mieszczaninem, o którym mówił pan chorąży, a twoja matka to dawna panna Anusia Chodorowska... Ale muszę zacząć od początku.

Klaczka, choć Kuba zasłuchany przestał nią kierować, sama prowadziła kałamaszkę do Skierbieszowa przez bukowy las, zaś ojciec Kuby tak opowiadał:

Nie nazywam się Szymon Harbarasz. Moje prawdziwe imię jest Seweryn po ormiańsku Sefer Muratowicz. Imię to jest u nas rodzinne, pradziad też zwał się Sefer, a po nim mój dziad. Pradziada nie znałem, wszelako dziadka pamiętam dobrze. Urodził się we Lwowie i tam zamieszkiwał, o ile nie był w podróży albo później w Warszawie. Przyjeżdżał czasem do nas, do Zamościa.

Dziadek Sefer miał całą gromadę dzieci, z których ojciec mój, Krzysztof Muratowicz, ożenił się z Różą Kirkorowiczówną, córką znanego kupca zamojskiego. Obie rodziny były zamożne, toteż i

sklep mego ojca był jednym z pierwszych w mieście, zaś klejnoty, które wyrabiał, cenione były nawet na królewskim dworze. Stoi przy Ormiańskiej ulicy taka kamienica, w której mój ojciec miał na dole sklep, a za nim warsztat.

Dzieciństwo więc i młodość miałem dostatnie i odbierałem nauki staranne, o co nie było trudno w Zamościu, gdzie przy sławnej Akademii zgromadzili się najprzedniejsi profesorowie, gdzie drukowano książki i uprawiano wszelkie sztuki.

Wszelako między mną i moim ojcem nie wszystko układało się najlepiej. Braci nie miałem i ojciec postanowił, że mam zostać złotnikiem i przejąć po nim jego sklep i warsztat. Ja zaś chciałem być koniecznie płatnerzem. Zamość był i jest z płatnerstwa sławny, o czym zapewne słyszałeś. Zamojskie miecze znane były nie tylko w Polsce. Wyrabiają w Zamościu rusznice i nawet działa odlewają. Miałbym więc gdzie uczyć się na płatnerza, gdyby się ojciec temu nie sprzeciwił.

Ojciec mój też miał z bronią do czynienia, jego wszakże w szabli obchodziło nie tyle ostrze, ile ozdobna rękojeść, zaś w rusznicy nie lufa i mechanizm, lecz pięknie wyrobiona i ozdobiona kolba. Lubił zdobić sajdaki i prochownice, lubił wyrabiać tarcze, które przytraczano u koni nie na bój, lecz dla parady, cyzelował i kamieniami wysadzał rękojeście szabel. Wszystko to było piękne i strojne, nie przeczę, mnie jednak zajmowała prawdziwa broń bojowa.

Niejedne były między mną i ojcem dyferencje, w których on bywał czasem nazbyt bezwzględny, ja zaś nazbyt hardy. Wreszcie ojciec ustąpił memu uporowi, kiedy się przekonał, że nigdy nie zrobi ze mnie dobrego złotnika. Ale od tej pory, kiedy zacząłem terminować u płatnerza, ojciec nie miał już dla mnie tego serca, co dawniej. Mając zaś dwie córki, zaczął rozglądać się za zięciem złotnikiem.

Co do mojego małżeństwa, to ułożył się był od dawna z niejakim Skinderowiczem, który w Zamościu safianem i kobiercami handlował, że gdy tylko dorosnie jego córka, panienska urodziwa i posażna, wówczas ja się z nią ożenię, a tak ród Muratowiczów nadal rozradzać się będzie.

Tak rzeczy stały, kiedy w Zamościu pojawiła się panna Anusia Chodorowska, cudna szlachcianka wielkiego, choć majątkowo podupadłego rodu, skoliigaconego nie tylko z bogatą szlachtą, lecz i z karmazynami. Mimo urody, którą biła wszystkie panny respektowe imć pani ordynatowej, była to panienska skromna i zdawałoby się płochliwa, aczkolwiek kto poznał ją bliżej, ten mógł się domyślić w młodziutkiej sierocie nie przejawionej jeszcze siły charakteru.

Panna Anusia tak jak i ja utraciła matkę wcześniej. Ojciec jej, imć pan Demetriusz Chodorowski, też postanowił był, kto się z nią ożeni. Tym wybranym ojca, nie córki, był niejaki Jędrzej Czuryło, bogaty posesjonat, któremu gładka panienska wpadła w oko. Imć pan Chodorowski rad widział owe konkury, bo Czuryło, aczkolwiek ani urodą, ani rozumem nie grzeszył, gdyż postawy był chuderlawej a nader miernego dowcipu, wszelako mógł się poszczycić nie lada majątkiem i parantelą, do której ponoć nawet Radziwiłłowie birzańscy się zaliczali. Dla panny więc, która magnackiego posagu nie miała, a tylko zwykły, szlachecki, byłaby to podług wielkiego świata nie lada gratka.

Do pana Czuryły przystał jak rzep do psiego ogona niejaki pan Hornostaj, który gdzieś z dalekich ziem ruskich przybył, ponoć szlachcic herbowy i nawet mająteczek jakowyś posiadał, wszelako rzadko kiedy w swoje strony zaglądał, a raczej bawił u swego druha Czuryły, lasy zaś Czuryły sąsiadowały z majątkiem Chodorowskich.

Hornostaj upatrzył sobie niejaką pannę Dorotę Zagwoyską, przyjaciółkę panny Anusi. Jej oboje rodziców zasiekli Tatarzy w ich majątności nad Dniestrem położonej, gdzie się z owym

Hornostajem poznała. Panna z początku sprzyjała mu, lecz później, doświadczywszy jaki to jest człowiek, cofnęła się, przy czym bez ładu się nie obeszło.

Tak więc obie panienki pod opieką imć państwa Zamoyskich przebywając, zwierzały się jedna drugiej i podtrzymywały wzajemnie.

Panna Anusia Chodorowska kryła głęboko w swym dziewczęcym serduszkach inną nadzieję. Nadzieję i strapienie, bo wiedziała, że uzyskać zgodę ojca będzie chyba rzeczą niepodobną. Pokochała bowiem całym sercem młodzieńca, który był tak nierównego jej stanu, że marzyć jej o nim nie było wolno. Na tego młodzieńca, Ormianina, syna kupca i rzemieślnika, patrzyłaby z góry nawet szlachcianka zagrodowa, której ojciec sam za pługiem chodził.

Domyślasz się już, że to ja byłem owym młodzieńcem. Otrzymałem wykształcenie znacznie lepsze niż niejeden z zamożnych szlachciców, który wolał list dyktować niż pisać, a z obcych języków znał tylko trochę łaciny, tyle, żeby móc tu i ówdzie jakoweś łacińskie słówko wpleść do rozmowy. Mnie zaś nauczono włoskiego i tureckiego biegle, zaś niemieckiego i perskiego tak, że mogłem się porozumieć. Poznałem kilka obcych krajów. Miałem w ręku fach, bom się już wyzwolił na czeladnika, a blisko mi było do mistrza.

Nawet rzemiosłem rycerskim mógłbym się parać nie gorzej niż niejeden szlachcic, bom i konno odbywał podróż aż do Stambułu, a na taką podróż nikt nie mógł się odważyć, kto nie nauczył się wprawdzie bronią władać. Majątek mego ojca był więcej wart niż niejeden folwark, a przy tym nie było na nim grosza długu, co w dzisiejszych czasach rzadko któremu z ziemian się trafia. A jednak jako mieszczanin byłem uważany za człowieka podłej kondycji, bo wedle mniemania tych panów kupiectwo człowieka „szkaradzi”.

Myślę wszakże, iż nie wzbudziłby Bóg w naszych sercach miłości, gdyby nas nie był ulepił z jednakiej gliny. Bo patrzaj, jako nawet wśród stworzeń bywa, które nie mędrkując żyją po prostu, a sztucznych murów między sobą nie ustawiają. Więc i my kochając się nie czuliśmy wcale, abyśmy przez to przekraczali prawo boże, które nie jest tym samym, co ludzkie sądy i przesady.

Ciekaw jesteś pewno, jak do tego doszło. A no cóż nie ma chyba takiej kobiety, która nie lubiłaby ozdób misternych, cacuszek, klejnotów. Mój ojciec wyrabiał piękne na podziw, a ja, gdy ruch był większy, starałem się mu pomagać w sklepie. Nie umiałbym dziś powiedzieć, do jakiej chwili panna Anusia przychodziła gwoli tych czy owych ozdób niewieścich, to coś kupując, to oddając do naprawy, to po prostu oglądając zaś od kiedy zaczęła przychodzić, żeby porozmawiać ze mną chwilę.

Pojawiały się zawsze we dwie z panną Dorotą, że zaś zaglądały do wielu sklepów, nie narażały się przez to złośliwym językiem.

Tak się zdarzyło, że w tym samym czasie zaczęto mnie wołać do różnych robót przy arsenałach, w ludwisarni, a później zlecono mi utrzymanie w porządku cennej broni porozwieszanej w zamku. Przy tych okazjach trafiało się coraz częściej, żeśmy się niby niechęć spotykali. Jeszcze i o tym pamiętaj, że Zamość nie jest duży i nie sposób, aby dwie osoby wyszły jednocześnie na miasto i gdzieś się przypadkiem nie spotkały, czego miałeś przykład na sobie i Matiaszku.

Mój ojciec spostrzegł się pierwszy, kiedy ani do zamku żadne plotki jeszcze nie doszły, ani tym bardziej do imć pana Chodorowskiego. Panna Zagwoyska wiedzieć coś musiała, ona jednakże strzegła wiernie sekretu.

Ojciec mój oko miał bystre, a będąc nieraz w sklepie świadkiem naszych rozmów, choć nigdy długie nie były, zaczął coś miarkować. Sercowe sprawy ukryć się nie dadzą, tym mniej, im bardziej są niewinne i świeże. Tak właśnie było z nami. Z początku nie myśleliśmy, co z nami będzie dalej --- ot, dobrze nam było z sobą i dość. Ojciec próbował wysłać mnie do Lwowa. Oparłem się, nie wyjechałem. Miałem już dwadzieścia lat.

Miesiąc szedł za miesiącem, a to co w naszych sercach wykiełkowało, rosło - rosło... Czułem, że bez Anusi nie potrafiłbym już żyć.

Ona zaś skończyła właśnie lat siedemnaście, kiedy pan Czuryło poprosił ojca o jej rękę. Nie było jej wtedy w Zamościu, bowiem ojciec zabrał ją był na dni kilka do siebie.

Kiedy imć pan Chodorowski powiedział córce o tym, że Czuryło się oświadczył, a wolą ojca jest, aby córka została jego żoną Anusia po raz pierwszy w życiu stawiała ojcu czoło i odmówiła swojej zgody. Pan Chodorowski był tym zaskoczony, uważając ją za potulne dziecko, które zawsze pójdzie za jego rozkazem. Nie rozumiał, że właśnie dlatego jawnie mu się oparła, ponieważ była młoda i niewinna. Doświadczona i sprytna zalotnica byłaby się zgodziła dla pozorów, a do swego dążyłaby po cichu, ukradkiem.

Pan Chodorowski wpadł w straszliwy gniew. Domyślił się, że córka widać pokochała innego, ale rozglądając się zrazu tylko wśród równych jej urodzeniem, ani rusz nie mógł zgadnąć, kto by to mógł być.

Czuryło przyjechał z paradą nazajutrz, pewien zgody panny. Chodorowski na razie wymówił się niedyspozycją córki, wszelako wiedział, że nie da się tego długo przewlekać. Nadaremnie próbował złamać opór Anusi, choć do coraz sroższych gróźb się uciekał.

Tymczasem Hornostaj, sprytniejszy od Czuryły, zaczął myszkować i węszyć po Zamościu, że zaś czuł rankor do panny Zagwoyskiej, począł ją śledzić. Biedna Anusia przysłała do niej liścik prosząc o uwiadomienie mnie, w jakiej znajduje się opresji. Hornostaj znalazł ten liścik.

Nie mógł on wymiarkować, o kogo rzecz idzie, bo pisząc o mnie Anusia używała tylko litery S., co miało znaczyć Seweryn. Na razie wyobraził sobie, że chodzi o niejakiego Strzebieckiego, ubogiego rotmistrza, którego do Anusi się umizgał, a chwilowo był wyjechał z Zamościa, tak iż podejrzenie sprawdzić się nie dało.

Przestraszona panna Dorota wiedziała, że lada dzień tajemnica wydać się musi. Tymczasem pan Chodorowski przysłał sługi po rzeczy córki, ponieważ jak mówił, nie wróci ona już do Zamościa. Panna Dorota skorzystała z okazji i wsunęła bilecik od siebie do kieszonki anusinego fartuszka, która niejeden raz już służyła im jako sekretna skrzynka listowa.

Tak więc Anusia dowiedziała się o wszystkim. Teraz bała się już nie o siebie, lecz o mnie. Wiedziała, że jeśli rzecz się wykryje, wówczas ani jej ojciec, ani Czuryło z Hornostajem nie darują mi. Chcąc jej cześć oszczędzić nie byliby dopuścili do tego, by wiadomość stała się publiczna, ale czy trudno zgładzić nasłanymi ludźmi mieszczanina albo sfignować wypadek?

Znasz swoją matkę. Jaka jest dziś, była i wtedy — odważna, szybka, ofiarna. Uciekła tej samej nocy w przebraniu chłopskim, które wyprosiła u kochającej ją piastunki, i lasami, pieszo, omijając Szczebrzeszyn dobrnęła do Zamościa.

Cały następny dzień ukrywała się w lesie, czekając zmroku. Przed samym zamknięciem bram wśliznęła się do miasta i to z przeciwnej strony, Bramą Lwowską, bo domyślała się, że tam najmniej będą się jej spodziewać, a do mnie będzie najbliżej.

Wiedziała, że jest u nas zjazd rodzinny z powodu wesela mojej siostry, ja zaś sypiam w warsztacie. Zapukała do okna. Ukryłem ją w piwnicy.

Miałem zarobione własne pieniądze, bowiem od dawna odkładałem grosz do grosza, aby wyjechać do Włoch i wydoskonalić się w swoim zawodzie.

Nazajutrz rano korzystając z dnia targowego i większego ruchu z tej przyczyny, wyszliśmy pieszo z miasta, ja w ubraniu naszego sługi, które zabrałem bez jego wiedzy - zostawiając mu talara w kieszeni codziennych portek. Pewien byłem, że mnie nie wyda, raz z życzliwości, a po drugie dlatego, ponieważ będzie się obawiał, że go posądzą o znowę.

Szliśmy pieszo przez cały dzień i nocowaliśmy w stogu siana, a dopiero nazajutrz udałem się sam jeden do miasteczka, gdzie zakupiłem konia i wóz.

W taki sposób dostaliśmy się do Lwowa, gdzie udałem się do niejakiego Krzysztofa Hołubowicza, który ożenił się był z moją ciotką, a po jej śmierci nadal mieszkał we Lwowie, gdzie był tłumaczem.

Wyznałem mu wszystko. Zaczny ten człowiek, widząc że klamka zapadła, dopomógł nam do ślubu i wystarał mi się o pracę pod zmienionym nazwiskiem. Nie znałeś go, bowiem umarł zanim tyś się urodził.

Dalszy ciąg znasz.

Milczeli chwilę obaj. Potem ojciec powiedział:

Wiesz, Kuba, myślałem nieraz nad tym, czy nie pokrzywdziłem twojej matki. Nie umyślnie: Bóg mi świadkiem, że byłem i jestem gotów oddać za nią życie. Ale byłem młody, lekkomyślny, ona zaś mogła mieć życie inne niż to, które miała ze mną. Czasem i dziś jeszcze zapytuję siebie, czy twoja matka nie jest przy mnie nieszczęśliwa. Znasz ją i wiesz, że gdyby tak było, to by mi nie powiedziała.

- Tak, wiem, że nie powiedziałaaby tego nikomu odparł Kuba. Ale ja nie myślę, tato, żeby mama była nieszczęśliwa.

Jechali znów długo w milczeniu. Obaj musieli powoli ułożyć jakoś w sobie to wszystko, co im się zdarzyło, choć każdy z nich przeżywał co innego. Wreszcie Kuba poprosił:

Niech mi tato opowie coś więcej o naszej rodzinie! Pamiętam chłopców ormiańskich, bawiłem się z nimi we Lwowie. Oni w domu rozmawiali po ormiańsku, uczyli się po ormiańsku, a ja nie. Przecież tato jest Ormianinem.

Ale twoja matka jest Polką. Wiesz już teraz, czemu nie znałeś nikogo z naszej rodziny. A skoro urodziłeś się w Polsce z matki Polki i mając siedem lat zamieszkałeś w Skierbieszowie, pośród polskich dzieci, jakże miałbyś uczyć się po ormiańsku?

Ja wiem, tato, rozumiem to, ale jednak w połowie jestem Ormianinem. Czemu nic nie wiem o kraju, z którego przysła do Polski rodzina mojego ojca? Moich dziadków ormiańskich nie poznam, bo już nie żyją, ale powinienem coś wiedzieć o taty przodkach ic Armenii. To są przecież i moi przodkowie. W głosie Kuby czuć było żal.

Tak mi dziwnie, tato, jakbym się na nowo narodził, czy co... Nie umiem sobie z tym poradzić. Do dzisiaj byłem Kubą Harbaraszem. Teraz nagle okazuje się, że jest ze mnie Muratowicz. Należę do dwóch rodzin, polskiej i ormiańskiej, o żadnej nie wiem nic a nic. Niespodziewanie poznałem jednego z moich dziadków,

Chodorowskiego. Dobrze, poproszę mamę, żeby mi opowiedziała o swoich. Niewiele umiem, ale jednak coś wiem o Polsce. A co wiem o Armenii? Nic! Skąd przyszli do Polski ci jacyś Muratowicze i po co? Czemu nie siedzą u siebie jak Polacy?

Hm... trudno mi będzie dziś o tym wszystkim... Jesteś wzburzony, widzę to, ale ja też nie mogę dotąd się uspokoić. Chcesz wiedzieć o Armenii, o twoich przodkach? A no, spróbuję. Próbowałem i dawniej, ale wtedy nie byłeś tego ciekaw i nie słuchałeś.

U nas w domu wszystko było jeszcze po ormiańsku, zwyczaje, strój, meble. I ja mówiłem z rodzicami ormiańskim językiem, choć polski znałem nie gorzej od

ormiańskiego.

Pamiętam, jak imć pan Almazy Ałtunowicz, u którego pobierałem pierwsze nauki, kazał mi powtarzać za sobą nazwy miesięcy: Nawazardi, Hori, Sahmi, Tre... Jak uczył mnie historii naszego prastarego narodu.

Ponoć zaczął się on od olbrzyma Haiga, któren na czele oddziału wielkoludów pracował przy budowie wieży Babel. Trudno sprawdzić, czy tak było istotnie, boć wtedy kronik nie spisywano, tylko podawano sobie dawne dzieje z ust do ust.

Później dopiero na rozkaz jednego z naszych królów pewien uczony Syryjczyk zaczął spisywać nasze dzieje

on to wynalazł w Niniwie dokumenty, z których wynika, że więcej niż dwa tysiące lat przed narodzeniem Jezusa Chrystusa nasze plemię mieszało już w urodzajnej dolinie u stóp Araratu, gdzie był raj ziemski, na tej zaś górze osiadła była niegdyś arka Noego.

Tak tam było pięknie, że wiele narodów usiłowało odebrać nam naszą ojczyznę i od niepamiętnych czasów musieliśmy walczyć w jej obronie z Asyryjczykami,

Medami, z Persją i Syrią, stąd w narodzie naszym wielkie wyrobiło się męstwo. Czasem wrogowie podbijali Armenię, potem znów wywalczyliśmy jej wolność.

Nastał taki czas, że Armenia była jednym z najpotężniejszych mocarstw. Za sławnego króla Tigrana, opiewanego przez lud i zaliczonego po śmierci w poczet bogów, sięgała od gór Kaukazu daleko na południe, zachód i wschód, rozkazywała Grecji, uwalniała Persję.

Wreszcie w walkach uległa Rzymianom, którzy zabili jej króla. Potem Persja i Bizancjum, a po nich Arabowie rozdrapali naszą ojczyznę, a choć znów wywalczyła sobie niepodległość, podbili ją wreszcie Turcy, którzy dotąd wraz z Persami panują nad naszym krajem. Co go czeka jeszcze, nie wiadomo, boć to i Moskwa ostrzy sobie nań zęby...

Stary z nas naród, stary jak świat! Pięć wieków wcześniej niż Polska przyjęliśmy chrześcijaństwo, a chrzczył nas najpierw w rzece Eufracie święty Grzegorz, którego imię nieraz wśród Ormian spotkasz. Krew niezliczonych męczenników za wiarę zrosiła ten kraj, osobiwie z rąk muzułmanów. A ileż razy był on pustoszony, ludność wyrzynana, dzieci nie oszczędzając! Innych zagarniano w jasyr albo wypędzano.

Cóż dziwnego, że wobec takich opresji wielu Ormian osiadło w najróżniejszych krajach świata. Do Lwowa wiele wieków temu pierwsi Ormianie przybyli przez Ruś, że zaś byli pożyteczni dla Polski jako kupcy i rzemieślnicy, nadał im król Kazimierz Wielki specjalne przywileje i odtąd osiadali Ormianie w różnych polskich miastach i miasteczkach, osobiwie na południu i wschodzie.

Tak stało się i z naszą rodziną.

Podobałoby ci się u dziadków Muratowiczów, ładnie u nich było i bogato, a barwnie, a wykwintnie! Pamiętam, jak rodzice zawieźli mnie do nich, do Warszawy, dokąd się przenieśli, i jak siadując na jedwabnej, złotem przetykanej poduszce u stóp babci Rypsimy słuchałem jej opowieści o świętym mieście Eczmiadzynie, do którego każdy Ormianin pragnie odbyć pielgrzymkę.

Jeszcze bardziej lubiłem słuchać o tym, jak dziadzio Sefer pojechał do Persji wysłany przez króla jegomością po zakup drogich kamieni, kobierców i innych cennych wyrobów tamtejszych, jako to namioty i szable bułatowe. Kiedy dziadek przybył do Persji, wielki wezyr - największy namiestnik królewski - zaprowadził go do szacha, perskiego króla.

A trzeba ci wiedzieć, że dziadek Sefer umiał mówić różnymi językami, jak to u nas Ormian jest w zwyczaj, więc i z szachem potrafił rozmawiać bez tłumacza.

Szach zapytał go, czyli jest posłem, na to dziadek:

Nie, wasza królewska mość, posłem nie jestem, jeno człowiekiem kupieckim, przybyłem za sprawunkami króla mego.

Na to zaczęła się rozmowa. Niektórzy dworzanie i posłowie, lekce sobie ważąc kupca z dalekiego kraju, wyrażali się niechętnie o królu polskim, miłościwie nam wówczas panującym Zygmuncie III, a nawet pozwalali sobie na uszczypliwe uwagi i żarty o nim i jego poprzednikach.

Dziadek Sefer był człowiekiem nie tylko mądrym, ale także odważnym i Polskę kochał jak swoją ojczyznę. Toteż nie mógł ścierpieć takowego naigrawania i zaczął tak gorliwie i uczenie bronić sławy Stefana Batorego i Zygmunta, pana swego, iż wszyscy się zdumieli. Król perski zwrócił się do swego wezyra i powiedział:

Patrzajże, jako ten człowiek, nie będąc nawet posłem, a jeno kupcem, umie podtrzymać dostojeństwo swego króla, jak miłuje jego sławę i nie da jej zbrukać!

Weźcie mi zaraz tego gościa i obleczcie w najpiękniejsze szaty, a z mego skarbcza przypaszcie mu cenną szablę i przywieźcie mi go tu nazad.

Chociaż słyszałem to opowiadanie wielekroć, nie byłbym się nigdy zgodził, ażeby babcia opuściła opis szat, w które wówczas oblekli Persowie dziadka Sefera, toteż do dziś ten opis pamiętam.

Nałożono więc na niego żupan z zielonego adamaszku, a na żupan szatę ze złotogłowiu. Na głowę dali mu zawój jedwabny biały ze złotem, siwymi barankami podszyty i szable bułatową, której rękojeść była ze szczerzego złota, rubinami i perłami nabijana.

Szablę tę sam widziałem i pozwolono mi nawet wziąć ją do ręki, choć za ciężka jeszcze była na dziecinne moje ramię. Ojciec wyznał mi kiedyś, że właśnie widok tej wspaniałej perskiej szabli pobudził w nim chęć zostania złotnikiem.

Gdy dziadek Sefer tak bogato przybrany stawił się przed szachem, aby mu za dary podziękować, szach odezwał się do niego:

Życzę ci, żebyś w zdrowiu ten strój nosił, a daję ci go na pamiątkę i jako dowód mojej łaski. Proszę cię, abyś się stawił w tej sukni u króla twego, którego za brata uważam, i żebyś mu wszystko opowiedział, co widziałeś i widzieć jeszcze będziesz.

Na takie niezwykle zaszczytne wyróżnienie Muratowicza, ci sami posłowie, którzy przedtem źle się wyrażali o naszym królu, teraz pragnęli pozyskać sobie życzliwość mego dziadka, a byli to mianowicie posłowie angielski i moskiewski. Podeszli do Muratowicza i zapraszali go, aby przez ten czas, kiedy będzie przebywał w stolicy Persji, przychodził do nich kolejno na obiady. On wszakże wymówił się grzecznie, lecz stanowczo.

Po kilku dniach, podczas których Muratowicz poczynił zakupy dla króla polskiego, sam szach wyprawił dla niego ucztę i posadziwszy obok siebie, łaskawie z nim rozmawiał, a do wezryra powiedział tak głośno, że słyszeli wszyscy dworzanie i posłowie:

- Miałem ja tu posły moskiewskie, angielskie, weneckie, papieskie, a żaden tak mnie nie ukontentował jako ten człowiek kupieckiego stanu. Inni kłaniali mi się nisko, ale rozmawiać z nimi musiałem przez tłumacza. Z tym zaś mówić mogę w moim języku i wiele ciekawych rzeczy o jego kraju dowiedziałem się od niego i jeszcze więcej dowiedzieć się pragnę. Po uczcie szach powiedział do Muratowicza:

Bodajżeś zdrów odjechał! Wszyscy myśleli, że na tym koniec, i zazdrośnicy odetchnęli, że wreszcie opuści dwór ów kupiec. Aliści szach przybrawszy sobie sześciuset urodziwych, szlachetnie urodzonych młodzieńców wyruszył w podróż razem z Muratowiczem, którego wspaniałym dzianetem obdarował, i tak towarzyszył mu przez trzy dni, zaś dziadek Sefer jadł i sypiał w namiocie ichniego hetmana.

Dopiero czwartego dnia pożegnał szach Muratowicza i oddając mu list przez siebie do króla naszego pisany powiedział:

Proszę zanieść to do uszu króla jegomości, pana twego a brata mego, upewniając go w tym, że ze mnie odtąd wiernego przyjaciela mieć będzie.

Takim to sposobem zostały odnowione związki przyjaźni Polski z Persją, które przedtem były się rozluźniły.

Król nadał Muratowiczowi w nagrodę przywilej specjalny, a dziadek osiadł w stolicy jako obywatel i kupiec warszawski, na dokumentach zaś podpisywał się odtąd:

„servitor regius”, co się wykłada: „sługa królewski”.

- Kiedy indziej opowiem ci więcej o Armenii i o mojej rodzinie, na dzisiaj będzie dosyć – zakończył ojciec swą opowieść.

Dziękuję, tato powiedział Kuba. Wcale nie jest łatwo stać się raptem na pół Chodorowskim, a na pół Muratowiczem!

ROZDZIAŁ XII

ALARM

Kuba nie był obecny, kiedy ojciec opowiedział matce o przygodzie, jaka ich spotkała po drodze. Pewno rozmawiali o tym wtedy, kiedy inni już spali, w nocy.

Gdy Kuba obudził się nazajutrz rano, okazało się, że matki nie ma. Przypuszczał, że wyszła do miasteczka albo do dworu. Jednakże nie czekając, aż Kuba o to zapyta, ojciec powiedział jedząc śniadanie:

Matka wróci dopiero pod wieczór. Zabrała się do Zamościa tymi końmi, które poszły ze dworu po panią Baczyńską. Wasąg szedł próżny, pani Mokosiejowa nie pojechała.

Ojciec popatrzył na Kubę, Kuba popatrzył na ojca nie było im trzeba słów. Ojciec wydawał się Kubie tak bliski jak wtedy, gdy jako małe dziecko podziwiał w nim wszystko: to, jakim był, co robił, czego Kuba się po nim spodziewał. Ojciec wydawał mu się wtedy potężnym i dobrym czarodziejem z baśni.

Potem było inaczej. Zaczął nagle widzieć wszystkie usterki ojca nawet ostrzej, niż gdyby chodziło o kogoś obcego, na przykład o ojca jakiegoś innego chłopca.

Gdy przestał być dzieckiem i zdał sobie sprawę, że ojciec ma swoje wady jak każdy człowiek, Kuba poczuł żal do niego, jakby ojciec w jakiś sposób sprawił mu zawód. Co więcej, słabości jego wyolbrzymiał w swej wobraźni, a nawet doszukiwał się takich, których nie było. Dziwna rzecz

wszystko to skończyło się nagle poprzedniego wieczoru, w bukowym lesie, gdy wracali do domu. Ojciec wprawdzie nie stał się z powrotem „czarodziejem” - ach, nie, tamten podziw dzieciństwa nie mógł już wrócić - ale nie był on już potrzebny. Ojciec taki, jaki jest, ojciec prawdziwy stał się nagle bliski, zrozumiały i bardzo kochany.

Kuba nie zastanawiał się nad tym, byłoby mu nawet trudno wytłumaczyć, dlaczego zasnął po powrocie z uczuciem błogości i dlaczego, gdy obudził się rano, pierwszą jego myślą była myśl o ojcu – gdzie jest, co robi.

Przypomniał sobie nagle, że już nie jest Harbaraszem, tylko Muratowiczem. Kiedy jako człowiek dorosły napisze list, wówczas podpisze się na nim: „Jakub Muratowicz”. Właściwie co jest w tym dziwnego? On sam przecież się nie zmienił.

Nie chciało mu się wstawać tego ranka. Założył ręce pod głowę i leżąc patrzył na Maruszkę, która krzątała się przy stole, czarnowłosa, zręczna, szybka. „Tak wyglądała zapewne prababka Rypsyma, kiedy była młoda”, pomyślał.

Maruszeko, czy wiesz, co nam się przydarzyło z tatą po drodze? — spytał nagle.

Wiem. To przecież dlatego mama pojechała zaraz do Zamościa. Dziadek i mama nie widzieli się blisko dwadzieścia lat, a teraz on jest chory, ranny. Mama przejęła się bardzo.

Czy dawno dowiedziałas się, kim oni są, matka i ojciec, i dlaczego ukrywaliśmy się we Lwowie?

Ze trzy lata temu, po śmierci Jędrka i Jadwiżki. Mama powiedziała, że może to kara boska.

Przecież rodzice nic złego przed Bogiem nie zrobili.

Ale, mówiła mama, nie trzeba było zostawiać naszego dziadka samego z jego żalem. Zamiast uciec, trzeba było starać się nakłonić go jakoś, wytłumaczyć mu. Żeby czuł, że pomimo wszystko córka go kocha.

To by się na nic nie zdało. Pewien jestem, że dziadek i tak nie byłby ustąpił. On przecież myślał, że mama rujnuje sobie życie.

Może, ale rozumiem mamę, że robiła sobie wyrzuty.

A ja nie rozumiem. Albo jest się winnym, albo niewinnym.

Kuba, pomyśl też o dziadku Muratowiczu. Miał jednego syna i ten syn go rzucił. Dziadek umierał sam. Ojcu musi być przykro. No tak...

zastanowił się Kuba. Może rodzice nie musieli ukrywać się tak długo we Lwowie?

Musieli. Czuryło z Hornostajem przysięgli sobie, że albo doprowadzą do tego, że ojciec będzie powieszony z wyroku, albo sami go zabiją. „Porwał szlachciankę małoletnią”, mówili. Ojciec straciłby życie, a matkę zamknięłoby w klasztorze, choć nie miała powołania. Nie było na to rady, taki jest obyczaj.

Głupi obyczaj — mruknął Kuba.

Komendant nalegał, żeby szybko skończyć rozpoczęte roboty, bo w najbliższych dniach zamierzał sprowadzić broń od chorążego Gałęzowskiego, a część tej broni też wymagała naprawy.

Krzych także pracował coraz więcej przy ojcu. Wydawało się nawet panu Sewerynowi, że kto wie, czy do robót przy broni nie będzie zręczniejszy od Kuby. Może po prostu bardziej je lubił.

Nie miał jeszcze dość siły, by wszystko wykonać, co wypada płatnerzowi, za to drobne palce Krzycha umiały ślicznie wyrobić wszystko to, co wymagało zręczności, co było ozdobne i misterne. „Wdał się chyba w mojego ojca, mógłby być złotnikiem”, myślał czasem pan Seweryn i żałował w takich chwilach, że Krzysztof Muratowicz nie doczekał pociechy z wnuka, który nosił jego imię.

Z Asi natomiast mniej był zadowolony. I matka i Maruszka skarżyły się na nią, że jest nieporządna i leniwa, że wykręca się od roboty, a myśli tylko o fatałaskach. W kościele wcale nie patrzy na ołtarz, tylko na imię panią Mokosiejową i inne strojnisie, żeby móc je później naśladować.

Oddamy ją chyba do krawcowej, jak trochę podrośnie, niech się uczy szyć - powiedział kiedyś ojciec słysząc te utyskiwania. Ona to lubi, a zarobek z szycia jest dobry i w domu swoim będzie Asia mieć kiedyś z tego pożytek, jeżeli będzie umiała szyć dla swoich i obcych.

Ale matka odparła, że obawiałaby się oddać Asię na naukę gdzieś dalej.

O Maruszkę bym się nie bała, ale Asia jest inna - powiedziała. - Asia mogłaby się popsuć bez opieki i dozoru.

A ja przepowiadam, że z Asi wyrośnie prześliczna panna

orzekł Kuba. Tym bardziej trzeba mieć na nią oko odparła matka.

Kuba zauważył, że Asia nie zawsze mówi prawdę. Maruszka i Krzych, jak ich było o coś zapytać, odpowiadali po prostu: „tak” albo „nie”.

Asia przeciwnie. Nieraz zdarzało się, że mówi „nie lubię”, kiedy ma na coś największą ochotę, albo udaje, że wcale nie spostrzega tego, co ją najbardziej zajmuje. Kiedy chciałaby coś zrobić, to tak jakoś sprawę wykręci, że ktoś właśnie tego od niej zażąda, ona zaś udaje, że godzi się na to niechętnie i z łaski. A jeśli nie ma na coś ochoty, wówczas nie przyzna się do tego po prostu, tylko wynajduje najróżniejsze przyczyny, dla których tego robić nie należy.

To wszystko nieraz drażniło Kubę i dziwił się wielce, jak to może być, że znajomi chłopcy ani się domyślają tych manewrów, a niejeden dałby się za Asię porąbać.

Asia zdawała sobie sprawę, że Kubę nie uda jej się wyprowadzić w pole, więc nie próbowała tego i unikała starszego brata, on zaś wiedział, czemu Asia go unika. Panowało pomiędzy nimi jakby ciche, lecz stałe pogotowie wojenne.

„Właściwie to należałoby rozejrzeć się trochę za nią”, pomyślał Kuba oliwiąc muszkiet. „Kto wie, czy znów nie przepadła gdzieś na Sadach albo w Skierbieszowie korzystając z tego, że matki nie ma, a Maruszka jest zajęta przy gospodarce. W ogóle Asia za wiele próżniaczy. Starsza jest przecież od Krzycha, Maruszka w jej wieku wciąż matce pomagała. Przy tym Asia za bardzo mizdrzy się do chłopaków. Co ona ma, na przykład, do gadania z Michałkiem? Uskarża się, że Michałko jej dokucza, a przyłapałem ich onegdaj na tym, jak rozmawiali pod wierzbami, Asia nawet wdzięczyła się do Michałka i stroiła swoje zwykłe minki, którymi każdego chłopaka próbuje sobie skaptować. Albo Żubr, czemu on jej zawsze przynosi to pęczek niezapominajek, to garść orzechów, to soczystą gruszkę, ilekroć przyjdzie na Zamczysko? Nie Maruszce, tylko właśnie tej smarkuli”.

Wtem jakby ją Kuba myślami przywołał, wpadła do pracowni Asia i krzyknęła od progu:

- Pali się!
- Gdzie? zawołał ojciec zrywając się od warsztatu.
- Gdzieś w stronie Zamościa, chyba las.

Wyskoczyli na podwórze i na groblę, na której zebrała się już gromadka ludzi z Zamczyska.

Nad wzgórzami w południowej stronie widać było chmurę dymu, w dole rumianą od ognia, choć luna nie ogarniała nieba szerzej, ponieważ dzień był jeszcze i słońce dopiero staczało się ku zachodowi. - Tato, chyba Zamość się pali! - powiedział Kuba.

Nie Zamość odparł Maciej Orłowski, który także wypatrywał z grobli. Zamość jest trochę więcej w prawo. A to gdzieś bliżej się pali, kto wie, czy nie Dębowiec.

Kuba ścisnął dłoń ojca. Wiedział, że obaj myślą o tym samym. Może matka znalazła się tam właśnie w tej chwili...

Chodźmy na basztę, tato, stamtąd lepiej będzie widać.

Przy południowej baszcie napotkali komendanta, któremu przyszła do głowy ta sama myśl. Wprawdzie czaty czuwały na zmianę dzień i noc na szczycie baszty, komendant wszelako chciał sam się przekonać.

Poszli krętymi schodami w górę, Kuba wyglądał po drodze przez każdą strzelnicę.

Ze szczytu widok był istotnie rozleglejszy. Imć Kuropatwa zabrał z sobą polową perspektywę, ale nawet bez pomocy szkieł można było się zorientować, że Maciej Orłowski miał słuszność i że pali się albo Dębowiec, albo tamtejszy las.

Jednakowoż gdy wzrok Kuby ześliznął się z pagórków w dolinę, dostrzegł tam coś takiego, co w pierwszej chwili aż dech mu zaparło.

Była to gromadka jeźdźców, ze dwadzieścia koni. Jechali nie śpiesząc się bezładną kupą w kierunku Skierbieszowa. Za chwilę mieli się zrównać z kaplicą cmentarną.

Imć Kuropatwa dostrzegł ich także i nakierował na nich lunetę.

Kozacy szepnęli do stojącego obok Muratowi

Panie Harbarasz, czuwaj waść z góry! Ja muszę na dół, zarządzić alarm. Wtem Kuba krzyknął:

Zawracają! Istotnie pierwszy jeździec spiął nagle konia, skręcił i pomknął nazad bokiem drogi, a za nim inni, jak stadko posłusznych owiec.

Pan Kuropatwa, który oddał był już lunetę, pochwycił ją znów i wyjrzał, po czym przekonawszy się, że jest tak, jak Kuba mówi, tym szybciej ją zbiegać na dół.

Kuba został przy ojcu. Z majdanu dolatywał gwar, tupot kopyt, rżenie koni.

Kozacy, którzy z początku cofali się lekkim kłusem, teraz wzięli nagle pęd, dopiero pod górą zwolnili nieco.

Nie zdążyli jeszcze wspiąć się na szczyt wzgórza, gdy już cwałował groblą z fortalicji szereg dragonów, który skręcił wnet ku kościołowi i puścił się w pogoń za Kozakami.

Kuba usłyszał czyjeś kroki na schodach za sobą i wnet rozległ się zasapany głos rotmistrza Bolestraszyckiego:

Dajcie perspektywę, niech i ja popatrzę. Ha, psubraty, skórołupy mówił że też nie mogę wziąć którego na muszkę! Ale czekajcie, podziobie was stara Kuropatwa, podziobie! Ani się opatrzyście, kiedy w jastrzębia się zamieni. Przestraszyliście się naszej fortalicji, gołąbki, a co! Gdyby nie ona, pewno byście już łupili Skierbieszów. Potem podpalilibyście miasteczko od wszystkich czterech stron świata i w nogi. Ach, wy szarpacze! O, już się nasi wysforowali... Nic to, że Kozacy schowali się za górkę, dopędzą ich nasi, bo ja im przecież konie dobierałem. Przy tym nasze konie wypoczęte, a ich zhasane. Dostanie wam się, wydziercy, podpalacze, zbereźniki, bodaj was ziemia żywych pożarła!

Tak srożył się słowami imć pan rotmistrz, bo go serce bolało, że nie może konno sadzić w szeregu i szablą sam wroga zmacać.

Niewiele chwil minęło, a już dragoni minawszy cmentarz jęli piąć się w górę, potem jeden po drugim zapadali poza pagórek.

Wreszcie nie było już widać żadnego.

Wydawało się, jakby cały świat przycichł nagle i zagaśł. Bo też i zmierzchać się zaczęło, tuman siwy rozścielał się nad jeziorem, tylko łuna ponad borem stawała się coraz bardziej czerwona.

Kuba ją wyglądał na strony, najpierw na wschód, ku Grabowcowi, a nie dostrzegłszy tam nic ciekawego, przeszedł na drugą stronę baszty i przyglądał się miasteczku. Wtem wykrzyknął:

Tato, tato, przecież to matka jedzie, o, tam! Tak było rzeczywiście. Po chwili wasąg Mokosiejów wytoczył się z rynku na groblę.

Konie były zdrożone, a wasąg obciążony mocno, więc Muratowiczowa kazała przystanąć przy bocznej grobli, aby dalej pójść pieszo.

Zeskoczyła z wasągu i pożegnawszy się z panią Starą ruszyła zwawo na Zamczysko, domyślała się bowiem niepokoju rodziny.

Nie doszła jeszcze do połowy grobli, kiedy mąż i syn wybiegli jej naprzeciw.

Którędy przyjechałaś? dopytywał się pan Seweryn. Nic wam się po drodze nie stało? Nie przestraszyłaś się zbytnio Kozaków?

Wzięliśmy się z Zamościa na Dębowiec, jak zwykle, aż tu patrzymy: pali się za dąbrową. Nie wiedzieliśmy: jechać, nie jechać? Nikt nie myślał, że to Kozacy ogień podłożyli. Na wszelki wypadek skręciliśmy na Huszczkę.

Całe szczęście, bo mogłybyście się natknąć na Kozaków.

Jakieśmy dojechali do Huszczki, to już tam spotkaliśmy ludzi, co uciekali od Dębowca i wtedy dopiero dowiedziałam się o napadzie. Ale co to, stajnie pootwierane i ludzi prawie nie widać?

Prawda, toć ty nie wiesz o wycieczce! Tu dopiero Muratowicz opowiedział żonie, co groziło miasteczku.

Dziwne mi jeno to, że w Zamościu nic nie słyszało się o Kozakach – zauważyła pani Anna.

Nie może to być, żeby Chmielnicki całą siłą w te strony zaszedł.

Pewno, że nie! Chmielnicki jak oblegał Lwów, tak pewno oblega nadal razem z Buturlinem i z Tatarami. Tu tylko luźne watahy się zapuszczają dla zbójckiego procederu. Gdzie trafią na miejsce nie strzeżone, tam łupią, palą i mordują, wszelako unikają boju, jeżeli napotkają opór wojskowy.

Z daleka doleciały ich pojedyncze strzały.

Ciemno już było zupełnie, gdy dragoni wrócili ze śpiewaniem, oddział kozacki nadszarpawszy.

Nie byłby nam uszedł ani jeden, gdyby nie to, że ciemno już było szkaradnie i w lesie nie widzieliśmy mówił wachmistrz, którego imć pan rotmistrz od razu wziął na spytki. Wszelako mniemam, że nie prędko odwiedzą nas znowu w Skierbieszowie.

Tak więc skończyło się na alarmie, jednakowoż posłużył on jako ostrzeżenie, iż nawet na uboczu od głównych szlaków czuwać należy pilnie, bowiem nigdzie nie można być pewnym dnia ani godziny.

Muratowicze znaleźli się znów wszyscy razem. Krzychowi i Asi kleiły się oczy, więc zaraz zjedli i pokładli się spać. Maruszka i Kuba posiedzieli jeszcze z rodzicami przy wieczerzy.

Ojciec nie pytał o Zamość, lecz czekał, aż matka sama opowie, ile zechce. Ona nie mówiła wiele i wszyscy rozumieli, że trudno jej się na to zdobyć tak od razu.

Powiedziała, iż brat Leon miewa się znacznie lepiej i chciał nawet wstać rano do wspólnej modlitwy w chórze, jeno mu przeor zabronił, bowiem głowa bolała go mocno i zasłabł od utraty krwi.

Dziadek dopytywał się bardzo o ciebie, widać do serca mu przypadłeś powiedziała matka i uśmiechnęła się do Kuby. — Pytał mnie, czego chciałbyś się uczyć i kim być. Więcem odrzekła, że jeszcze nie wiesz.

Czemu, mamó? Przecież ja wiem, czym chciałbym kiedyś być.

Czym? – zapytał ojciec zaskoczony. Muratorem odparł Kuba poważnie. Muratorem? Alboż ty wiesz, co to znaczy?

Wiem, murator to taki, co muruje piękne kamienice, i kościoły, i zamki. Jako ci, co Zamość i Lwów budowali. Chciałbym się tego nauczyć od samego początku, żebym umiał i mur równo z cegieł ułożyć, i sklepienie tak wyrobić, żeby nie runęło, i obmyślić taki piękny budynek jak ratusz w Zamościu.

Nigdy o tym nie mówiłeś powiedziała matka zdziwiona.

Ale myślałem. Murator Muratowicz roześmiała się Maruszka.

ROZDZIAŁ XIII

ZMIANY

Zaczęły się jesienne słoty. Ciężka skierbieszowska gleba rozciapała się tak, że ani przejść, ani przejechać. Bywało, gramoli się wóz pod górę, koniska grzęzną jak osy w miodzie, a niech się jeno poślizną i nie daj Boże cofną, wóz obróci się w poprzek drogi i przyciśnięty zwali się w błocko z ludźmi, z workami, ze wszystkim.

Na Sady, na Skierbieszów i na Zawodę ciągnęła znad jeziora zimna mgła. Rano sterczały nad nią tylko baszty Zamczyska, dzwonnica i wieża kościelna, a za Kalinówką

góra, na której stał dwór i zabudowania folwarczne. Później w ciągu dnia mgła czasami opadała, lecz częściej jeszcze wznosiła się ku niebu, z którego znów zaczynał siąpić deszcz i nie ustawał do wieczora.

Przez parę tygodni Kuba nie mógł spotykać się z chłopakami, tym bardziej, że po całej okolicy grasowała złośliwa jakowaś febra i rodzice nie bardzo chcieli puszczać go do miasteczka.

Asia sprzeciwiała się Krzychowi, Krzych sprzeciwiał się Asi, ojciec kaszłał. Matka utyskiwała, że nie ma gdzie suszyć wypranej bielizny, a na dobitkę Maruszka oparzyła sobie rękę i niewiele mogła matce pomóc.

Kubie nic nie dolegało, tylko czas włókł mu się i włókł mimo roboty.

Święty Marcin, jak to mówią, wjechał na białym koniu i od razu zaczął się mróz, a z mrozem wichura.

Z ulgą powitano wiadomość, że Chmielnicki z Buturlinem cofnęli się spod Lwowa pod naciskiem Tatarów, którym pilno było na zimowe leże. Przyszły też bardziej pocieszające wiadomości z Małopolski, bo gdy panowie i szlachta utracili ducha po upadku Krakowa, a wojsko poddawało się Szwedom, niespodziewanie ruszył na Szweda lud wielkopolski i góralski.

Im większe spotykały ich krzywdy od obcego, a przeważnie niemieckiego żołdactwa, tym ostrzej chłopci jęli nacierać. Nie mając armat ani prawie żadnej broni nie mogli kosami i siekierami zwyciężyć w otwartym polu i wrogów przepędzić z kraju, jednak dawali im się coraz bardziej we znaki, w swoich zaś podtrzymywali ducha oporu.

Powstanie góralskie wzmogło się szczególnie po strasznej krzywdzie wyrządzonej w Lanckoronie. Poddała się ona wojskom niemiecko-szwedzkim, te zaś wycięły i powywieszały blisko czterystu ludzi, którzy tam się schronili, w tym wiele kobiet. Około trzech tysięcy górali szarpało odtąd wrogów, zaś w Wielkopolsce to samo czynili tamtejsi chłopci i mieszcianie.

Choć Szwedzi zalali całą nieomal Polskę, a król Jan Kazimierz schronił się poza jej granicami, jednakże zaczynał się budzić duch w ludzkiej nadziei, że nie wszystko jest jeszcze stracone.

W takiej to chwili gruchnęła po kraju straszna wieść: nieprzyjaciel obległ Częstochowę.

Jednych ogarnęła zgroza i rozpacz, innych zawziętość. Dotychczas ludzie w rodzaju Radziejowskiego łudzili wielu, że Karol Gustaw lepszym będzie królem od Jana Kazimierza i Polskę potężniejszą uczyni, a świętości i swobody Polaków uszanuje. „Jan Kazimierz sam porzucił nasz naród mówili — to on nas opuścił odchodząc na Śląsk, a nie my jego. Czemu mielibyśmy

przy nim obstawać, kiedy Karol Gustaw, król walecznego narodu, chce nas wziąć pod swoją opiekę?"

Byli tacy, którzy im wierzyli. Nie wiedzieli, że tymczasem Karol Gustaw knuje już plany rozbioru Polski pomiędzy jej sąsiadów i Szwecję, że zmawia się ze wszystkimi naszymi wrogami na naszą zgubę.

Małoduszni ufali obietnicom wrogów i sprzedawczyków, a nie bacząc na to, co się stanie z ojczyzną, chcieli ratować swoje życie i mienie, niektórym nawet marzyły się nowe zaszczyty i bogactwa. Z każdym miesiącem jednakże stawało się jaśniejsze, co czeka Polaków pod obcym panowaniem. Niesłychane łupiestwo ogołacało kraj, z dymem szły miasta i wsie, ludzie ginęli od miecza, ognia i stryczka.

Łatwiej jest jednakże poddać kraj w niewolę, niż go z niewoli wyzwolić. Garść sprzedawczyków może nieprzyjaciołom otworzyć wrota, jak to się stało z Wielkopolską pod Ujściem, gdy wodzowie poddali się Szwedom, a wojsko rozjechało się do domów. Potem jedne województwa za drugimi zdawały się na ich łaskę, jeśli zaś gdzieś zdarzył się opór, jak w Krakowie, Szwedzi mając całą nieomal Polskę w ręku mogli taki opór zdławić.

Na to jednak, ażeby się wyzwolić, potrzebny był zryw całego narodu. Ten zaś dopiero się budził, choć chyba tylko człowiek całkowicie zaprzędany albo pozbawiony zdrowego rozumu mógł jeszcze wierzyć w dobrodziejstwa od Szwedów.

Oblężenie przez nich Częstochowy przepełniło miarę. Jeżeli nie cofnęli się przed tym zamachem, jakże można było ludzi się jeszcze, że uszanują to wszystko, co szanują Polacy?

Główne siły Szwedów wraz z ich królem były wówczas zajęte w północnej Polsce, Karol Gustaw paktował bowiem z carem i z elektorem brandenburskim, niemieckim księciem, jak do spółki z Chmielnickim i Radziwiłłami zgnieść Polskę ostatecznie i podzielić się nią, przy czym było targów niemało.

Na razie zaś Szwedzi starali się utrzymać kraj, który poprzednio zdobyli, obsadzali więc miasta i warownie. Zamość, dotychczas nie zdobyty, należał do wyjątków; drugim takim wyjątkiem była Częstochowa. Sądzili, że mając w rękach miasta, utrzymają w ryzach wieś. A tymczasem właśnie wsie i małe miasteczka zaczęły najpierwsze organizować opór.

Po upadku Krakowa, gdy wiadomym się stało, że Czarniecki zdołał zeń wojsko wyprowadzić i nie poddał się pod szwedzką komendę, niektórzy zaczęli przebąkiwać, że teraz największy nasz wódz i wcielenie wszystkich nadziei na wyzwolenie przyjdzie na Lubelszczyznę i Podlasie, aby wspólnie z Sapiehą wziąć w dwa ognie Szwedów i wspomagającego ich zdrajcę, Bogusława Radziwiłła.

Działania wojenne zbliżały się ze wszystkich stron do reszty ziem między Wieprzem a Bugiem położonych, całe ich połacie już pustoszyli bądź Kozacy, bądź Szwedzi z Niemcami pospołu.

Zaczęto przemyśliwać nad tym, jak uchronić dzieci i kobiety.

Pani Mokosiejowa, zrazu przepłoszona ukazaniem się Kozaków w okolicy, a także coraz częstszymi napadami rozbójniczych band, chciała przenieść się do Zamościa, aby przeczekać niespokojne czasy pod osłoną twierdzy. Wszelako zwlekała bojąc się drogi. Gdy Kozacy odeszli i przyszła wiadomość, że oblężenie Lwowa zostało zdjęte, uspokoiła się nieco i na razie zaniechała wyjazdu, tym bardziej, że i pogoda nie sprzyjała.

Teraz wszakże zaczęto powtarzać coraz uporczywiej pogłoskę, że niebawem osiadzie w Skierbieszowie garnizon szwedzki. Wydawało się to nader prawdopodobne, bo czemuż to jedno miasteczko miałyby ostać się wolne, skoro oprócz części Podlasia, gdzie były się z nimi wojska pod dowództwem pana Pawła Sapiehy, cała ta część kraju była zajęta przez Szwedów?

Pani Mokosiejowa usłyszała prócz tego o jakichś powstańcach, którzy formowali się w okolicy, aby zasilić wojska Czarnieckiego. Bała się powstańców nie mniej niż Szwedów, bo oznaczali wojnę. Tym bardziej zapragnęła znaleźć się za murami Zamościa.

Zresztą jeśli przyjdą Szwedzi, to zajmą dwór, gdzie ona z rodziną mieszkać wówczas będzie? Wypadałoby tę chwilę uprzedzić i wyjechać wcześniej, aby móc wywieźć jak najwięcej rzeczy.

Rozumiała jednak, że bardzo wiele dobytku nie zdoła ani przewieźć, ani w Zamościu pomieścić. Meble, zapasy, odzież, naczynia, jeśli zostaną w Skierbieszowie grabią Szwedzi.

Radziła się brata. Ten nie obawiał się Szwedów ani Niemców. Mówił, że to są ludzie kulturalni i lepiej z nimi mieć do czynienia, niż z „szlacheckim warcholstwem” i z „chłopską hołotą”.

Nie Szwedzi z Niemcami zrujnowali mnie i spalili, tylko sąsiad kochany do spółki z własnymi chamami - mówił pan Nietyxa. Łatwiej mi będzie wrócić do Hajownik przy Szwedach niż teraz.

- Słyszałam, że grabią wszystko, co mogą, łupy do Szwecji i Niemiec wysyłają - zauważyła pani Mokosiejowa.

Dużo w tym bajek, niech im pani siostra nie wierzy. Podróżowałam po Niemczech i nikt mnie nie ograbił. Jakby było tak źle, to by nie było w Warszawie balów i festynów, na których wyższe towarzystwo bawi się pod Karolem Gustawem lepiej ponoć niż za Jana Kazimierza.

Pani Mokosiejowa westchnęła, bo zrobiło się jej żal owych zabaw warszawskich. Ale w to, żeby Szwedzi nie łupili, uwierzyć nie mogła, bo to było zbyt powszechnie wiadome.

Próbowała naradzić się z mężem. Ten odpowiedział jej krótko:

- Zrób asińdzka, jak uważasz, Bo trudno wiedzieć, gdzie będziesz z dziećmi bezpieczniejsza, tu czy w Zamościu. Ja zostanę w Skierbieszowie. Jestem odpowiedzialny za gospodarstwo.

Kiedy przyjdą Szwedzi, to jegomości wypędzą. - Jak wypędzą, to pójdę, pierwej nie.

Ale jeżeli Szwedzi będą długo Zamość oblegali, w twierdzy może być głód, a ja stąd wszystkich zapasów wywieźć nie zdołam zastanawiała się pani Pudencjana.

Po długich wahaniach i deliberacjach postanowiła zasięgnąć rady ludzi świadomych spraw wojennych: komendanta Kuropatwy i rotmistrza Bolestraszyckiego. Uważała, że nie wypada jej udawać się do twierdzy, nie ufała zaś ani mężowi, ani bratu, że potrafią dostatecznie spenetrować całokształt sytuacji, o wszystko wypytać i wszystko dokładnie powtórzyć. Wysłała więc do komendanta i rotmistrza w imieniu swoim i męża zaproszenie na obiad w najbliższą niedzielę po sumie. Aby zaś wypadło ono bardziej naturalnie, zaprosiła również proboszcza.

Kuropatwa z Bolestraszyckim byli nieco zaskoczeni, bowiem dotychczas nigdy nie zapraszano ich do dworu. Gdy mieli jakiś interes, szli do dzierżawcy albo on do nich, w towarzyskim życiu imć państwa Mokosiejów udziału nie biorąc.

Odmówić nie godziło się, kazali więc w niedzielę założyć do kałamaszki i odświętnie przybrani pojechali na drugą stronę rzeki. Z uwagi na błoto nie sposób było iść pieszo, zresztą i nie wypadało, reprezentowali wszak załogę fortelicji

Nie bawili tam długo. Po powrocie rotmistrz Bolestraszycki zaszedł do pracowni płatnerza, z którym bardzo się polubili. - Wiesz, asan

powiedział rotmistrz - jakem wracał od Mokosiejów, przyszło mi do głowy, czy i waćpaństwo nie zrobilibyście dobrze, gdyby żona waćpana z dziećmi przeniosła się stąd gdzie indziej. Jeśli Szwedzi tu przyjdą, a tylko ich patrzeć, to nasz komendant bez boju nie ustąpi, a wówczas może tu być gorąco. Ja bym był za tym, żeby koniecznie dzieci stąd wysłać. Dla nich byłoby lepiej, a my mielibyśmy wolniejsze ręce. Bo ryzykować sobą to insza rzecz niż ryzykować dziećmi. Byłoby też łatwiej z wyżywieniem na wypadek, gdybyśmy mieli być okrzyżeni. Nie sądzę, aby żona się zgodziła

odparł Muratowicz. Różne niebezpieczne chwile przeżyliśmy razem i nigdy nie chciała, byśmy się rozłączali.

Chwalebne to są sentymenty, nie przeczę, wszelako tu trzeba brać na rozum. Chyba jejmość sama nie chciaaby tego, aby dzieci miały głodować ani być pod armatnim ostrzałem.

w Zamościu też przytrafić się to może. A ciasnota tam okrutna, nie wiem nawet, czy by się tam udało ulokować żonę z dziećmi.

Toż ja nie myślę koniecznie o Zamościu, wszak mogłaby rodzina waćpana zaszyć się w lasy. Małych osad w głębi puszczy Szwedzi szukać i zajmować nie będą, chyba gdyby na zawsze zostać mieli w naszym kraju, w co ja nie wierzę. Teraz boją się zapuszczać małymi oddziałkami.

Co postanowili państwo Mokosiejowie?

Nic jeszcze nie ma pewnego. Jejmość, jak nam mówiła, zaprosiła nas gwoli zasięgnięcia naszej rady, bawiła nas zasię opowieścią o herbie Nietyxów i związaną z nim bajką o Murzynie.

Wiem, wiem, o Murzynie, którego konterfekt znajduje się na tarczy herbu „Moro” -- powiedział Kuba i naśladując patetyczny wywód imć pani Mokosiejowej zadeklamował: „Gdy rycerz pewien miał na samotnej wyspie pojedynkować się ze srogim Murzynem, będącym na służbie króla Portugalii, a każdy z nich w swojej łódce przybił do brzegów onej wyspy, rycerz odtrącił nogą łódź swą na pełne morze. Na to zagadnął go Murzyn: „Czemu tak waćpan uczyniłeś?” Rycerz zaś odparł dumnie: „Tylko zwycięzca ujdzie stąd żyw, wystarczy mu jednej łodzi”. Rycerz ów pobiwszy Murzyna otrzymał herb zwany „Moro” i tym to herbem rodzina ma się pieczętować”. Znamy tę opowieść, imć pani Mokosiejowa częstuje nią przy każdej sposobności.

Nie przerywaj, Kuba, tu o ważniejszych sprawach mówimy – powiedział ojciec.

Ważniejszych? Niech tata spróbuje zapytać jejmość Mokosiejową, czy są sprawy ważniejsze.

Choć chwila była nie po temu, rotmistrz roześmiał się i dodał:

Wiecie państwo, że ona potrafiła nawet przy obiedzie indagować księdza proboszcza, czy wie, jakiego herbu używali Noe i Mojżesz, o czym ponoć pisze imć pan Bartłomiej Paprocki w swoim herbarzu?

I cóż na to ksiądz proboszcz? dopytywał się Muratowicz, który na takie dictum też nie umiał powstrzymać się od uśmiechu.

- Odpowiedział, moim zdaniem, politycznie i dowcipnie: „Noe, mościa dobrodziejko, z pewnością Korabiem się pieczętował na pamiątkę swej podróży. O herbie Mojżesza zaś bliższych wiadomości nie posiadam, jako że u nas w seminarium zamiast tablicy z herbem Mojżesza pokazano nam tablicę z dziesięciorgiem przykazań, którą on ponoć przed herbem otrzymał. Tę, jeśli jejmość zapomniała, mógłbym przypomnieć”.

Oho, nie myślałem, że ksiądz Pieszko potrafi tak kogoś splantować - zdziwił się płatnerz.

Dobrze zrobił rzekł Bolestraszycki. Za wielu ludzi zapomina o najważniejszych obowiązkach i dlatego takie okropności dzieją się na świecie. Wracając do poprzedniej materii, jakże waść decydujesz co do wyjazdu rodziny?

Sam o tym stanowić nie będę, jeno razem z żoną odparł Muratowicz. Kuba spojrział na ojca spod oka czekając dalszej wypowiedzi. Gdy ona nie nastąpiła, odchrząknął i odezwał się sam:

Tato, bardzo tatę proszę, żebym czasem ja nie został stąd wysłany. Niech tata pamięta, że ja już nie jestem dzieckiem. Asia i Krzych mogliby z mamą wyjechać, Maruszka też. Ale ja jestem chłopak, mam piętnasty rok, moje miejsce jest przy tacie. Chyba że tata przeniesie się z nami do lasu, to i ja wyjadę.

Ja się stąd nie ruszę, synu, przecież mam tu obowiązki. Nie mogę ich rzucać w najgorętszej chwili. Byłbym podobny do żołnierza, co ucieka przed bitwą.

Ja też mam obowiązki, tato. Czy nie pracuję także w warsztacie? Sam nie potrafiłbym wszystkiego, wiem o tym. Ale jako pomocnik przydaję się tacie, no nie?

Ojciec spojrział na Kubę i uśmiechnął się do niego. Rotmistrz podkręcił węża i powiedział do Muratowicza:

- Wiesz waść, czasem to mi okrutnie żal, że nie mam syna.

- Mógłbyś się jeszcze waćpan postarać.

- Et, za późno, bracie, za późno. Taka, jakiej ja bym chciał, już by mnie nie chciała. A takiej, jaka by mnie jeszcze chciała, pewno ja bym nie zechciał. A zresztą co: jakby mi się teraz syn urodził, to zanim by urósł tyli co Kuba, ja bym już zgrzybiał albo by mnie ziemia zakryła. Mam pięćdziesiąt sześć lat, panie dobrodzieju...

Dni stały się już krótkie i zimne, o wieczornych wyprawach Dębowe Tarcze nie mogły myśleć. Na wycieczki pozostawały niedziele i to o ile pogoda dopisała. Bo zdarzało się i tak, że przez cały tydzień chłopaki marzyły o wspólnej wyprawie i przygotowywały się do niej, tymczasem niedziela była słotna i kończyło się najwyżej na pogwarkach gdzieś w sadzie czy w stodole.

Kuba martwił się tym. Z początku porobili tyle postanowień, a co z nich zostało wykonane? Bardzo mało. Kisielińscy ledwo nauczyli się utrzymywać na wodzie, a teraz o nauce pływania nie może już być mowy. Połąziły trochę chłopaki po drzewach, ale niewiele mniej łąziły przedtem. To samo z marszem i z biegiem.

W jednym wprawili się nieco, to prawda: póki dzień był dłuższy, przychodzili w każdą sobotę wieczorem na Zamczysko i rotmistrz przez godzinę ćwiczył ich w fechtunku i w strzelaniu. Komendant zgodził się z tym, że jest to rzecz pożyteczna i co tydzień przeznaczzał na ten cel trochę prochu i kul.

Niektórzy chłopcy nabrali już pewnej wprawy. Najlepszym strzelcem z dziesiątki nowicjuszy okazał się Milczek, tylko że celował strasznie długo. Rotmistrz mu dogadywał, że jak zacznie celować o wschodzie słońca, to będzie musiał pośpieszać, żeby zdążyć pociągnąć za cyngiel zanim słońce zajdzie.

Po Milczku najcelniej strzelał Wiewiórka, zaś miał nad nim tę przewagę, że składał się i strzelał błyskawicznie.

Kuba nie porównywał siebie z innymi chłopcami spośród Dębowych Tarcz, bo miał od nich o tyle więcej wprawy, że takie porównywanie nie byłoby sprawiedliwe.

Nie podobało mu się w tym czasie zachowanie Michałka.

Syn wachmistrza z początku chciał się przyłączyć do nauki strzelania i rotmistrz może byłby go przyjął, gdyby nie to, że Kuba ostro się temu przeciwstawił, a rotmistrz nie chciał narzucać mu towarzysza.

Michałko domyślił się, kto stanął mu na zawadzie i odtąd znienawidził Kubę, którego nie lubił od dawna.

Widząc jednak, jaką sympatią i zaufaniem obdarza Kubę rotmistrz Bolestraszycki, Michałko bał się zbyt ostro na niego napadać, zresztą ojciec mu tego zakazał.

Kuba miał jednak wrażenie, że Michałko go śledzi, szczególnie wtedy, gdy na Zamczysko schodzą się Dębowe Tarcze na naukę strzelania lub na naradę.

Zdarzało im się spotykać w stajni, gdzie było ciepło i dość przestronno. W czasie pierwszej narady w stajni Kuba zauważył Michałka, który widać wyśledził, że naznaczyli sobie tam spotkanie i jeszcze przed przyjściem chłopaków wlaź po drabinie na przygórek, na którym przechowywano siano dla koni. Kuba jakby przecuciem tknięty zaszedł do stajni nieco wcześniej i przyłapał Michałka w chwili, gdy tamten kręcił się jeszcze po stryszku.

Michałko od razu wymyślił jakiś powód, dla którego miał się tam znaleźć, ale Kuba nie dał się nabrać, choć przez ostrożność udał, że mu wierzy.

Trudno było odgadnąć zamiary Michałka, jednakże Kuba nie miał wątpliwości, że nie są to zamiary przychylne dla Dębowych Tarcz.

Uprzedził innych chłopaków o poczynaniach Michałka i postanowili się pilnować.

W tym samym czasie padło na Michałka cięższe podejrzenie. Po dość mozolnych dochodzeniach i poszukiwaniach Żubr z Kłusakiem ustalili, że to właśnie Michałko pożyczył w jednej z chałup stojących niedaleko kuźni Bezucha ową siekiere, którą chciano ugodzić rannego Pietrka Orłowskiego.

Sąsiad widział, jak Michałko wpadł wzburzony na owo podwórze, porwał siekiere leżącą na pieńku i wybiegł z nią na ulicę.

Chłop bał się zemsty i dlatego dopiero teraz, kiedy nabrał przekonania, że Osełka uciekł gdzieś daleko, wyznał w tajemnicy prawdę, gdy Żubr z Kłusakiem zaczęli o nią dopytywać.

Chłopcy postanowili tym bardziej strzec się Michałka.

W ciągu następnego tygodnia po proszonym obiedzie u państwa Mokosiejów, po naradach między rodzicami i rozmowach z rotmistrzem i komendantem, postanowiono, iż rodzina płatnerza, oprócz niego samego i Kuby, przeniesie się na Podwysokie.

Przygotowaniem dla nich kwatery zajęli się Orłowscy, rodzice Pietrka, z którym Maruszka była już po słowie. Z tego właśnie powodu nie wypadało Orłowskiemu wziąć do domu narzeczonej z jej rodziną, lecz Podwysokie liczyło kilkanaście dymów i w jednej z chat znalazło się pomieszczenie, wprawdzie trochę ciasne, ale wystarczające.

Podwysokie był to zaścianek szlachecki, więc chociaż chaty nie różniły się wewnętrznym urządzeniem od lepszych chat chłopskich, jednak przed wejściem każda z nich miała ganeczek na słupkach. Chata z ganeczkiem był to już dworek i wiedziano, że szlachcic w niej mieszka. Żyli tu Orłowscy, Osuchowscy, Dąbrowscy, Jezierscy, Glińscy, a najwięcej Jaworskich, bo aż trzy dworki należały do tej rozrodzonej rodziny i właśnie jedni z Jaworskich podzielili się swoją siedzibą z rodziną płatnerza.

Podwysokie było położone wśród wzgórz na uboczu od gościńców, otaczał je gęsty las mieszany.

Dookoła chat były ogródki, w nich ule.

Dziewczęta cieszyły się z przenosin. Maruszkę ciągnęło serce, Asia lubiła zmiany, a przy tym rada była znaleźć się dalej od zbyt domyślnego Kuby.

Pani Anna zgodziła się na przenosiny, choć trudno jej to przyszło. Wiedziała, że tak będzie bezpieczniej i dla dzieci, i dla męża. W razie niebezpieczeństwa Seweryn nie odstąpiłby od niej i dzieci, a mężczyźni samemu znacznie łatwiej skryć się lub uciec.

Najtrudniej było uzyskać zgodę matki na to, aby Kuba pozostał na Zamczysku. Bała się, że dla ojca będzie on obciążeniem, gdyby przyszło oblężenie i bitwy, przy tym Kuba był zaledwie wyrostkiem, nie miał jeszcze doświadczenia ani sił dorosłego mężczyzny.

Kuba jednak prosił i zabiegał tak usilnie, że postawił na swoim, w czym dopomogło mu poparcie jego sprawy przez rotmistrza.

Tak więc pod koniec tygodnia pani Anna z Maruszką, Asią i Krzychem pojechała na Podwysokie. Krzych schował się na dnie wasaga i zanosił się od płaczu.

Nie mniej zrozpaczony był Kurta. Po wyjeździe czworga przedstawicieli rodziny Muratowiczów przez dwa dni wyczekiwał ich powrotu warując przy progu i nie tknął przez ten czas jedzenia, chociaż Kuba podsuwał mu najsmaczniejsze kąski.

Przed niedzielą wyjechała też pani Mokosiejowa do Zamościa zabierając Biejatę i Tozia. We dworze zostali tylko obaj niezbyt dobrani szwagrowie: Achacy Mokosiej i Dionizjusz Nietyxa.

ROZDZIAŁ XIV

NIESPODZIEWANE SPOTKANIE

Chłopcy postanowili, że w najbliższą niedzielę pójdą na Górnichę, żeby nie wiem co, deszcz, wicher czy mróz. Trzeba było sprawdzić, jak to jest z lochami, czy ich rozlokowanie zgadza się z planem, czy nie.

Nie dojdziemy od razu na Zamczysko ani nawet do Gelazynki, ale możemy chociaż sprawdzić mapę powiedział Kuba i wszyscy się z nim zgodzili.

Zaopatrzyli się tym razem nie tylko w świecę, ale i w łuczywa. Pogoda na szczęście dopisała, dzień był nawet taki ciepły, jak na początku października.

Całe szczęście - powiedział Wiewiórka że nie jest zimno, bo co byśmy zrobili, jakbyśmy musieli w mróz się rozbierać? A w ubraniu wleźć tam nie można, nie pora jest na kąpiel i pranie. Wracać zimą do domu w mokrej koszuli, brrr...

Dziś włączymy wszyscy razem orzekł Żubr.

Nie zgadzam się! zawołał Kuba. Nigdy nie może tak być, żeby nikt nie zostawał na czatach. Choć jeden musi zostać.

Przyznali mu słuszość. Gdy więc znaleźli się w głębi jaru, pociągnęli losy, kto ma zostać. Los wskazał Pierożka.

Inni chłopcy rozebrali się szybko, ułożyli odzież razem i na wszelki wypadek ukryli ją pod gałęziami. Umówili się z Pierożkiem, że jakby coś groziło, Pierożek będzie skrzeczał jak sroka. Gdyby się stało coś takiego, że musiałby odejść, zostawi u wejścia jedną dębową miseczkę, jeżeli ma zaraz wrócić, a dwie, jeżeli idzie na dłużej. Trzy miseczki oznaczałyby najwyższe niebezpieczeństwo. To ułożyli między sobą tylko tak, na wszelki wypadek, chociaż nie wierzyli, żeby naprawdę mogło grozić niebezpieczeństwo.

Kuba wlaź pierwszy, za nim inni.

Nie zatrzymując się przeszli od razu do trzeciego, największego lochu, w którym znaleźli puszkę. Według mapy wiodły stąd dalsze lochy w głąb.

Poszli w kierunku wskazanym przez rysunek, ale z piwnicy, w której się znaleźli, nie było przejścia dalej.

Zawrócili do poprzedniego lochu i popróbowali drugiego korytarza, choć plan wykazywał, że nie tamtędy wiedzie droga.

Ten korytarz kończył się ślepo, nie było nawet najmniejszego loszku.

Wycofali się więc znów do dużej piwnicy i nie wiedzieli, co mają dalej robić. Czyżby plan ich zwodził? Nie było to prawdopodobne.

Chodźmy jeszcze raz do tego lochu, do którego weszliśmy wpierw powiedział Kuba.

Trzeba go zbadać dokładnie.

Gdy znaleźli się tam, Kuba z mapą w ręku przeszedł od razu na ukos w głąb.

Tu, w tym rogu powinno być przejście. A nie ma go! Co to znaczy? To znaczy, że przejście zostało zasypane, trzeba je odkopać.

Jednakże próby okazały się daremne, wszędzie był mocny mur. Może trzeba zrobić głębszy podkop?

zastanawiał się Żubr.

Kuba podniósł łuczywo wyżej.

- O, O, tam, widzicie? zawołał wówczas Krzesiwko. Ja jestem lekki, podsadź mnie, Żubr!

Tak zrobili. Okazało się, że wyżej cegły są tylko luźno zasunięte. Z pewnością dałyby się wyjąć. Tam było zapewne dalsze przejście.

Spryciarz - powiedział Krzesiwko z uznaniem i gwizdnął. - W ten sposób, jeżeli tu wejdzie ktoś niepowołany, to zęby zje, zanim się domyśli, że mógłby przejść dalej. My byśmy też nie wiedzieli, gdyby nie plan. Trzeba powymować te cegły.

Daj spokój zawołał Kuba nie wyjmuj teraz! Nie potrafilibyśmy ułożyć ich tak ładnie z powrotem. Gdyby ktoś odkrył nasze lochy, mógłby przedostać się aż pod Zamczysko. Trzeba postarać się najpierw o drabinę albo choćby o stołek.

Albo nanieść kamieni radził Milczek. Krzesiwko zeskoczył z ramion Żubra i postanowili od razu pójść po kamienie.

Zanim jeszcze zdążyli wrócić do pierwszego lochu, doleciało ich rozpaczliwe skrzeczenie. Urwało się nagle i na dworze rozległ się gniewny męski głos, któremu odpowiadał płaczliwy głosik Pierozka. Słów nie można było zrozumieć.

Chłopcy struchleli. Pierozek może od dawna ostrzegał ich skrzeczeniem, lecz oni, zajęci szukaniem dalszych przejść, nie zwrócili na to uwagi.

Kubie uderzyła krew do głowy. Jak mógł nie zostawić nikogo na czatach w pierwszym lochu? Taki z niego Hetman? Chowajmy się! szepnął Żubr.

Prędzej, chłopaki, schowajmy się do tej małej piwniczki bez wyjścia!

- Żeby nas tam wydusili stłoczonych? - sprzeciwił się Kłusak. Tu zostaniemy. Co ma być, to będzie.

Kuba powiedział:

Stańmy pod ścianą, przy wyjściu, jeden koło drugiego. Jakby tamten wlaź, może minie nas i nie zauważy, może przejdzie od razu do dalszych piwnic. A wtedy czmychniemy po cichu. Gaście łuczywo!

Wydawało się, że to jedyna szansa.

W tej samej chwili otwór, przez który wpadało trochę światła z zewnątrz, poczerniał nagle. Ktoś włąził.

Ten ktoś wsunął się już do lochu, usłyszeli szelest tuż obok, ale otwór pozostawał wciąż czarny i słychać było, że przesuwają się ktoś jeszcze.

„Jest ich więcej, nie jeden” - pomyślał Kuba i zdrętwiał.

Wtem ktoś otarł się o niego w ciemności i usłyszał szept:

To ja, Witek... Pierozek? Po co on tu lezie?

Otwór rozjaśnił się słabym, żółtawym blaskiem świecy. Ktoś włąził do piwnicy, ktoś duży. Podniósł świecę i poświecił sobie nią w prawo, w głąb, w lewo...

W tej chwili Kuba go poznał. To był Pietrek Orłowski.

Pietrek dostrzegł gromadkę przerażonych nagusów przylepionych do ściany.

- Co wy tu wyprawiacie, chłopaki? zapytał. Kto wam pozwolił tu łązić?

Nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Wreszcie ozwał się Kuba:

Znalazłem to wejście przypadkiem, myśmy już raz tu byli.

A czemuż takeście się porozbierali? Pozaziębiacie się. Nie... tu nie jest zimno

powiedział Krzesiwko szcękając zębami. — Jakiśmy włązili tamtym razem, to nam się odzienie tak zbrukało, żeśmy musieli prać.

Teraz już by tak nie było odparł Pietrek ze śmiechem. Wyobrażam sobie, jak wasze bractwo wyglądało! Ale ja obmiotłem całe przejście starannie i nawet wiechciem przetarłem, można przechodzić śmiało.

Wyłaźcie mi zaraz i ubierzcie się. Ja tu na was poczekam. Pogadamy.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Kuba spytał Pierozka półgłosem:

Jak to było? Skąd on się tu wziął?

Nie wiem. Stoję sobie, aż tu słyszę, w górze liście szeleszczą, gałązki trzeszczą. Zmiarkowałem, że ktoś idzie lasem. Więc się przyczałem. Wtem ten zaczyna złązić z góry do debry. To ja głowę do włązu i zaczynam skrzeczeć. Nie mogłem bardzo głośno, bo on by słyszał.

Nie poznałeś Pietrka?

Nie, bo krzaki przesłaniały, dopiero jak bliżej złązł.

No i co?

On podszedł, zobaczył mnie i nasrożył się. „Co ty tu robisz?” pyta. Ja mówię, że nic takiego, chodzę sobie po lesie. „No to maszeruj stąd i żebym cię więcej nie widział”, powiada Pietrek.

„Twoje miejsce na Bryczówce, nie tu na Górnisze, wracaj do domu”. To jeszcze wszystko nic, ale on zobaczył nogawkę od portek, co sterczała spod krzaka i jak nie skoczy! Wyciąga portki, koszulę, i znów, i znów... Jak się Pietrek tym zajął, ja bez ten czas wtykam nieznacznie głowę do włazu i znowu skrzeczę do was, ale już cicho. I wrzuciłem trzy żołędziowe miseczki. On pomiarkował, że nas tu więcej i że jest jakaś zmowa. Zaczął pytać, co i jak.

A ty? Musiałem powiedzieć.

O lochach nie miałeś prawa mówić! Nie miałeś prawa go tu prowadzić!

- Nie potrzebowałem prowadzić, sam wiedział o lochach. Słyszeliście przecież, co mówił, że to on wyczyścił przejście.

Więc coś mu powiedział? - Żeśmy znaleźli ten właz i chcieliśmy się przekonać, co jest w środku. Wtedy Pietrek pochylił się nad otworem i pociągnął nosem. Powiedział, że dymem zalatuje i co wy tam palicie. Więc się przyznał, że łuczywo. Teraz już było wszystko jedno.

- Pewnie, że wszystko jedno - zgodził się Kuba. - A po co wlałeś z powrotem? To on ci kazał?

On. Musiałem wleźć.

No tak... Ubraliście się? Bo ja już. No to idźmy do Pietrka.

Co mu mamy mówić? spytał Szczupak. Poczekajmy, aż sam zacznie radził Chomik.

Ale ani pary z gęby o tym, cośmy dziś odkryli, pamiętajcie! - zapowiedział Kuba. Kiedy wrócili do lochu, Pietrek zapytał:

Jakeście już raz tu byli, po co wróciliście dzisiaj? Czy to zabawa w chowanego?

Jaka tam zabawa obruszył się Kuba. Przecież my nie dzieci. Czy ty nie rozumiesz, Pietrek, na co mogą się przydać takie wspaniałe lochy? Przecież tu można się schować, jak przyjdą Szwedzi albo Kozacy czy Tatarzy. Można zrobić magazyn na żywność, na broń.

Magazyn na broń, powiadasz? Ho, ho, widzę, że z ciebie chłopak pomysłowy i nieodrodny syn płatnerza. No, no...

pokiwał głową z uznaniem. Kuba poczuł się dumny. Chciałby się jeszcze czymś pochwalić.

Takie są czasy – powiedział z powagą że każdy powinien myśleć, co robić, żeby nas nieprzyjacieli nie zdybał nie przygotowanych. Więc i my...

- Pewnie, pewnie - przytakiwał Pietrek przyglądając się chłopcom z uwagą. - Zdaje mi się, że was znam wszystkich, tylko tamtych dwóch nie bardzo pamiętam -- tu wskazał Śliwkę i Opiekuna.

Mój ojciec pasie dworskie owce, Sebastyan, nie znacie go? spytał Opiekun. Ja jestem Staszek Szafarski.

Sebastjana Szafarskiego znam dobrze, przecie to on nauczył mnie grać na fujarce. A tamten drugi to kto?

- Ja z Zawody, Antek Kornega – wyrecytował Śliwka. Nasza jest ta najmniejsza chatka i poletko nad dworską łąką. Pół ćwierci łąna nie będzie.

To u was bieda?

Dopiero na przednówku, teraz nie. Starczyłoby do nowego, dorobiłoby się, żeby nie darmowe odróbki na pańskim.

Często się tak zbieracie? Chłopcy popatrzyli po sobie. Jak czasem

bąknął Kuba. A kto z was przewodzi? Milczeli.

No, nie będę was wypytywał, kiedy nie chcecie. Ale trzeba wam wiedzieć, że nie wy jedni myślicie o tym, co będzie, jeżeli przyjdą Szwedzi. Inni też się organizują. Znać mnie, że ja na wiatr nie gadam i źle wam nie życzę. Obiecuję, że wszystko, co tu sobie powiemy między sobą, zachowam w tajemnicy. Więc powiedzcie mi szczerze: czy nikt więcej oprócz was nie wie nic o lochach? Czy mówiliście o nich komu, czy też zachowaliście wasze odkrycie przy sobie? Powiedzcie prawdę, siła mi na niej zależy.

- My nie mówiliśmy nikomu – odparł Kuba. Ten kto wie, to nie od nas.

Ale wie, czy tak? Czy możecie mi powiedzieć, kto to taki?

- Nie, nie możemy. Przyrzekliśmy nie mówić nikomu.

Pietrek myślał chwilę, potem powiedział:

- Jakaście przyrzekli, to musicie dotrzymać, jasne. Kiedy wybieracie się znowu tutaj, do lochów?

W tygodniu nie mamy czasu.

Aha, znaczy to, że najwcześniej w przyszłą niedzielę, czy tak? No to żegnajcie, chłopaki. Idźcie do domu, ja tu jeszcze trochę zostanę. Myślę, że przed przyszłą niedzielą zobaczę się z niektórymi.

- Pietrek, a jak tam mama i wszyscy nasi? spytał Kuba.

A no nic, zdrowi wszyscy. Kobiety się rozgospodarowały, tylko twój mały brat strasznie czegoś mrućny chodzi, nie chce się bawić z innymi dziećmi.

Bo mu tęskno, Pietrek. Może by go czasem twój ojciec wziął do kuźni?

Zapytam ojca, może zechce. Chłopcy wyszli z lochu. Milczek z Piorozkiem pożegnali ich zaraz, bo im było bliżej wziąć się w prawo i ruszyli we dwóch w kierunku Bryczówki. Reszta szła razem grzbietem wzgórza aż do dróżki na Sady. Rozmawiali przy tym, zastanawiali się szczególnie nad słowami Pietrka, że są i inni, którzy się szykują na przyjęcie Szweda.

Może on myślał o wojsku Czarnieckiego? powiedział Kłusak. Nie

odparł Chomik to nie to, o Czarnieckim wszyscy wiedzą. Pietrek myślał z pewnością o kimś tutejszym. Może on sam?

Może i on, ale nie sam powiedział Kuba.

Jeden człowiek niewiele znaczy. Dopiero jak się zmówią razem.

Dobrze by było razem z Pietrkiem... rzekł Żubr.

E, on by zaraz chciał nami rządzić - odparł Kuba.

No to co? Aha, byłoby ci żal, że przestałbyś być Hetmanem.

Kuba umilkł. Uraziło go, że Żubr przejrzał jego myśli.

Kłusak i Żubr zaczęli rozmawiać o Michałku. Żubr twierdził, że lepiej go teraz nie tykać. Niech myśli, że oni nie wiedzą o niczym, nawet o tym, że Michałko ich śledzi.

- Jakby wiedział, to by się tylko jeszcze lepiej strzegł i trudno by się było przed nim upilnować.

Inni chłopcy z nim się zgodzili, tylko Kuba z przekory zaczął dowodzić, że przeciwnie, trzeba obmyślić straszliwą karę na Michałka, żeby się nie rozzuchwalał.

Żubr popatrzył na niego zdziwiony. Kuba wiedział, że przyjaciel nad czymś się zastanawia.

Co z tymi lochami gorączkował się tymczasem Wiewiórka. Od Gelazynki nas nie puszczają, od Górnichy też nie, wejście od Zamczyska pod strażą pana Macieja... Czyś ty, Kuba, rozmawiał z waszym kowalem o lochach na Zamczysku?

Nie rozmawiałem. Czemu?

I tak by nas nie wpuścił, tak samo jak wrotny do Gelazynki.

Tu Kuba poczuł, że Żubr pociąga go lekko za rzemyk, którym Kuba był przepasany. Zostali we dwóch w tyle za innymi. Tamci szli przodem rozmawiając żywo. Żubr powiedział półgłosem:

Kuba, nie bocz się na mnie. Nie myśl, że ja bym chciał, żebyś przestał być Hetmanem. Nie, mnie byłoby żal samemu. Tylko tak pomyślałem, że jeżeli inni też szykują się jak my do rozprawy ze Szwedami, to może łatwiej byłoby kupą. A wtedy nie sposób, żebyś ty hetmanił wszystkim, nawet Pietrkowi, no nie?

- Podług mnie dobrze jest, jak jest. Po co szukać obcej kompanii?

- A jeżeli kupą skuteczniej ugodzilibyśmy w Szweda? Pomyśl nad tym, Kuba. Ja wiem, że nie jestem bardzo mądry do takich rzeczy, więc może nie mam słuszności. Tyś mądrzejszy, kształcili cię. Pomyśl, Kuba. Szli chwilę w milczeniu, potem Kuba zaczął znowu:

Szwedów jeszcze nie ma, jest czas. Może jest, a może nie odparł Żubr.

Nikt nie wie, kiedy przyjdą. Chyba lepiej od razu coś postanowić. Pomyśl, Kuba.

Zrównali się z towarzyszami.

„Pomyśl” i „pomyśl”, albo to ja nie myślę? - zastanawiał się Kuba. Czego ten Józek chce ode mnie? To nie oni znaleźli mapę, tylko my. To, że lochy idą aż do lasu, to nasza własna tajemnica, nikt nie ma do niej prawa.

Wyobrażał sobie, jak to będzie: weszli Szwedzi do ich okolicy, szturmują, nasi bronią się jeszcze w Gelazynce, już, już mają tam zostać wybici przez wroga aż tu zjawia się on, Hetman, ze swoją drużyną Dębowych Tarcz. Przybywa lochami na odsiecz...

Wyobrażenia rysowała mu wspaniałe obrazy, w których on odgrywał rolę głównego bohatera i zyskiwał podziw. Ale jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że słuszność jest po stronie Żubra. Co jest ważniejsze, czy żeby Dębowe Tarcze pod jego dowództwem odegrały tę wspaniałą rolę, czy żeby ludzie mądrzejsi od nich, bardziej doświadczeni zbadali lochy na podstawie mapy, zanim nadciągną Szwedzi?

Czasem, chociaż człowiek czuje, że nie ma słuszności, bardzo mu jest trudno rozstać się z czymś, co sobie wymarzył. Toteż dopiero, gdy Szczupak z Wiewiórką mieli skrócić w lewo, na Sady, Kuba przystanął i powiedział:

Czekajcie, chłopaki, jeszcze chwileczkę. Jak myślicie, może byłoby jednak lepiej pomówić z Maciejem Orłowskim o mapie? Bo my tak się z nią cackamy, a może byłoby więcej pożytku, gdyby oni ją obejrzeliby? Zbadaliby się, czy jest naprawdę przejście.

- Co ty, Kuba, zapomniałeś? – wykrzyknął Wiewiórka i zaczął recytować uroczyście: – „Kto by zdradził tajemnicę lochów...”

Daj spokój przerwał mu Kuba. Tam stoi na końcu wyraźnie, że w razie niebezpieczeństwa można użyć lochów dla ratowania życia. Szwedzi jeszcze nie weszli, ale kiedy wejdą, może być za późno, żeby się porozumiewać i badać przejście. Kto wie, co będzie przy Szwedach, może zostaniemy odcięci, Zamczysko sobie, miasteczko sobie, dwór sobie. Może się tak zdarzyć, że lochy będą jedyną drogą pomiędzy nami wszystkimi.

Było tak, jakby Kuba wsadził kij w mrowisko. Chłopcy zaczęli się sprzeczać, niektórzy się zaperzyli. Nie tylko jemu było żal dzielić się tajemnicą, bo dzięki niej czuli się ważni, może najważniejsi. Ale Kuba tłumaczył teraz nie mniej gorąco niż Żubr. Zgodzono się wreszcie, żeby pomówił z panem Maciejem.

Jeszcze tegoż wieczoru Kuba zachodził do niego kilkakrotnie, ale jakoś nie mógł go zastać. Dopiero przed samym zamknięciem bramy kowal pojawił się na podwórzu, ubłocony i zdżony. Chodził gdzieś widać daleko.

Kuba zapytał, czy mogliby porozmawiać chwilę na osobności.

- A no, chodź do mnie, chłopcze, tam nikt nam nie przeszkodzi.

Kiedy znaleźli się w izbie kowala i pan Maciej zaświecił łojówkę, Kuba powiedział mu o rozmowie z wrotnym i o tym, że chłopcy postanowili z nim, panem Maciejem, porozmawiać.

Wiem odparł kowal. Mówił mi Srokowski, żeście się dobierali do Gelazynki. I że chcieliście szukać lochów pod Zamczyskiem.

Chcieliśmy, aleśmy zaniechali, bo pan wrotny nas o to prosił — przyznał Kuba. – I rzeczywiście, zrozumieliśmy, że ktoś inny mógłby przy tej sposobności dowiedzieć się o lochach niepotrzebnie.

Kuba opowiedział panu Maciejowi o Michałku. Że o ile wiadomo, to Michałko z Osełką zasadził się na Pietrka i chciał go dzielić siekierą. Później śledził innych chłopców ukradkiem. Pan Maciej zdziwił się i przejął.

Michałek Turzański? Co wy mówicie! No, no... Kiedy tak, to w nim siedzi kawał zbója. A chłopak wciąż się tu kręci, wszędzie go pełno, w każdy kąt zagląda. Jakby się ktoś chciał dopytać, co każdy z nas robi na Zamczysku i gdzie mieszka, albo gdzie się tu co przechowuje, to od nikogo lepiej się nie dowie jak od Michała. Wachmistrz nie wychował dobrze syna, oj nie! Czyżby i on sam coś w tym miał? Nasz rotmistrz co prawda ufa mu, ale ja mniej go jestem pewien. Wachmistrz Turzański za często biega do karczmy i z obcymi ludźmi się spotyka, ot co. Może nie ma w tym wszystkim nic bardzo złego, może to tylko zwykła ciekawość wachmistrza i Michałka, ale lepiej mieć się z nimi na baczności.

- Czy Michałko mógł wysledzić lochy, panie Macieju?

Co to, to nie. Wejście jest spod prochowni, a do prochowni nikt nie ma wstępu, tylko pan komendant Kuropatwa albo ten, komu komendant pozwoli wejść z sobą. Komendant jest bardzo ostrożny i na takie rzeczy uważający. O lochach nie wie nawet pan rotmistrz Bolestraszycki, bo on, jak kogoś lubi, to nie bardzo umie ustrzec tajemnicy. Więcemy uradzili z komendantem, że nikt nie ma wiedzieć o lochach oprócz nas dwóch i wrotnego Srokowskiego.

A Pietrek? Co Pietrek?

zdziwił się pan Maciej, widocznie zaskoczony. Co Pietrek ma do tego?

Bo my spotkaliśmy go dziś na Górnisze. Czy waćpan wiesz, że tam są także lochy?

Pan Maciej zaplótł palce i dość długo milczał. Widać było, że zastanawia się nad czymś głęboko. Wreszcie popatrzył na Kubę i rzekł:

Widzę, że wiesz więcej, niżem przypuszczał. Byłeś w tamtych lochach?

Byłem - odparł Kuba i opowiedział, jak odkrył lochy i jak spotkali się w nich dzisiaj z Pietrkiem.

Czy tamte piwnice dochodzą aż tu, na Zamczysko? zapytał ostrożnie.

Nie wiadomo odparł pan Maciej. - Te znamy już dawno, Srokowski i ja. O tamtych ludzie coś przebąkiwali, ale nikt ich nie widział. Myśleliśmy, że to bajki. Dopiero w tych dniach Pietrek znalazł tamten wąż.

Powiedz mi waćpan szczerze, panie Macieju: czy to by było bardzo ważne, gdyby się okazało, że jest przejście z Zamczyska nie tylko do dworu, ale także na Górnichę?

Człowieku, i ty o to pytasz? Rozumiesz chyba sam, jakie by to miało znaczenie w razie oblężenia! Słuchaj, Kuba, może ty coś o tym wiesz? Jeżeli wiesz, to nie masz prawa ukrywać. Ja ci to mówię, ja, stary Maciej Orłowski, że kto wykryje takie przejście, ten odda wielką usługę tym, co walczą ze Szwedami i zasłuży się przez to ojczyźnie.

Myśmy wykryli takie przejście, panie Macieju - powiedział Kuba i dobył z zanadrza puszkę z planem.

ROZDZIAŁ XV

STRZAŁ ARMATNI

Święta Bożego Narodzenia nadeszły w tym roku jakby niepostrzeżenie. Kto mógł myśleć o tej całej krzątaniu, jaką one zwykle niosły ze sobą!

Pani Stara rozpamiętywała, co by tu wybrać najważniejszego ze świątecznego jadła, żeby osamotniony imć Achacy Mokosiej czegoś smacznego pokosztował w opustoszałym dworze skierbieszowskim.

Jasne było, że nie powitają go w tym roku świąteczne smakołyki w pełnym komplecie: dwanaście potraw rybnych na wieczerzę wigilijną, strucle z makiem i z owocami, serowniki, miodowe lukrowane pierniki, potem bigosy, najprzeróżniejsze pasztety, wędliny i pieczenie. Nie wypadło nawet tyle wyborowego jadła warzyć i piec w czasie wojny, przede wszystkim zaś nie było z czego. Dawniej przed świętami biło się wieprze i woły, urządzano wielkie polowania...

Cóż to asińdzka taka zasumowana chodzisz, jakby ci się we śnie król Herod ukazał i nastawał na ciebie niby na niewiniątka betlejemskie? – dogadywał pan Jacenty. Nie martw się asińdzka, Herod ci nie zagrozi, bo i latek ponoć więcej sobie liczysz niż one niemowlęta, i z tą niewinnością asińdzki jak sprawy stoją nie wiem i wiedzieć mi nie wypada.

Odkąd to waćpan na stróża mojej niewinności się erylował? obruszyła się pani Stara.

Jeżeli sukienkę duchowną przywdziać zamierzasz, aby zostać moim spowiednikiem, to się na to waść nie oblizuj jak kot na szperkę, bo nie dufałam, aby waścine rozgrzeszenie w niebie respektowano.

- Byleś tylko onej pokuty dotrzymała, którą ja bym asińdze naznaczył! Ale aścka wolisz nam pokutną abstynencją na święta grozić, zaś tymi specjałami, które w podrunie chowasz, ponoć Szwedów ugościć zamierzasz.

- Toś waćpan trafił dowcipem jak kulą w płot! W podrunie bieda z nędzą, bo wszystko, co się dało, jejmość pani Mokosiejowa wywiozła do Zamościa. A co się tyczy Szwedów, to oni jako heretycy postów nie zachowują, tylko przez cały adwent z mięsem żrą, więc im się specjały w święta nie należą. Insza sprawa z naszą nacją, która nawet mleka ani jaja nie tknie bez cały adwent, olejem się jeno kontentując. Nasza nacja powinna mieć święta sute i omaszczone, a obacz waćpan, co się po wsiach dzieje. U nas we dworze nic to jeszcze w porównaniu z chłopkami.

Słusznie mówiła pani Stara, bo na wsi istotnie mizerne gotowały się święta w tym roku. Wszelako ludzie strwożeni myślą o groźącym szwedzkim łupiestwie bali się narzekać, aby snadź gorszego licha nie przywołać. Ksiądz Pieszko też pocieszał ich z ambony:

Zważcie, mili parafianie, że Matka Boska ze świętym Józefem też tam w swojej stajence frykasami w tym dniu się delektowali, bo jak wam wiadomo, królowie ze swymi darami na święta nadciągnąć nie zdążyli. Zaś pastuszkowie strucli ani małmazji przynieść nie mogli, dobrze jak się znalazł serek a kapustka z grzybami.

Muratowicz z Kubą wybrał się na wilię do rodziny i wszyscy wspólnie zasiedli do skromnej wieczerzy, podczas której wszakże cztery snopki z różnorakim zbożem po kątach izby stały, jak obyczaj nakazuje: pszenica, żyto, jęczmień i owies, a pod obrusem siano leżało. Opłatek bieluški

spoczywał pośrodku stołu, zaś barwiony na boku, którym po wieczerzy z bydełkiem się dzielono. Potem śpiewano kolędy, ale niedługo, bowiem całe Podwysokie wybierało się na pasterkę.

Podarki w tym roku równie były skromne jak wieczerza.

Po pasterce pani Anna z trojgiem dzieci wróciła na Podwysokie, a pan Seweryn z Kubą na Zamczysko i znów zaczęło się zwykłe życie.

Dla Kuby wszelako i dla jego towarzyszy przysłyły nowe niespodzianki.

Od dnia rozmowy Kuby z panem Maciejem niejedno zmieniło się dla Dębowych Tarcz i coraz nowe widoki odkrywały się przed nimi.

Przez to, że nie tylko odnaleźli plan lochów, ale co ważniejsze, zrozumieli jego znaczenie i umieli dochować tajemnicy, chłopcy niejako zdali życiowy egzamin i pozyskali zaufanie. Toteż zostali wtajemniczeni w różne sprawy, przy których mogli być pomocni.

Dowiedzieli się więc, że na Zamczysku dzieją się ważne rzeczy, stąd bowiem zaopatrywano w broń powstańców w całej okolicy.

Kuba już od dawna podejrzewał, że coś takiego dzieć się musi. Znał tę broń, którą posługiwali się miejscowi dragoni, nie było jej tak wiele. Tymczasem przez warsztat ojca przechodziły coraz nowe sztuki i to nader różnorakie: muszkiety i guldynki, rusznice i pistolety rozmaite, hełmy, części pancerzy, różne rodzaje szabel, pałaszy, koncerzy i rapierów, nadto berdysze, czekany, spisy, niektóre prawie nowe, inne o kształtach rzadko już spotykanych.

Pojawiały się nagle i równie nagle znikwały. Co się z nimi działo? Musiały przecież komuś służyć, ktoś jedostarczał i po naprawie zabierał. Kto, tego Kuba mógł najwyżej się domyślać. Wszelako o swoich domysłach nie mówił nikomu, nawet Dębowym Tarczom, była to bowiem tajemnica Zamczyska, on zaś, Kuba, był współpracownikiem swego ojca, który w ten sposób przypuścił go milcząco do owej tajemnicy.

Teraz dowiedział się Kuba, w jaki sposób broń pojawia się i znika.

Był na Zamczysku młody dragon, niejaki Bartek Paszko rodem z Lipiny, do którego obowiązków należało przywożenie z lasu drzewa na opał. Czasami posyłano go też do cegielni, stojącej w lesie naprzeciwko Górnichy, po drugiej stronie drogi na Lipinę.

Gdy wiozło się z lasu drzewo, gałęzie lub cegłę, łatwo było przy tej sposobności ukryć na wozie broń i porozumieć się z „leśnymi”. Cała trudność polegała na tym, aby tak sprytnie broń załadować do wysyłki, a przyslaną zdjąć z wozu i przenieść do warsztatu, by nikt tego nie zauważył.

Wprawdzie nie było w tej chwili w Skierbieszowie ani Szwedów, ani innych wrogów postronnych, wszelako można było spodziewać ich się lada dzień i należało rzecz całą zachować w tajemnicy, aby w razie czego szpieg nie mógł nieprzyjaciół uprzedzić.

Komendant miał w tej materii dłuższą rozmowę z rotmistrzem i obligował go solennie, aby ani słowem nie zdradził się przed dragonami, szczególnie przed wachmistrzem Turzańskim, gdyż człek ten zdawał się nazbyt ciekawy.

Pan Maciej z Muratowiczem postanowili użyć chłopców do pomocy, kiedy spodziewali się nowego transportu broni albo takowy wysyłali. Z wysyłką było łatwiej, ponieważ Paszko wyjeżdżał do dnia, kiedy z powodu mroku już o kilkanaście kroków nie widziano dokładnie, co się przy wozie dzieje.

Trudniej było z wyładowaniem wozu. Paszko starał się tak z tym opóźnić, żeby powrót z lasu odbywał się o zmierzchu, przez co wyładunek następować mógł po ciemku. Ale nie zawsze się to udawało, bowiem mogłoby obudzić czyjeś podejrzenia, czemu tak się dzieje.

Tu właśnie chłopcy mogli być pomocni, nie cała hurma, ale po kilku na zmianę. Ze dwóch zatrzymywało się niby od niechcienia w pewnej odległości od wozu i trzymało wartę, reszta tłoczyła się przy wozie w taki sposób, aby zamaskować, co z niego tymczasem wynoszono. Do Kuby należało postarać się, o paru towarzyszy na ten dzień, kiedy spodziewano się transportu.

Nad pracownią był stryszek, służył on jako schowek na broń, aby na dole była zawsze tylko jedna sztuka. Dopiero po jej naprawieniu zdejmowano drugą, chowając gotową na stryszku aż do wysyłki.

Szczególniej wystrzegano się wścibskiego Michałka. Komendant byłby najchętniej odprawił wachmistrza wraz z jego synem, ale nie miał jawnego powodu po temu, ani też nie było w tych czasach łatwo o innego wachmistrza, zaś Turzański starał się w służbie tak, że nic nie można mu było zarzucić. Oddalenie go szło zatem w odwłokę.

Mówiono coraz powszechniej, że pan Czarniecki nie tylko Szwedom się nie poddał, ale korzystając z tego, że zima przyniosła niejaką folgę w działaniach wojennych, wojsko reorganizuje i szeregi jego pomnaża. Że z różnych stron ciągną ku niemu i ludzie prości, i szlachta co waleczniejsza, ojczyźnie wierna.

Hetmana zaś wielkiego litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła, który Litwę poddał Szwedom, oblegli wojewoda witebski i hetman polny litewski w Tykocinie, gdzie zdrajca, nie doczekawszy nowego roku, zmarł zaraz po świętach.

W tydzień po nim zakończył również życie Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański, ten, który otworzył Szwedom wrota do Polski poddając im armię wielkopolską pod Ujściem.

Wszelako ważną nowiną, która najprędzej dotarła do skierbieszowskiej fortalicji, jako że rzecz działa się niedaleko, w Tyszowcach pod Hrubieszowem, była wieść o zawiązanej konfederacji w obronie ojczyzny i króla pod wodzą hetmanów Potockiego i Lanckorońskiego, a później Czarnieckiego, gdy za zgodą króla powierzono mu naczelną komendę nad skonfederowanymi wojskami.

Mszcząc się za Tyszowce Szwedzi spalili do cna nieszczęsny Hrubieszów i spustoszyli całą jego okolicę, wszelako przez to tym większa zawziętość ogarnęła bitną tamtejszą szlachtę, a konfederacja rosła w siłę.

Powrót do Polski króla Jana Kazimierza też dodał wszystkim ducha, tym bardziej, skoro coraz nowe wojska, w pierw poddane Szwedom, teraz porzuciły ich i wracały na stronę prawowitego króla.

Wierzono powszechnie, że od dnia kiedy Szwedzi odstąpili spod Częstochowy, która zdołała im się pierwsza obronić, musi nastąpić pomyślny zwrot i od tej chwili rozpocznie się uwolnienie ojczyzny. Już się ono zaczęło, choć w cierpieniu jeszcze i w wysiłku wielkim całego narodu.

Częstochowa wolna, król znowu w Polsce, rosną wojska polskie pod Stefanem Czarnieckim, wojewoda Sapieha z hetmanem Gosiewskim walczą o uwolnienie Litwy, dwóch naczelnych zdrajców już nie żyje, lud szarpie Szweda na Podkarpaciu i w Wielkopolsce – takie wieści podawano sobie z ust do ust i krzepiono się nimi.

Kuba też słyszał o tym i cieszył się z innymi, bo chociaż burza zbliżała się do Skierbieszowa, wszelako można było po niej spodziewać się rozpedzenia chmur.

Rotmistrz Bolestraszycki zawsze dużo się ruszał po okolicy, więc jego rozjazdy nie dziwiły Kuby. Dziwniejsze było to, że komendant Kuropatwa, który dotychczas żył w fortalicy jak odludek, prawie ludzi nie widując, teraz wciąż przyjmował odwiedziny coraz to nowych gości.

Dawniej, gdy na Zamczysku gospodarowała matka Kuby i znalazł się zawsze dla przejezdnych jakiś poczęstunek – nie pojawiał się prawie nikt. Teraz nie było dnia, aby ktoś nie zajechał, to konno, to kałamaszką, to zamożnym zaprzęgiem.

Kuba nie wiedział, jak się ci panowie nazywają, wszakże zauważył, że są to najczęściej ludzie młodzi albo w sile wieku, aczkolwiek komendant był już człowiekiem starym.

Czasem zjawiali się na piechotę nieznajomi w siermięgach, w kozuchach i łapciach albo w grubych chłopskich butach śmierdzących dziegiem. Komendant zapraszał i tych do swojej izby, jeno miotłę im przed progiem podawał przy żelaznej skrobaczce, aby oczyszczenie obuwia ze śniegu ułatwić, jako że był porządny i schludny.

Ze wszystkiego, co się działo i co mówiono, domyślał się Kuba, że nie tylko Skierbieszów z najbliższą okolicą na coś się szykuje, lecz że musi być za tym ogólna zmowa przeciw Szwedom.

Tym ohotniej wziął się do odrysowywania mapy lochów na trzech arkuszach papieru, które mu dał komendant: jedną dla potrzeb Zamczyska, drugą dla Srokowskiego, zaś trzecią dla Pietrka. Puskę ze starą mapą miano ukryć w lochach.

Tymczasem we dworze nastały trudne chwile, bowiem w drugiej połowie stycznia pan Achacy Mokosiej ciężko zaniemógł. Obwiniano jejmość Mokosiejową, która przysłała umyślnego z żądaniem, aby mąż dostarczył jej koniecznie zwierzyny do Zamościa, gdzie lepszego jądła ponoć już dostać nie było sposobu.

Chcąc dogodzić małżonce, pan Achacy wybrał się na polowanie, że zaś był już nieco podziębiony, a dni wietrzne i mroźne szły jedno za drugimi, na stanowisku przemarzwszy położył się tegoż wieczora i w nocy stracił przytomność.

Odzyskał ją wprawdzie nazajutrz i pieczołowicie kurowany przez panią Starą bańkami, nacieraniem i ziółkami nie pożegnał się jeszcze z tym światem, czego się z początku obawiano, wszelako do sił wracał nader powoli.

Nie mógł dźwignąć się z łoża, a gdy wołał do siebie karbowego z gumienym, aby raporta gospodarskie odebrać i wydać dyspozycje, myśli mu się plątały, zasypiał nagle i zapominał, o czym przed chwilą była mowa.

Doszło do tego, że chociaż nie było mu to w smak, z konieczności zdał gospodarkę na szwagra, pocieszając się jeno tym, że o tej porze roku nic ważnego w folwarku się nie działo, a służbę miał uczciwą i sobie przychylną, która nie zechce korzystać z jego choroby, aby podrywać zboże pozostawione na siewy jare, albo obroki, zamiast do żłobów, ciągnąć na swoją stronę.

Pan Nietyxa, który nie lubił wstawać rano ani pilnować gospodarstwa, z początku chciał wykazać się gorliwością i ważność swą okazać, toteż zaledwie szarzeń zaczęło, wzdychając zwlekał się z posłania i skrzepiwszy się kieliszkiem gorzałki wychodził zaraz na podwórze. Aliści już w połowie tygodnia pod pozorem osłabienia zaczął wstawać coraz później, za to coraz wcześniej wracał do siebie, aby grzać się przy kominku i miodek pociągać.

Wszelako jeżeli się przekonał, że cośkolwiek zrobiono nie pytając się go o dyspozycję, wpadał w gniew tak srogi, że potrafił o byle co chwycić nawet za króciwę wiszącą nad łóżkiem. Choć strzelec był z niego nietęgi, obawiano się takich napadów furii pomnąc na przysłowie, wedle którego nawet ślepa kura trafi czasami dziobem w ziarnko.

Jedynie pani Stara nie bała się go, a i pan Nietyxa jakby czuł przed nią mores. Próbował z początku grymasić, że kasza już go w zęby kole, a groch kiszki rozdyma, zaś gąsiorek z miodem powinien zjawiać się na stole napełniony po szyjkę, nie zaś do połowy. Szczególniej gdy wypatrzył, że jego szwagrowi zanoszą pani Paulina rosół z kury.

No, no powiedział, wciągając nosem smakowite wonie płynące znad tacy, piastowanej przez panią Starą - no, no, czy to po chrześcijańsku skąpić gościowi tego, co się daje domownikom? Wszak przysłowie mówi: „Gość w dom, Bóg w dom”, a zatem skąpiąc mnie, skąpisz aśćka Panu Bogu. Ej, bo mogę się rozgniewać!

Nie używałbyś waćpan po próżnicy imienia bożego odparła pani Stara żywo.

Wiesz waćpan sam, że nasze zapasy się kończą, a dopełnić ich nie ma skąd. Ja znam moje obowiązki i wiem, co jestem powinna choremu, a co zdrowemu, więc mnie waćpan przysłowiami nie stumanisz, a choleryzując tyle wskórasz, jakobyś mi na bębnie tarabanił.

Pan Nietyxa nie chwycił jakoś za króciwę, tylko udał, że nie słyszy i odtąd przestał odzywać się do pani Baczyńskiej.

Rękodajny Sikorski, zaliczony przez panią Starą do pasożytniczej kategorii „kręciwągów”, przy panu Nietyxie stał się sługą niespodziewanie gorliwym. Czy bał się króciwy, czy może zaimponował mu jaśniepański fason, dość, że gdy dawniej nie dbał ani o porządek szat pana Mokosieja, ani o inne jego potrzeby, teraz przeżył się jak struna przed zadzierającym nosa panem Nietyxą, sam wciągał mu i zzuwał buty, zaczesywał włosy jego z francuska, pochlebiał mu i w każdej chwili był na zawołanie pana Dionizjusza.

Wrotny też poddał się rozporządzeniom nowego gospodarza, chociaż z innych powodów niż Walenty. Pan stolnik nie mógłby go nastraszyć, bo Srokowski lękliwy nie był. Nie imponowały mu też pańskie tony, na które tamten się silił.

Był on jednakże lojalny i karny. Skoro pan Mokosiej kazał mu słuchać pana Nietyxy aż do chwili swego wyzdrowienia, Srokowski podporządkował się. Uważał, że czy mu się to podoba, czy nie, słuchać powinien.

Główne siły Szwedów wciąż jeszcze znajdowały się przy Karolu Gustawie na północy, wszelako mówiono już o tym, że kto wie, czy król szwedzki nie wyruszy znów ku południowi, aby zgnieść pana Czarnieckiego, zanim skonfederowane wojsko polskie nie urośnie zbytnio w siły.

Tymczasem wśród szwedzkich załóg i pomniejszych oddziałów ruch zaczął się robić. Przeciągali z miejsca na miejsce prowadząc za sobą coraz ogromniejsze tabory z łupami, do których przewożenia

niezliczone wozy chłopskie za darmo wlekli, każąc sobie na nich furmanić. Wiele ludzi się przy tym na mrozie pomarnowało, padło wiele wygłodzonych koni.

Kiedy później komendant Łowicza z garstką Szwedów opuszczał miasto, powlókł ze sobą dwa tysiące wozów z łupami, aby je Wisłą do Szwecji spławić! Nie zebrał ich wszystkich w niewielkim Łowiczu, lecz przez długie miesiące rabował, gdzie się dało, a łupy do swojej komendy zwoził. Podobnie działo się gdzie indziej.

Widząc, że cały naród polski zrywa się przeciw nim do broni, Szwedzi z Niemcami do reszty przestali udawać baranki i mieć obietnicami, a pokazali, kim są. Wojsko ich, któremu zalegano z żołdem, rabowało jawnie, bo król szwedzki i dowództwo zezwalali na to.

Polska, niedawno tak pięknie zagospodarowana, do której z zagranicy okręt za okrętem przyplýwał po pszenicę sprzedawaną w Gdańsku, teraz zamieniała się w ogromne pogorzelisko usiane mogiłami.

Nic dziwnego, że skierbieszowiakom chodził mróz po kościach na myśl o tym, że i oni mogą wkrótce zakosztować szwedzkiego panowania. Byli jednak i tacy, którzy mówili, że tego nie będzie, że Czarniecki ich tu nie dopuści. Powoływali się przy tym na jakoweś przepowiednie, których coraz więcej krążyło, zaś wszystkie, jak zwykle w naszym narodzie bywa, wróżyły, że na inne kraje spadną klęski, jedna Polska od nich się ustrzeże i rozkwitnie ze wszystkich nacji najbujniej.

Pewnego ranka o świcie, gdy zaspany dragon czochrając się przyszedł otwierać bramę fortalicji, a czaty na basztach rozglądały się, kiedy zluzują je inne, po mość cie spuszczonej ze szczękiem łańcuchów przebiegł niepozorny wyrostek, bosy pomimo mrozu i z kozuchem ledwie zarzuconym na ramiona. Wpadł na podwórze i z miejsca zaczął krzyczeć:

Szwedzi! We dworze już są Szwedzi! Pilnujcie się, kto w Boga wierzy!

Wszyscy znali tego chłopaka, był to Staszek Szafarski, syn. dworskiego owczarza, przez Dębowe Tarcze zwany Opiekunem. Gdy chciał zaraz uciekać z powrotem, dragoni chwycili go za ręce i zaczęli pytać jeden przez drugiego, myśląc zrazu, że to jakiś żart, albo chłopak zmysły postradał. Skąd Szwedzi? Nikt nie spotkał ich wczoraj w okolicy, nikt nie widział, żeby nadciągali.

Staszek wyrywał się im, trzęsący, siny, i krzyczał:

- Puszczajcie, ja muszę do domu! Wypuście mnie i zamykajcie bramę! Ja przybiegłem chyłkiem, sadami, żeby was ostrzec, nie wierzycie mi? Szwedzi naprawdę są, przyszli od Wojsławic, przez Lipinę, doliną...

Dużo ich? — wołano.

Nie dużo, ze trzydzieści koni, ale ponoć dzierzawca hajownicki kazał im wrota naszego dworu otworzyć. Puszczajcie mnie na Boga!

W tej chwili wybiegł komendant zwabiony niezwykłym ruchem. Gdy usłyszał, co się dzieje, kazał natychmiast wypuścić Staszka i podnieść zwodzony most.

Kiedy w godzinę później na wzgórzu za rzeką pokazało się kilku Szwedów, wyglądających ostrożnie zza osłony drzew, z Zamczyska zagrzmiął wystrzał działowy na znak, że fortalicja nie podda się dobrowolnie.

ROZDZIAŁ XVI

PIERWSZE CZYNY WOJENNE

DĘBOWYCH TARCZ

Do Skierbieszowa wkroczył niewielki oddział złożony z samych Niemców, pod wodzą podoficera. Jako że służyli Szwedom, zatknęli nad samborzem błękitną chorągiew z lwem złocistym.

Kilka lat dopiero minęło od zakończenia wojny trzydziestoletniej, w czasie której bili się z sobą Czesi, Szwedzi, Duńczycy, Niemcy, Francuzi, Holendrzy, Anglicy, Włosi, Hiszpanie – nad przeszło połową Europy stały łuny, a w jej ziemię wsiąkała krew wielu narodów. Kiedy wreszcie zawarto pokój, zostały wielkie masy uzbrojonych mężczyzn, którzy odwykli od pracy na roli i przy warsztatach, a przyzwyczaili się do życia z grabieżą. Nic to dla nich było wymordować niewinnych, podpalać, niszczyć, kraść.

Najwięcej takich rozbójników w mundurach wałęsało się po Niemczech, bo tam przez lat trzydzieści najczęściej toczyło się bitew. Trafiali się i tacy żołnierze, którzy wróciliby do pracy, ale w spustoszonej krainie nie wszyscy mogli znaleźć zatrudnienie, tym więcej, że rzadko który z owych zabijaków miał jakiś fach.

We własnym kraju stali się plagą, oni zaś sami oglądali się za jakimś nowym wojowaniem, a najchętniej szli do takiego kraju, gdzie spodziewali się obfitego łupu. Tym ohotniej zaciągali się w służbę Karola Gustawa, który po ojcu sam był Niemcem, on zaś pośród takich właśnie elementów główne werbunki swe czynił, aby pomnożyć szeregi swego wojska i dowództwa.

Potrzebował zaś więcej żołnierza, bowiem gdy przed kilku zaledwie miesiącami zdawało mu się, że Polskę ma już w garści, teraz jako piasek pomiędzy palcami wymykali mu się Polacy z rąk.

Miał więc Karol Gustaw żołnierzy i wodzów bitnych, z wielkim doświadczeniem wojennym, wśród których obok Szwedów było coraz więcej Niemców, po trosze zaś trafiało się tam wojowników z różnych innych nacji, biorących poprzednio udział w trzydziestoletniej wojnie.

Z początku król szwedzki starał się utrzymać wojsko w ryzach, aby sobie nie zrażać Polaków i uspić ich obietnicami. Gdy jednak naród polski ocknął się i jął organizować opór, Karol Gustaw pragnąc go nastraszyć spuścił ze smyczy żądne grabieży żołdactwo i nie tylko gwałtem nie przeciwdziałał, lecz owszem, wyższe jego dowództwo samo dawało w tym przykład.

Z początku obawiano się powiedzieć panu Mokosiejowi, że Szwedzi roztasowali się we dworze i zaczynają kontrybucje i żywność z ludności ściągać. Wszelako on sam dojrzał zaraz przez okno rajtara, a wówczas uczyniwszy krzyk wielki zaczął dopytywać się, co to jest.

Kiedy się dowiedział, że wróg wszedł bez wystrzału, kazał wołać wrotnego i wydawało się, że pomimo osłabienia rzuci się na niego z szablą. Srokowski wszelako, choć zgnębiony, umiał zachować spokój i skłoniwszy się swemu panu, powiedział:

Już też nie gniewaj się na mnie, wasza miłość, bom ja tu nie winien. Kazałeś mi waszmość słuchać rozkazów pana stolnika, więcem słuchał i bramę rozewrzeć musiałem.

To on kazał wpuścić Szwedów? krzyknął pan Mokosiej głosem strasznym ja go... ja go...

Nie zdołał dopowiedzieć, lecz zakaszawszy się opadł na poduszki.

W tej samej chwili szybkim krokiem weszła do komnaty pani Stara, a jako niewiasta rezolutna, jąła przekładać zamkniętych drzwi za sobą:

Nie choleryzuj waszmość i nie krzycz, bo nic nie pomożesz, tylko na zdrowiu sobie zaszkodzisz, a pludrów rozindyczysz. Choćby imć Srokowski bił w nich z trzech śmigownic, to by ich nie strzymał, tyle tylko, że ograbiliby dwór do cna nie mieszkając, a nas by wyrznęli. A tak może doczekamy pana Czarnieckiego.

Daj mu Boże zdrowie powiedział pan dzierżawca nieco udobruchany. Wtem z oddali doleciał huk armatniego wystrzału.

Co to? krzyknął pan Mokosiej. To Zamczysko, dalibóg, Zamczysko! Patrzajże, aśćka, oni się tam bronią jak na Polaków przystało, a my tu od psów gorsi, bo pies na złodzieja warczy nie patrząc, czy po łbie dostanie!

Cichajże waść, cichaj — mitygowała go pani Paulina. Zważ waszmość, że ich sytuacja całkiem jest inna. Oni mają mury, mają więcej dział, mają dragonów, mogą jakiś czas się bronić.

W tej chwili drzwi rozwarły się z trzaskiem i wpadł pan Nietyxa.

Słyszysz, Achacy? - krzyknął od progu. — Strzelają w Szweda! Poszaleli, słowo daję. Kpy bezrozumne, szelmy podgolone! Ty sam szelma!

wrzasnął Mokosiej. Precz, precz mi z oczu, bezwstydniku!

Baczyńska i Srokowski struchleli, bojąc się, żeby pan stolnik dobywszy szabli nie rzucił się na chorego, pan Jacenty już go nawet sobą zastawił. Wszelako pan Nietyxa przycichł od razu, skulił się w sobie i szybko wyszedł.

Nie czuł się on już tak pewny swego jak wtedy, gdy dowodził oczekując wejścia Szwedów, jacy to z nich kulturalni i łaskawi zwycięzcy. Kazał przygotować gąsiorek cienkuszka i cynowy talerz nakrajanego chleba z wędzonką, aby powitać wkraczających poczęstunkiem. Wszelako niemiecki oficer spojrzął na niego zimno, odsunął talerz tak gwałtownie, że kromki rozsypały się po stole, a popróbowawszy wina splunął i kopnąwszy w stół krzyknął na Nietyxę:

Raus! Pan stolnik, który miał przygotowaną ozdobną orację, otworzył już był usta, lecz nie ośmieliwszy się wypowiedzieć słowa, wycofał się do siebie.

W tym nastroju usłyszał niespodziewanie strzał z fortalicji i popędził do szwagra. Gdy zaś ten z kolei kazał mu się wynosić, stolnik uciekł znów do swojej izby. Nalał pełny pucharek wina, wychylił go duszkiem i natychmiast nalał drugi. Powtarzał przy tym na pół przytomnie:

Zalać robaka... zalać... zalać... zalać... Gdy kręciwąs Sikorski, który słysząc krzyki wycofał się był przezornie z pierwszej linii frontu do alkierza, wszedł później po cichu do pokoju pana Nietyxy, zastał go chrapiącego z głową wspartą na rękach rozłożonych na stole. Podniósł gąsiorek, potrząsnął nim i przyjrzał mu się pod światło, a widząc, że jest pusty, pokiwał głową, machnął ręką i wyszedł.

Tymczasem na Zamczysku przyśpieszono ostatecznie przygotowania. Było do przewidzenia, że nieprzyjaciół będzie usiłował zająć fortalicję. Wszelako licząc na to, że mały oddział pewno nie ma

własnych dział, a śmigownice dworskie nie doniosą do Zamczyska, komendant postanowił bronić fortalicji, jak długo się da.

Według jego wiadomości wojsko Czarnieckiego wciąż rosło w siłę i można było spodziewać się odsieczy.

Gdyby zaś fortalicja się poddała, wówczas Szwedzi zyskaliby w niej jeden więcej punkt oporu przeciwko nadciągającym wojskom polskim.

Muratowiczowi żal było sporego transportu broni, którą przygotował był właśnie do wysyłki. Zamknięta w fortalicji nie służyła nikomu, bo załoga Zamczyska miała dosyć własnej broni, w lasach zaś na nią czekali.

Wiesz, Kuba – powiedział płatnerz do syna wciąż myślę i myślę, jak temu zaradzić.

I co tato wymyślił?

Może załadować broń na sanie i nocą przewieźć po lodzie od razu gdzieś daleko za Sady, do lasu? Rzecz to ryzykowna, ale może by Paszko dał radę. Szwedów jest niewielu, tak daleko z pewnością czat nie wystawiają, baliby się. Tylko ta jest trudność, że do sani za jednym razem wszystko by się nie zmieściło.

- A jakby za saniami przywiązać troje małych sanek i na nich przytroczyć worki z bronią? Wtedy dałoby się zabrać wszystko, tato.

Wiesz, że to przednia myśl - ucieszył się Muratowicz. Trzeba rozmówić się z komendantem.

Pobiegnę do niego! zawołał Kuba. Zameldował się na podwórzu u komendanta i nieznacznie poprosił o chwilę rozmowy. Komendant kiwnął głową i poszedł do siebie. Od progu zawołał:

Kuba, przynieś mi trochę wody do picia! Pod tym pozorem Kuba wszedł po chwili do izby komendanta. Wszyscy sprzysiężeni pilnowali się bacznie, by nikt nie posądzał ich o tajemne zmawianie się, przypuszczali bowiem, że są śledzeni.

Kuba pokrótce przedstawił komendantowi plan ojca, ale dodał:

Ja myślę, że może jeszcze bezpieczniej byłoby wynieść tę broń lochami.

Nie powiedział Kuropatwa po chwili namysłu. Przedostanie się mało znanymi lochami aż na Górnicę to długa sprawa. Kto mógłby pójść? Kowal, Paszko i ty, nowych nie chciałbym wtajemniczać. Musielibyście przynajmniej dwa razy obrócić niewygodnymi przejściami, i to bardzo obciążeni. To za trudne. Tak jak obmyślił twój ojciec, dałoby się załatwić wszystko w jedną noc. Tylko musiałby ktoś wybrać się z Paszką, może Maciej Orłowski.

Ja, panie komendancie, dobrze? Kowal tu potrzebniejszy ode mnie.

Pomówię z twoim ojcem powiedział Kuropatwa i odprawił Kubę.

Kuba nie mógł doczekać się chwili, kiedy sprawa zostanie rozstrzygnięta. Na szczęście pomyślna decyzja zapadła tego samego dnia.

Wyprawa nie dałaby się ukryć, postanowiono więc wysłać sanie jawnie, tak jednak, żeby nie zdradzić prawdziwego celu.

Kowal kazał Paszce przygotować z wieczora wielkie sanie w celu przywiezienia nocą drzewa, zanim Szwedzi otoczą fortalicję i odetną drogi. Paszko szykował je więc zupełnie jawnie. Dopiero, gdy się ściemniło, na dno sań załadowali część worków z bronią.

Paszko wyjeżdżał przez bramę w takich ciemnościach, że można było się obawiać, czy koń z saniami trafi na most. Nikt nie zauważył, że obok nich wysunął się i Kuba, który szybko wyciągnął dwa pełne worki, kowal zaś podepchnął za nim trzeci. Aby zyskać na czasie, Paszko szamotał się tymczasem z koniem, klnąc i dając pozór, że jedną z płóz zahaczył o bramę.

Kuba tymczasem przeciągnął worki z bronią przez most na groblę, za nimi zaś troje saneczek, które przedtem przygotował obok bramy. Stamtąd zsunął wszystko w lewo, w łożinę. Wreszcie przejechał Paszko przez most, który zaraz podciągnięto z powrotem na łańcuchach do góry.

Teraz Paszko zjechał ostrożnie na lód jeziora. Przywiązali z tyłu saneczki i przytroczyli do nich po jednym worku. Zwijali się cicho i w milczeniu, aby warty na murach nic nie zmiarkowały.

Szczęściem noc była bezksiężycowa i chmurna, tak że nawet śnieg nie szarzał w gwiazdnej poświacie. Wybrali sanie mocno zbite, nie skrzypiące, że zaś lód był przyprószony śniegiem, więc i stąpań końskich słycać nie było.

Posuwali się wolno, aby koń zbyt nie się ślizgał, przy tym jezioro było płytkie i od czasu do czasu wystawały ponad lód jakoby wysepki porośnięte łożyną, które omijać było trzeba. Kuba dziwił się srodze, że Paszko je widzi, on bowiem na próżno wyteżał wzrok.

Oczy masz chyba jak sowa mruknął.

Koń sam czuje – odparł Paszko równie cicho. Niedaleko stąd do drogi, którą z łowca na tę stronę jeziora przetarto, wtedy będzie łatwiej.

Gdy kępy zaczęły się mnożyć, Kuba zeskoczył z sań i szedł obok, pilnując saneczek, aby się nie wywróciły. Mogliby przy tym zgubić ładunek, którego w ciemność ciach nie dałoby się odnaleźć.

Po jakimś czasie trafili na drogę, poznali ją po dwóch wałach śniegu na bokach. Przecinała ją w poprzek druga koleina i tą ruszyli ku wschodowi, omijając Sady. Dopiero za wsią zjechawszy znów z drogi przedzierali się ku brzegowi.

Ten ostatni kawałek był najbardziej uciążliwy, rosły tu bowiem gęsto trzciny, których zeszcłe badyle sterczały nad lodem. Paszko zaklął z cicha.

Za wcześnie skręciłem - powiedział półgłosem. — Zeby nasz kasztan nie pokaleczył sobie aby nóg!

E, nie uspokajał go Kuba. Trzciny nie oblodzone. Jeżeli ja daję radę przejść, to koń tym więcej. Tylko, jak znajdziemy to miejsce, gdzie mamy zostawić broń? Oni się nas dziś nie spodziewają. - Co noc się spodziewają

odparł Paszko. Stoi taka umowa, że w brogu nad jeziorem zawsze dwaj mają nocować zakopani w sianie i na zmianę mają czuwać. - Ale jak znajdziesz ten bróg?

Znajdę, ja przecież coraz to jeżdżę tędy. Za tymi trzcinami jest już niedaleko.

Gdy wyjechali z jeziora na brzeg, Paszko zatrzymał konia i zaczął pohukiwać naśladując puszczyka. Powtórzył pohukiwanie i czekał cierpliwie. Kubie czas się dłużył.

Huknij jeszcze raz szepnął.

Nie trzeba. Dwa razy starczy, tak jest umówione. Niebawem usłyszeli skrzypienie śniegu i jakiś głos zapytał:

Buczynę wieziecie? Nie buczynę, jeno sosnę. Do kogo? spytał drugi głos.

Do Maćka smolarza odparł znowu Paszko. Kuba zdziwił się słysząc tę niezrozumiałą rozmowę, ale wnet zmiarkował, że to umówione widać hasło, bowiem słyszał, iż takowe w wojsku wymieniają dla pewności, raz po raz je zmieniając.

Podjechali jeszcze kawałek, po czym we czterech powynosili broń i ukryli w sianie, tamci zaś podali puste worki z poprzedniego transportu. Poukładano je na dnie sani, a na wierzch załadowano przygotowane już przy drodze i porżnięte kłocę drzewa, po czym sprawdzwszy uwiązanie saneczek Paszko i Kuba wyruszyli w powrotną drogę.

Gdy wracali, śnieg zaczął prószyć.

- Żeby nie zadymka – powiedział Kuba. Zgubić by się łatwo na jeziorze w taką noc.

E, nie uspokajał Paszko zadymki nie będzie, śnieg sypie drobny i na odwilż się ma. To i dobrze, że śnieg, bo zasypie ślady. Choć i tak nie spodziewam się, żeby kto dochodził, gdzie my z tobą jeździli, komu by się tam chciało!

Kuźnia pana Macieja mieściła się tuż przy bramie, toteż łatwo było kowalowi znaleźć się przy niej, skoro tylko Paszko zameldował się wartom. Teraz było o wiele łatwiej niż przy wyjeździe, wystarczyło, żeby Kuba wsunął się za saniami i przeciągnął saneczki.

Był taki podniecony, że zaraz musiał wszystko opowiedzieć ojcu. Wyciągnęli się obok siebie w ciemność ciach nakryci jedną derką i szeptali długo.

Nie zmarzłeś ty aby? spytał ojciec.

Skąd, byłem przecie w kozuchu. Po prawdzie to i czasu nie miałem... odparł Kuba i opowiadał dalej.

Spał nazajutrz do południa. Michałko przyszedł się dowiedzieć, gdzie Kuba. Muratowicz powiedział, że zaziębił się i w plecach go kole. Michałko zajrzał niby to z przyjaźni, a upewniwszy się, że Kuba leży w mieszkaniu, odszedł uspokojony.

Podczas gdy Hetman w taki sposób po raz pierwszy został przypuszczony do pomagania powstańcom, inne Dębowe Tarcze też nie zalegały pola.

Zaczęło się od Chomika i Opiekuna, którzy mieszkali z rodzinami przy dworskiej czeladzi. Kiedy oddział nieprzyjacielski zajął folwark, chłopcy przestraszyli się, czy Niemcy nie wyśledzą wejścia do lochów.

Z początku wrotny był taki zaaferowany, że nie sposób było rozmówić się z nim na osobności. Gdy jednak rajtarzy rozpalwszy ogniska zabrali się do warzenia stawy, chłopaki dopadły wrotnego za śpichrzem.

Jak to będzie, panie Srokowski? — dopytywał się Chomik.

Z czym? Z lochami.

Tsss, ja sam w strachu szepnął pan Jacenty oglądając się, czy ktoś nie podsłuchuje. – Jeżeli zajrzą tylko do Gelazynki, to nie wyniuchają, ale jakby chcieli tam się rozgnieździć...

Panie wrotny, nagadaj im waść o strachach, to się przelękną i dadzą pokój Gelazynce powiedział cicho Opiekun.

O jakich strachach?

No przecież słyście waść o beczcze, co się stamtąd wytacza, nie? A o duchu kasztelanowej, co ją zły mąż uwięził, aż zmarła z głodu i teraz pokazuje się w białej szacie o księżycu? A o tych panach, co jedli z mięsem w Wielki Piątek i zapadli się pod ziemię?

Czekaj, Staszek szepnął Chomik z kasztelanową to nie było tu, tylko w Chełmie, a panowie, co ich ziemia pochłonęła, to w Dębownicy.

Czy nie wszystko jedno? - upierał się Opiekun. Ja bym zebrał do kupy wszystkie duchy, o jakich tylko z nas kto słyszał, że gdzieś straszą i wszystkie bym ściągnął do Gelazynki.

Niemcy nie uwierzą powiedział wrotny. To naród w sobie zadufany.

Owa! Znasz waść Czarnego Zycha, tego, co w kuźni pomaga Bezuchowi? Chyba najmocniejszy z niego chłop w Skierbieszowie, byka za rogi chwycić gotów, na Szweda pójdzie z pałką. A spóbij waść powiedziec mu, że gdzieś straszy, to od razu zzielenieje i pot mu na czoło wystąpi. Na cmentarzu noga jego nie postoi nawet w biały dzień. Z duchami to nigdy nie wiadomo, kto ich się boi, póki nie przyjdzie do tego.

- Można by spróbować, zaszkodzić by nie zaszkodziło, tylko kto im powie? zastanawiał się Srokowski. Ja po niemiecku brechać nie umiem, pan stolnik choć potrafi, to przeciw pludrom konceptem nie ruszy, nasz jegomość chory i prędzej by własny język zjadł, niż nim do Szwaba szwargotał, więc kto? Chyba pani Baczyńska? Tak, chyba pani Baczyńska. Mówiła że po niemiecku gadać umie, bo służyła za młodu w Lublinie, gdzie obok mieszczki niemieckie rezydowały. Pani Baczyńska, jak wiadomo, jest wielkiego obrotu niewiasta i statystka najcelniejsza, ona by już potrafiła wymiarkować, jak zażyć tych heretyków. Tylko w tym sęk, że ona nie wie o lochach i wiedzieć nie może, bo nam do czasu nie wolno o nich mówić nikomu.

Po co miałyby wiedzieć? Zważ waszmość, że Gelazynka sama z siebie jest ważna, jako że to z bojnicy najwyższa i z góry strzeże podwórza, a w sobie mieści więzienie. Powiedz waść pani Starej, że nam potrzeba trzymać żołdactwo z dala od Gelazynki i kwita. Ona waści nawidzi, zrobi o co ją waćpan poprosisz.

Ona mnie nawidzi? Ścierpieć mnie nie może, wciąż się ze mną tylko sprzecza, a przycina mi, dogaduje.

- E, waćpan wiesz sam, że to tylko gwoli uciechy, dla wecowania języka, żeby nie stępieł. Pogadaj z nią waść, wymiarkuj. Tyle sprytu, ile my mamy w głowach we trzech z waćpanem, pani Stara mieści w jednym palcu, a zawsze w odpowiedniej chwili wystrzelić konceptem z tego palca potrafi – radził Opiekun.

Chomik dodał:

- Jak ich jejmość Baczyńska nakołuje strachami, tedy my sami duchy udawać zaczniemy. Nastraszą się do siódmego potu, przekonasz się waćpan.

Myśl wydała się Srokowskiemu warta próby. Toteż wzięwszy jejmość Paulinę na osobność wyłożył jej rzecz całą, jak z chłopakami umówili. Pani Stara lubiła facecje, więc chwyciła od razu, o co chodzi i jeszcze dołożyła ze swego konceptu.

Rudolf, ten ryży grubas, rozumie po naszymu. Jak się spotkasz z owym rajtarem, nadmień mu asan o duchach, ja zaś gotowam opowiedzieć o nich samemu Bauerowi, któren jest ich oficjerem. Wyhaftuję językiem takie dziwy, podając wieczerzę, że nie zmruży oka do rana. A tak waść będziesz drążył z jednego boku, ja zaś z drugiego, aż sobie ręce podamy i wyprawimy tu takie teatrum, że i na królewskim dworze lepszego nie oglądają.

Jakoż wieczorem pan Jacenty przysiadł się pod kuchnią na ławę do ryżego rajtara i zapytał:

Panie Rudolfie, ponoć w waszym kraju czarownice rozpleniły się w czasie wojny szkaradnie i musicie je teraz w wodzie pławić. Prawdaż to?

Może bycz, we wojna wszystko może bycz — odparł Niemiec.

Gdzie są czarownice, tam są i duchy, bo więdźmy je przywołują. Straszy u was?

Czemu nie? Ono straszy, nieraz straszy.

Może znacie sposób na duchy, zakłęcie jakowe? Bo widzicie, panie Rudolfie, u nas to samo się robi, dlatego was pytam jako człowieka z eksperjencją. We dworze i na majdanie jeszcze nic, ale co się w tej baszcie dzieje, to ludzkie pojęcie przechodzi.

Tu pan Srokowski wskazał sterczącą w głębi Gelazynekę. Ryży grubas spojrział na nią z zaciekawieniem, ale i z obawą, co wrotny zakonotował sobie nie bez satysfakcji. Zaczął więc opowiadać historie o duchach i strachach skierbieszowskich, niby to radząc się rajtara, w jaki sposób można by je zażegnać.

Tamten wspomniał to taki fortel, to owaki, wreszcie jednak zgodzili się obaj, że na duchy nie ma naprawdę skutecznej rady i mądry człowiek najroztropniej postąpi nie wchodząc im w drogę.

Tak staram się czynić zakonkludował wrotny jeno w tym sęk, że mnie zlecono dozór nad tą przeklętą bojnicą, w której duchy główną kwaterę sobie założyły. No, dobranoc, obejdę jeszcze ostrokół dla sprawdzenia i legnę spać.

- Czekał, pan starszy, czekał — tu rajtar chwycił wrotnego za połę powiadaj jeszcze raz, jak jest z ta beczka, co się od baszta wytaczać: w prawo na szmerć, czy w lewo na szmerć?

Pan Srokowski, rad, że haczyk chwycił, nie dał tego poznać po sobie. Z powagą opowiedział raz jeszcze historię o beczcze, po czym życzył przestraszonemu rajtarowi spokojnej nocy i wrócił do dworu.

Tymczasem pani Stara, nieco inną kierując się taktyką, zmierzała chytrze do tego samego celu.

Panie pułkowniku, mam do pana małą prośbę powiedziała do Bauera, któremu ten tytuł wielce pochlebiał, jako że nawet do kapitana było mu daleko.

Jaką prośbę, no, no? - spytał Bauer, podnosząc oczy znad miski ze schabem i kapustą.

Pani Stara była u niego w poważaniu, jako że poznał się zaraz na jej talentach kulinarnych.

Niech pan pułkownik będzie łaskaw nakazać swoim żołnierzom, żeby nie mówili co trzy słowa: „do diabła”. Widzi pan pułkownik, tu u nas diabły z okolicy założyły swoją kwaterę, a my, chociaż im nie służymy, wszelako musimy obchodzić się z nimi politycznie, żeby im się nie narazić.

Pani Paulina, mądra kobieta, wierzysz w diabły?

Wierzę, nie wierzę, z tego panu spowiadać się nie będę, ale to pewne, że lepiej mieć się na ostrożności, szczególnie w Skierbieszowie. Pan pułkownik nie znasz naszego języka, ja ci zaraz tę materię wyłożę. Otóż Skierbieszów to jakoby „sterta biesów”, a bies po polsku diabeł znaczy. Jeżeli panu pułkownikowi mało tego dowodu, proszę wypytać naszego wrotnego, który tu mieszka od małego, ile biesy napędziły do nas wszelakich duchów, a najprzeważniej złośliwych albo takich, którym dawne grzechy i bluźnierstwa nie dają zażywać w spokoju chwały niebieskiej.

Ciekawe ożywił się Bauer tu, w tym domu, są duchy? U nas też trafiają się w starych zamkach. Tak ludzie mówią, ale ja w to nie wierzę.

W tym domu niekoniecznie są duchy, ale naokoło domu to są, sama widziałam ducha.

Powiedz pani, gdzie, to ja zaraz tego ducha przepłoszę powiedział Bauer i roześmiał się.

Baczyńska spostrzegła, że chcąc strachami utrzymać oficera z dala od Gelazyнки, gotowa go właśnie tam znęcić obudziwszy jego ciekawość. Toteż zrejterowała nieco i odpowiedziała wymijająco.

Niespodziewanie przyszedł jej w sukurs kapral, człowiek starszy. Ten bowiem, spojrzawszy na dowódcę z wyrzutem, rzekł poważnie:

Z duchami nie ma żartów. Kto wie, co nas jutro czeka. Gdzie jak gdzie, ale na wojnie lepiej mieć duchy po swojej stronie. Ja sam miałem takie zdarzenie. Było to niedaleko Lützen, młody byłem jeszcze. Staliśmy na kwaterze w jednym zamku ja z towarzyszem, w baszcie starej, o której mówiono, że tam straszy. Podobno jakąś kobietę w niej więziono i tam zmarła, a teraz się ukazuje. Przy wieczerzy, w głównej sali, ktoś pokazał na jeden z wiszących tam portretów i powiedział: „O, patrzcie, to ta dama”. Towarzysz mój, niewiele myśląc, dobył pistolet i trach! Wystrzelił damie między oczy. Zaśmiał się przy tym i zawołał: „Zabiłem ją, teraz straszyć nie będzie!”. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, ale co mogłem poradzić? A teraz proszę posłuchać, co się dalej stało. Po trzech dniach mieliśmy straszną bitwę, sam król szwedzki wtedy poległ. Po bitwie, jak zbierali rannych, znaleźli tego mojego towarzysza nieżywego, dostał kulę między oczy.

Zapadło milczenie.

Pani Baczyńska, uważając, że wystarczy tego, co zostało powiedziane, życzyła im dobrej nocy i wyszła z komnaty.

Od tego wieczoru zauważyli, że rajtarzy chętniej gromadzą się na majdanie w pobliżu spichrza, niż w okolicach Gelazynki. Zaś pani Stara usłyszała kiedyś, jak jeden z rajtarów ofuknął młodzika, gdy ten zaklął „zum Teufel”.

Widzisz waść, jak pludrów uczymy politycznie się wyrażać — pochwaliła się wrotnemu

wszak „zum Teufel” znaczy „do diabła”. Widać i ten niedowiarek, którego „pułkownikiem” delektuję, wziął do serca nasze nauki.

Skoro przygotowania do właściwej akcji odniosły skutek, spiskowcy zdecydowali się przystąpić do udawania duchów.

Najpierw ubrawszy Chomika w białe giezło kazali mu ukryć się w Gelazynce, a stamtąd wychylić się o zmroku wydając jęki żałośliwe. Potem, kiedy mrok nieco bardziej zgęstniał, Opiekun obszedł dookoła ostrokół z zatkniętą na tyce wydrażoną dynią, w długie prześcieradło przyodziany. W dyni paliła się świeczka, zaś otworami wyrzezanymi w kształt oczu i z zębiastej gęby ogień się jarzył. Około północy jęły dolatywać od baszty brzęczenia łańcuchów i jęki, to znów śmiechy szkaradne. Najgorszy strach poraził rajtarów, gdy od strony złowróznej baszty potoczyła się ku nim z hałasem pusta beczka. Uciekali jak przed zarazą.

Nazajutrz Bauer wzięwszy na odwagę kazał wrotnemu pójść z sobą i otworzyć Gelazynkę. Podał mu klucze, które przedtem odebrał był wrotnemu, i kazał mu rozewrzeć drzwi.

Klucz przekręcił się w zamku, opadły wrzeciądze, drzwi uchyliły się cicho bowiem wrotny naoliwił zawiasy -- i Bauer, wetknąwszy głowę w złowrogą czeluść, zajrzał w głąb. Dostrzegł przed sobą zakratowane drzwi więzienia, z drugim potężnym zamkiem, obok zaś kręcone schody wiodące w dół do piwnicy i w górę na wieżę.

Chociaż przedtem Bauer odgrażał się, że obejdzie całą Gelazynkę, a duchy z niej wypłoszy, teraz cofnął głowę szybko i kazał zaraz drzwi zamknąć z powrotem. Klucze od wrotnego odebrał i schował do własnej kieszeni.

Nie wiedział, że imć pan Jacenty Srokowski ma drugie klucze do wszystkich pomieszczeń, od których jedne odebrali mu Niemcy.

Teraz wrotny z chłopakami przystąpili do dzieła, do którego strachy były tylko wstępem.

Korzystając z mapy dostarczonej przez Dębowe Tarcze, Pietrek Orłowski i Demko Klimczuk spenetrowali już poprzednio lochy od strony Górnichy aż do Zamczyska, a także ich rozwidlenie wiodące do Gelazynki. Teraz Chomik z Opiekunem dali znać do Demka przez Kisielińskich, którym z Bryczówki było najbliżej, że na tę noc gotuje się wielka robota, niech więc Demko razem z Pietrką z wieczora podejda lochami i zaczają się pod Gelazynką.

Milczek wykonał polecenie i dał znać chłopcom ze dworu przez Pjerożka, że powstańcy będą czekali pod basztą u wjazdu do lochów.

Kiedy rajtarzy posnęli i czuwały tylko warty rozstawione dookoła, spiskowcy przystąpili do dzieła.

A było to dzieło zuchwałe jak na szczupłe ich siły: postanowili zdobyć tuzin wybornych muszkietów toruńskich, w które uzbrojona była rajtaria.

Rozumieli, na jak niebezpieczną rzecz się ważą i że może ona życie kosztować. Jednak w razie udanej wyprawy, dwunastu powstańców będzie mogło przejść pod rozkazy Czarnieckiego z najlepszą bronią.

Wszyscy powstańcy gotowali się do tej chwili, starając się tymczasem zdobyć sobie ekwipunek. W braku szabel, rusznic i pistoletów postanowili iść z kosami lub bodaj pałkami, byle na Szweda, wszelako uśmiechała im się skuteczniejsza broń.

Warty nie były rozstawione na samym majdanie, bowiem nie spodziewano się wroga wewnętrznego, tylko poza domem, sadem i zabudowaniami gospodarczymi. Żołnierze sypiali zwykle w sianie nad stajnią, gdzie im było najcieplej, a zarazem w razie nagłej potrzeby dostęp do koni mieli najbliższy. Rapiery trzymali przy sobie, zaś muszkiety, żeby nie zaproszyć ich sianem, ustawiali w kozły przed stajnią. Obok paliło się ognisko dla oświetlenia majdanu i ogrzania rajtara, który na zmianę czuwał przy ognisku, owinięty w wilczurę od sań pana Mokosieja.

Srokowski wypatrzył, że nad ranem ognisko zwykło przygasać, rajtar opierał się o ścianę stajni i popadał w drzemkę, a ta kończyła się głębokim chrapaniem. Tę chwilę wybrał dla działania jako najstosowniejszą.

Nie zapalając łuczywa otworzył cicho Gelazynekę. Zszedł po ciemku schodami do piwnicy i tam odsunąwszy rupiecie zmacał znajomy pierścień, pozwalający dźwignąć drewniane zamknięcie wjazdu.

Jesteście tam? zapytał półgłosem. Gdy dosłyszał odpowiedź, wylazł cicho, wyszedł na majdan, przywarował obok tyłów Gelazyнки i czekał.

Tymczasem Chomik z Opiekunem popęzli na czworakach w stronę stajni. Chomik był mniejszy, a zręczniejszy, więc on posuwał się dalej, Opiekun zaś wedle umowy zatrzymał się po drodze.

Chomik zdawał sobie sprawę, że najtrudniej będzie odejmując po kolei muszkiety nie obalić innych, w kozioł zestawionych. Gdyby grzmotnęły ziemię, rajtar przebudziłby się niechybnie i wszystko by przepadło.

Nie mógł tego dokonać pozostając na czworakach. Bał się zaś okropnie, stając na nogach, że ktoś, kogo on nie widzi w nocnych ciemnościach, może dostrzec go i wszcząć alarm.

Starał się pozostawać w cieniu, ile się tylko dało. Wszelako wyciągając rękę po muszkiet musiał wysunąć ją w światło ogniska. Zdawało mu się, że serce przestało mu bić ze strachu i że nie będzie mógł ręką sięgnąć. Ale się przemógł.

Jedną ręką ujął za lufę muszkietu, drugą przytrzymując pozostałe, żeby nie upadły. Położył pierwszy muszkiet ostrożnie obok siebie na ziemi i w ten sam sposób odjął następny. Potem położył cicho pozostałe, bo nie miały już dość podpory, żeby stać.

Teraz przyszło dalsze zadanie, prawie równie trudne. Trzeba było doczołgać się do Opiekuna z dwoma muszkietami.

Chociaż noc była mroźna, a Chomik lekko odziany, żeby łatwiej mu było się ruszać kiedy oddał muszkiety Opiekunowi, obtarł rękawem pot z czoła.

Teraz trzeba było zawrócić

i tak aż sześć razy. „Czy dam radę?” pomyślał Chomik. „Może wziąć tylko sześć sztuk?”

Wiedział jednakże, iż czego nie zdobędą od razu, tego nie zabiorą nigdy, bo nieprzyjaciel będzie się strzegł.

Tak więc trzęsąc się ze strachu i zmęczenia Chomik przeniósł sześć razy po dwa muszkiety. Opiekun miał zadanie łatwiejsze, za to przypadł mu większy odcinek drogi. Przenosił muszkiety pod Gelazynekę, a tam Srokowski podawał je przez strzelnicę powstańcom.

Kiedy wrotny oddał powstańcom ostatni muszkiet, opuścił za nimi właz, zamaskował go słomą i rupieciami, po czym wyszedł i zamknął Gelazynekę na klucz.

Chłopcy nie czekali na niego, lecz porozchodzili się do siebie, tak się bowiem umówili.

Teraz musieli jeszcze przezwyciężyć drobną trudność: jak wytłumaczyć się w domu? Każdy z nich wyszedł niby to za swoją potrzebą, a nie było ich z godzinę. Na szczęście wszyscy spali przez ten czas mocno i jakoś uszło chłopcom płazem.

Jedzenia było w domu coraz mniej, więc pokładli się spać głodni. Teraz po nocnej wyprawie aż ich bolało w środku, tak im się chciało jeść. Czuli też, że przemarzli do kości. Nie było na to innej rady, jak otuliwszy się kożuchem zasnąć na głodno.

A jednak żaden z nich nie oddałby za nic tych strasznych, trudnych, wspaniałych chwil.

Wrotny przypuszczał, że nazajutrz Niemcy będą szaleć jak rój rozdrażnionych pszczoł. Jednakże dzień minął tak cicho, jakby nic się nie stało. Srokowski zachodził w głowę, jaka może być tego przyczyna: czyżby rajtarowie nie spostrzegli, że zginął im tuzin muszkietów? czy może nie pokazując po sobie, że wiedzą o stracie, spodziewają się uspić czujność rabusiów i przyłapać ich na nowym zamachu?

Okazało się, że przyczyna była prostsza.

Przed wieczorem, gdy ryży Rudolf spotkał pana Jacentego przed domem, zatrzymał go i zagadnął niby od niechcenia:

Dobry wieczór, starszy pan, czy pan dobrze spacz ta noc?

Wyśmienicie odparł Srokowski, który po przekazaniu muszkietów powstańcom spał istotnie tak dobrze, że aż pani Stara posłała po niego chłopca kredensowego, ponieważ wrotny zbyt długo nie zjawiał się na śniadanie. Dlaczego pan Rudolf pyta, czy pan Rudolf może cierpieć na bezsenność?

Ja spacz, my wszyscy za dobrze spacz odparł Rudolf. Pan starszy nie słyszeć nic?

Ja słyszę tylko to, co chcę słyszeć i wiem tylko to, co dobrze jest wiedzieć. Taką mam zasadę - odparł imć pan Srokowski dyplomatycznie.

Dobry zasada, bardzo dobry – pochwalił go rajtar. Nasz pan oficyjer też lepiej niech nie dowiedzieć się nic, bo jak on dowiedzieć, to być bardzo zły na nas i na cały Skierbieszów, on srogi oficyjer. Co się zgubić, to się może znaleźć, nie potrzeba pana oficyjera martwić. Pan starszy nie wiedzieć nic?

Ależ skąd, panie Rudolffie, skąd mam wiedzieć? Ani wiem, ani z nikim nie będę rozmawiał. Zresztą po niemiecku nie umiem.

Frau Paulina umieć kłopotał się rajtar.

Pani Paulina to jest mądra kobieta odparł wrotny. – Ona też woli, żeby panowie oficyjerowie się nie martwili, bo z tego nic nie wynikłoby dobrego ani dla nas, ani dla was. Jakeś pan dobrze spał, to śpij spokojnie dalej.

Takim sposobem, choć nic nie powiedzieli nieostrożnego, pan Rudolf z panem Jacentym dali sobie do zrozumienia wiele i rozeszli się zadowoleni.

Srokowski był teraz pewien, że rajtarzy będą milczeć z obawy o własną skórę. Jak zaś zamierzają się wykręcić, nie przyznając się oficerowi do niedbalstwa i braku czujności, to już ich rzecz. Pewno spodziewają się sami odnaleźć muszkiety albo wystarać się o nie skądinąd, zanim dowództwo się spostrzeże.

ROZDZIAŁ XVII

TRZY LISTY

Imaginuj sobie Jegomość”, pisała pani Pudencjana w liście przysłanym z Zamościa przez umyślnego, „jaką konkietę zrobiła nasza Biejata. Bawi tu na zamku w gościnie niejaki Hermolaus Bielski, z tych lepszych Bielskich, co to z Lanckorońskimi są spowinowaceni. Zamożny to posesjonat, zaś afektem do Biejaty ponoć zapalał. Gdyby nie czasy amorom nie sprzyjające, może już by się był zdeklarował.

Tozio też dopiero tutaj znalazł miejsce odpowiednie, gdzie zabłysnąć może. Przyznasz bo jegomość, że on zrodzony dla parkietów, nie zaś dla skierbieszowskiej podłogi ze zwykłych desek. Nie przymawiam ja ci, mój Achacy, ale co Nietyxowie, to nie Mokosieje, a co herb Moro to nie jakieś tam Wukry. Tozio zaś kapka w kapkę do mego ojca nieboszczyka podobny.

Jak ci zdrowie dopisuje, czy cię już febra trząść przestała? Pamiętaj nogi ciepło a sucho trzymać, to najważniejsze.

Nowinek ci wiele nie donoszę, bo wiem, żeś ich niezbyt ciekaw, jeno chyba tę, której się od jednej panny z fraucymeru księżnej Wiśniowieckiej dowiedziałam,

Pomnisz jegomość onego Chodorowskiego, co to po porwaniu córki przez Ormianina kupczyka zakonnikiem został? W wielkiej on tu estymie pozostaje, a gdy chorzał od zbójców pobity, sam pan starosta kałuski mszę świętą o jego uzdrowienie dał ponoć odprawić w kolegiacie. Przypomniało mi się owo porwanie Anusi Chodorowskiej, boć przecie to rówieśnica moja była i choć jej nie znałam, wiele mi o niej opowiadano. To rzecz zgoła niepojęta, jak panna z dobrej rodziny mogła odtrącić konkury takiego familianta jakim był pan Czuryło, którego jegomość znałeś i nawet wspominałeś niedawno, że oni obaj z Hornostajem u twego boku pod Paniowcami walczyli. Więc imaginuj sobie, mój Achacy, że onych dwóch nie masz już na świecie, bo opowiedziawszy się za księciem Bogusławem Radziwiłtem, którego tu za nikczemnego zdrajcę wszyscy mają, u jego boku na Podlasiu polegli.

Ciekawa rzecz, komu się fortuna Czuryły dostanie, pewno dalsi krewni ją rozdrapią, jako że poległ bezpotomnie. Byłaby teraz Anusia bogatą wdową, a tymczasem niewiadomo nawet, czy żyje jeszcze, czyli też wyklęta od rodzzonego ojca z nędzy i dyshonoru zmarła.

Teraz po onych nowinkach prośbę dopisuję. Rozumiesz, Achacy dobrodzieju, że naszym rodzicielskim obowiązkiem jest córcię naszą słodką stosownie za mąż wydać. A gdy trafia się godny jej gładkości i urodzenia amator, należałoby go przynęcić, dodając Biejacie nadobnym strojem jeszcze większego powabu. Tedy więc proszę cię, mój Jegomość, abyś coś sprzedał ze zboża, a jeśli nie wymłócone, to abyś od arendarza Symchy awansem grosza pożyczył, byleś mi natychmiast przysłał ile zdołasz na wystawniejsze szatki dla nas obu, boć i ja przy córce nie mogę uchodzić za parafiankę. Pamiętaj, że materie z przyczyny wojny haniebnie zdrożały.

W nadziei, że prośbie mojej nie odmówisz, kreślę się jako twoja wierna i posłuszna małżonka

Pudencjana z Nietyzów Mokosiejowa.

Post scriptum 1. Mego pana brata pozdrów i podziękuj mu ode mnie, że trudu swego nie szcędząc w gospodarstwie ci pomaga.

Post scriptum 2. O śmierci pana Hornostaja daj Jegomości znać rotmistrzowi Bolestraszyckiemu, bo jakem wyjeżdżała, prosił mnie, jeśli bym mogła wiadomości o Hornostaju zasięgnąć, z którym rozrachunki jakieś za konie mieli.

Post scriptum 3. Oddawcy niniejszego pisma napiwków żadnych nie dawaj, bo gałgan tego nie wart, ale że człowiek uczciwy, więc pieniądze przez niego przysłać mi możesz".

Pan Achacy, który już z łóżka dźwigać się zaczął i właśnie ostrzył brzytwę chcąc się po chorobie ogolić, odłożył ją dla odczytania listu żony. Przeczytawszy go brzytwę na nowo pochwycił i wymachując nią jak szablą, jął chodzić po komnacie tam i nazad, pod nosem mamrocząc i wąsa szarpiąc z alteracji.

Wreszcie usiadł, brzytwę po raz drugi odłożył i sięgnąwszy po nóż zastrugał nowe pióro gęsie, które w inkauscie umoczywszy, tak pisał:

„Moja Jejmość Dobrodziejko, z listu przysłanego mi przez uczciwego gałgana, jakieś go nazwała, wnoszę, że Jejmości lepiej się powodzi w Zamościu, aniżeli mnie w Skierbieszowie, gdzie Szwedów alias Niemców na karku mając, a schorzałym jeszcze będąc, nie o stroje i parkiety, lecz o chleb powszedni troszczyć się muszę. Przeto nie bądź mi krzywa, Jejmość Dobrodziejko, iż żadnych ci groszy nie przysyłam, bo nie mogę. Gdzie mi o sprzedażach myśleć i onych się spodziewać, gdy pod dachem moim takich mam kupców, co sami sobie towar mój za darmo kupują? Gdzie o arendach, których arendarz płacić nie ma z czego, bo go złupili?

Gdzie o paradnych szatach, kiedy nie wiem, czy mi zostanie bodaj to, co na grzbiecie?

Jakże Jejmość wyjeżdżała do Zamościa, tom ci da! w gotowiźnie więcej wiele nad to, na co stać mnie było, a co się tyczy zapasów, toś się tak wspomogła, że nam zostało ich tyle za ledwie, jakby po kozackiej inkursji Nie piszę ja tego, żeby ci wymówki czynić, i owszem, niechaj ci będzie na zdrowie, jeno trzeba ażebyś się Jejmość pomiarkowała. Tego, co masz, a codzienne ekspensa starczyć musi, więcej się nie spodziewaj, bo nie ma z czego.

Co się tyczy owego kawalera, którego się koło Biejatki kręci, to ci powiem tylko tyle, że jeżeli on, gdy ojczyzna w opresji, po gościnach jeździ, tedy wcale mi nie pilno za zięcia go powitać. Albo jest starzec niedołężny, albo cherlawiec, albo go nasza Polska nie obchodzi. O Bietkę się nie frasuj, moja Jejmość, ma ona jeszcze czas i znajdziemy jej lepszego męża. Sam się tym zajmę, niech się jeno wojna skończy.

Z Tozia nie chciałbym, aby wyrósł bawidamek albo pieczeniarsz. Niech się uczy zamiast trzpiotować. Ma już piętnaście lat, a Jejmość chuchasz na niego jak na wyklute z jaja indycze, kiedy chłopak powinien być jeśli nie orlęciem, toć choć sokolikiem. Po prawdzie ojciec trój nieboszczyk orłem ani sokołem nie byt, a do niego, jak powiadasz, Tozio podobny.

Co się tyczy brata Jejmości, to w nagrodę za jego trudy umyśliłem podarunek, za którym proszę cię, abyś się Jejmość rozejrzała w zamojskiej księgarni, czy by się nabyć nie udało. Autor pisze się Józef Wereszczyński, opat sieciechowski, a tytuł książki jest takowe: „Gościniec pewny obmierzyłm pijanicom do prawdziwego obaczenia a zbytków pohamowania". Czy dasz Jejmość wiarę, że twój imć pan Nietyza próbował do stacjonujących u nas Niemców na pijatykę i hulankę się wprosić, jeno oni go odstawili jak złakomionego psa, co się pcha do cudzej miski?

Wybacz mi, że tak ostro piszę, Pudensiu, serce moje, bom zły i słabuję jeszcze, a w opresji nieprzyjacielskiej się duszę, więc o byle co żółć mnie zalewa. Rad bym tobie i dzieciakom nieba przychylić, wszelako więcej nie mogę, jak tylko to, dokąd sięgnę. Zostawajcie z Bogiem.

Wasz kochający mąż i ojciec

Achacy Mokosiej”.

Pan dzierżawca zapieczętował list natychmiast, i wbrew zaleceniom małżonki opatrzony posłańca na drogę jak się dało, odesłał go zaraz z listem do Zamościa.

Drasnął się podczas golenia raz i drugi, bo mu się ręka trzęsła, wreszcie gniew z niego wyparował.

Zaczął wówczas żałować, że nie napisał łagodniej, ale było za późno.

Tegoż wieczoru Kuba z polecenia komendanta poszedł do dworu. Chociaż udawał, że idzie z miasteczka, warty nie chciały go przepuścić. Wdał się w sprawę wrotny i po targach jeden z rajtarów zaprowadził Kubę do pana Mokosieja, do którego, jak mówił, ma sprawę. Aby tę sprawę upozorować, Kuba dobył z koszyczka flaszkę nalewki ziołowej na poty.

Przyniosłem ów lek, o który wasza miłość prosiłeś powiedział Kuba od progu, mrugając nieznacznie na pana Mokosieja.

Ten wstęp nie był potrzebny, ponieważ rajtar nie rozumiał po polsku, ale ostrożność zawadzić nie mogła. Co oni dziś tacy czujni, proszę waćpana?

spytał Kuba, kiedy rajtar wyszedł z komnaty.

- At, ponoć w nocy jakoweś muszkiety im zaginęły - powiedział pan Mokosiej, któremu wrotny zwierzył w sekrecie nowinę, nie przyznając się do swego udziału w owym zaginięciu. Ale nie rozpowiadaj o tym, bo rajтары nie chcą, żeby wiadomość doszła do oficera. Boją się zapewne kary, boć to ich własne niedbalstwo i nieuwaga warty sprawiły. Nikt inny nie mógł tego zrobić, tylko nasi musieli się podkraść z Sadów czy ze Skierbieszowa. Dla nas też lepiej, żeby oficer nie wiedział, bo szukając winnych mściłby się na prawo i lewo.

Kubie błysnęła myśl: a nuż to się stało przez lochy? Serce mu zabiło, wiele by dał, aby wiedzieć, ale nie miał kogo zapytać.

- Miarkuję, że ta butelczyna to pozór. Powiedz lepiej, skąd przychodzisz i czemu nie jesteś w twierdzy

powiedział pan Achacy. - Toż ja stamtąd właśnie idę szepnął Kuba i przysunął się do Mokosieja, żeby ich rozmowy nikt nie mógł podsłuchać z korytarza.

Z fortalicji? Niemcy nie zmiarkowali?

Nie, bom wylazł nieznacznie przez fosę, a nie mostem i obszedłem łożami, od Sadów.

Komendant cię przysłał?

Tak. Imć pan Kuropatwa chciał zasięgnąć języka u waćpana. Boć my już tydzień jak siedzimy zamknięci i o bożym świecie nie wiemy. Komendant pyta, jak waćpan miarkujesz: będą szturmować, czy nie?

Pani Stara coś słyszała, że po działa posłali. Choć nie wiem, czy nimi coś wskórają, bo połowymi nie łatwo będzie mury rozwalić, a ciężkich kartaun nie będą przyciągać górami przeciwko takiemu kretowisku jak tutejsza fortalicja.

- O panu Czarnieckim nic nie wiadomo?

Wszyscy go się spodziewamy, wszelako pewnych wiadomości nie było. O Tatarach słyszeliście?

Że naszego króla obiecują wesprzeć? Tośmy słyszeli.

Jeno nie znasz zapewne listu, który od chana ichniego nadszedł i dla dodania ducha konfederatom został odczytany jeszcze w Tyszowcach, choć pisany był nie do nich, lecz do zaprzańców. Teraz dopiero po rękach krąży, mam go i ja w odpisie. List ten od chana tatarskiego do wojska polskiego napisany odczytał sam Czarniecki żołnierzom na dowód, że nawet poganie odstąpili dawnych sprzymierzeńców i biją ich w naszej obronie.

Pan Mokosiej sięgnął nad łóżko, za ryngraf, i dodał cicho:

Schowałem tam odpis dla niepoznaki. Teraz słuchaj: „Doniesiono nam, żeście porzucili najjaśniejszego Jana Kazimierza, króla polskiego, brata naszego, a przystaliście do jakiegoś Szweda, którego nie znamy ani znać chcemy. Napominamy was, abyście do wierności dla wspomnianego króla brata naszego wracali. W razie odmowy bądźcie pewni, że te same miecze nasze, co poskromiły Kozaków, a przytłumiły Moskwę, skłonią wasze karki do poddania się bratu naszemu Janowi Kazimierzowi, którego winniście za króla na nowo uznać i słuchać. Bądźcie zdrowi”. Dobrze pisze chan, co? Szkoda tylko, że przedtem przysłał z Krymu swoje wojsko na pomoc Chmielnickiemu, a nas przez tyle wieków grabił i mordował. Ale dobrze, że choć teraz się opatrzył. Wszlako trudno mieć pewność, że tak pozostanie na zawsze.

Pan Mokosiej schował paperek za ryngraf i powiedział:

- Jakbyś miał sposobność pogadać w cztery oczy ze Srokowskim, to byś się może dowiedział czegoś więcej niż ode mnie, bo ja z domu jeszcze nie wychodzę, nikogo nie widzę, on zaś w ciągłym ruchu. Jeno uważaj, żebyś się zanadto nie kręcił po obejściu, bo by Niemcy powzięli podejrzenie, że wścibiasz nos w ich sprawy i mogłoby ci się od nich oberwać.

Kuba miał się już żegnać, wtem pan Mokosiej coś sobie przypomniał i dodał żywo:

Ale, ale, byłbym zapomniiał, a tu jest sprawa do was na Zamczysko. Dobrze, żeś mi się nawinał. Pisze mi jejmość z Zamościa, że wasz rotmistrz ją prosił, aby zasięgnęła wiadomości, gdzie obraca się niejaki pan Hornostaj, z którym ponoć pan Bolestraszycki ma jakieś rozrachunki. Otóż żona przesyła panu rotmistrzowi wiadomość, że próżno by mu onego Hornostaja szukać, jako że ten poległ niedawno na Podlasiu. Razem ze swoim druhem, Czuryłą jakimś, wojowali pod Bogusławem Radziwiłłem przeciwko prawowitemu królowi na rzecz Szwedów, no i dowojowali się. Coś ty taki czerwony się zrobił? Boli cię co? Idź już do domu, idź. Jeno mi tego nazwiska nie zapomnij: Hornostaj. Zapamiętasz?

Zapamiętam powiedział Kuba i pożegnał się od razu.

Chciał wypytać wrotnego o muszkiety, co zaginęły, ale ten sam rajtar kręcił się przed domem i gdy zobaczył, że Kuba wychodzi, dał mu znak, żeby szedł za nim, po czym wyprowadził go za linię wart.

Kuba biegł z górki ku rzece i chciało mu się krzyżeć na wszystkie cztery wiatry: „Nie ma już Hornostaja, nie ma Czuryły!”.

Zza rzeki dolatywały krzyki, ktoś lamentował, trzaskały deski czy pręty, jakby ktoś wyłamywał płot, potem rozległy się grube śmiechy na przemian z piskliwym płaczem kobiecym. Zwykle to były teraz odgłosy, nieraz podobne dolatywały na Zamczysko od strony miasteczka.

„Jaka to okropna rzecz, wojna”, pomyślał Kuba. „To najokropniejsza rzecz na świecie”. Chciał sobie przypomnieć, jak się żyło bez wojny, ale nie mógł. Kiedy to się skończy, kiedy ludzie przestaną jedni drugich zabijać?

Gdy Kuba wrócił do fortalicji, zaraz przy wrotach podsunął się ku niemu Michałko, który widać czekał w ciemnościach, i spytał:

- Co to, komendant cię posłał, że ci tak zaraz bramę otworzono?

- Tak, komendant odparł Kuba. Zęby go rozboleły i posłał mnie do zielarki po goździkowy olejek. Próbowaleś kiedy? Jak włożyć do zęba, zaraz boleć przestaje.

- Mnie nigdy zęby nie bolą – powiedział Michałko.

Odprowadził Kubę przez majdan pod stancję komendanta. Kuba wolałby najpierw wpaść do ojca, bo wiadomość o Czuryle i Hornostaju po prostu rozsadzała mu głowę, ale musiał się pohamować.

Powtórzył panu Kuropatwie, co usłyszał od Mokosieja, ten zaś rzekł:

O liście chana słyszałem, to dawne sprawy. Jedno jest z tego ważne dla nas, to że spodziewają się działań. A więc lada dzień trzeba oczekiwać szturm.

Kuba pobiegł z kolei do ojca. Gdy podchodził do ich stancji, złapał się na tym, że idzie coraz wolniej. Bo jakże ojcu powiedzieć? Kuba rozumiał, co to dla ojca znaczy. O, jesteś nareszcie!

zawołał ojciec, kiedy go zobaczył.

Tato, pani Mokosiejowa napisała z Zamościa, że Czuryło i Hornostaj zabici, nie ma ich już – powiedział Kuba po prostu. Ojciec drgnął.

Zabici? Kto ich zabił? spytał takim zmienionym głosem, że aż Kuba się przeląkł.

Nie wiem dokumentnie, tylko to wiem, że nasi. Bo oni walczyli pod księciem Bogusławem.

Ojciec wziął głowę w ręce i z łokciami wspartymi na stole milczał. Kuba nie widział jego twarzy, bo w izbie tyle było jeno światła, co z ognia na kominie, ojciec zaś siedział do niego tyłem.

Tato, teraz się wszystko zmieni, no nie? pytał Kuba.

Dziadek Chodorowski z wami się zgodził, tamtych panów nie ma, co się chcieli mścić. No to już teraz będziemy dla wszystkich Muratowicze, co, tato? Kto by teraz miał tatę wsadzić do wieży albo zasieć, a mamę zamknąć w klasztorze?

- Czekaj, synku - odparł ojciec. Teraz jest wojna, nie czas. Myślał chwilę, potem dodał:

Powiem tylko trzem ludziom: komendantowi, rotmistrzowi i Orłowskiemu. Bo widzisz, nie wiadomo, co będzie. Może tu mnie zabiją w czasie szturmu.

To i mnie z tobą, tato!

Może i ciebie, kto to wie. A wtedy, jeżeli ktoś z tamtych trzech ocaleje, niech powie ludziom, że w taki sposób zginął Seweryn Muratowicz.

ROZDZIAŁ XVIII

NAJSTRASZNIEJSZA NOC FORTALICJI

Tego samego wieczoru Szwedzi przyprowadzili trzy polowe działa i ustawili je pod osłoną nocy na górze, skąd od rana otworzyli ogień na Zamczysko.

Zrazu kule nie dolatywały i zdawało się, że nie będą mogły zaszkodzić fortalicji. Lód tylko się rozpryskiwał i razem z bryzgami błota wytryskał w powietrze iskrząc się w słońcu za każdym strzałem.

Zagrzmiały w odpowiedzi armaty fortalicji, wszelako tym było jeszcze trudniej donieść, jako że stały w dolinie, wróg zaś na górze.

Koło południa szwedzcy puszkarze wstrzelali się jednak. Kule ogniste padały teraz częściej i bliżej, wreszcie huk i trzask rozległ się tuż za murami. Na majdan posypały się posieczone gałęzie wierzby, w którą pocisk uderzył.

Odpowiedziały działa forteczne, wciąż jeszcze sięgnąć nie mogąc do pozycji szwedzkich.

Następna kula ognista przeleciała łukiem ponad murem i wybuchła na majdanie fortalicji obok wschodniej baszty. Szkody wszakże nie uczyniła, bowiem ludzi tam nie było.

Szwedzi widać mniemali, że złamali ducha obrońców, toteż wysłali parlamentariuszy z białą płachtą. Gdy ujrzano ich zmierzających ku grobli, komendant Kuropatwa kazał wstrzymać ogień.

Parlamentariuszy było dwóch. Przybrali sobie za tłumacza ryżego Rudolfa, sami wszelako nie należeli do poprzedniej załogi dworu, co Kuba od razu mógł rozpoznać po odmiennych mundurach i koletach. „To są pewno prawdziwi Szwedzi”, pomyślał. Mylił się jednak, byli to bowiem Holendrzy z obsługi dział. Niechętnie przyciągnęli je do Skierbieszowa na rozkaz szwedzkiego dowództwa i radzi byli co prędzej doprowadzić do kapitulacji Zamczyska i wrócić do swojej baterii.

Komendant przyjął ich chłodno i wyniośle, nie kazał prosić do izby, jeno rozmawiał przy bramie.

- Powiedzcie waszemu dowódcy, że ja twierdzy nie poddam - oświadczył.

Zasypiemy was wszystkich gruzami, mury rozwalając - zapowiedzieli posłowie.

Ugryźcie je pierwej odparł komendant. Kiedy posłowie zostali wypuszczeni i rozległ się zgrzyt łańcuchów zwodzonego mostu, komendant rozkazał, aby żołnierze pośpiesznie posilili się wędzoną rybą, sucharami i gorzałką, spodziewał się bowiem, że po powrocie parlamentariuszy działa szwedzkie rozlegną się znowu. Zawoławszy rotmistrza powiedział mu w kilku słowach o lochach i pokazał miejsce, gdzie miał ukryty plan.

Żołnierze nie skończyli jeszcze wojennego posiłku, który jedli pod osłoną północnego muru, gdy znów rozległ się świst nadlatującej kuli ognistej i huk wstrząsnął schodami, po których właśnie zbiegał Kuba.

Z muru z szelestem coś się posypało, tuman pyłu i dymu wzbił się z dołu, a jednocześnie ktoś krzyknął.

Na majdanie kilku dragonów otoczyło rannego puszkarza.

W bok dostał, ale drasnęło go chyba tylko mówił jeden.

Wtem Kuba dostrzegł ojca. Muratowicz przebiegł przez majdan do komendanta, który nadchodził szybkim krokiem. Kuba nie dosłyszał, o czym mówili, ale zobaczył, że ojciec podbiega do działa, klęka przy nim i zaczyna je rychtować.

Zrozumiał, że ojciec zastąpi rannego puszkarza.

Dziwna rzecz: ruchy ojca były takie spokojne i dokładne, jakby w bezpiecznym warsztacie sprawdzał pod światło lufę muszkietu. „Jak on to potrafi?” z podziwem zastanawiał się Kuba, który trząsał się z podniecenia.

Teraz ojciec przyłożył lont rozległ się grzmot, a działo kopnęło do tyłu.

Kanonada wzmagala się z obu stron. Obrońcy fortalicji mieli już jednego zabitego. Był nim dragon, Paszko z Lipiny, z którym Kuba wozil broń.

Dostał odłamkiem w pierś, gdy donosił kule, a pocisk ze szwedzkiej armaty wybuchł na majdanie. Koledzy wnieśli go do izby, gdzie nie odzyskawszy przytomności, zaraz skonał.

Komendant Kuropatwa miał zranioną rękę, wszelako z podwiązana na temblaku chodził i wydawał rozkazy.

Słońce zapadało za chmury, które powoli zawlekały całe niebo. Strzelanina prawie ustała, jednakże należało mieć się na baczności, aby pod osłoną nocy wróg nie rozpoczął szturm.

Właśnie w tej chwili, gdy pojedynek artyleryjski wygasał, a ludzie mniej już byli czujni, ostatnia kula ognista wyrzucona z paszczy szwedzkiego działa przyniosła nieszczęście. Komendant Kuropatwa, trafiony odłamkiem w skroń, upadł obok baszty Prochowej i skonał na miejscu, zanim ktokolwiek zdołał do niego przyskoczyć.

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, wysypali się wszyscy, nikt nie myślał, czy ma osłonę, tylko biegł do komendanta, jakby swą obecnością mógł mu pomóc i ożywić go. Daremnie. Stary wojak leżał nieruchomy ze skrwawioną, siwą głową u podnóża wieży.

Kuba widywał już zmarłych, jednakże pierwszy raz patrzył na martwe rysy kogoś, kogo kochał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że kochał pana Kuropatwę.

Nie było czasu na rozmyślanie. Żołnierze wnieśli komendanta do jego izby, położyli na łóżku i złożywszy mu ręce na piersi, w splecione palce wsunęli krzyżyk.

Komendę objął rotmistrz Bolestraszycki, który tak wyglądał, jakby mu nagle przybyło dwadzieścia lat.

Na fortalicję opadła cisza.

Ludzie mówili szeptem, przesuwali się z miejsca na miejsce tak cicho, że słycać było, jak w stajni koń uderzył kopytem o deskę, jak łańcuch brzęknął, a daleko, w miasteczku, przeschekiwały się psy.

Odpowiedział im Kurta, po czym położył się u progu izby komendanta i zawył żałośliwie.

Usłyszano to wycie w Skierbieszowie i w Sadach. Ludzie zaczęli się żegnać i dopytywali się trwożnie, kto był poległ w fortalicji, lecz nikt nie umiał dać odpowiedzi. Ksiądz Pieszko zaświeceł gromnicę, ukląkł i jął odmawiać różaniec za dusze zmarłych.

Rotmistrz przemówił krótko do zgromadzonych na majdanie żołnierzy. Nie był z niego kunsztowny orator, ale tym wojakom nie potrzeba było kunsztu, jeno serca. Toteż gdy imć pan Bolestraszycki wspomniał, jak to cała młodość i cały wiek męski zabitego upłynęły na cichej, ofiarnej służbie dla ojczyzny, i jak sterany starzec nigdy nie ubiegał się ani o wygody, ani o bogactwa, ani o zaszczyty, jeno tu, w tej skromnej fortalicji, gdzie go osadzono, od dziesięciu bez mała lat wiernie Polsce służył i w jej obronie poległ taka żałość ścisnęła pana Rafała za gardło, że przerwał orację i zaszlochał. Zawtórowali mu żołnierze, zaś rotmistrz kończył z płaczem:

Ja wiem, że wam go nie zastąpię, cóż ja jestem... Pomóżcie, wierni towarzysze, żebyśmy razem dali odpór, jak on usiłował dać, nie ustępując wrogowi do ostatka...

Opanował zaraz rozrzewnienie, jako że łzy nie przystały wojakowi i nakazał, aby każdy wracał na swój posterunek.

Strudzony garnizon spodziewał się odpocząć nieco przez noc, bo chociaż gęsto rozstawiono warty, miały się one często zmieniać, aby każdy mógł nabrać sił na dzień następny, który zapowiadał się ciężki.

Rotmistrz zaszedł do Muratowicza, bo choć byli bardzo zmęczeni, obaj czuli potrzebę przyjacielskiej rozmowy. Nie palono ogniska na majdanie, żeby światłem nie wskazywać wrogom celu. Ale tu, w izbie, chcieli się zagrzać.

Dorzuć dREW do komina powiedział Muratowicz do Kuby.

Dobrze będzie napić się trochę grzanego wina. Potem przyłożymy się choć na dwie godzinki.

Nie wiedziałem, że z waści taki wyborny puszkarz – powiedział Bolestraszycki. – Gdzieżeś to waść praktykował?

Pan Seweryn milczał chwilę, jakby rozważał, jaką na to zapytanie dać odpowiedź, wreszcie rzekł:

Jeszcze młodym chłopcem byłem, niewiele starszym od Kuby. W Zamościu był jeden puszkarz, starszy człowiek, przy ludwisarni, lubił mnie i on pierwszy mi pokazał, tłumaczył...

Toś waść mieszkał za młodu w Zamościu? Nigdy o tym nie mówiłeś.

A no, nie mówiłem. A teraz właśnie miałem powiedzieć, kim jestem. Chciałem wyznać waćpanu, kowalowi i komendantowi naszemu. Spóźniłem się jemu nie wyznam.

W krótkich słowach Muratowicz opowiedział Bolestraszyckiemu swoją historię. Po prostu, po żołniersku, jakby opowiadał o kimś innym. Kuba nalał im do kubków grzanego wina.

Bolestraszycki nie przerywał, nie pytał o nic -- słuchał. Pochylony ku mówiącemu, szeroką dłonią otoczył pucharek ze stygnącym już, a nie dopitym winem, o którym widać zapomniał. Czasem tylko kiwnął głową, jakby dając znak, że rozumie i przytwierdza. Kiedy Muratowicz skończył, rotmistrz powiedział:

Domyślałem się, że ciąży waści na sercu jakowas tajemnica i trzyma cię na uboczu od ludzi. Ale się nie dopytywał, chociaż przyznaję, że mnie, samotnika, los całej waszej rodziny coraz bliżej obchodził. Szczególniej do Kuby, hultaja, przywiązałem się okrutnie. Dobrze, że mu waść imienia nie zmieniłeś i nowego nie będę musiał się uczyć. Skoro waćpan niedawno Szymonem będąc, raptem jako Seweryn się odradzasz, zaś waścina małżonka z Halszki na Annę się przemienia, to mógł i ten kawaler z Jakuba na jakowego Floriana czy Bartłomieja się przefarbować, a ja musiałbym łamać sobie język. Dziękuję waćpanu, żeś mi zaufał i opowiedziałeś swoje dzieje. Nie wszystko rozumiem dobrze, trzeba nam będzie jeszcze o tym pogadać, kiedy będziemy mieli obaj wolniejszą głowę. Teraz wypadnie życzyć sobie spokojnego odpoczynku bodaj na dwie godziny. Ja muszę jeszcze obejść przedtem fortalicję i sprawdzić, czy warty czuwają, bo ten dzień sfatygował wszystkich i gotowi zadrzemać na murach.

Rotmistrz wstał, przeciągnął się, aż mu w stawach chrupnęło, i dodał:

Paszki szkoda mi okrutnie. O komendancie to nawet mówić nie mogę. Oby dzień jutrzejszy był nam miłociwszy. Każdego człowieka szkoda. Przyznasz waść, że wszyscy nasi żołnierze sprawiali się dzielnie. Podziwiałem kowala Orłowskiego, to przecie człek już w leciech. Masz rankor jakowyś do Turzańskiego, któremu nie ufasz, a jednak i on tak się dzielnie spisywał, że lepiej nie można. Po śmierci komendanta sam się ofiarował bramę na noc umocnić. Widziałeś waść, jak ją pilnie opatrywali i podsypywali ziemią z Michałkiem i z dwoma jeszcze dragonami na ochotnika?

Widziałem, wszelako nieufności pozbyć się tak prędko nie potrafię.

Bo się waszmość uprzedziłeś. A co się tyczy bramy, to dobrze zrobił Turzański, że ją umocnił, bo uważałem, że Szwedzi okrutnie się na nią zawzięli, wciąż w nią celowali.

Całe szczęście, że nie trafili – powiedział Kuba. Choć mocno okuta i omurowana, mogli ją wyszczerbić. Nie daj Boże, aby drogę sobie otwarli, tym bardziej, że tych psubratów dużo więcej się teraz namnożyło, aniżeli było z początku. Jakem chodził wczoraj do pana Mokosieja, obliczałem z tego, co ich się włóczy dookoła domu i na gumnie, że wypada ich chyba z dziesięciu na jednego naszego.

Za to nas osłania-forteca, oni zaś, gdyby chcieli przypuścić szturm, musieliby wyjść w szczerze pole i bramę wyłamać albo skruszyć mury odparł rotmistrz. Ale może szkoda im będzie ludzi tracić, skoro wiedzą, że i tak w Skierbieszowie się nie ostoją. Przysłało ich wyższe dowództwo do ściągania spyży i kontrybucji, bo okolica tu urodzajna i nie tak jeszcze objedzona jak te, co przy głównych gościńcach leżą. Ale na to nie potrzebują mieć w rękę Zamczyska. Może chcieli nas nastraszyć. Jeśli nie poddamy się po dobrej woli, to kto wie, czy nie zostawią nas w spokoju. Oj, aleśmy się zagadali jak te kumoszki, co w sieni się żegnając jeszcze z godzinę dyskurs wiodą!

Otwierając panu Bolestraszyckiemu drzwi na majdan Muratowicz zauważył, że śnieg zaczął padać dość gęsty.

- Kopna sanna będzie jutro powiedział rotmistrz wychodząc na podwórze.

Ledwo zdążył dopowiedzieć te słowa, kiedy obok rozbłysnął nagle straszliwy ogień i powietrzem wstrząsnął taki huk, że wszystko dokoła nich się zakołysało. Drzwi klasnęły o mur, rotmistrza odrzuciło z powrotem, z góry waliły się z trzaskiem pękające deski, runęły cegły, z brzękiem posypały się odłamki szkła.

Muratowicz i Kuba rzucili się ku drzwiom, w których chwiał się ogłuszony rotmistrz. W mgnieniu oka wszyscy trzej wyskoczyli na podwórze w kierunku wybuchu.

Rotmistrz potknął się o leżącego nieruchomo obok kupy gruzów człowieka. Zamiast bramy zamajaczyła im w ciemnościach olbrzymia szczyrba.

To brama wyleciała w powietrze razem z kawałem muru.

Nie był to wystrzał, bo nie byłoby takiego ognia zawołał rotmistrz. Łotry wysadzili bramę! Rotmistrz i Muratowicz zrozumieli od razu, że położenie stało się beznadziejne. Gdyby to się działo latem, oblężeni mieliby pod obstrzałem jedyną drogę do fortalicji, to jest most i groblę. Teraz jednakże nie otaczała ich woda, lecz lód, przez który nieprzyjaciele łącznie przejść mogli, gdzie chcieli. W dzień sporo by ich przy tym poległo od strzałów z Zamczyska, ale jeśli rzucają się do szturm pod osłoną nocy, pewną rzeczą jest, że bez wielkich ofiar wtargną do fortalicji. Wtedy zaś bój będzie tak nierówny, że Szwedzi wyrzną załogę co do nogi, zaś działa, broń i proch wpadną w ich ręce.

Dalszy opór byłby już tylko marnowaniem ludzi. Trzeba było ich ratować, a sprzęt wojenny zniszczyć, o ile zabrać się go nie da. Nie można było tracić ani chwili.

Kto żywy wysypał się na majdan, warty wołały z murów, każdy pytał, co zaszło.

Pilnuj waść bramy rozkazał rotmistrz Orłowskiemu, po czym krzyknął jak mógł najgłośniejsze:

Zapowiadam, że Zamczyska wrogowi nie oddam! Postaram się wynieść jak najwięcej broni, a fortalicję zniszczę. Kto chce mi w tym dopomóc, niech zostanie ze mną. Ci zaś, którzy chcą od razu salwować się ucieczką, niech wystąpią!

Zgłosiło się zaledwie trzech.

Rotmistrz rozglądał się po zebranych, bowiem oczy miał źbiczne i poznawał ludzi po ruchach, teraz wszakże padający śnieg utrudniał rozeznanie.

Gdzie wachmistrz i tamci, co stali na warcie razem z trzecim, którego rozerwało? zapytał gromkim głosem.

Nie odezwał się nikt. „To oni wysadzili bramę i uciekli do Szwedów” przeleciało rotmistrzowi przez myśl. Powiedział do Muratowicza półgłosem:

Dobierz waść pewnych ludzi i natychmiast zagwaźdźcie działa. Szwedzi są ostrożni, choć słyszeli wybuch, nie ruszą na nas, póki ich Turzański nie upewni, że droga wolna. Ale czasu mało. Sprawcie się jak najszybciej i schodźcie zaraz pod bramę Prochową, stamtąd będzie wymarsz.

Rotmistrz postąpił z kolei ku dragonom i rozkazał:

- Ci trzej, co chcą wyjść, niech natychmiast odetkają zapasową furtę i tamtędy się ratują, jeno bez broni.

Rzucili się usuwać cegły, kamienie i deski, którymi włącz wschodni był ubezpieczony, a jako że strach ich przynaglał, więc uporali się z tym w mig i znikli w mrokach nocy.

Tymczasem rotmistrz wywołał ulubionego masztalerza i powiedział:

Sprawdź, czy furtę dobrze odetkali, bo ona i tak ciasna, a przegnamy nią konie. Koni przecież Szwedom nie damy. Zwrócił się do pozostałych żołnierzy:

Znoście muszkiety i inną broń pod basztę Prochowa

Podczas gdy rzucili się wykonać rozkaz, rotmistrz otworzył stajnie.

- Po jednym wyprowadzać konie! Szybko, ale po jednym, bo się spłoszą i nie połapiecie. Każdego podprowadzić do wjazdu i przepędzić za mury, dalej niech sobie radzi sam. Zanim je Szwedzi odnajdą zajmą się tym rano nasi chłopci.

Nie mieszkając przeszedł rotmistrz pod wysadzoną bramę, do Orłowskiego.

To ja sprawilem, to moja wina powiedział, siebie nie oszczędzając. Zdurniałem i nie domyśliłem się, że oni na moich oczach minują bramę, taki ze mnie kiep. Gdyby komendant żył, nigdy by do tego nie dopuścił. Ze też im prochy nie zamokły od śniegu, że też im lont nie zagasł!

Pan Maciej nie hamował rotmistrza, jeno rzekł:

– Wszyscyśmy winni razem z waszmością, żeśmy nie zmiarkowali. Zmowa była, zdradzali widać we trzech od dawna, a Michałko czwarty. Niech ich Pan Bóg sędzi, nie czas teraz rozważać. Co waszmość zamierzasz?

- Ludzi wyprowadzić lochami, a fortalicję wysadzić, żeby Szwedzi nie znaleźli przejścia. Znasz waść lochy lepiej niż ja, który dopiero dziś o nich się dowiedziałem. Bierzcie tyle broni, ile się da, a waść zabierz plan i prowadź włazem pod wieżę Prochową na Górnichę. Idźcie natychmiast. Ja odczekam, a potem podłożę lonty i będę się salwował przez furtę.

Nie byłoby bezpieczniej z nami? Poczekalibyśmy pod ziemią na waszmości.

A jeżeli wskutek wybuchu woda dostanie się do lochów i wszystkich wytopi? Nie, nie, panie Macieju, zrób jak mówię. Kazałem Harbaraszowi, żeby zagwoździli działa i żeby się stawili zaraz pod basztą Prochową. Nasz ratunek zależy teraz od pośpiechu. Przyślę ci tu ze dwóch dragonów, niech zluzują waści przy bramie, a sam idź, zgromadź żołnierzy z bronią i odkryj właz. Ja ściągnę warty z murów na majdan i każę podpalić stajnie. Zrobię to w ostatniej chwili dopiero, bo jak Szwedzi zobaczą ogień, mogą zmiarkować. To źle, że konie rzą.

Rotmistrz odszedł, zawołał jeno odwracając się ku Maciejowi, gdy sobie przypomniał:

Pamiętaj waść o pochodniach i świecach, łuczywa też weźcie

Wszyscy krzatali się na wyścigi. Dragonów ogarnęło zdumienie, kiedy dowiedzieli się o podziemnym przejściu. Tyle lat tu przeżyli, a nie domyślali się go. Co prawda do wieży Prochowej nikt nie miał dostępu, a właz był pod nią.

Otucha w nich wstąpiła. Przejście wydało im się bezpieczniejsze niż w gromadzie przez jezioro, przy tym łatwiej było wynieść broń, a każdy prawy żołnierz brzydzi się oddawać broń w ręce wroga.

Bierzcie, ile zdołacie unieść tłumaczył Maciej tym, którzy gromadzili się pod bramą. – Byleśmy przenieśli broń za rzekę, to tam możemy zostawić ją na razie w lochach, wrócimy po nią później.

Zdrajców ani ludzi bojaźliwego serca już nie masz pomiędzy nami, więc mówię bez osłonek, bo my tu sami swoi. Pamiętajcie jeno, że wasz obowiązek żołnierski nakazuje w sumieniu, abyście na zawsze milczeli o lochach i nigdy, do śmierci, nie wyjawili tajemnicy nikomu. Bóg jeden wie, co jeszcze przyjść kiedyś może.

Ojciec już idzie powiedział Kuba, który nadszedł pod basztę w towarzystwie Kurty, uginając się pod ciężarem różnorakiej broni. - Gdzie pan rotmistrz? Pan Maciej wziął go na stronę i powiedział cicho:

Nie pytaj o rotmistrza, Kuba. Rotmistrz nie wyjdzie z nami. Chce podpalić stajnie i wysadzić prochy, a sam będzie się ratował furtą. - To go prochy rozerwą!

Da Bóg, że nie rozerwą. W tej chwili podszedł właśnie Bolestraszycki z masztalerzem, a także Muratowicz z puszkarzami.

Gotowe?! spytał pan Rafał. Gotowe, panie rotmistrzu! odparł Orłowski. Wszyscy tu są? Wszyscy.

Jak dojdziecie szczęśliwie na Górnichę, naradz się waść z Pietrkiem, gdzie żołnierzy rozlokować, zanim ich wyprawicie do pana Czarnieckiego. Ja będę się starał dostać do Harbaraszów na Podwysokie. Jakbym dojsć nie zdołał, pytajcie o mnie na Sadach u Węclawika. Zajdę tam, żeby mu powiedzieć o koniach, niech je wyłapią skoro świt. Do Węclawika i tak po drodze mi będzie.

Wtem ślizgając się w śniegu nadbiegli obaj dragoni spod bramy wołając z daleka:

Szwedzi idą! Idą ławą, most dudni pod nimi i wrzawę słychać!

Do włazu! krzyknął rotmistrz, a sam podbiegł pod stajnię.

Wnet zajęła się przygotowana obficie słoma i drwa, od nich zaś po chwili jęły gorzeć słupy, krokwie i odyłowania. Snop iskier buchnął nad dach stajni.

Tymczasem rotmistrz biegł ku wieży Prochowej.

Przygotował lonty i czekał, odmawiając w sercu „Pod Twoją Obronę”.

Gwar, który przybliżał się od strony grobli, wzmógł się na widok pożaru. Rotmistrz liczył teraz przytupując z cicha, na ile kroków tamci oddalili się lochami.

Czas dłużył mu się okrutnie. „Im później podłożę lonty, tym lepiej” powtarzał sobie. „Jeżeli nawet Szwedzi dostaną się do fortalicji, muszą przejść przez cały majdan, zanim dojdą do baszty Prochowej. Nie wiedzą, że tu jestem ani co zamierzam, podbiegną najpierw gasić pożar. Na szczęście furtę mam tuż przy baszcie. Żebym tylko nóg w pośpiechu nie połamał, spuszczając się za murami na lód. Trzeba uważać, żeby mnie Szwedzi nie przyłapali, bo coraz widniej się robi od pożaru, a śnieg przestaje padać. Kiedy nikt ich nie powita strzałami, zmiarleują, żeśmy wyszli, jeno będą myśleli, że wszyscy wymykamy im się po lodzie. Pewno się teraz naradzają pod murami, bo wrzawa przycichła nieco”.

Wtem gwar wybuchnął z nową siłą. Rotmistrz odgadł, że Szwedzi wspinają się zboczem fosy ku bramie. Była ostatnia chwila.

Z uwagi na prochy musiał działać po ciemku, ale wszystko przedtem wypróbował, żeby trafić od razu po schodach do piwnicy, do beczek z prochem.

w Skierbieszowie mało kto spał tej nocy, a gdy po pierwszym wybuchu wnet ujrzano pożar na Zamczy- sku, kto żyw wyskakiwał z domu. Od strony grobli i fortalicji dolatywała wrzawa aż na plebanię, za którą zebrało się sporo ludzi w sadzie proboszcza, bo stamtąd widać było najlepiej. Inni gromadzili się za kościołem, skąd też widok był na Zamczysko.

Niektóre kobiety płakały, inni modlili się głośno. Nikt nie wiedział, co się tam dzieje wśród ognia i dymu. Rozumieli jednak wszyscy, że nadeszła dla fortalicji ostatnia godzina i że ważą się losy gromady polskich żołnierzy. Każdy ich znał, widywano ich we wsi od lat, wspomniano teraz to tego z nich, to owego.

Wieś Sady też wyległa nad jezioro i patrzyła na to, co się dzieje.

Gdy na końcu ukazały się dwa konie dragońskie, młodzież zaczęła szukać po lodzie między kępami łożyny, czy nie znajdzie ich więcej.

Ledwo jednak ludzie zbiegli nad jezioro wywabieni pierwszym wybuchem i pożarem, gdy nad fortalicją wytrysnął aż pod chmury oślepiający błysk, jakby piorun trafił tuż obok. Za nim rozległy się dalsze wybuchy. Z góry sypały się na lód cegły, rozżarzone belki i deski, padał deszcz iskier, całe jezioro zaczerwieniło się jak krwią oblane.

Nie wiedział nikt, kto tam od wybuchu ginie, Polacy czy Szwedzi.

ROZDZIAŁ XIX

PRZEZ LOCHY

Idąc lochami Maciej Orłowski tak osłabł od dusznego powietrza i ciężaru broni, którą z początku dźwigał, że inni dalej nieść go musieli. Część sprzętu wojennego zostawili po drodze, miejsce na planie oznaczywszy.

Posuwali się krok za krokiem, coraz to odpoczywając. Młodszy radzi by byli przyśpieszyć, wszelako postanowiono się nie rozłączać.

Wydawało im się, że minęły już długie godziny, lecz według planu nie przeszli nawet połowy drogi.

Z powodu wąskich przejść pomiędzy lochami posuwali się gęsiego, nieraz schylając się lub przeciskając.

Wreszcie doszli do przekonania, że słabsi nie zdołają nieść dalej broni, a ich zmęczenie opóźnia marsz, więc znów zostawili część broni w bocznej piwnicy.

Kuba siedł jeden z pierwszych. Ojciec jego zamykał pochód, bacząc, aby nikt nie pozostał samotnie za nimi. Orłowskiego nieśli żołnierze na zmianę, z dwóch muszkietów i płaszcza uczyniwszy nosze.

Nie przyznawali się jedni przed drugimi, że coraz większy lęk ich ogarnia, iż może zabraknąć światła.

Gdy pochód się zatrzymał, Muratowicz dogonił niosących Orłowskiego i powiedział:

Panie Macieju, jak uważasz, czy nie będzie bezpieczniej podzielić się i niech silniejsi pójdą przodem? Gdybyśmy nie mieli czym świecić, to poczekamy, aż oni nam łuczywa przyniosą. W pierwszym lochu od Górnichy zawsze jest w pogotowiu zapas suchego łuczywa. Dajmy im więcej światła, a sobie zostawmy mniej, bo jakby im zabrakło, przepadniemy wszyscy.

Rada była dobra.

Kuba wolałby zostać z ojcem, jednakże musiał słuchać i ruszył szybciej naprzód z gromadką młodzieży. Znacznie mniejsze grono zostało w tyle i posuwało się wolno przy słabszym świetle.

Wtem z głębi lochów, gdzie przed chwilą znikli młodzi, doleciały okrzyki.

-- Co to? - spytał pan Maciej przestraszony.

Muratowicz też przeląkł się, aż mu ręce zadrżały. Ale natychmiast przyszło zastanowienie: „przecież to nie mogą być Szwedzi, oni nie wiedzą o lochach, a gdyby nawet odkryli, baliby się w nie zapuszczać”.

To z pewnością powstańcy, panie Macieju uspokajał kowala.

Stańcie — prosił Orłowski - ja już mogę iść sam, będzie prędzej.

Zanim żołnierze spełnili jego prośbę, usłyszano zbliżające się głosy i po niedługiej chwili zamajaczyło światło, które wciąż się wzmagало. Wreszcie ukazała się pochodnia w rękach wysokiego, czarnowłosego mężczyzny.

Był to Demko Klimczuk z Majdanu Skierbieszowskiego. Za nim przyszło kilku innych powstańców wraz z Pietrkiem Orłowskim.

Skądęście się tu wzięli? spytał ucieszony pan Maciej gramoląc się z noszy.

Bratanek schwyił stryja w ramiona, potem opowiadał rozradowany i podniecony:

- Nasze warty usłyszały wybuch i zobaczyły łunę. Obudzili nas, słyszeliśmy drugi wybuch, ogromny, majdaniacy też, Od razu pomyśleliśmy o Zamczysku. Nie było czasu, żebyśmy się mieli porozumiewać, ale i my, i majdaniacy pobieглиśmy na Górnichę, takeśmy się spotkali.

Skąd wiedzieliście, że idziemy lochami? — spytał Muratowicz.

Przecież komendant zapowiadał, że tędy poprowadzi załogę, jeżeli się nie utrzymacie w fortalicji. Gdzie oni są, komendant z rotmistrzem?

Jak to, nie powiedzieli wam chłopcy, że komendant zabity?

Co waćpan mówisz, naprawdę zabity? Jakże to się stało, kiedy?

Wczoraj. Trafił go odłamek podczas bombardowania, zabił go na miejscu. Szkoda starego okrutnie. Ale powiedzcie, co z moimi na Podwysokim.

Zdrowi, zobaczycie ich wnet. A --- Bolestraszycki objął komendę po Kuropatwie. Bylibyśmy się Szwedom oparli, jeno że nam zdrajcy bramę prochami wysadzili.

Bolestraszycki?

- O tym chłopcy nam powiedzieli. Aleśmy więcej z nimi nie gadali, tylko zaraz poszliśmy do was, a oni z kilku naszymi do wyjścia. Dajcie nam broń, poniesiemy, a wy idźcie bez ciężaru.

Dużo broni zostawiliśmy po drodze mówił Orłowski. Trzeba ją zabrać.

Nie dziś - odparł Demko. -

Żołnierze z fortalicji szli teraz raźniej.

Nie powiedzieliście, gdzie jest rotmistrz przypomniał Pietrek.

Idąc opowiadali więc żołnierze powstańcom o prze

biegu ostatniego dnia i nocy i o wysadzeniu fortalicji. Podjadę sam na Sady do Węclawika powiedział Demko. Daj Boże, żeby tam spotkał rotmistrza! Teraz wy nam mówcie, co się dzieje na świecie - prosił Muratowicz. — Siedzieliśmy tyle czasu zamknięci jak w więzieniu. Komendant wysłał raz Kubę do dworu po nowiny, ale warty dopuściły go tylko do pana Mokosieja, ten zaś, chory, sam mało co wiedział.

To i o Gołębiu z pewnością nie słyszeliście, bo do nas dopiero na dniach wieść doszła.

Nie słyszeliśmy, mówcie!

Król szwedzki był z głównym swoim wojskiem na północy, zmawiał się przeciwko Polsce z brandenburskim elektorem. Widać dowiedział się, że nasz król wrócił do Polski, a pan Czarniecki wojsko na Szwedów szykuje. Dosyć, że Karol szwedzki jak jastrząb rzucił się aż w okolice Puław i pod Gołębiem pobił pana Czarnieckiego.

- Pobił? Czarnieckiego pobił? Nie może to być! zawołał pan Maciej i chwycił się za głowę.

- Niech się stryj nie martwi, Czarniecki da jeszcze Szwedom takiego łupnia, że się nie pozbierają!. uspokajał go Pietrek. Tylko że szkoda naszych, dużo ich ponoć w Wieprzu potonęło, bo się rzucili w pław, rzeka akurat puściła i spuchła. U nas też tylko patrzeć, jak lód zacznie pękać.

Ale jakże to się stało, że Szwedzi górą? W głowie się to nie mieści! — tu pan Maciej aż przystanął z wrażenia.

Nie górą, stryju, już teraz nie górą, jedna bitwa to jeszcze nic. Z początku nasi bardzo dzielnie pod Gołębiem stawali, choć król szwedzki rzucił na nich kawalerię, którą ponoć ma przednią. Ale cóż: naszych było tylko kilka pułków, a król szwedzki ściągnął ogromne wojsko. Pan Czarniecki wzywał wszystkich pod broń. Idzie szlachta, idą chłopci, dopiero teraz pokaże się, kto górą. My też jak nie jutro, to pojutrze pójdziemy do Czarnieckiego i pomożemy wymiatać Szwedów na cztery wiatry.

- Dokądże to król szwedzki pociągnął znad Wieprza, nie wiecie? - dopytywał się Muratowicz. Może tutaj idzie?

- Na razie ponoć poszedł na Lublin. Co będzie dalej, nie wiadomo. - A nasz król, Jan Kazimierz?

Nasz król był w Łańcucie i dość długo tam popasał, panowie się do niego zjeżdżali dla porad. Pana Czarnieckiego król też tam wezwał i wojsko mu powierzył.

Co mówisz, Pietrek, hetmanem go uczynił? wołał pan Maciej.

Hetmanem to nie, od buław są magnaci... Ale pan Czarniecki, chociaż bez buławy, więcej znaczy niż ci z buławami, to prawdziwy wódz całego narodu. I patrzajcie: inne wojska nasze, kiedy żołd zalega buntują się i do domów się rozchodzą, choćby nieprzyjaciel stał u wrót. A wojsko pod panem Czarnieckim zobowiązuje się żadnego żołdu nie żądać, póki ojczyzna w opresji.

Bardzo to piękna rzecz, jeno że nie powinna się zdarzać jak tylko w wyjątkowej okazji powiedział Muratowicz. U nas to jest tak, że żołd się żołnierzowi obiecuje, ale później go się nie płaci. Więc żołnierz nie ma za co żywności kupować i nie dziwota, że rabuje. Co z tego, że obieca obchodzić się bez żołdu, kiedy żołądek co dzień woła jeść? A nasz skarb wiecznie pusty, bo podatków bogatsi nie chcą płacić.

Dobrze waść mówisz, ale skoro już do obecnej opresji doszło, to nie ma innego sposobu, tylko każdy musi zacisnąć pasa i nie czekać żołdu, którego nie ma skąd brać, tylko wroga bić, a z Polski wymiatać.

Tak rozprawiając nie spostrzegli, jak doszli na Górnichę.

Muratowicz nie zastał już tam syna. Kuba poszedł z kilku innymi sprowadzić sanie dla zabrania słabszych na Majdan i Podwysokie.

Ranek wstał piękny i słoneczny. Gdy wyszli wszyscy z lochów, powietrze wydało im się jak wino, a blask z początku oślepiał. Muratowicz powiedział do żołnierzy:

Nie róbcie waszmościowie za wiele wrzawy, byłoby słyhać aż na gościńcu. Po co mają wszyscy wiedzieć, że nas tu tyle ludzi.

Przysiadł chwilę na kamieniu. Wnet jednak wstał i wygramoliwszy się z jaru siadł nad nim na obalonym pniu.

Dookoła kładły się niebieskie cienie na śniegu ozłoconym przez poranne słońce. Muratowicz patrzył na trop zajęczy wyciśnięty obok w śniegu. Kuły dwa dziecióły, jeden daleko, drugi całkiem blisko. Pan Seweryn poczuł, że jest okrutnie zmordowany.

Po godzinie jechał saniami obok Macieja Orłowskiego. Kiedy z Górnichy opuścili się w dolinę, zobaczyli niedużego chłopaka, który nadbiegał ku nim skrajem drogi.

Muratowicz pierwszy poznał Krzycha. Malec wnet wskoczył na płozę i trzymając się sani patrzył w ojca czarnymi oczami skrzącymi się z uciechy.

Tato powiedział i po chwili powtórzył: tato...

Muratowicz pochylił się i pocałował go w zarumieniony policzek.

Niebawem wziął w obie ręce głowę żony i znów spojrział w głąb jej oczu. Nie potrzebowali słów.

Jak przyjemnie było usiąść za stołem, oddychać swojskim zapachem ogniska z żywicznych szczap, a także skwierczącej słoniny, na której smażyły się jaja. Asia przytuliła policzek do ramienia ojca i ocierała się o nie jak kot. Maruszka krajała mu pachnący, czarny chleb.

Dobrze jest być w domu.

Ledwo skończyli śniadanie, gdy sanie zajechały przed ganek. Powoził Węclawik. Obok niego poznali Bolestraszyckiego. Kuba tak się ucieszył, że wyskoczył na ganek. Rotmistrz pochwycił go w swe szerokie ramiona.

No, nie wiedziałem, czy cię jeszcze zobaczę na tym świecie, basatyku jeden – mówił śmiejąc się basem. Aleście się tego spisali, ty i twoja kompania. Co by to było, gdybyście nie wykryli mapy i wylotu z lochów na Górnichę? Przepadłaby cała załoga fortalicji. A teraz gadaj: ojciec twój i Maciej zdrowi?

Zdrowi. A to się ucieszą waszmości! Niepokoili się okrutnie. - A ty nie?

Nie. Wiedziałem, że panu rotmistrzowi nic złego się nie stanie.

Uradowany Muratowicz wyszedł na ganek i powitawszy Bolestraszyckiego prosił obu z Węclawikiem do izby. Ale Węclawik tłumaczył się, że ma na Podwysokim krewniaka i chce go odwiedzić.

Bóg zapłać, kochany sołtysie mówił rotmistrz potrząsając jego ręką. - A o koniach nie zabaczcie, bo jeszcze brakuje sześciu do rachunku.

Trudno szukać koni za widna skroś Szwedów tłumaczył Węclawik. – Żeby tylko nie poszły bestie pod fortalicję, to je wieczorem wyłapiemy. O waścinego wierzchowca ja sam będę mieć staranie, może pan rotmistrz być spokojny.

Jakże tam było, panie rotmistrzu? dopytywał się Kuba, kiedy zasiedli za stołem.

Bo ja się palę z ciekawości. Włazili już Szwedzi do fortalicji, jakeś waszmość wychodził?

Włazili, włazili i mniemam, że ich sporo jeszcze wyżej wlazło, bo jak prochy wybuchły, to ich poniosły aż pod chmury. Podpaliłem dwa lonty na wypadek, jakby jeden zgasł i zaraz nyrnąłem do bocznego wjazdu. A oni już biegli do pożaru, na szczęście żaden nie patrzył w moją stronę. Jakem się znalazł za murami, to, powiadam wam, zjechałem na zadku tak prędko, jak ty Krzychu na saneczkach, ha, ha! A potem zmykałem po lodzie jak stary, podtuptany zają?, byle jak najdalej. To dziwne, człowiek już sterał się i posiwiiał, a tak mu się jeszcze nie chce umierać.

Wybuch chyba ogłuszył waszmości?

Jeszcze jak! Miotnęło mną w kępy łozy, ledwom się pozbierał. W głowie to mi tak wszystko kołowało jak konie na wybiegu.

To szczęście, żeś waśc zdołał dojść do wsi powiedział Muratowicz.

Pewno, że szczęście. W uszach tak mi było dziwnie aż do samych Sadów, jakby sto wozów po grudzie dyrcało. Tedy się wlokłem i o niczem myśleć nie mogłem, jeno, wiecie, szkoda mi było Zamczyska.

Fortalicję można odbudować. Gorzej, że imć pana Kuropatwę zabito powiedział Kuba.

Zaczęli wspominać a wzdychać, aż Kurta przyszedł lizać ich po rękach, jako że psy bardzo są wrażliwe na żalność swoich panów.

Trzeba się nam naradzić, co teraz robić będziemy powiedział wreszcie Bolestraszycki.

Ja pójdę do pana Czarnieckiego! zawołał Kuba. Za młodyś, nie wezmą cię. Nie będę pytał, tylko pójdę z wojskiem i już.

Taki z ciebie żołnierz? Chcesz być jak one hultaje, co warcholą i więcej z nich szkody niż pożytku?

Ja nie na warcholstwo pójdę, jeno Szweda prac!

Ej, uważaj, żebym ciebie wpierw nie sprął na kolanie, aby ci rozumu napędzić krzyknął rotmistrz, który gniewem się zapalał szybko.

Kuba zamilkł obrażony.

A waszmość sam co zamierzasz? spytał Muratowicz.

Ja chyba do Zamościa pociągnę powiedział rotmistrz już uspokojony. Panu Czarnieckiemu nie zdam się na nic z moją cherlawą ręką, a w Zamościu pewno konie dla jazdy kompletować muszą i dragonów do konnej jazdy zaprawiać, to może byłby ze mnie jeszcze pożytek choć jaki taki.

Kiedy waszmość wyruszasz?

Jutro chyba, nie ma co zwlekać i komuś darmo wyjadać chleb, którego za wiele nikt dzisiaj nie ma. Powiadam waści, podupada wszystko na świecie. Dawniej, bywało, nawet u bogatego kmiecia miodkiem cię grzecznym uraczają, a teraz miód jak wodą podlany i piwiszcze kwaśne. Pszczołom coś ponoć zawadziło, że łośńskiego lata zamiast przyrodzonym swoim peregrynacjom po lipach i grykach się oddawać, jeno sejmikowały. Widać na elekcji królowej swojej za dużo czasu zmitrężyły, z której to przyczyny miodu nowego zabrakło i to właśnie w momencie, kiedy wystąpiły miody Kozaki ze Szwedami, z Niemcami i Moskalami wychłęptali.

E, ludzie prawosławni wolą od miodu „horyłkę”, bo mocniejsza.

- A wiesz waćpan, czemu? Bo te nacje łaciny nie znają i o bożkach olimpijskich nie wiedzą, ani o ich festynach pojęcia nie mają. Ręczę waćpanu, że nektar, którym Jowisz z Marsem do siebie przepijali, nie z gorzałki na Olimpie pędzono. Więc, co to ja mówiłem... aha, że do Zamościa pojedę. A waść, panie Sewerynie?

Ja z początku myślałem udać się z innymi do Czarnieckiego, bo stąd więcej jak pół wsi się wybiera. Ale gdym się dowiedział, że pan Czarniecki nie ma artylerii, zmiarkowałem, że nic tam po mnie. Najchętniej wróciłbym do Lwowa. Ja znam lwowiaków i oni mnie, z pewnością znalazłbym pracę pożyteczną w swoim fachu. Jeno strach teraz z kobietami i z dziećmi puszczać się w taką daleką drogę. Trzeba przeczekać nieco. A po drugie jest Maruszka dodał, kiedy dziewczęta wyszły na chwilę z izby. - Wiesz waszmość, że mają pobrać się z Pietrkiem Orłowskim. Ani mi jej teraz zabierać stąd, ani samą zostawić za sobą. Kiedy Maruszkę za mąż wydamy, to co innego. Na razie darmo tu siedzieć nie będę, bo coraz nowe partie zbierają się iść do Czarnieckiego, a nikt nie chce z pustymi rękami, każdy zaopatruje się w broń. Brat pana Macieja pozwolił mi zająć mały obszar w swojej kuźni i robota się dla mnie znajdzie, a tymczasem może droga na Lwów się oczyści.

Weszły pani Anna i Maruszka ze skopkiem pełnym mleka, a za nimi wbiegła Asia z Krzychem.

Mamo, jak dziś było z Krasulą, nie ficała? spytał Krzych.

Ficała, ficała jęła przedrzeźniać Asia. - Słyszysz mama, jak ten Krzych mówi? Na tutejszego chłopaka się przerobił! Krowa nie kopie, tylko fica, tak on mówi. Jak wóz jedzie po twardym, to Krzych powiada, że dyrca. O psie mówi, że jest zbrojny, bo lubi broić, tak wszystko przekręca po tutejszemu. Zapomniał, że jest lwowiakiem. Ty wcale nie mówisz dobrze, słyszysz, Krzych?

Dobrze mówi roześmiała się matka. I tu mówią po polsku, i we Lwowie, i w Warszawie. A że trochę inaczej, to przez to jest tylko weselej, zabawniej. Tu pani Anna zwróciła się do rotmistrza.

Od Jaworskich poszło już dwóch do pana Czarnieckiego i luźniej się przez to zrobiło. Kiedy Seweryn zjawił się tu z Kubą dziś rano, Jaworscy dodali nam obok małą komórkę. Zostań waćpan po przyjacielsku do jutra i przenocuj z Sewerynem, bardzo prosimy! A teraz podam obiad, tylko kapustę zagrzeję. Oj, Maruszka, zacierka ci wykipi!

Maruszka odstawiła garnek z ognia, a pan Bolestraszycki zaczął się wymawiać i od noclegu, i od obiadu. W końcu jednak został na posiłek, jednakże powiedział, że gdy po południu Węclawik będzie wracać do Sadów, to i on się z nim zabierze. Chciałby wyjechać jutro do dnia konno, lasami, unikając gościńców.

Obiad nie minął wesoło. Nie wiedzieli, na jak długo rozstają się z rotmistrem, nikt nie był pewien jutra.

ROZDZIAŁ XX

PIETREK UWIĘZIONY

Nazajutrz rano powstańcy poszli gromadą na Górnichę, żeby ściągnąć stamtąd wszystką broń, zarówno tę, którą oni sami przechowywali w lochach, jak i tę, którą niosła załoga Zamczyska. Chcieli ją zabrać idąc do Czarnieckiego.

Kuba chciał iść z nimi, ale miał nogę obtartą w czasie poprzednich przejść i obtarcie się jątrzyło, więc matka zatrzymała go i kazała nogę moczyć w wywarze z ziół.

Oni się tam obejdą bez ciebie powiedziała a ty musisz mieć nogi w porządku. Przekonałeś się, jak ci były wczoraj potrzebne. Nie wiadomo, co jeszcze może być z nami.

Po wymoczeniu pani Anna opatrzyła Kubie nogę czysto i obwiązała miękkim płótnem, po czym zabrała się do gotowania obiadu.

Gospodarowali i rozmawiali spokojnie, Muratowicz przygotowywał sobie miejsce i narzędzia do roboty w kuźni. Potem zasiedli do obiadu. Muratowicz powiedział:

Coś długo chłopaki nie wracają. Co prawda mieli sporo do zrobienia, przecież zostawiliśmy broń w dwóch piwnicach po drodze.

Nie wiadomo, czy im nie wypadło zawracać parę razy, zanim wszystko wynieśli dodał Kuba.

Wtem w oddali usłyszeli strzał potem drugi, trzeci - w mgnieniu oka wywiązała się regularna strzelanina.

Kuba zerwał się, jął gorączkowo wciągać buty nie bacząc na opatrunek. Chwycił kurtkę, strzelbę i wybiegł. Nikt nie mógłby w tej chwili go zatrzymać.

Wybiegli również inni. Kuba przyłączył się do ojca, który z rusznicą śpieszył lasem razem z gromadą.

Strzały dochodziły z doliny dzielącej ich od Górnichy. Kiedy wybiegli na polanę, zobaczyli w dole konnicę szwedzką strzelającą ku Górnisze, skąd wytryskały obłoczki dymu – to powstańcy odpowiadali strzałami. Widać było, że Szwedzi są górą, bo w miarę jak Kuba biegł ze swoimi przez polanę, strzały z Górnichy rzedły, a rajtarzy posuwali się naprzód.

Wnet drzewa zasłoniły biegnącym pole walki. Strzelanina tymczasem dogasała, rozlegały się już tylko pojedyncze wystrzały.

Gdy znaleźli się na skraju lasu, walka w dole była już skończona. Szwedzka konnica, która widać szła od Lipiny, teraz ruszyła w stronę Skierbieszowa. Za nią ciągnął sznur załadowanych wozów, po bokach szli chłopci popędzający konie. Grupa rajtarów zamykała pochód.

Łupy wywożą ozwał się ktoś.

Tato, tam na śniegu pod lasem leży jakiś człowiek, zabity chyba - powiedział Kuba.

Skoro tylko Szwedzi znikli, gromada zbiegła w dolinę. Znajdowali się naprzeciw kamieniołomu.

Z górnickiego lasu zaczęli wysuwać się ostrożnie powstańcy. Gdy zobaczyli gromadę ludzi obok drogi, zatrzymali się, ale poznawszy swoich schodzili tym śmieiej i wnet połączyli się z nimi.

Pierwszy dopadł ich Demko i zawołał:

Pietrka wzięli!

Jak to wzięli? Ranili? Gdzie on jest? dopytywano się.

Zabrali go do Skierbieszowa. Jak to się stało?

Wieźliśmy leśną drogą broń z Górnichy. Pierwsze sanie Pietrek właśnie przeprowadzał przez gościniec, a drugie sanie i trzecie jeszcze były w lesie, kiedy od Lipiny zza drzew wyjechali gościncem rajtarzy. Najpierw niewielu, z dziesięciu. Broń w saniach była dla niepoznaki zarzucona gałęziami, więc może by się nie spostrzegli i Pietrek byłby przejechał spokojnie. Ale myśmy już wtedy wyszli z lasu i schodziliśmy kamieniołomem. Nie wszystka broń zmieściła się do sań, więc resztę nieśliśmy sami. Trzeba było się skryć!

zawołał Kuba. Łatwo ci mówić, jakeś tam nie był! Na drodze świeży śnieg, to i słyhać nie było. A nam jeszcze wzgórek z boku zasłaniał widok. My, cośmy szli pierwsi, jakeśmy wyszli zza górki i zobaczyliśmy Szwedów, chcieliśmy się cofnąć. Wtem jeden za nami, co ich jeszcze nie mógł widzieć, zawołał: „Czego wracacie?” Jak to rajtarzy usłyszeli, popatrzyli w lewo i zobaczyli nas, że niesiemy broń. A właśnie wtedy mijali Pietrka. Rajtar wyrwał pistolet z olstra. Myślałem, że strzeli, ale widać pistolet nie był nabity, bo rajtar z konia grzotnął nim Pietrka w głowę. Pietrek upadł. Rajtarzy zaczęli z drogi strzelać do nas, a my w nich. Kilku ustrzeliliśmy.

A Pietrek? - Pietrek się poruszył, widzieliśmy, że żyje. Usiadł i próbował się dźwignąć, ale nie miał siły. Rajtar chciał w niego strzelić, jeno oficer nie pozwolił i kazał Pietrka związać.

Nie staraliście się go odbić?

Próbowaliśmy. Ale tymczasem nadjechali inni, było razem ze stu rajtarów, a nas szesnastu wszystkiego. Zaczęli w nas walić jeszcze lepiej, ustrzelili nam Jasia Szodę z Majdanu.

Wszyscy zamilkli na chwilę. Żal im było Jasia. Demko powiedział:

- Byliby nas wszystkich wystrzelali, tym bardziej, że muszkiety mieli wyborne i niosły daleko, a my lepszą broń mieliśmy w saniach. Chcieli Pietrka załadować na jego własne sanie, na szczęście koń się spłoszył, ten ogier od Jezierskich. Wpadł sam z saniami w las i widzieliśmy jak rwał do domu, póki nam go drzewa nie zasłoniły. Bylibyście go spotkali, tylko żeście pewno szli na przełaj. Zrobiła się taka palba szkaradna, żeśmy musieli skryć się do kamieniołomu.

Żeście też im dali odjechać z Pietrkiem! powiedział Muratowicz zaalterowany. Przecież oni go tam zamęczą. Z pewnością chcieli dostać języka.

- Co mogliśmy więcej zrobić? – odparł jeden z powstańców. Jakbyście byli z nami, też nie mielibyście sposobu. Demko próbował jeszcze w ostatniej chwili, ale tylko postrzelił ich oficera w nogę i wszyscy pognali w stronę Skierbieszowa. Do wozów nie strzelaliśmy, bo to nasi chłopci.

Można by było próbować choć łupy odbić dodał inny ale za wozami znów szli rajtarzy, zresztą to by Pietrkowi nie pomogło.

Słuchajcie, chłopaki, my im Pietrka nie zostawimy, będziemy go ratować!

zawołał Demko. Możemy pójść lochami. Tylko gdzie go potem szukać?

Ja znam tamtejszych chłopaków powiedział Kuba chcecie, to pójde zaraz i postaram się dowiedzieć.

Jeszcze cię warty złapią. Podobno już raz się tam plątałeś, wtedy, co to nasi broń wynieśli odparł Demko.

Nie jestem taki głupi, żebym laź na warty. Pójde, tato, dobrze? Nie będę chodził do dworu ani na majdan, dowiem się przez chłopaków.

Idź, ale uważaj. Jakby cię wzięli, to zamiast pomocy byłby kłopot jeszcze większy – powiedział Muratowicz.

Idąc w stronę Skierbieszowa Kuba przemyślał, jak najlepiej będzie porozumieć się z chłopakami. Postanowił podejść w górę, spuścić się lasem na Sady i od tamtej strony pójść do grobli, którą wszyscy chodzili z dworu do miasteczka. Może tam spotka kogoś znajomego, kto wywoła Chomika lub Opiekuna.

Skręcił w lewo, w las. Wspinał się pod górę, potem zszedł na koniec Sadów i gościńcem hajownickim ruszył w prawo, w kierunku Skierbieszowa. Odwilż się zaczęła, śnieg topniał, szczególnie tu, od południa, i z góry strumyczkami sączyła się woda.

Kuba natknął się od razu na Wiewiórkę' i tak się sobą ucieszyli, jak gdyby byli rodzonymi braćmi.

- Czekaj, Hetman, pobiegne po Szczupaka wołał Wiewiórka. On tu rąbie drzewo na podwórku. Nie darowałby mi, jakbym mu nie powiedział, że jesteś.

Pobiegł co sił w nogach i zaraz wrócili obaj ze Szczupakiem. Szczupak sadił wielkimi susami, przeskakując kałuże, a za nim drobniejszym krokiem biegł roześmiany Wiewiórka.

Szli dalej we trzech. Opowiadali jeden przez drugiego, Kuba o Zamczysku i o lochach, tamci o łapaniu koni.

Kiedy się dowiedzieli o uwięzieniu Pietrka Orłowskiego, zaczęli razem z Kubą rozważać, jakby go uwolnić.

Myśmy się bali, że zginęliście wszyscy w wybuchu powiedział Wiewiórka dopiero rotmistrz nas pocieszył, żeście uszli lochami. Szwedów to całą kupę rozerwało, a z nimi Turzańskiego, Michałka i dwóch, co wysadzili bramę z nimi. - Ich też zasypało?

Tak, bo Szwedzi kazali im z sobą iść, żeby pokazali, gdzie co jest. Rotmistrz nam opowiedział, jak było z bramą.

Gdy minęli ostatnie chaty, Kuba popatrzył w stronę Zamczyska, a raczej w stronę tego, co niegdyś było Zamczyskiem. Na nasypie piętrzyła się kupa ceglanych gruzów okopconych pożarem, a z niej jak spróchniały ząb sterczała ruina południowej baszty, która jako najdalsza od wybuchu częściowo ocalała.

Kubie przypomniał się komendant Kuropatwa. Leży przysypany gruzami, z nim dzielny Paszko i ten wierny wartownik, który widać nie brał udziału w niszczeniu bramy, więc zdrajcy nie ostrzegli go przed jej wysadzeniem. Potem przypomniał mu się Michałko, jak to z nim było coraz gorzej: najpierw dokuczanie malcom, potem zasadzka z siekierą na Pietrka, wreszcie zdrada - i śmierć. Otrząsnął się z ponurych myśli i spytał:

Czy widzieliście rotmistrza?

Widzieliśmy, a jakże, łapaliśmy z nim przecież konie. Rotmistrz kazał poprowadzić je na Majdan. Jak dragoni będą szli do Czarnieckiego, to je zabiorą odpowiedział Wiewiórka.

Dużo koni brakowało?

Tylko dwóch. Jeden złamał nogę, a jeden widać zawrócił pod fortalicję i Szwedzi go ujęli. Z początku myśleliśmy, że więcej koni zginęło, ale potem się pokazało, że dwa zaszły aż do łowca, jednego złapali skierbieszowiaci, a jednego znaleźliśmy później w lesie.

Rotmistrz wyjechał z samego rana do Zamościa - dodał Szczupak.

Tak rozmawiając doszli do grobli. Wiewiórka powiedział do Kuby:

Pójdę dowiedzieć się o Pietrka. Ty nie możesz iść, bo niektórzy z rajtarów wiedzą, że jesteś z fortalicji, mogliby coś zmiarkować. A ja tam często chodzę, Szafarska to moja chrzestna matka, mnie nie będą podejrzewać. Kuba zastanowił się chwilę i przyznał, że tak będzie najlepiej.

– Dowiedz się, gdzie trzymają Pietrka. Myślę, że pewno zamknęli go w Gelazynce, i tak byłoby dla nas najlepiej. Chyba żeby go, nie daj Boże, wzięli z miejsca na badania. Ale może nie. Szwedzi zjechali się jedni z drugimi, będą chcieli pogadać, a przy tym oficer tych, co przyszli od Wojsławic, jest ranny w nogę, nasi go postrzelili. Będzie najpierw nogę opatrywać.

Dowiem się o wszystko upewniał go Wiewiórka. Może mi się uda spotkać nie tylko naszych chłopaków, ale także wrotnego.

Właśnie o to mi chodzi mówił dalej Kuba. Żeby można było uwolnić Pietrka, trzeba żeby wrotny w tym pomógł. Oficer rajtarów ma klucze od wszystkich baszt, ale drugie klucze ma Srokowski, do czego się nie przyznał. Powiedz mu, niech się postara otworzyć więzienie, sprowadzić Pietrka do piwnicy i wpuścić go włazem do lochów. Nasi powstańcy zabiorą go i pomogą mu przejść na Górnichę, gdyby sam nie miał siły iść. Trzeba to zrobić jak najprędzej, jeszcze tej nocy. Nasi będą w lochach pod Gelazynką. Jeżeli by nawet ich nie było jeszcze, kiedy Pietrek wejdzie do lochów, to niech poczeka, przyjdą z pewnością.

Ale jak to Srokowski zrobi? Przecież Szwedzi postawili wartę pod Gelazynką, jeżeli w niej Pietrka trzymają.

To już jego rzecz, Srokowskiego. Musi się udać! Innego sposobu nie ma, żeby uratować Pietrka. Jakbyś nie mógł zobaczyć się ze Srokowskim, niech mu Opiekun z Chomikiem wytłumaczy.

Wiewiórka pobiegł do dworu. Kuba zaś ze Szczupakiem czekali niecierpliwie.

Kiedy się czeka, wtedy czas jakby mija wolniej, toteż wydawało im się, że coś musiało się Wiewiórce przytrafić, skoro go tak długo nie widać.

Wreszcie zjawił się i powiedział, że wszystko udało mu się załatwić jak najlepiej.

Widziałem się, i z naszymi chłopakami, i ze Srokowskim. Pietrek zamknięty w Gelazynce, tak jakieś się spodziewał, a pod basztą stoi wartownik. Jeszcze nie brali Pietrka na przesłuchanie, bo są zajęci czym innym. Przyszły wiadomości, że król szwedzki ma nadciągnąć pod Zamość, a Czarniecki za nim w trop. Więc się śpieszą, żeby nie natknąć się po drodze na wojska Czarnieckiego. Pakują się na gwałt, pewno jutro stąd ruszą.

Nie może być — ucieszył się Kuba - tak ci mówił wrotny?

- I wrotny, i wszyscy się tego spodziewają we dworze, bo rejwach tam jak nigdy. Tymczasem Szwedzi kazali sobie przygotować sutą wieczerzę. Ci nowi, co przyciągnęli od strony Chełma nawieźli. Podobno chcieli iść na Lublin i Warszawę, ale tam po drodze tyle już się nazbierało naszych kup zbrojnych, że poszli tędy. Jeżeli ich król wyszedł z wojskiem z Lublina, to oni wolą do niego.

- Jak będą wieczorem ucztować na pożegnanie ze Skierbieszowem, to może zapomną o Pietrku do rana, a rano już go nie znajdą – powiedział Chomik. - Oficer niemiecki

raniony? spytał Kuba.

- Nie bardzo, jeno draśnięty. Przewiązali mu łydkę i chodzi lekko kuśtykając, sam go widziałem z daleka.

Warty łatwo cię przepuściły?

Tak, oni mnie znają, że ja tam prawie co dzień chodzę, więc się nie dziwili. Żeby tylko ci, co stacjonują we dworze, pospali się mocno tej nocy i wrotnego nie przyłapali!

Tego samego pragnął wrotny, a pani Stara postanowiła nawet do tego się przyczynić.

- Słuchaj, jejmość - powiedział imć pan Srokowski — tak sobie myślę, że jeżeli wezmą Pietrka Orłowskiego na przesłuchanie, to gotowi zmarnować chłopaka. On nie wyśpiewa tego, co wie, a oni będą się starali mękami wycisnąć z niego jak najwięcej. Jak im się nie uda, tym więcej się rozeźlą. Całe szczęście, że dzisiaj do tego nie przyszło, ale jutro rano przypomną sobie ani chybi. Miałbym na to sposób, żeby go uwolnić, jeno musiałabyś jejmość pomóc. Idzie o to, żebym miał tej nocy wolny dostęp do Gelazynki, a na to trzeba, żeby Niemcy i Szwedzi dobrze spali. Rozumiesz jejmość?

Rozumiem, w ciemną bita nie jestem powiedziała pani Paulina. Miarkuję, że szykują wypitkę, bo ci nowi niejeden antałek wina przywieźli, widziałam, jak z wozu do dworu nosili. Moja głowa w tym, żeby je trochę podprawić ziółkami. Nie za dużo, żeby nie zmiarkowali, ale akurat tyle, żeby im się dobrze spało. Pewno każą sobie przygotować grzane wino z korzennymi przyprawami, to i tych trochę ziółek nie poczują. Gorzej z rajtarami na podwórzu. Szykują sobie wyżerkę, zarżnęli wołu, więc bez wypitki się nie obejdzie i na samym piwsku nie poprzestaną, z pewnością znajdzie się i gorzałka. Ale do tej gorzałki nie będę mieć przystępu. Zresztą oni pilnują, żeby wartownicy wiele nie pili.

- Ja to tak wykoncypowałem - zwierzył się Srokowski. Pierwsza warta stanie trzeźwa. Ale one się o północy zmieniają, pierwszego wartownika zluzuje drugi. Pijany nie będzie, bo by się bał reprimendy, ale wierzyć mi się nie chce, żeby był całkiem trzeźwy. Wyobrażasz sobie aśćka rajtara, co by się uchował trzeźwy jako baranek pośród kompanionów, co się ochocą?

Nie, nie wyobrażam odparła Baczyńska z przekonaniem. I tego też sobie nie wyobrażam, żeby się nie zachciało spać po suto zakropionej szynce albo schabiku pieczonym. W tym jeno sęk, że mu usiąść nie wolno, na warcie musi cięgiem stać.

Pewno że sęk, jeno nie taki znów twardy jak się wydaje. Wszystkie północne nacje posiadają okrutne zdolności do spania, osobliwie jak im tłuste żarcie kałduny rozepcha, a gorzałka rozumy zbełta. Rajtar potrafi spać i na stojąco, i w kulbace, i na beczce z prochem. Ufam sobie, że tego wartownika podejść potrafię. Mogli oni Pietrka ogłuszyć, to i ja tego ogłuszę, krzepę w garści jeszcze mam. Ci, co będą na majdanie, nie rozłożą ogniska tuż pod Gelazynką, bo unikają takowego sąsiedztwa z powodu onych duchów, którymiśmy ich przepłoszyli. Tamten zaś nieborak, który chcąc nie chcąc musi stać na warcie pod basztą, będzie pilnował wejścia, a wejście jest nie od majdanu, jeno od dworu, po drugiej stronie ostrokołu. Byle jeno sprawić się cicho, rajtarzy z majdanu nic nie dostrzegą. Oficyerom życzę jak najpiękniejszych snów, nie zaś spacerów o księżycu, które jeno młodym zakochanym przystoją.

Na tym rozmowa się skończyła. Pani Stara i wrotny wrócili do swoich zajęć. Każde z nich obmyślało swój plan działania.

Pani Paulina doglądała przygotowań do wieczerzy, żeby była i suta, i smakowita. W oddzielnym garnuszku gotowała sama jakoweś ziółka, bardzo ponoć skuteczne jako płukanie na ból zębów, który ją napadł.

Pan Jacenty załadował do jednego z przepaścistych kieszeni swego kozuszka krzesiwo, kawałek woskowej świecy i skibę chleba, po czym nabił króciwę i ukrył pod siennikiem razem z parą kluczy.

Zapadł wieczór. Z jadalni dochodziły śmiechy, gwar rozmowy, brząkanie naczyń.

Pan Jacenty wyszedł z domu i obszedł go dookoła. Z drewnianych rynien z szumem spływała woda, śnieg topniał na dachu. Nogi po ciemku to zapadały się w kałuże, to w miękki śnieg. Pan Jacenty podpierał się kijem, ślisko bowiem było bardzo. Niepostrzeżenie starał się wypatrzeć, czy pod Gelazynką stoi warta, czy nie. Zobaczył ciemną sylwetkę żołnierza, który chodził wolnym krokiem tam i z powrotem. Przez szpary pomiędzy belkami ostrokołu przeświecał blask ognisk, rozłożonych na majdanie.

Wrotny wyszedł przed bramę. Zobaczył otwarte drzwi do śpichrza, przez które też padało światło.

Majdan był pełen wrzawy, rajtarzy chodzili od ogniska do ogniska, inni siedzieli na belkach, na słomie.

Pod Gelazynką cicho było i ciemno.

Wrotny wrócił do domu. Nie mógł sobie miejsca znaleźć, czas dłużył mu się coraz bardziej.

Zajrzał do pana Mokusieja. Ten położył się już do łóżka, ale gdy zobaczył Srokowskiego, wygrzebał z uszu kłaczki zwiniętych pakul i powiedział:

Zatkalem uszy, bo już nie mogę słuchać tego szwargotu z jadalni. Co otworzą drzwi do sieni, to tu słyszę ich głosy, już mi życie obmierzło. Miałem gasić świecę, ale kiedy asan przyszedłeś, to siadaj, pogadamy.

Srokowski przysiadł na chwilę. Zaczęli jak zwykle wspominać dobre, dawne czasy, potem dzielili się przewidywaniami na przyszłość: kiedy wyjdą stąd Szwedzi, kiedy przyjdzie pan Czarniecki, gdzie jest w tej chwili król Jan Kazimierz, bo niektórzy mówią, że już wjechał do Lwowa, ale nie wiadomo, czy można temu wierzyć. Wrotny przysunął się bliżej i zapytał cicho:

Proszę jegomości, czy nie byłoby dobrze wynieść z domu i ukryć ważniejsze rzeczy waćpana? My z panią Baczyńską jużśmy tak zrobili, każde ze swoimi rzeczami. Nieznaczenie poprzenosiliśmy niejedno do Różanej baszty i tam jest schowane w piwnicy.

Czego się boisz?

A no, wasza miłość sam widzi, że szykują się zmiany. Szwedzi jutro wyjdą, lubią rabować odjeżdżając, co się da. A jakby nie wyszli, to tyłu ich tu teraz nalazło, że dla swojej wygody mogą nas wszystkich wypędzić.

Wiele cennego tu nie mam, Niemcy nawet ściany z makat ogołocili odparł Mokosiej jest kosztowniejszego, to w tym małym czarnym kuferku zamknięte, można łatwo wziąć do ręki. Z jednym tylko chciałem ci się zwierzyć, Srokosiu, bo nie wiadomo, co się jeszcze z nami stać może. Otóż pamiętaj, że w piwnicy pod basztą Dziobatą, w samym rogu od strony rzeki, mam zamurowany garnczek, a w nim nieco dukatów, co się zebrało z pracy po trochu. Nie ma to być ani na stroje jejmości, ani na trzpiotowanie, jeno jakby mnie nie stało, ma być obrócone na chleb codzienny i na podźwignięcie gospodarki po wojnie. Dawniej moim pragnieniem było kupić sobie kawałek ziemi, choćby malutki, ale własny, zamiast na dzierżawie siedzieć. Na to ciulałem całe życie. Ale czasy przyszły takie, że już się tego chyba nie doczekam. Tylko nie zdradź się z tym, co mówiłem, nikomu! Ja ci ufam jak sobie samemu.

Dziękuję waszej miłości za zaufanie. Nie zawiodę go, to pewne. Waszmość da Bóg przeżyjesz tę burzę i sam oszczędnościami rozporządzisz, a na starość na własnym osiądziesz i ja przy waszmości! Ale mnie już czas iść, Widziałeś asan pana stolnika?

spytał Mokosiej. Spodziewam się, że nie zasiadł ze Szwedami i z Niemcami do stołu, żółć by mnie zalała ze wstydu.

Przedtem siedział w alkierzu wiśniak popijając, a co teraz robi, nie wiem.

Pewno znów łeb zaproszył i śpi nie zwłókłszy z siebie szat.

Zaproszyć głowy pan stolnik nie mógł, bo pani Baczyńska wydziela po kieliszku.

Nie może być! A to go wzięła w kuratele!

Bo już ostatni gąsiorek napoczęła w sekrecie przed Szwedami. Potrafiła gdzieś go tak dobrze schować, że i ja tylko domyślać się mogę. To najobrotniejsza kobieta, jaką w życiu spotkałem. Ale ja już powiem dobranoc waszej miłości.

Dobranoc, mój pocziwy Srokowski. Co to dzień jutrzejszy nam przyniesie? Ale, ale, byłbym zapomniał! Co się dzieje z młodym Orłowskim, co go te szubrawce zaparły w Gelazynce? Czy by nie można chłopakowi czego do jedzenia po cichu podsunąć? Zamorzą nieszczęśnika.

- Wartę postawili... — odparł wrotny wymijająco i machnąwszy ręką, że niby jest bezsilny, wyszedł nie chcąc się zdradzić, bo kłamać pan Jacenty nie umiał.

Poszedł do kuchni, gdzie dwie stare kobiety zmywały garnki i talerze. Niby to od niechcenia zapytał, zwracając się do pani Starej:

Jakże się wieczerza udała? Czy asińdzka długo jeszcze będziesz w kuchni się trudzić?

- Słyszysz waść przecie, że już tam wrzawa dogasa — tu pani Paulina mrugnęła nieznacznie. — Pojedli, popili, teraz pewno spać się pokładą, jak to zwykle bywa po biesiadzie. Dziwna to według mnie biesiada, kiedy jeszcze pewno nie zdążyli pogrześć tych kilku swoich rajtarów, co koło Górnichy na gościńcu polegli.

- Biesiada, bies siada - powiedział pan Jacenty i rad z dowcipu mrugnął w odpowiedzi pani Paulinie. - Która też będzie godzina, nie wiesz jejmość?

- Już północ minęła, warty przed chwilą zmieniali - odparła Baczyńska i zawołała do swoich pomocnic: Czemu tak marudzicie, guzdrały? Ja już mam dość, idę spać. Co zostało do sprzątanania, to się zrobi jutro. Pojadłyście, teraz idźcie do domu. Żebyście sobie nie krzywdowały, że dużo było roboty dzisiaj, weźcie tę miskę z bigosem. Tylko żebyście nie zapomniwały miski jutro mi odnieść. Ten bochenek chleba też zabierzcie, należy się wam.

Kobiety pożegnały się szybko i poszły, rade, że wreszcie ukończyły pracę.

Pani Paulina położyła palec na ustach i przeszedłszy ostrożnie przez korytarz uchyliła drzwi jadalni naprzeciw. Cofnęła się od razu i odwróciła z uśmiechem do wrotnego.

Gotowi - powiedziała. - A warta? - Pójdę zobaczyć - odparł Srokowski. - Jeżeli i warta gotowa, zacznę zaraz.

Warta też dostała ziółek, jeno nie chciałam mówić przy kobietach.

I to także asińdzka potrafiłaś?

- zdumiał się pan Jacenty.

Wartownik sam się nawinął, miałam mu żałować? Kiedy szedł zluzować poprzedniego, wstąpił do kuchni i przymówił się, żebym mu dała bigosu, bo mu zapachniał, a on w Niemczech przywykł do kwaszonej kapusty. Jak zobaczył i wywąchał, że grzeję wino, poprosił

, żebym mu dała się napić. Więc mu dałam i wina, choć wino tak pasuje do kapusty, jak miód do solonego śledzia.

Srokowski poszedł do siebie, nałożył kozuch, przepasał się i z króciwą u boku bocznym wyjściem wyszedł w noc.

Zbliżył się do baszty. Daremnie rozglądał się za wartownikiem, wreszcie dostrzegł go siedzącego na mokrym śniegu, z plecami opartymi o wieżę.

Podszedł do niego i powiedział parę słów półgłosem. Wartownik się nie ruszył. Wrotny położył mu rękę na ramieniu, potrząsnął nim tamten nie mruknął nawet, tylko głowa opadła mu na piersi.

Nie tracąc czasu Srokowski podszedł do drzwi Gelazynki, otworzył je kluczem i wszedł do środka, z lekka drzwi za sobą przymykając.

Przez długą chwilę cicho było przed dworem. Potem bocznym wyjściem wysunął się pan stolnik.

Nietyxa czuł się zgnębiony. Tyle smakowitych zapachów dolatywało z jadalni przez cały wieczór, zaś pani Paulina dała mu wprawdzie bigosu i pieczeni, wszelako gdy spotkał ją w korytarzu kiedy niosła do jadalni parujący dzban grzanego wina, i prosił choć o jeden pucharek, ofuknęła go i przeszła mimo.

Długo stał jeszcze pod drzwiami jadalni, miał ochotę wprosić się na wieczerzę. Przypomniawszy sobie wszelako, jak go Niemcy odprawili obrzuciwszy pogardliwymi słowami, westchnął i odszedł do siebie. Po niezwykle obfitej wieczerzy zachciało mu się spać, tym bardziej, że pora była późna.

Wtem usłyszał, że ktoś skrada się cicho korytarzem i otwiera boczne drzwi. Kto to mógł być? Wojskowi nie chodzili tędy, jeno przez sień. Pani Baczyńska kręciła się po kuchni, stolnik słyszał, jak brząka naczyniem. Srokowski, który też sypiał we dworze, poszedł przed chwilą do swojej izby.

„Z pewnością szwagierek kochany”, pomyślał stolnik. „Ciekaw jestem, po co wyszedł. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się znosił z powstańcami”.

Choć pan Nietyxa do odważnych nie należał, tyle zebrało się w nim niechęci do szwagra, że postanowił go śledzić. „Daleko nie pójdę”, pomyślał, „jeno wyjrzę przed dom. Jeżeli ten głupiec zmawia się z kimś, gotów ściągnąć nieszczęście na nas wszystkich”.

Wziąwszy pistolet pan stolnik kocimi krokami podszedł do drzwi wiodących na dwór. Przekonał się, że uchylone, widać tamten chciał wrócić niepostrzeżenie.

Wysunął się cicho na dwór. Księżyc wypłynął zza chmur. Nietyxa rozejrzał się dokoła. Nie było widać nikogo. Gdzieś się podział wartownik, który przedtem spacerował pod bramą?

Kiedy przyjrzał się dokładniej, stolnik dostrzegł wartownika siedzącego na śniegu. Wezbrał w nim gniew: to tak pilnuje baszty z niebezpiecznym więźniem? Jakby więzień uciekł, Szwedzi gotowi przez zemstę wyrżnąć wszystkich we dworze!

Oburzony stolnik ruszył w stronę baszty, od której dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia kroków. Chciał obudzić wartownika.

Wtem dostrzegł coś niezwykłego i stanął przerażony o kilka kroków od wieży.

Drzwi Gelazynki rozwarły się i ukazał się w nich jakiś mężczyzna. Nie miał na sobie munduru. Stolnik nie poznał Srokowskiego. Błysnęła mu myśl straszliwa:

Więzień ucieka!" Błyskawicznym ruchem wy dobył pistolet i strzelił.

Z Gelazynki odpowiedział mu także strzał. Pan Nietyxa upadł.

Srokowski zdecydował się w jednej chwili. Rzucił klucze na śnieg obok leżącego bez ruchu stolnika, sam zaś podbiegł pod dom, jak najgłośniejszy wzywając ratunku.

Z majdanu zbiegli się rajtarzy. Oblegli wrotnego, który otrzymał postrzał w rękę i pytali, co się stało? Czy to on wołał? Kto strzelał?

- Wyszedłem z domu jak co noc, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku — tłumaczył pokazując wystrzeloną króćcę i szczękając zębami, bowiem zraniona ręka rwała coraz bardziej – wtem widzę,

ktoś wymyka się z baszty. Zobaczył mnie, strzelił i chciał uciekać. Wtedy i ja strzeliłem. O, tam leży...

Rajtarzy podbiegli do leżącego. Obok niego błyszcząły na śniegu klucze, w prawej ręce jeszcze trzymał pistolet.

Tymczasem zbudzony wreszcie wartownik próbował stanąć na nogi, ale nie mógł dokonać tej sztuki.

A to ci słaba głowa powiedział jeden z rajtatarów. Na podwórzu cały wieczór byłem przy nim, wypił połowę tego, co ja.

Odwrócili zwłoki i przy świetle księżyca kilku z nich poznało Nietyxę.

Ponieważ mimo strzałów nikt z oficerów się nie pokazywał, żołnierze zaczęli dobijać się do domu, ale długo nikt im nie otwierał. Pan Mokosiej miał zatkałe uszy, pani Stara nie miała ochoty ich wpuścić, a kręciwas Sikorski po prostu się bał.

Wreszcie, gdy pukanie i okrzyki stawały się coraz gwałtowniejsze, a spoza drzwi rozległ się również głos wrotnego, pani Stara wszczęła z sieni pertraktacje i powiedziała:

Tu zamknięte i zaryglowane, idźcie bokiem, przez kuchnię.

Pobiegła po Mokosieja i Sikorskiego.

Rajtarzy daremnie starali się obudzić w jadalni oficerów. „Tak się widać spili, że nie można z nimi gadać” - pomyśleli. „Co robić?”

- Musimy sprawdzić, czy coś się nie stało z więźniem -- powiedział jeden z żołnierzy.

Okazało się, że więzienie jest puste.

Wśród rajtarów zapanowało przerażenie. Co się stanie, gdy oficerowie otrzeźwieją po pijatyce? Co wykaże dochodzenie i jaka będzie kara? Przecież zawinił nie tylko wartownik spod baszty, inne warty też nie były widać dość czujne, jeżeli możliwe było uprowadzenie więźnia.

Rajtarzy nie wiedzieli o istnieniu lochów, więc nie mogli wyobrazić sobie innej drogi ucieczki, jak tylko pomiędzy wartami.

Dziwna rzecz: po tym groźnym odkryciu, zamiast przynajmniej teraz zaostrzyć czujność, zaczęli między sobą doszukiwać się winnych, kłócić się i oskarżać wzajemnie. Gdyby w tym momencie uderzyli w nich powstańcy, mogliby ich rozbić z łatwością, ci doskonali żołnierze na chwilę stali się bowiem gromadą przestraszonych, kłócących się awanturników.

Z tej chwili dezorganizacji skorzystali mieszkańcy dworu. Mokosiej, Baczyńska i Srokowski wyszli przed świtem we trójkę małą furką od strony rzeki. Oglądali się za Walentym Sikorskim, jednakże kręciwasa nigdzie nie znaleźli, widocznie ulotnił się wcześniej.

Pan Mokosiej robił sobie wyrzuty, że nie zajmuje się pogrzebem stolnika. Wprawdzie ani go lubił, ani szanował, jednakże był to brat pani Pudencjany i pan Achacy byłby z pewnością zadbał o jego pochówek, gdyby tylko mógł.

Mokosiej czuł się już wcale dobrze, choć przed obcymi pozorował nadal chorobę, aby się z nimi nie spotykać. Ponieważ jednak od stycznia nie wychodził na powietrze i nóg używał tylko tyle, co po własnym pokoju, więc sapał i ślizgał się, chociaż Srokowski prowadził go pod rękę.

Widząc, że dzierżawca daleko nie zajdzie, wrotny z panią Starą odprowadzili go na plebanię, dokąd było najbliżej. Proboszcz, z początku przestraszony tak wczesną wizytą, poznał po głosach, kto do jego drzwi stuka. Przyjął chętnie pana Mokosieja i obiecał ukryć go na wypadek, gdyby go Szwedzi szukali. Wrotny miał w Skierbieszowie rodzinę, zaś pani Stara przyjaciół w Sadach, tak więc wszyscy troje znaleźli chwilowy przytułek.

Rano we dworze, gdy dowództwo otrzeźwiało, wszczął się alarm.

Oficerowie nie chcieli uwierzyć, żeby to Nietyxa wypuścił więźnia.

Głupcy! — wrzeszczał oficer na swoich rajtarów

dawajcie tu tamtego starego, on was wywiódł w pole!

Daremnie jednak szukano wrotnego.

Oficerowie domyślili się, że ktoś im dał na sen. Było mało prawdopodobne, żeby środek nasenny znajdował się już przedtem w antałku, musiano go dodać podczas grzania wina.

Zaczęto więc szukać pani Starej, lecz ona również znikła bez śladu. Zniknął nawet dzierżawca Mokosiej, choć wydawało się jeszcze wczoraj, in ledwo nogami powłóczy.

Gdzie ich szukać! Niemcy i Szwedzi rozumieli, że Sprawa jest beznadziejna, nie mogli przecież opóźnić wymarszu, żeby poszukiwać zbiegów. Musieliby rozsypać się i myszkować po wsiach i po lasach, a byłoby to niebezpieczne na wszędzie czekali zaczajeni powstańcy

Oficer rajtarów kazał im nanosić słomy i podłożyć ogień pod wszystkie cztery węgly domu, po czym wraz z taborami obładowanymi łupem wojsko nieprzyjacielskie ruszyło na zachód, po drodze podpaliwszy miasteczko.

ROZDZIAŁ XXI

DO CZARNIECKIEGO

Ze zgrozą patrzyli mieszkańcy okolicznych wiosek na łunę nad Skierbieszowem. Dwór stał wysoko, gorzał jak wzniesiona nad światem pochodnia. Wiatr niósł iskry i głównie niby olbrzymią miotłę ognistą.

W dole ogień szerzył się po miasteczku coraz dalej i dalej. Oblewano strzechy wodą, okładano je mokrymi płachtami, aby od padających iskier uchronić daremnie. Ogień przeskakiwał z dachu na dach, nie pomagały wiadra i bosaki.

Mieszkańcy Zawody drżeli, żeby pożar nie przerzucił się do nich. Co znaczy wąska rzeka dzieląca Zawodę od Skierbieszowa, kiedy i z jednej i z drugiej strony chaty schodzą aż nad wodę?

Gdy rotmistrz Bolestraszycki wjechał konno na ostatnie wzgórze przed Skierbieszowem, przeraził go widok skłębionego morza płomieni i dymów. Już z daleka zmiarkował, że Skierbieszów się pali, ale to, co teraz miał przed sobą, było okropniejsze niż mógł sobie wyobrazić, jako że miasteczko rozciągało się ze wschodu na zachód niby płótno bielące się nad rzeką w czasach spokoju, a teraz stało się pasmem płomieni. Swąd i szum dolatywały aż do niego. Zawahał się, którądy jechać: na prawo jezioro, przed nim pożoga. Wziął się

Musiał nadłożyć z milę drogi, żeby się dostać na Podwysokie. Po drodze spotykał ludzi, którzy biegli z różnych stron na ratunek miasteczka. Przez Dólnik, Suchodębie i opustoszały Majdan dojechał wreszcie rotmistrz na Podwysokie już po południu.

Stamtąd też większość mieszkańców z młodzieżą na czele pobiegła do Skierbieszowa. Muratowicza zastał wszelako kuźni, gdzie wraz ze Szczepanem Orłowskim, bratem Macieja, pracowali bez wytchnienia, jako że nazajutrz powstańcy mieli wyruszyć do wojsk Czarnieckiego.

Zdziwili się wszyscy niepomiernie na widok rotmistrza, który wszak dopiero wczoraj opuścił ich, aby przenieść się do Zamościa. Czyżby tam nie dojechał, albo w przepelnionej twierdzy nie znalazł kwatery?

Rotmistrz śpieszył się widocznie, bowiem nie zsiadając z konia wywołał z warsztatu Muratowicza i rzekł:

- Czołem, panie Sewerynie! Chodź waść ze mną do izby na chwilkę, bo ja do waszmości przyjechałem umyślnie z pilną sprawą.

Jadąc stępą przez wieś do chaty Jaworskich rotmistrz opowiadał postępującemu obok Muratowiczowi, jak wyminął płonący Skierbieszów.

Sądny dzień mówił z całego miasteczka nic się nie ostanie, jak tylko gołe mury kościoła i gdzieś tam fundamenty z piwnicami, bo reszta toć przecie samo drzewo. Gdzie się pogorzelnicy pomieszczą?

Powitawszy panią Annę rotmistrz zasiadł za stołem, a pan Seweryn obok niego. Muratowiczowa zabrała się do odgrzewania krupniku, aby nakarmić zdrożonego, więc krzątała się przy kominie. Z młodzieży nie było w domu nikogo i rotmistrz na próżno rozglądał się za Kubą.

A więc przystępuję do rzeczy zaczął Bolestraszycki — abyście waćpaństwo poznali cel mojego przyjazdu. Wyobraźcie sobie, że w Zamościu trafiłem od razu na dawnych towarzyszy broni, ci zaś powitali mnie jako Łazarza z grobu powstałego, bowiem była się tam rozeszła pogłoska, że gruzy Zamczyska i mnie też przysypały. Co dziwniejsze, to że znalazł się dla mnie zaraz list zapowiedni, więc przyjeżdżam do was znowu jako oficer na służbie, jeno że teraz mam czynić zaciągi dla pana Czarnieckiego i już nie o konie, lecz o ludzi się starać. Jeżeli kto na dodatek i konia z sobą przywiedzie, tym lepiej.

Jakże to się tak szybko stało? Pana Czarnieckiego nie ma wszak w Zamościu dziwiła się pani Anna.

Czarnieckiego nie ma, jeno był list zapowiedni przez niego wydany na imię pewnego kawalera, ten zaś z konia spadłszy nogę złamał i już od pięciu dni w Zamościu się kuruje. Desperował ponoć okrutnie, że obowiązków swoich wykonać nie może. Pobiegli więc moi przyjaciele do pana starosty kałuskiego, a jako że czasy są wojenne i nie wszystko formaliter załatwić można, więc nie szukając zgody pana Czarnieckiego przerobiono ów list zapowiedni na mnie, tym bardziej, że dotyczy on tej okolicy, którą tak dobrze znam. Zaraz zaciągnę wedle formy tych ochotników, co się stąd zgłaszają, jeno sam ich nie poprowadzę, bo mam nadzieję zwerbować ich więcej w okolicy. Tu pan rotmistrz zwrócił się do Muratowicza:

- A wiesz waćpan, kogo chciałbym zwerbować na pierwszym miejscu, wprowadźcie nie dla Czarnieckiego, jeno dla Zamościa? Ciebie, panie Sewerynie.

Mnie? zdziwił się Muratowicz.

Ciebie, panie, właśnie ciebie! Bo widzisz waść, okrutnie byś się przydał twierdzy. Opowiadałem o tobie, jakeś tu broń dniem i nocą gotował dla powstańców, jaki : z ciebie płatnerz, znakomity, a i puzkarz wcale dobry na dodatek. Rozłakomili się na ciebie, że to, powiadają, takich ludzi w twierdzy zawsze mało, tym więcej, że na oblężenie od Szwedów się szykują.

Jakie nazwisko waszmość podawałeś?

Właśnie zem się wahał, bo nie wiedziałem, co byś waść wolał. Powiedziałem „Harbarasz”, alem wspomniał, że to zdaje się jeno przydomek wojenny, zaś prawdziwe nazwisko waści jest inne. Jeno o locum najmniejsze trudno tam okrutnie, musiałyś rodzinę tu na razie zostawić, co może byłoby i lepiej w razie szturm na Zamość. Mam nadzieję, że później osiądziecie tam wszyscy razem. Pan starosta kałuski nie tylko żołd obiecuje, ale i wypłaca, przysłałbyś na razie swoim coś niecoś na życie.

Muratowicz popatrzył na żonę. Nie trzeba im było słów, wiedział, co Anna czuje w tej chwili. Myśli z pewnością: „ledwo uszedł z życiem z jednego szturm, ma teraz umyślnie wydawać się na drugi...”. Ale wiedział też pan Seweryn, że żona nie będzie odmawiać go od tego.

Widać i rotmistrz rozumiał, co pani Anna przeżywa, bowiem dodał:

Ja wiem, jejmość dobrodziejko, że posłaniec, co przyjeżdża zaciągi czynić, nigdy nie zdaje się niewiastom gościem w porę, wszelako taki już jest nasz obowiązek wojenny. Wojna to sroga pani, nie zna litości.

Nienawidzę jej - powiedziała pani Anna. Z każdym dniem coraz bardziej nienawidzę. My, kobiety, rodzimy dzieci na świat, a kiedy je odchowamy, wy uczycie je zabijania i sami je zabijacie.

-

Kiedy Kuba wrócił do domu, zdumiał się wielce, bowiem ojciec gotował się już do drogi. Rotmistrz mówił, że król szwedzki ciągnie pod Zamość i kto wie, czy nie doszedł do Szczebrzeszyna, odkładać więc jazdy nie można było.

Kuba był osmolony, lewą rękę miał w bąblach, tak gorliwie pomagał przy ratowaniu dobytku pogorzelncom razem z innymi chłopakami. Wszelako nie bacząc na to jął błagać ojca, aby ten zabrał go z sobą do Zamościa. Ojciec nie zgodził się jednak, a to z dwóch powodów. Idę tam jako żołnierz, z zaciągu

powiedział a kto widział, żeby żołnierz stawał do szeregu razem ze swoją rodziną. Po drugie chcę, ażebyś został tutaj i opiekował się matką i rodzeństwem. Skoro ojca nie stanie, obowiązek ten spada na syna.

Tato, przecież nieraz tak bywa, że na wojnę ciągną razem ojcowie z synami i razem w polu stają!

Nie wtedy, kiedy synowie mają czternaście lat.

Nie czternaście, bo za dwa miesiące piętnaście ukończę. A mocny jestem, tato wie.

Nie ma o czym gadać huknął rotmistrz. Ja zaciągi czynię, a ciebie do wojska nie powołuję, ot i już.

Kuba mruknął coś pod nosem i zamilkł. „Ładny ze mnie hetman, co nawet na szeregowca się nie zda”, myślał rozszalony. „Nie będę już więcej prosił ani pytał, jeno pójdę do pana Czarnieckiego”. Dalszych słów ojca słuchał tylko jednym uchem, zaciął się w swoim uporze. Kuba tłumaczył Muratowicz

czy myślisz, że tacy jak ty nie przydadzą się tutaj więcej niż w wojsku? Popatrz, jak wygląda ten kraj! Zboże złupione tak, że nie wiem, czy ludziska pola obsieją. Idzie przednówek, a stodoły i spichrze puste. Siano i słoma tak wyjedzone, że w wielu miejscach nawet strzechom z chałup nie darowano. Chłop z ostatnią krową kryje się z rodziną po lasach, ludzie stawiają w puszczy szałas albo nory w ziemi ryją, tyle jest wsi popalonych. W naszej okolicy jeszcze raj w porównaniu z innymi, a sam widzisz, co się dzieje. Na polach zamiast pszenicy chwasty się plenią, badyłami ostu przeszyte. Pomyśl o matce, o malcach. Ty im drwa z lasu przyciągniesz, zwierzyny upolujesz, ryb nałowisz. W razie napadu będziesz ich bronił. To rzecz najważniejsza, chociaż za to indygenatów nie dają. Matka dopiero co mówiła, że nienawidzi wojny. Ja też wojny nienawidzę. Jeżeli jej służę, to z musu, bo rozumiem, że ojczyzny bronić trzeba. Ale obrona jest po to, żeby osłaniała życie, życie jest najważniejsze.

Kuba nie słuchał. Myślał tylko o tym, jak się przyodziać do wojska, skąd wziąć spyżę bodaj na trzy dni, jak wyjść z guldynką, żeby matka nie spostrzegła.

Pietrek, Demko i inni mają wyruszyć jutro. Trzeba by iść z nimi, ale Pietrek się nie zgodzi, skoro ojciec Kubie zakazał. Zresztą Pietrek też ma go za nieletniego. Więc jak?

Trzeba będzie pójść za nimi tak, żeby nie tracić z oczu gromady, oni zaś żeby go nie zauważyli. Samemu byłoby trudno odnaleźć pana Czarnieckiego, powstańcy mają swoje sekretne wiadomości.

Wiedział, gdzie matka składa jaja na Wielkanoc, narzekając, że źle żywione kury słabo się niosą. Obiecywał sobie wybrać ich dziesiątek i ugotować ukradkiem, kiedy ojciec wyjedzie do Zamościa, a matka z Maruszką pójdą wieczorem do doju.

Jeszcze gorzej było z chlebem. Brakło go prawie wszędzie, wydzielano każdą kromkę. W domu dopełniano pieczoną rzepą, kapustą, owsianą bryją, wreszcie kaszą, choć i tej skąpiono sobie, bo się ludziom kończyła. Takich sposobów użyć się nie da po drodze, bo nie będzie można gotować.

Przed wieczorem Kuba poszedł z guldynką, na zakładanie sideł czasu było za mało. Nachodził się, poparzona ręka piekła okrutnie, chociaż matka opatrzyła mu ją szmatami zmaczanymi w oleju lnianym. Poszcęściło mu się, bo kiedy już zmierzch zapadał, ustrzelił na skraju lasu kuropatwę i zająca.

Kiedy wrócił do domu, okazało się, że ojciec pojechał już dawno.

Kuba oddał kuropatwę matce, a do zająca się nie przyznał. Poszedł z nim po ciemku na Majdan i tam przehandlował za nieduży bochenek chleba.

Kiedy jadł wieczerzę, wciąż czuł na sobie zatroskany wzrok matki.

Wyczyścił guldynkę i położył się spać. Węzełek z jajami i z solą schował przedtem w sieni, chleb miał w tapczanie z obawy myszy.

Szarzało dopiero, gdy wstał. Matka przebudziła się i zapytała, widząc że Kuba się ubiera:

Dokąd idziesz?

Do lasu odpowiedział Kuba. Chociaż prawdziwie szedł do lasu, jednakże czuł, że oszukuje matkę. Wiedział, iż ona myśli, że syn idzie na polowanie, gdy on wybierał się do wojska.

-

Kuba szedł już trzeci dzień. Nie znał tych stron, nie wiedział dokładnie, gdzie jest, a nie chciał pytać obcych nie będąc pewnym przyjęcia.

Młodzież z jego stron ciągnęła do Czarnieck gromadą. Ci, którzy mieli konie, wysforowali się naprzód pod dowództwem Demka, większość jednakże szła pieszo z Pietrkiem Orłowskim.

Kiedy Kuba wychodził z Podwysokiego, wydawało mu się, że nie będzie trudno iść za nimi niepostrzeżenie, a przy tym nie tracić ich z oczu. Teraz okazało się to zadaniem niełatwym.

Nie mógł na polu przybliżyć się zbyt blisko, bo by go dostrzegli. Gdy zaś weszli w las, to zanim doszedł do pierwszych drzew, oni już znikali w gęstwinie. Tam, gdzie leżał jeszcze śnieg, pozostawiali za sobą ślady, lecz śnieg zachował się już tylko gdzieś tam.

Jeszcze trudniej było z noclegiem. Pierwszą noc spędzili w wiosce nad Wieprzem, niektórzy po chałupach i stodołach, inni przy ognisku.

Kubie udało się wślizgnąć do jakiejś obory, gdzie w kącie leżała słoma. Było mu tam ciepło i przytulnie

aż za przytulnie, bał się bowiem przespać chwilę, kiedy inni wyjdą z wioski. Całą noc walczył więc ze snem, pozwalając sobie tylko na krótkie chwile drzemki. Toteż, gdy wyszedł z obory o pierwszym brzasku, czuł się jeszcze bardziej zmęczony niż poprzedniego wieczoru.

Złapał się na tym, że myśli o matce. Co też ona robi, czy śpi, czy może czuwa i martwi się o niego?

Ostatniego wieczoru przed wyjściem z domu Kuba przyznał się Krzychowi, co zamierza zrobić. Kazał mu przysiąc uroczyście, że zachowa tajemnicę i dopiero rano wyzna ją matce. Wiedział, że gdy nie wróci na obiad, matka bać się będzie, czy mu się coś nie przytrafiło na polowaniu. Niech matka wie, że poszedł za innymi do Czarnieckiego.

Chciałby móc jej powiedzieć: „mamo, nie bój się o mnie, ja wrócę...”.

Druga noc wypadła w lesie. Ta była gorsza niż pierwsza. Chłopcy palili ogniska na porębie, lecz Kuba nie zbliżał się do nich, więc było mu zimno. Usiadł na wilgotnym pniu, skulił się i na pół czuwając, a na pół drzemiąc doczekał się ranka. Dokuczało mu zimno w nogi, bo buty przemokły mu w błocie i kałużach. Poparzona ręka chwilami bardzo bolała, noga też.

Najgorsze było to, że nie wiedział, jak długo wypadnie jeszcze iść. Pierwszego dnia zjadł trzy jaja, drugiego też trzy. Na trzeci dzień, choć głód bardzo mu doskwierał, postanowił zjeść tylko dwa, żeby coś zostało. Jednakże pod wieczór nie wytrzymał i zjadł jeszcze trzecie.

Gromada, która szła rano dość powoli, od południa przyśpieszyła kroku. Kuba opadł z sił z braku dostatecznej strawy, a ponieważ nie jadł po drodze nic ciepłego i pił tylko zimną wodę, więc rozboleł go brzuch, a kiszki się zbuntowały, co jeszcze bardziej go osłabiło.

Nie wiedział, że powstańcy tymczasem napotkali miejscowego chłopaka, ten zaś prowadził ich prosto do miejsca, gdzie rozłożył się ze swoim wojskiem na nocleg pan Czarniecki.

Wlókł się więc Kuba kulejąc, a tamci zamiast zatrzymać się i rozłożyć ogniska na noc, śpieszyli naprzód jak konie, kiedy zwietrzą własną stajnię.

Wtem Kuba dojrzał światła przebłyskujące pośród pni i usłyszał okrzyki. Nie wiedział, co znaczy ta wrzawa, wszelako dźwięczała w nich radość, nie strach.

Wyszedł śladem innych na skraj szerokiej polany. Dojrzał ogniska i dokoła nich uwijających się ludzi, a za nimi kilka namiotów.

Kuba szedł dalej jak w malignie, potykając się o korzenie i wykroty. Nie zważał już, czy ktoś go dojrzy i pozna, nie zważał na nic, jeno szedł, ostatkiem przytomności pilnując się, żeby nie upaść.

Przyszedł przed największy namiot w chwili, gdy Pietrek Orłowski zdając raport stał wyprężony przed brodatym mężem, który siedział za rozstawionym stołem polowym z rozłożoną na nim mapą. Obok stał żołnierz z zapaloną pochodnią i świecił nią owemu mężowi.

Kuba domyślił się, że to sam Czarniecki, najpierwszy żołnierz i wódz, wódz nje samych panów i szlachty, nie cudzoziemskich zaciężnych regimentów, nie oddziałów tego lub owego możnowładcy ani nawet wojsk królewskich, lecz całego narodu, który coraz tłumniej oddawał się pod jego rozkazy, nie tylko uniwersalami królewskimi, ale i sercem własnym wezwany.

Kuba nie patrzył na Pietrka, nie patrzył na stojące za nim szeregi powstańców widział jedynie Czarnieckiego. „Nazbyt okrutny czasem bywa”, przypomniały mu się słowa ojca i ogarnął go lęk.

Pan kasztelan kijowski siedział z rękami na stole wspartymi. Rękawy dla wygody zakasał po łokcie. Srebrnymi pasmami przetykana broda zwisała mu na pierś pod cienkim, długim nosem, nad którym wznosiło się niepomierne wysokie czoło. Ciemne jego oczy spoglądały wesoło, a zarazem

badawczo na młodego powstańca. Widać było, że raduje się junackiej postaci młodzieńca i pragnie go sobie zapamiętać, aby móc go rozpoznać pośród wielu innych.

Kuba sam nie zauważył, kiedy to się stało, że posuwając się z wolna, krok za krokiem, stanął obok Pietrka przyciągany dziwną siłą, bijącą od starego mężczyzny.

Czarnecki dostrzegł go i przeniósł wzrok na chwilę z powstańca na stojącego obok wyrostka. Nie przerywał jednak Pietrkowi, i owszem, zadał mu jeszcze kilka pytań, na które tamten odpowiedział. Dopiero wyczerpawszy z nim sprawy, które pragnął sobie wyjaśnić, spytał wskazując Kubę:

A to co za pacholik, czyś ty go przyprowadził? Pietrek, nie mniej przejęty niż Kuba, dojrzał go dopiero teraz.

Kuba! -- zakrzyknął nie mogąc się pohamować - a ty skądś się tu wziął? Czarnecki roześmiał się szeroko i rzekł:

Guldynkę widzę masz wcale grzeczną, jeno postawą nie możesz się jeszcze popisać i coś mi na to wygląda, że niezbyt wiele lat minęło, odkąd przestałeś z koszulą z zębach hasać.

Kuba tak się zaczerwienił, że aż się Pietrowi żal się zrobiło. Przypomniawszy sobie pytanie Czarnieckiego, na które nie odpowiedział. Pietrek odparł:

- Melduje te nie ja przyprowadziłem go tutaj ani w spisie nie figuruje.

Jako się zwiesz? spytał Czarnecki

Kuba Muratowicz. Szmer poszedł po powstańcach, znali go bowiem jako Harbarasza. Nie śmieli wszelako mieszać się do rozmowy.

- Muratowicz zastanawia się Czarnecki czekajże, pokazywano mi za moich młodych lat niejakiego Stefana Muratowicza, starego Ormianina ze Lwowa, który do Persji od Imci króla Zygmunta trzeciego był wysłany po zakupy i tam czci naszych królów dzielnie na dworze szacha bronił. Czy to może masz krewny?

- To był mój pradziad - odparł Kuba, który przestał się bać.

Proszę proszę, to miałeś, jak widzę, zacnych antenatów. A twój ojciec co robi?

- Płatnerzem jest. Wpierw pracował we Lwowie. potem w Skierbieszowie. My tam mieszkamy. Kiedy Szwedzi wysadzili fortalicję skierbieszowską ojca we zwano do Zamościa, do tamtejszego arenału.

Kuba dziwił się sam sobie, że wszelki strach go opuścił i potrafi odpowiadać tak śmiało Czarnieckiemu jakby to była dla niego rzecz zwyczajna.

Teraz powiedz mi, po co tu przyszedłeś z żołnierzami, skoro ciebie nie ma na liście. Chciałeś i ty się zaciągnąć, tak? — pytał Czarnecki dalej.

Kuba kiwnął głową.

Jest was w Skierbieszowie więcej takich chłopaków, co tęsknią do wojaczki?

Jest nas cały oddział, razem jedenastu. . Czarniecki spojrzał ubawionym wzrokiem na Pietrka i rzekł:

Opowiedz mi o nich, co to za jedni? Dzielne chłopaki, choć szczeniaki jeszcze

odparł Pietrek. Przeważnie z tamtejszych chłopów. Mieliśmy z nich pomoc nie jeden raz. Wykryli mapę lochów od Zamczyska do lasu, przez co udało się wyprowadzić załogę, kiedy Szwedzi zajmowali fortalicję. Znam ich wszystkich, wasza miłość. Oni naprawdę uważają się jakby za oddziałek żołnierzy. Każdy ma swoje przezwisko, a ten to ich dowódca.

No, no, to i ty masz przezwisko? Kuba znów kiwnął głową.

Jakie imionisko ci dali? dopytywał się Czarniecki coraz bardziej ubawiony.

Zdziwił się, że odpowiedź nie przychodzi. Kuba zaciął się i ani rusz nie mógł tego słowa wypowiedzieć. Jakby mu z oczu bielmo spadło w tej chwili. On „Hetman”! W obliczu Czarnieckiego... Czarniecki znowu zwrócił się do Pietrka:

Czemu chłopak nie chce mi się przyznać do swego przezwiska? Może go brzydko przewali: Kaczorek, albo Żróbek, albo śrucina?

Gdzie zaś, wasza miłość! Jego wołają Hetman. Uśmiech zniknął z twarzy Czarnieckiego. Popatrzył poważnie na Kubę, który rad byłby skryć się pod ziemię i powiedział:

Widzę, że w waszym wojsku awansuje się prędko. Dużo prędzej niż w prawdziwym wojsku. Mnie nie hetmanem nazywają, jeno po prostu: Trzepaczka. Ja bo hetmanem jeszcze nie jestem i bodaj póki żyję buławy hetmańskiej nie otrzymam, chyba że na śmiertelnym łożu. Zawsze powtarzam, żem ani z soli, ani z roli, jeno z tego, co mnie boli. Zapamiętaj to sobie na całe życie, że człowiek, godny hetmaństwa, od niego nie zaczyna. Nie rozumiesz tego jeszcze, boś dzieciak, to cię tłumaczy.

Czarniecki milczał chwilę, po czym dodał:

– Do szeregów cię nie wezmę, boś za młody i ojciec twój tego by mi nie pochwalił. Masz matkę? - Mam – wyjąkał Kuba zgnębiony.

Jest z ojcem w Zamościu?

Nie, koło Skierbieszowa z nami ją tato ostawił, w Zamościu kwatery nie ma dla nas.

Widzę, że masz i rodzeństwo. Więc wracaj do nich. Kiedy ci lat przybędzie, wówczas jeśli żyć będę, tedy cię do wojska przyjmę. Teraz wracaj i pomagaj matce. Tylko czekajże, jak ty wrócisz? Do Skierbieszowa kawał drogi, a wyglądasz okrutnie wymizerowany. Jadł coś? — spytał Pietrka.

On nie szedł z nami, widać się krył powiedział Pietrek.

- Zmiłujże się, pewno głodem przymierał! Dajcież mu jeść! Potem niech śpi. Podwieziemy go jutro kawałek, postarajcie mu się o jakiego szłapaka albo o miejsce na wozie. Jak będzie bliżej Skierbieszowa i wypocznie, tedy pójdzie dalej sam do domu.

Kiedy Kuba się obudził, z początku nie wiedział, gdzie jest. Po chwili zrozumiał, że leży na wozie, a wóz toczy się zwolna, chwiejąc się na boki, potykając na wybojach, to znów chlupocząc kołami w błocie. Okryto go futrem, było mu ciepło. Zamknął oczy i drzemał dalej.

Obudził się znowu. Teraz słońce świeciło mu w oczy.

Dźwignął się i usiadł. Przed sobą miał plecy odzianego w kozuch i baranią czapę woźnicy.

Koń szedł stępą drogą leśną, przed wozem szli piesi.

Jedni byli w kozuszkach, inni w serdakach baranich wdzianych na siermięgi, czapy mieli różne, wysokie, płaskie, z nausznikami, jak się zdarzyło. Nie wszyscy szli w butach, byli i tacy, co mimo chłodu i błota mieli na nogach jeno łapcie z łyka, które przytrzymały rzemyki okręcone dookoła łydek odzianych w płócienne portki. Ale każdy z nich miał broń palną. Kuba obejrzał się za siebie i ujrzał dalsze wozy. Wyjechali z lasu i posuwali się dalej jego skrajem. Teraz widok stał się szerszy.

Kuba zobaczył, że z tyłu, za wozami, chwieją się w marszu i błyskają ostrza kos nastawione dziobami ku niebu. Przed piechotą zbrojną w muszkiety, która poprzedzała wozy, wił się drogą długi wąż konnicy, to wypełzając na pagóry, to opuszczając się w zagłębienia terenu.

Kuba wgramolił się na siedzenie umoszczone ze słomy na przodzie wozu. Woźnica uśmiechnął się do niego i zapytał:

- Obudziłeś się? Takeś spał, jakbyś z tydzień oka nie zmrzył. Ale ci się gęba rozwarła, dobrze że much jeszcze nie ma. Gdzie my jesteśmy?

spytał Kuba. Szczebrzeszyn już za nami, Bodaczów też, lasamiśmy je wyminęli. Szczebrzeszyn ponoć spalony całkiem. Jużeśmy po drugiej stronie Wieprza.

Co to tak grzmi i grzmi przed nami?

Nie wiesz? Toć to działa pod Zamościem wałą. Zdumiał się Kuba. Chłop mówił dalej:

Tyś spał, a ludzie się bili. Rano potyczka była, pan Czarniecki wysłał podjazd ku wsi, gdzie sporo

Szwedów na noc się rozłożyło. Nasi ich rozbili i języka przywiedli.

Dużo Szwedów rozbili?

Więcej ich było niż naszych, jeno że oni wymarnowani i wygłodzeni, to siły nie mają.

Szwedzi wygłodzeni? Toż oni wszędzie grabią i nas objadają, a sami żrą, ile wlezie!

Może w waszych stronach, ale nie tu, gdzie pan Czarniecki zabiega im to z tyłu, to z boku, czasem przed ich wojsko wyskoczy, a wszędzie szarpie, urywa, kąsa.

Chłop się zaśmiał i głową pokiwał z uznaniem.

– Szwedzi boją się rozejść szerzej i spyży dalej poszukać, bo gdzie ich się pokaże kilku, nasi na nich skoczą i zatłuką. Wojsko pana Czarnieckiego robi swoje, a my, chłopci, też. Jak kilku Szwedów dopadnie kupa naszych, choćby z pałkami czy widłami, to im pięć czy sześć muszkietów nie pomoże. A tu jeszcze błocko takie, że i nam trudno przejść, choć my i nasze konie tego. zwyczajni. Mało to Szwedom pogrzęzło wozów, a nawet armat...

Nie wiecie, czy sam król szwedzki jest pod Zamościem?

- A jest ponoć, jest. Czeka, jak mu się uda z tym szturmem i czy Zamość jego będzie, czy nie. O, słyszałeś? chłop wskazał batem przed siebie. Jak wałą prędko a cienko: bach, bach, bach, to szwedzkie armaty. A jak grubo: rum, rum, rum, to nasze, zamojskie. Zamość ma armaty wielkie okrutnie, a największa Smok się zwie. Jakbyś nią w niebo wycelował, to by miesiąc razem z Twardowskim z nieba zestrzeliła. Szkaradnie wielka armata...

To Zamość Szwedów nie wpuści, myślicie? Pewno, że nie. A tyś sam skąd tu się nalazł? Z Podwysokiego, to jest za Skierbieszowem. Ta strzelba twoja?

- Moja, dostałem od jednego chorążego. Piękna. Teraz do domu chcesz? Do domu.

· No to lepiej złaź z woza, jak wyjedziemy z tego lasu i idź, bo już cię bliżej nie podwieziemy, nam droga nie wypada tamtędy. Pod Zamość się nie podsuwaj, żeby cię Szwedy nie zagarnęły. Weź się bokiem, na Sitaniec i Udrycze. Jeno, że mil będzie stąd ze cztery albo i więcej, dziś na wieczór nie zajdziesz, aż jutro.

Las się skończył. Kuba zobaczył, że wojsko idące przed nim staje, najpierw konnica, potem piesi. Stał także wóz i inne za nim.

Od dwuszeregu żołnierzy oderwał się jeden i ślizgając się w lepkim błocie biegł do tyłu, ku wozom.

Kuba poznał Pietrka i uradował się okrutnie. Potem krew uderzyła mu do policzków i zapiekł go wstyd, gdy przypomniał sobie, jak wczoraj stali obaj przed Stefanem Czarnieckim.

Pietrek podszedł do woza i dobywszy z sakwy pół bochenka chleba z kawałem pieczonego mięsa, powiedział:

Wiesz ty, kto ci tę spyżę przysłał? Sam pan Czarniecki! O wszystkim pamięta, nie darmo go ojcem żołnierze nazywają. Kazał mnie zawołać i powiedział, żeby ci dali jedzenie na drogę. A mnie nakazał wyprawić cię do domu. Ponoć mamy teraz skrócić w prawo i znów zapaść w las, to ty już zleż wtedy z woza i pójdź het przed siebie. Jeno nie nocuj w lesie sam jeden. Lepiej, gdzie można, przebieraj się polami. Jeżeli Sitaniec nie zgorzał, to dopytaj się tam o Majkutów. Powiedz, że ich pozdrawiam i proszę, żeby cię przenocowali. No, trzymaj się, Hetman, pozdrów wszystkich w Podwysokim i na Majdanie!

- Ja nie jestem Hetmanem powiedział Kuba nie patrząc na Pietrka.

ROZDZIAŁ XXII

ZACZYNA SIĘ NOWE ŻYCIE

Kuba wrócił szczęśliwie na Podwysokie. Szły teraz jedne po drugich dni zwyczajne, bez bitw, bez wypraw lochami, bez strzałów i pożarów.

Dębowe Tarcze porzuciły swe imioniska. Stało się to jakoś samo z siebie, po prostu coraz częściej zaczęli nazywać się wzajemnie po imieniu. Wreszcie doszło do tego, że jeśli który z nich zwrócił się do drugiego po przezwisku, to jeno dla żartu i obaj zaczęli się śmiać.

W ogóle było jednak ludziom nie do śmiechu w tych czasach. Brakło im wszystkiego, co potrzebne do życia, a tu jeszcze pogorzelnicy wyciągali ręce o wsparcie dla siebie i wygłodniałych, obdartych dzieci.

Wojna przewaliwszy się tędy odeszła jak burza, wszelako pomruki z dala nadchodziły wciąż, jako odległe grzmoty.

Najpierw pojawiła się z powrotem pani Stara. Pojechała była do Zamościa przed samym oblężeniem, wezwana do pani Mokosiejowej, która ciężko zaniemogła.

Wróciwszy z Zamościa Baczyńska nie zaraz zdołała wybrać się na Podwysokie, stało się to dopiero po trzech dniach. Podjechała wózką przed ganek właśnie w tej chwili, gdy pani Anna usłyszawszy o jej powrocie zbierała się iść do niej na Sady, aby dowiedzieć się o męża.

Pani Paulina domyślała się jej niepokoju, więc skoro tylko przywitała się z Muratowiczową i z młodymi, powiedziała:

- Imć pan Seweryn kłania się jejmości i przysłał przeze mnie wiadomość, że jest zdrow, czego i wam wszystkim życzy. Mam tu od niego list, chciałam go zaraz przysłać, jeno posłaniec się nie trafiał i sturbowana byłam o naszego pana, bo on niedawno po chorobie, a przejął się okrutnie śmiercią pani.

To pani Mokosiejowa zmarła? — zakrzyknęła Maruszka.

Zmarła, w najgorszą kanonadę życie zakończyła. Lekarze do końca się nie wyznali, co jej było. Pan Mokosiej trapi się, czemu do żony nie pojechał, ale mu tłumaczę, że za słaby jeszcze był, a nic by nie poradził na chorobę. Nie wiem nawet, czy by pani Mokosiejowa potrafiła się była ucieszyć jego przyjazdem, bo ostatnimi czasy całkiem odeszła myślami od męża i dzieci. Dzieci biedne nie miały co zgotować sobie na obiad, a ona jakby tego nie widziała, wciąż tylko dewocje odprawiała na złotym różańcu perłami sadzonym, w czym jej przyjaciółki sekundowały.

Rozmnożyła się w naszych czasach taka pobożność pomyłona, co obowiązki zaniedbuje – wtrąciła pani Anna. – A przecież dewocje bez czynów miłości bliźniego to jest nieprawdziwe chrześcijaństwo.

Pani Mokosiejowej winić nie sposób, bo jej się ze strachu w głowie pomieszało, że ludzi jakby nie poznawała odrzekła pani Paulina. - Najgorzej mi było żal Biejatki. Wypłakiwało biedactwo oczy ze zmartwienia nad matką, a ta ani na nią spojrzała. Tozio mało się przejmował. On tylko na wielkich panów się zapatruje i wygląda, u czyjej kłamki się uwiesić. Ale ja tak gadam, a aśćka chciałabyś dowiedzieć się o mężu. A no, mieszka na Ormiańskiej ulicy, gdzie ponoć krewnych posiada i nawet spadek jakowyś odnalazł na niego przypadający. Powiadają, że w czasie oblężenia z taką fantazją

sobie poczynał przy armacie, jakby nie miał więcej niż trzydzieści lat, aż się ludzie dziwili. Mówił mi, jakem się z nim spotkała na pogrzebie nieboszczki Mokosiejowej, że skoro tylko wydacie za mąż Maruszkę, to ma nadzieję zabrać rodzinę do Zamościa. Nie wiedziałam, że waćpaństwo inaczej się teraz nazywacie. Pytałam o Szymona Harbarasza i dopytać się nie mogłam. Dopiero jak spotkałam męża jejmości, dowiedziałam się, że się zowie teraz Seweryn Muratowicz. Nie bardzo się wyznaję w tej zamianie, ale niech wam będzie na zdrowie.

Pani Anna poczęstowała gościa szklanką mleka i słoikiem miodu, przepraszając, że nie ma innego poczęstunku.

Musiło być strasznie, jak Szwedzi strzelali z dział na miasto i pociski pękały wszędzie powiedziała Asia. Ja to bym się bała okropnie. Waćpani się bała?

Pewno, że było strasznie. Ale po tym, co ludzie przeżyli w Skierbieszowie i na Zamczysku, jeszcze najgorzej w Zamościu nie było, bo Szwedzi do miasta nie weszli.

– Dużo było poległych?

Wszystkiego jedna świnia na rynku! Nie śmieście się, Krzychu z Asią, bo pod miastem ludzie okrutnie wycierpieli. Wszystko zgorzało dookoła, wsie i dwory król szwedzki popalić kazał ze złości, że samego Zamościa nie zdobył. Potem z wojskiem pociągnął dalej, a pan Czarniecki za nim.

Ojej, po co to te wojny i wojny, czy nie ma na nie sposobu? zawołała Asia.

Ja to bym sposób miała rzekła pani Stara jeno, że mnie nie posłuchają, choć sposób byłby wyśmienity i ręczę, że ani jedna wojna już by nie wybuchła jak świat długi i szeroki.

Jakiż to sposób? spytała Muratowiczowa ubawiona.

-- Całkiem prosty. Trzeba wszystkim mężczyznom na całym świecie odebrać prawo głosowania i wybierania posłów i królów, a dać je samym tylko kobietom. Na sejmikach kobiety, na sejmach kobiety. Kanclerze, marszałkowie, hetmani i jak się tam ci wszyscy dostojnicy nazywają - kobiety. Mężczyźni niech orzą i sieją, niech robią buty czy domy budują – co chcecie, byle nie dać im do ręki broni ani rządów.

- Ależ te kobiety by się zakrzyczały, zagadały, zakłóciły! zawołał śmiejąc się Kuba.

Co to szkodzi? odparła pani Stara. Niechby się toczyły nie wiedzieć jakie wojny na języki, byle te na broń sieczną czy palną ustały. A ręczę ci, że ustałyby zaraz, gdyby kobiety stanowiły o tym, czy ma być wojna, czy pokój.

To by nas wilki zjadły i niedźwiedzie rozszarpały, jakbyś nam waćpani odebrała broń na nie ozwał się Krzych.

Tak powiadasz? A ja ci mówię, zróbcie mnie królową, i niech mi się żaden mężczyzna do rządów nie wtrąca, a ręczę, że znajdę sposób na wilki i niedźwiedzie. Łatwiej bestiom dać radę niż ludziom.

Co to, to prawda powiedziała pani Anna i westchnęła. Jak ma Polska wojny uniknąć, kiedy inni na nią napadają.

Moja jejmość, pewno że rozbójnicy napadną zawsze, choćby powodu nie było i z tymi wojny uniknąć się nie da. Ale przyznaj waćpani, że nieraz i my bez winy nie jesteśmy. Czy koniecznie trzeba było na przykład wojować nam z Kozakami? To ludzie dzicy, prawda, ale oni do swobody przywykli i ją miłują. Chcąc ich skaptować, trzeba im było swobodę dać. A my nie! Magnatom o fortuny szło, nie o Polskę, więc gwałtem Kozaków do pańszczyzny wciągali. Mało to obietnic Kozakom się robiło, a nie dotrzymało? Że to naród okrutny, to i odwet bierze straszny.

Słusznie jejmość mówisz -- zgodziła się pani Anna. Nasi chłopci na Sicz uciekają też nie z miłości do Kozaków. Ale nie mówmy już o wojnie. Lepiej powiedz waćpani, co zamierzasz czynić. Jak się urządzisz teraz, kiedy pani Mokosiejowa zmarła, a dwór spalony?

Ja już się urządziłam --- odparła Baczyńska.

Tak prędko? Jakżeż to?

- Zajdźcie do mnie którego dnia, to zobaczycie.

Kiedy nawet nie wiemy, gdzie waćpani szukać powiedział Kuba na Sadach, czy w Skierbieszowie, czy jeszcze gdzie indziej po świecie.

Nie po świecie, jeno na naszej górze. Gdzieśmy byli, tam i jesteśmy. Przychodźcie, teraz nic więcej nie powiem, bo jadę już z powrotem, a waćpani przeczytaj spokojnie list.

W parę dni później. Muratowiczowa wybrała się do Skierbieszowa z Kubą, Asią i Krzychem.

Dął porywisty wiatr, gnał strzępiaste sine chmurki, które pełzły wciąż zmieniając kształty niespokojne. Wyżej prześwitywały nad nimi pod samym niebem gęste białe obłoki i płynęły wolno niby wzdęte żagle.

Przystanęli na skraju pola. Szukali dzwoniącego w górze skowronka, ale go nie znaleźli. Może dzwonił w obłokach?

Rozległy, pusty ugór ciągnął się po obu stronach drogi aż pod las. Daleko, w głębi, stary chłop orał wąski zagonek sochą zaprzęzoną w chudą krowinę. Reszta gruntów leżała odłogiem, zarosła chwastami i badyłami ostów. Innych lat o tej porze owe pola roiłyby się od ludzi, zagony kładłyby się obok siebie jak wstęgi to ciemniejące świeżą rolą, to zielone runią ozimin. Tu rozścięły się najżyźniejsze pola, równe, ku południowemu słońcu łagodnie nakłonione.

Zeszli nad łąki i skręcili w stronę Skierbieszowa. Za łąkami młyn u podnóża bryczówkowskiej góry milczał opuszczony, zamaryły. Nie widać było przed nim ani jednej furmanki na grobli, gdzie niegdyś wozy z ziarnem ustawiały się nieraz szeregiem w oczekiwaniu na swoją kolej.

Chciałbym pójść prosto do Łonia i Szafarskiego - powiedział Kuba.

- Przywitaj się wpierw z panią Starą, z dzierzawcą i z wrotnym odparła matka potem poszukasz chłopaków.

Przykro było patrzeć z bliska na wzgórze, na którym tak niedawno wznosił się piękny dwór otoczony ostrokołem. Teraz pozostały jeno zgliszczka. Dom, samborze, Gelazynka wszystko to zgorzało, tak samo budynki gospodarcze, z których pozostał jeno potężny śpichlerz murowany, szkarpami podparty, w którym umieszczono chwilowo z boku kilka ocalałych krów, wołów i koni, gdy obora i stajnia zgorzały.

Dopiero za zgliszczami dworu, pod lipami, przybysze z Podwysokiego znaleźli ślady życia mieszkańców. Ocalały dwie baszty stojące dalej od domu, Różana i Dziobata, oraz pomiędzy nimi kawałek ostrokołu. Wśród lip stały ule przeniesione z na poły wyrąbanego sadu, a przed nimi, w marcowym słońcu, siedzieli pan Mokosiej z Bolestraszyckim.

Uradowany rotmistrz zerwał się z ławy i podszedł żwawo ku nadchodzącym, zaś pan Achacy też powstał na powitanie pani Anny. Przypomniała mu się żona, więc ogarnęła go rzewność.

Gdy porozmawiali chwilę o nieboszczce, a Muratowiczowa miała przysiąc się na pogawędkę, dostrzegła o kilkadziesiąt kroków dalej panią Paulinę, która w towarzystwie wrotnego i Kasi, dziewczyny z folwarku, taka była zajęta urządzaniem ogródka, że nie spostrzegła nadejścia gości.

Pan Maciej przykucnął u skraju grządki i wbiwszy palik z przywiązany do niego sznurem w jednym rogu, odwijał teraz sznur z drugiego palika, aby wbić go na przeciwległym końcu grządki dla wyrównania jej brzegów. Kasia grabiła sąsiednią grządkę, zaś pani Stara na trzeciej znaczyła patykiem rowki pod siew.

Skoro wreszcie dostrzegła panią Annę, przywitawszy się serdecznie, Muratowiczowa ze Srokowskim też się sobie ucieszyli. Baczyńska objaśniała nie przerywając roboty:

Tutaj, widzisz jejmość, będzie marchew, obok buraki. Trzecią grządkę gotujemy pod ogórki, jeno na ogórki jeszcze za wcześnie, tymczasem między grządkami będzie rzodkiewka, którą się później wyrwie. Kapustę posadzimy za domem, ale na nią i na cebulę mamy jeszcze czas, także samo i na grochy. Ziółka pachnące i lecznicze będą tam wyżej, one lubią słońce tak jak ja. Będzie sobie używał rozkoszy kochany dzięgielek, i majeranek, i rumian, i macierzanka, i kolender, i koper do ogórków, i ślaz od kaszlu.

Sam warzywnik z apteczką jejmość szykujesz w tym roku?

Gdzie zaś! Wirydarzyk też musi być, bez wirydarzyka byłoby za smutno. Róże, które ocalały, wczoraj przesadzaliśmy i nowe już zaszczepiłam. Będzie kwitł rozmaryn z lawendą, obok lilie albańskie. Bratki, com je siała jesienią, tylko patrzeć, a zakwitną. Stanie i chłodniczek dla pana Mokosieja, jeno że samą fasolą pnącą obsadzony, bo ogień przysmalił wino i nie wiem, czy odbije. Pójdź jejmość za mną, to ci jeszcze coś ładnego pokażę.

Pani Stara zarumieniona powiodła Muratowiczową po świeżo wygracowanej ścieżynce i wskazując czerwone listki, które dobywały się spod ziemi, mówiła schylając się nad nimi:

- Piwonie wychodzą na świat boży, widzisz jejmość? A tu na rabatce będą tulipany rozkoszne. Patrząc, dwie już tutki zielone wysunęły. Ale najpierwsze będą narcyzy, zda mi się, że już czuję ich zapach. Przyślij które z dzieci za tydzień, to wam nazrywam.

Wyprostowała się, odgarnęła włosy z czoła i rzekła: Wiesz, jejmość, co mi się widzi? Że już czas byłby, abyśmy z tobą mówiły sobie po imieniu. Jam zapewne starsza nieco, dlatego pierwsza o tym mówię. Chyba że masz się za panią, bom ja przecie jeno pańska klucznica.

Roześmiały się obie i uściskały, po czym poszły ku mężczyznom.

Rotmistrz zerwał się, by ustąpić miejsca kobietom i poszli obaj z Kubą do baszty po drugą ławę. To mieszkacie wacpaństwo w baszcie? spytała Muratowiczowa.

W obu basztach odrzekła pani Stara. W Dziobatej imć pan Mokosiej ze Srokowskim, a nad nimi rotmistrz. Urządziliśmy mu izdebkę na górze w czatowni, bo nie miał się biedak gdzie podziać. We wsi Sady pełno skierbieszowiaków, pogorzalców.

To pan rotmistrz nie w Zamościu mieszka, jeno z powrotem w Skierbieszowie?

Do Zamościa dojeżdża, ale główną kwaterę ma w Skierbieszowie, skąd po całej okolicy zaciągni czyni odparł Mokosiej. - Od nas do Czarnieckiego poszło ich dużo, naród dzielny tu i bitny, ale z innych miejsc dookoła wciąż jeszcze rotmistrz werbuje. Jak się skończą werbunki, znów pewno zacznie jeździć za końmi dla wojska. Trudno o nie teraz bardzo, ale tym więcej trzeba zabiegać.

A ... ty, Paulino, nie boisz się sama w drugiej baszcie? spytała pani Anna, której trudno przychodziło jeszcze nazywanie Baczyńskiej po imieniu. Prawda, zapomniałam ci rzec, że panna Biejata wróciła do Skierbieszowa! zawołała pani Stara. Zaraz tu przyjdzie, jeno poszła do kur.

To ona teraz gospodarstwem się zajmuje? zdziwiła się Muratowiczowa. Dawniej tego nie bywało. - Rad jestem, że wzięła się do gospodarstwa - powiedział pan Achacy — i ona sobie nie krzywduje. Pani Stara ją tego uczy.

A Tozio?

Mokosiej machnął ręką i odparł:

Tozio niby się kształci przy Akademii, ale boję się, że z tej nauki niewiele będzie pożytku, bo z niego leń wierutny i w głowie ma przewrócone. Napisał do mnie głupi list, żebym się starał dla niego o protekcję do Łańcuta. Ktoś mu opowiedział, jakie to są u Lubomirskich wspaniałości, więc Tozio umyślił koniecznie dostać się na ich dwór. Mógłby pracować z pożytkiem, a pewno skończy się na tym, że będzie z niego jeden więcej kręciwąs jak był u nas Walenty, tyle jeno, że nie u małego dzierżawcy jak ja, tylko u jakiego magnata.

Prawda, jakoś nie widać pana Sikorskiego powiedziała pani Anna co się z nim stało?

To szczwany lis, kiedy idzie o własną wygodę. Nie wiem, gdzie się obraca, ale u nas teraz zanadto biedą zalatuje, żeby miał wrócić odparł pan Achacy.

To i lepiej, że nie wróci powiedziała pani Stara co się tyczy biedy, to nie narzekaj jegomość, bo gospodarstwo się dźwignie, po wojnie biskup pewno każe dwór odbudować i kto wie, czy nie murowany.

Teraz zaś, niech jeno się skończy wielki post, to i kiełbaska się znajdzie dla jegomości na stół wielkanocny. - No, a to jakimże sposobem? — zawołał pan Mokosiej, jakby mu nagle życia przybyło. Przecie te pludry wszystkie świnię mi wyrznęły.

- Nie wszystkie, mój jegomościu, nie wszystkie. Miarkując, co się święci, nie powiedziałam nic waszmości, żeby sprzeciwu nie było, ale jeszcze jesienią, jak tylko żołądźcie dojrzały, kazałam przepędzić dwa warchlaki i parę świnek na Bryczówkę i oddałam Kisielinskim w opiekę. Bo tam, widzi jegomość, więcej na uboczu, a na Suchodębiu w lesie pastwisko na żołądźkach przednie, bukwi też moc po lasach. Świnia jedna jest prośna, a z warchlaków to tak się ten większy upasł, że czego jak czego, ale skwarek waszmości nie zabraknie. Złota z aścki kobieta! wykrzyknął Bolestraszycki.

Ja to samo mówię w sercu od dawna bąknął Srokowski, który przechodził obok niosąc łopatę – jeno chwalić za głośno nie jest politycznie, bo to zarozumiałość w białogłowach rozbudza i z tej przyczyny później nad nas się wynoszą.

- O ho ho odparła pani Paulina, która słuch miała bystry a mężczyźni ponoć nigdy zarozumiali nie bywają! Kto chce, żeby kobieta za coś go miała, trzeba, żeby ją umiał miłym słówkiem pogłaskać, nie zaś tylko przygadywać, choćby ją w sercu złocił.

Rotmistrz musnął wąsa, Kuba zaś powiedział:

Mamo, ja teraz pójdę do Maćka i Staszka.

„Chomika” nie znalazł, podobno ojciec posłał go aż na Dolnik po skórę, bo skierbieszowscy garbarze tam chwilowo osiedli. Był tylko „Opiekun”, Staszek Szafarski.

Słuchaj, Staszek powiedział Kuba jest taka sprawa. Klimczukowa, ta wdowa, matka Demka, leży chora, moja matka chodziła jej stawiać bańki. Podobno tam nie mają nic, ani skrawka pola czym obsiać, ani komu robić, czy drzewa zwieźć, no nic! Kisielińscy raz jej drew narąbali, ale tego mało, trzeba coś wymyślić. Demko do wojska poszedł na ochotnika, a jego matka miałaby z młodszymi dziećmi z głodu umierać pośród nas? Może poprosić pana Mokosieja o ziarno? Ty pewno wiesz, jak oni stoją z ziarnem w folwarku.

Pan Mokosiej sam ma go za mało i nie na wszystkie pola mu starczy - odparł Staszek. Zastanawiali się razem, co zrobić.

- Przychodzi mi jeden pomysł do głowy – powiedział Kuba.

Co za pomysł?

Jeździłem kiedyś z rotmistrzem Bolestraszyckim do Grabowca, pamiętasz? Po drodze widziałem gospodarkę, powiadam ci, to była gospodarka!

Kuba zaczął wychwalać przed Staszkiem folwark pana Ratajskiego.

Może by on czegoś udzielił dla Klimczukowej? mówił. Jeno że to człowiek obcy, nie zna jej, ani nas, nie wiadomo, czy uwierzy i czy będzie chciał dać. też, czy ma coś do dania.

Nie wiadomo

A jeżeli da, to jak dostarczymy ziarno do Majdanu? Strasznie grabią po drogach, a ziarno tyle teraz warte co dukaty.

- Trzeba by zwołać innych chłopaków i przenieść lasami powiedział Staszek. Trudna sprawa z tym ziarnem.

Małośmy to trudnych rzeczy zrobili? zawołał Kuba. A lochy? A muszkiety dla powstańców? Czy tylko w czasie wojny potrafimy zrobić coś trudnego? Umówili się, że zwołają naradę, jak bywało za dawnych czasów i wtedy postanowią, w jaki sposób ulżyć matce Demka, a także pomóc w polu rodzinie Pietrka Orłowskiego i innym.

Gdy pani Anna powracała z dziećmi na Podwysokie, Asia niespodziewanie powiedziała do matki:

- Mamo, ja myślę, że pani Stara wyjdzie za mąż za pana rotmistrza.

Baczyńska za Bolestraszyckiego? Skądżeci przyszło do głowy? Rotmistrz stary, ona też nie młoda. zastanawiała się pani Anna. Jakby miała iść za mąż, to już chyba prędzej za Srokowskiego, ponoć niektórzy im to nawet wróżyli.

A ja wróżę, że wyda się za pana rotmistrza. Kto ci mówił?

Nikt. Jeno widziałam dziś, jak popatrzyli na siebie. Wtedy, co to pan rotmistrz powiedział do pani Starej: „Złota z aśki kobieta”

KONIEC OPowieŚCI

Czarniecki odniósł wspaniałe zwycięstwo nad Szwedami pod Warką, a gdy wojska polskie otoczyły króla szwedzkiego i jego armię w widłach pomiędzy Wisłą i Sanem, wydawało się, że lada dzień nastąpi koniec wojny.

Niestety Karolowi Gustawowi udało się wymknąć z okrążenia i ująć na północ wraz z wojskiem, przez co wojna przeciągnęła się jeszcze. Różne były jej koleje, zanim wreszcie Szwedzi zostali ostatecznie pobici. Jednakże Skierbieszów już ich nie oglądał.

Tymczasem król Jan Kazimierz wobec zgromadzonych senatorów, duchowieństwa i ludu oddał we Lwowie cały naród w opiekę Matce Boskiej jako Królowej Polski, a w uroczystym ślubowaniu obiecał, że skoro powróci pokój, wówczas król wraz ze wszystkimi stanami postara się o to, aby chłopów uwolnić od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków.

Piękne to ślubowanie mówili wieśniacy oby jeno zostało dotrzymane!

A co się działo tymczasem z Kubą i jego rodziną? Skoro hetmaństwo Kuby się skończyło, wypada właściwie przerwać tę opowieść, nazywa się ona bowiem „Hetman Kuba”. Jednakże przedtem trzeba powiedzieć pokrótce, co się z nim stało, bo przykro byłoby nic nie wiedzieć o jego dalszych losach.

Otóż Kuba pozostał jeszcze przez pewien czas w Skierbieszowie, chociaż widać było coraz wyraźniej, że nie tylko opuści niebawem te strony, ale może nawet zawędruje bardzo daleko. W położeniu jego rodziny zaszły bowiem duże zmiany.

Kiedy siostry Seweryna Muratowicza odnalazły brata, podzieliły się z nim schedą po ojcu. Rodzinie Kuby przypadła połowa domu przy ulicy Ormiańskiej, co zapewniało mieszkanie, ojcu miejsce na warsztat, a dzieciom naukę w Zamościu.

Jednocześnie matka otrzymała także należne jej dziedzictwo. Gdy Demetriusz Chodorowski – późniejszy brat Leon wstępował do klasztoru, nie oddał franciszkanom wszystkiego, lecz swój folwark w pobliżu Radecznicy położony zapisał córce, gdyby się kiedyś odnalazła. Nie był to wielki majątek, jednakże mógł stanowić dla wszystkich znaczną pomoc.

Muratowicz nie zamierzał porzucić swego fachu, który zapewniał rodzinie utrzymanie niezależnie od takich czy innych obrotów fortuny. Postanowili oboje z żoną chwilowo pozostawić ziemię nadal w dzierżawie, lecz gdy tylko nastaną spokojniejsze czasy – sprzedać ją, by za uzyskaną gotówkę zapewnić lepszą przyszłość dzieciom.

Kiedy Pietrek Orłowski wróci z wojny, będą mogli oboje z Maruszką doprowadzić do ładu zniszczone przez ostatnie lata gospodarstwo na Podwysokim i powiększyć je dokupując trochę ziemi. Asia wyuczy się w Zamościu krawiectwa i będzie miała zapewniony posag. Krzych, jeśli zechce, wykształci się na złotnika i otrzyma kiedyś własną pracownię ze sklepem przy ulicy Ormiańskiej. Jeśli wybierze inny zawód, będzie mógł wyuczyć się go.

A Kuba?

O, Kuba miał szerokie plany. Jak wiadomo, chciał zostać budowniczym i to nie byle jakim. Czemuż to, gdy kanclerz Zamojski postanowił wznieść nowe, piękne miasto, kazał obmyślać je i budować muratorowi aż z Włoch rodem? Czyż on, Kuba, nie mógłby nauczyć się tej sztuki najpierw w Krakowie, a później może za granicą, chociażby we Włoszech, Niemczech lub Francji? Płatnerz

Harbarasz z małej fortalicji skierbieszowskiej nie mógł marzyć o czymś podobnym dla swego syna, ale Seweryn Muratowicz z Zamościa będzie miał inne możliwości. Byle tylko wojna się skończyła.

Póki pan Seweryn służył wojskowo przy twierdzy zamojskiej, póki wojna nie odeszła na dobre z tych stron, a Maruszka nie połączyła się z Pietrkiem, Muratowiczowie woleli, aby matka z dziećmi pozostała w Podwysokim.

Dla Kuby nie był to czas stracony. Dotychczas nigdy jeszcze nie brał on udziału w życiu wsi. Ponieważ rodzice nauczyli go czytać i pisać, a dzieciństwo spędził we Lwowie, wydawało mu się, że jest mądrzejszy od swoich wiejskich towarzyszy i należy mu się przewodnictwo.

Teraz jednak przekonał się, że oni też mają swoją wiedzę i umieją robić różne rzeczy o wiele lepiej niż Kuba, tylko że za czasów wojennych nie wychodziło to na jaw jak wtedy, gdy wypadło powrócić do zwykłego życia.

Zaczął się od wyprawy do pana Ratajskiego po ziarno dla Klimczukowej. Pan Ratajski okazał się człowiekiem nie tylko zapobiegliwym, lecz również „podzielnym”, jak nazywano tych, którzy chętnie dzielą się z innymi. Chłopcy przynieśli chyłkiem lasami miarkę pszenicy, miarkę owsa i miarkę gryki. Nie było tego wiele, lecz z każdego ziarnka miał się urodzić przynajmniej jeden pełny kłos.

Chodziło teraz o to, by zagony Klimczuków dobrze obrobić i posiać ziarno ani za gęsto, ani za rzadko, przy tym nie za głęboko, gdyż byłoby mu ciężko wzejść, ale też nie za płytko, aby go nie splukały ulewy i nie wydziobały wrony.

Tu pokazało się od razu, że nie Kuba nadaje się do sprawowania komendy, lecz ci chłopcy, którzy lepiej znają się na robotach polnych. Z początku było mu przykro, że w czymś przyjaciele są od niego mądrzejsi. Ale przypomniał sobie słowa Czarnieckiego i zamiast hetmanić, starał się uczyć tego, na czym się nie znał. Że zaś był pojętny i zręczny, więc nie szło mu z tym najgorzej.

Klimczukowa sławiła na wszystkie strony swoich „wzbawicieli”, zaczęto więc z różnych stron prosić ich o pomoc. Najpierw zajęli się rodziną Jaworskich, którzy dali Muratowiczom mieszkanie. Gdy Bartosz Jaworski poszedł do wojska, została jego młoda żona z dzieckiem przy piersi. Wprawdzie miała ziarno na obsianie swego półlanka, ale nie mogła sama uporać się z tą robotą.

Rąk do pracy brakowało w wielu rodzinach, a także ziarna siewnego i sprzężaju, toteż choć ziemi pod uprawę przypadało na każdego więcej niż przed wojną, jednak chłopskie gospodarstwa kurczyły się i zagrażał głód.

Jeśli okolice Skierbieszowa uniknęły tej klęski, wiele było w tym zasługi tamtejszych wyrostków. Za przykładem Kuby i jego przyjaciół coraz więcej chłopaków i dziewcząt zabrało się do pomagania tym rodzinom, które nie mogły same sobie poradzić albo wskutek wojennego zniszczenia, albo wskutek tego, że najzdatniejsi do pracy nie wrócili jeszcze z wojny lub polegli w boju.

Trafiali się tacy, których to wszystko nic nie obchodziło, ale tych wytykano palcami i szydzono z nich, tak że niektórzy przyłączyli się później do wspólnej pracy z samego wstydu.

Praca zaś była nie tylko w polu, lecz także przy murarce i ciesielce. Ruszyła z powrotem cegielnia w tym samym lesie, przez który niegdyś mieszkańcy Majdanu i Podwysokiego biegli na pomoc powstańcom. Teraz suszyły się tam znów szeregi cegieł, zaś obok nich miski i garnki czekały na

wypalenie. Na placie budowy ściągano kłocze, zaś ułożone na wysokich kozłach piłowali tracze na deski.

Skromnie, bo skromnie, ale każdy pogorzelec chciał skłecić sobie jakieś mieszkanie na zimę.

Pan Mokosiej oświadczył, że inwentarz ma przed nim samym pierwszeństwo, bo śpichlerz trzeba opróżnić na żniwa. Stawiano więc śpiesznie oborę, stajnię i chlew z kurnikiem.

Po Wielkanocy rotmistrz Bolestraszycki przywiózł z Zamościa wspaniałą nowinę: król z wielką armią przeszedł tamtędy, ciągnąc ze Lwowa pod Warszawę. Ludzie nabrali nadziei. Jeżeli nasi odbiją Szwedom stolicę, nastanie chyba koniec wojny!

W parę tygodni później specjalny posłaniec przyniósł pani Annie list z Zamościa. Muratowicz pisał:

„Anusiu miła moja i wy, dziatki kochane!

Pośpieszam donieść wam, że skoro świt ruszam ku Warszawie, wysłany w konwoju. Na pomoc armii, która usiłuje odebrać Szwedom stolicę, przeprowadzić najprzedniejsze działa z tutejszej twierdzy, osobliwie zaś Smoka onego, któremu żadne mury oprzeć się nie zdołają.

Oblężenie Warszawy przewleka się ponoć z braku ciężkich dział, pomimo że i żołnierze, i ciury obozowe, i lud stolicy cudów waleczności dokazują, byle nieprzyjaciela wyprzeć.

Był posłaniec królewski z listem do Imci pana Zamoyskiego z prośbą o nasze armaty, które pan Zamoyski najśpieszniej dostawić pragnie, co nie będzie rzeczą łatwą, bo działa to ciężkie szkaradnie, a trzeba je wieźć ostrożnie, aby nie uszkodzić po drodze.

Chciałem wpaść do Was i pożegnać, ale czas nagli. Pozostawiam dla Was u mojej ciotki Krzysztofowiczowej trochę grosiwa na Wasze potrzeby, poproście rotmistrza, to odbierze i przywiezie przy sposobności.

Jeśli nadarzy się okazja, to napiszę do Was spod Warszawy, tymczasem bożej opiece Was poleca wasz kochający mąż i ojciec Seweryn Muratowicz

Po przeczytaniu listu ojca Kuba nie umiał miejsca sobie znaleźć. Czemuż jego tam nie ma, czemuż on nie może prowadzić armat pod Warszawę, wdrapywać się na mury stolicy, wyganiać Szwedów, być bohaterem!

Chciał pędzić za ojcem i dogonić konwój. Ale przypomniał sobie swą wyprawę do Czarnieckiego, opanował się, zacisnął zęby i został.

Minęły sianokosy, zaś wiadomości od ojca jak nie było, tak nie było. Pani Anna i Maruszka wychudły obie i pomizerniały, nie wiadomo czy z racji przednówka, czy z niepokoju. Bo i od Pietrka nie nadchodziły wieści od czasu, gdy pan Czarniecki pociągnął z wojskiem pod Warszawę.

Skierbieszów zaczął gotować się na Kiliana. Wiadomo, nie spodziewano się takiego tłumnego odpustu i jarmarku jak za innych lat. Miasteczko nawet nie w jednej ćwierci odbudowane, nad plebanią zaledwie połowa dachu, w kościele zabrakło posągu świętego Kiliana i zamiast spalonego głównego ołtarza stół jeno z krzyżem stoi. Budynek rady miejskiej, łaźnia, ochrona dla dzieci, przytułek dla starców, szopa straży pożarnej spalone, a odbudowa ich nie jest nawet rozpoczęta, bo ludzie stawiają najpierw chaty.

Wszelako jakieś furmanki przyciągną i kramy na rynku wyrosną, bo póki Skierbieszów Skierbieszowem, jarmark w dniu ósmego lipca nie zaginie. Najstarsi ludzie nie pamiętają, odkąd się zaczął, a praprawnuki i ich praprawnuki będą go jeszcze oglądać rok w rok. Z Muratowiczów nikt się nie wybierał na Kiliana, nie było ani ochoty, ani pieniędzy na zbycie.

W wilię tego dnia wieczorem, gdy matka podała wieczerzę, nagle podjechał wózek i wysiadł z niego ojciec. Miał rękę na temblaku, był wymizerowany, ale wesół i okrutnie rad, że znowu jest w domu z rodziną.

Okazało się, że został lekko raniony przy ustawianiu Smoka na szafkach, a teraz uwolniono go na miesiąc do domu.

Najważniejsze, to że nie ma już Szwedów w Warszawie powiedział Muratowicz. Szwedzkich generałów wzięto do niewoli i właśnie wieźliśmy ich do Zamościa, gdzie mają być uwięzieni w twierdzy. Ja jeden zboczyłem po drodze, żeby prędzej być w domu. Ciebie, Maruszek, Pietrek prosi, że jeśliś się nie rozmyśliła, to daj zaraz na zapowiedzi, bo on spodziewa się wnet urlopu.

Nazajutrz ksiądz Pieszko ogłosił z ambony podwójne zapowiedzi: jedno Piotra Orłowskiego z Marią Muratowiczówną, drugie --- ku zdumieniu wszystkich oprócz Asi Rafała Bolestraszyckiego z Pauliną z domu Dubaniowską, primo voto Baczyńską.

OBJAŚNIENIA TRUDNIEJSZYCH WYRAZÓW I ZNAKÓW

abominacja - wstręt, obrzydzenie.

ad rem - do rzeczy, do właściwej treści (łac.).

alias – czyli, inaczej (łac.).

alkierz pokoik boczny, narożny, albo alkowa.

alteracja – wzburzenie, niepokój.

Antałek - beczułka, baryłka na wino lub piwo.

Antenat - przodek.

ante portas - dosłownie: przed bramami (łac.), oznacza bliskość niebezpieczeństwa.

Arendarz - dzierżawca karczmy lub młyna.

arkana – tajemne nauki, nazawodne sposoby sekretne.

arx — zameczek (łac.).

barć - ul pierwotny w wydrążonym pniu drzewa leśnego.

Berdysz - używany głównie w dawnej Rosji wielki topór bojowy o szerokim, zakrzywionym ostrzu i długim drzewcu.

biedka – dwukołowy wózek jednokonny.

bojnica - baszta.

Bresze - szczeka (z ruska).

bróg – słupy przenośne z umocowanym między nimi daszkiem dla ochrony zboża, słomy lub siana przed niepogodą.

Bukiew - orzeszek bukowy.

bułat, szabla bułatowa - szeroka szabla turecka.

calamitas — (czytaj „kalamitas” łac.) — klęska.

chłodniczek - altana.

choleryzować – złościć się.

Chudoba - inwentarz żywy.

Cyzelować - obrabiać i rzeźbić przedmioty artystyczne po ich odlaniu w metalu.

czatownia - wieża lub pomieszczenie w wyższej części budynku, przeznaczone dla straży mającej wypatrywać wroga.

czekan - dawniej młotek do rozbijania zbroi przeciwnika albo rodzaj siekierki o kolcu zagiętym do dołu dla ściągania jeźdźca z konia. Później taki młotek połączony z siekierką stanowił nieraz rękojeść laski.

czynszowy chłop - w ustroju feudalnym chłop osadzony na roli przez kolonizację lub jego potomek, ponoszący na rzecz pana stałe świadczenia w pieniądzu albo w naturze, jednakże cieszący się większą swobodą niż chłop pańszczyźniany.

debra- jar, wawóz.

delektować się - lubować się, rozkoszować.

deliberacja - rozważanie, rozstrząsanie, zastanawianie się,

despekt - zniewaga, wstyd.

dictum — (czytaj: „diktum”) powiedzenie (łac.).

dragonia – piechota używająca koni do przemarszu, później kawaleria lżejsza od wojsk pancernych.

Dyferencja - różnica, spór, zatarg.

Dyskurs - przemowa, rozmowa.

dzianet — piękny, dzielny koń wierzchowy. egza speracja - wielkie rozdrażnienie, rozpacz.

ekspensa- wydatki, koszty.

eksperienca - doświadczenie.

elationes maris - spiętrzone bałwany morskie (łacina).

erygować – ustanawiać, wznosić.

exemplum · przykład (łac).

exitus - wyjście (łac).

Festyn - uroczysta zabawa, uczta.

formaliter - formalnie (łac).
Fortalicja - strażnica, mała twierdza.
Fraucymer - damy dworskie lub ich pokoje.
fulgur piorun (łac).
futor - niewielki, ustronny folwarczek.
gęśle - stary, słowiański instrument strunowy.
giezło - koszula.
gołota szlachecka - uboga szlachta nie mająca ziemi ani poddanych, utrzymująca się przeważnie ze służby w wojsku lub po dworach.
grasant - rabuś włóczący się w poszukiwaniu grabieży.
guldynka – rodzaj lekkiej dawnej strzelby.
hakownica – ciężka, długa strzelba zaopatrzona z przodu w hak, którym zaczepiano ją o mur lub o płot przy strzelaniu.
Hetman - tytuł najwyższych dowódców wojskowych w dawnej Polsce.
Hładyszka - garnczek gliniany, służący najczęściej do mleka lub śmietany.
imienie - duża posiadłość ziemska.
Imionisko - przezwisko.
Indygenat - przyznanie szlachectwa polskiego.
Infamis - człowiek skazany na utratę czci.
Inkaust - atrament.
inkursja - najazd. intromisja wprowadzenie kogoś w posiadanie przysądzonej mu sumy lub posiadłości ziemskiej.
jasyr — niewola, szczególnie turecka lub tatarska.
języka dostać - zdobyć jeńca dla uzyskania wiadomości.
Kałamaszka - jednokonny wózek podróżny bez resorów i budy.
kałkan - okrągła tarcza wschodnia z prętów figowych oplecionych jedwabiem.
karawanbasza - kierownik karawany kupieckiej Bliskim Wschodzie.
Karmazyn - odcień szkarłatu, a w dawnej Polsce szlachcic starożytnego rodu, który miał prawo nosić żupan karmazynowej barwy.
kartel wojowniczy - rodzaj oficjalnej groźby i wyzwania, które szlachcic przysyłał przez woźnego swemu przeciwnikowi, a nieraz podawał także do wiadomości publicznej.
Kasztelan - wysoki dostojnik i członek senatu w dawnej Polsce, który miał pewne uprawnienia sądowe i doprowadzał pospolite ruszenie pod rozkazy wojewody.
Kirys - część broni płytowej osłaniająca tułów.
Kolaska - lekka, odkryta bryczka.
kolczuga - zbroja z plecionych kółek metalowych, składająca się z długiej koszuli, spodni i kaptura.
Kolety - rodzaj kołnierzy u kurtek dawnych kirasjerów, czyli ciężkiej jazdy w kirysach.
Koligat - szlachcic mający wielu krewnych i powinowatych z możliwych rodów.
komornik - w dawnej Polsce biedny chłop mieszkający kątem w cudzej chacie albo używany do posług w grodzie.
kompanion - towarzysz.
koncerz - rodzaj miecza o prostej i długiej głowni, przeznaczonego wyłącznie do kłucia.
kondycja - tu: stan.
konfekty -- cukierki, owoce kandyzowane itp. słodyczne.
konfrater - członek tego samego stowarzyszenia, bractwa, związku.
konterfekt – podobizna.
kontusz – narodowy polski strój szlachecki, długa szata z rozciętymi rękawami tworzącymi wyloty.
króćca - niewielki pistolet o krótkiej lufie.
kulbaska - siodło kawaleryjskie.
larum — alarm, wrzawa.
ligawka – fujarka wykręcona z kory.
ludwisarnia – odlewnia dział i dzwonów.

Luzak - koń prowadzony luzem i nie osiodłany.
łan – dawna miara powierzchni. W dawnej Polsce łan chłopski większy równał się mniej więcej
dzisiejszym 11 hektarom, mniejszy wynosił około 6 ha.
łanowa piechota - piechota powoływana z chłopów w dobrach królewskich, po jednym żołnierzu z
każdych 15 łanów.
Małdrzyk – rodzaj drobnych, okrągłych wyrobów z ciasta.
Małmazja - mocne, aromatyczne, słodkie wino południowe.
Mielcuch - dawna warzelnia piwa.
mitrężyć – marudzić, zaprzętać czas.
Molestować - dokuczać, naprzykrzać się, nagabywać.
murator - architekt, budowniczy.
muszkiet dawna strzelba dużych rozmiarów.
nadobny – ładny, przystojny.
nagolennik - część zbroi osłaniającej goleń.
nawidzieć — lubić, kochać.
nie mieszkając - tu: bezzwłocznie, nie odkładając.
noszeniczko - klejnocik zawieszony na szyi.
Obaczenie - opanowanie, zastanowienie.
obligować – zobowiązywać, prosić o jakąś przysługę.
olstro – futerał skórzany na pistolety przytraczany do siodła.
opresja - ucisk.
oracja – przemówienie. ,
orda – obozowisko tatarskie, wojsko Tatarów.
Ostrokół – ogrodzenie obronne z zaostrzonych u góry pali, wkopanych w ziemię tak, iż tworzą
rodzaj ściany.
pałasz - broń jedno lub obosieczna o prostej głowni.
pancerni – dawna jazda polska uzbrojona w pancerze lub kolczugi, szable, włócznie oraz broń
palną.
panny respektowe - patrz respektować, respektowe.
parantela – powinowactwo, pokrewieństwo.
parkiet – ozdobna podłoga, posadzka.
peregrynacja – daleka wędrówka lub podróż.
periculum mortis — (czytaj: „perikulum...”) niebezpieczeństwo śmierci (łac.).
perpedes — pieszko (łac.).
personaliter osobiście (łac.).
personat – ważna osobistość.
perspektywa tu: luneta.
perswadować – tłumaczyć, przekonywać.
Pieczeniaryz - ktoś, kto ma zwyczaj korzystać z wiktów u innych osób, do których się wprasza jako
gość.
pierzaja – tu: jeden z boków placu.
Płatnierz - rzemieślnik, wykonujący ozdobne zbroje rycerskie, hełmy, tarcze, szable itp.
podczaszy - w dawnej Polsce jeden z urzędów dworskich, później już tylko szlachecki tytuł
honorowy.
Podkomorzy - urzędnik ziemski sądzący spory graniczne.
podruna – w dawnych dworach i pałacach skład na zapasy i przetwory żywnościowe, mieszczący
się zwykle w chłodnej, suchej piwnicy.
podświnek – młody, jeszcze nie wyrosnięty wieprzek.
podtuptany – podstarzały.
podwody - w dawnej Polsce obowiązkowe przewozy i odstawy, dokonywane własnymi końmi i
wozami przez chłopów na rzecz pana lub wojska.

ponoć – podobno.
posesjonat - posiadacz większej własności ziemskiej. do pospolite ruszenie mężczyźni zdolni do noszenia broni, powoływani do szeregów w razie wojny.
postscriptum (czytaj: „post skriptum”) dopisek na końcu (łac.).
potaż – otrzymywany dawniej z popiołu drzewnego związek chemiczny używany przy wyrobie szkła, w farbiarstwie itd., a także jako nawóz sztuczny.
prezbiter - kapłan.
primo voto - z pierwszego małżeństwa (łac.).
pro publico bono - (czytaj: „pro publiko bono”) dla dobra publicznego (łac.).
ptaszarka, ptaszniczka mała strzelba do polowania na ptactwo.
puszkarz - rzemieślnik wyrabiający armaty, czasem artylerzysta.
pych, wiosło wać na pycha - na płytkiej wodzie posuwać łódź odpychając się wiosłem lub drągiem od dna.
rajtar – dawny kawalerzysta obcy, najczęściej niemiecki, uzbrojony w rapier, muszkiet, pistolety, półpancerz i hełm,
rankor - zawziętość na wroga, pretensja do kogoś.
Rapcie - rzemienie, taśmy lub jedwabne sznury przy szabli.
Rapier - broń sieczna o głównej długiej i wąskiej z osłoną na dłoń.
raus — rozkaz niemiecki, skrót z „heraus” precz.
Reprymenda - nagana, wymówka.
respektować – szanować, mieć „respekt” czyli szacunek.
respektowe dworzec królewskim lub magnackim panny ze znanych rodzin szlacheckich, towarzyszące królowej lub żonie możnowładcy dla drobnych posług osobistych, zarazem dla nabrania ogłady.
Rękodajny - przyboczny sługa z drobnej szlachty.
Rotmistrz - dowódca rot piechoty albo chorągwi jazdy.
rusznica – dawna strzelba.
rusznikarz— rzemieślnik wyrabiający i naprawiający broń.
ryngraf - wypukła blaszka w kształcie tarczy lub półksiężyca, ze świętym wizerunkiem, noszona przez rycerza na szyi, na zbroi.
rząd na konia - całość wyposażenia konia kawaleryjskiego, a więc czaprak, siodło, uzda, strzemiona itd.
safian - pięknie wyprawiona i barwiona, miękka skóra kozła.
Sajdak - kołczan, pochwa na strzały do łuku. salwować - ratować.
Samborze - obronna brama z pomieszczeniem dla wartowników.
samowtór, samotrzeć, samoczwart - we dwóch, we trzech, we czterech.
sandalowe drzewo - cenne drzewo pachnące, z Indii lub Malajów, na ozdobne wyroby i dla produkcji olejku pai kadzidła.
Sekundować - wtórować, towarzyszyć, pomagać.
Sfingować - udać coś, zmyślić.
Siekańce - gruby, nierówny śrut.
Smolarz - chłop mieszkający w lesie i wypalający smołę.
spisa – rodzaj dzidy.
Sprzężaj - pary koni lub wołów z uprzężą właściwą dla danej pracy.
spyża – prowiant.
Starosta - w dawnej Polsce urzędnik królewski administrujący powiatem i sprawujący sądy, zwano go starostą grodowym. Starosta niegrodowy był to dzierżawca dóbr królewskich.
Stolnik - podobnie jak podczaszny był urzędem dworskim, później stał się jedynie szlacheckim tytułem honorowym.
Sturbowany - skłopotany, zatroskany.
szach – tu: król perski.

Szalej - czyli cykuta, bylina silnie trująca o białych kwiatach baldaszkowatych i bulwiastych kłęczach.

Szeląg - drobna miedziana moneta staropolska.

Szłapak - „inochodziec”, koń stawiający jednocześnie obie nogi prawe, potem obie lewe. Konie takie ceniono, dla szybkiego i efektownego kłusa. Nazywano je także „szczupakami w znaczeniu pogardliwym, może przez analogię z człapakami”.

Śmigownica - nieduża, długa armatka.

Tamborek - przybór do haftowania, rodzaj podwójnej obręczy naciągającej materiał.

tentować - próbować.

Titulum - tytuł (łac.).

towarzysz pancerny lub ciężkiego znaku - kawalerzysta wojsk pancernych (p. „pancerni”), szlachcic, który przyprowadzał do wojska wyposażonych własnym kosztem pocztowych.

Uniwersał - szczególnie ważny list króla, hetmana, wojewody, konfederacji, ogłaszany publicznie.

Urgować - ponaglać.

wachmistrz - stopień podoficerski w kawalerii, odpowiadający sierżantowi w piechocie.

Wasąg - lekki wóz, z wiklinowym nadwoziem.

Wecować - ostrzyć.

Wezyr - w krajach muzułmańskich jeden z najwyższych dostojników państwowych.

Wirydarz - tu: ogródek kwiatowy.

Wojażować - podróżować.

Wojewoda - w Polsce piastowskiej zastępca monarchy, szczególnie w dowodzeniu wojskiem, później pierwszy dygnitarz ziemski, sprawujący władzę na terenie województwa i zasiadający w senacie.

Woźny - niższy urzędnik „do wszystkiego”, zwykle nie szlachcic, czasem nawet niepiśmienny, który jednakże nie tylko roznosił papiery sądowe, lecz również odprawiał urzędowe wizje, zbierał informacje dla stron i sądu, nadzorował wykonanie wyroków, oglądał i oceniał zadane rany, asystował przy przysięgach, wprowadzał w posiadanie wyprocesowane rzeczy itd. Aby jego czynności miały moc prawną, musieli mu asystować dwaj szlachcice, chociażby z gołoty szlacheckiej.

wrotny – dozorca u wrót, bramy, samborza.

zaalterowany – wzburzony, zatroskany.

zagrodowy szlachcic szlachcic - niezamożny, posiadający jedynie zagrodę, tj. domek z zabudowaniami gospodarskimi i niewielką działką roli.

za powiedni list - upoważnienie do czynienia zaciągów do wojska.

zdeklarować się - tu: oświadczyć się.

Złotogłów - tu: tkanina lita przetykana złotą nicią, używana na ubiory, szaty liturgiczne, do dekoracji wnętrz.

zreflektować się - zmiarkować, pohamować się, zmienić zdanie po rozważeniu.

żupan – staropolski ubiór męski długi do kostek, nieraz z kosztownej materii, z tyłu sfałdowany.

SPIS TREŚCI

Do czytelników⁵.

Co się działo siedem lat wcześniej . 7

Rozdział I „Poczekaj oddam ci na Kiliana” 38

Rozdział II Krwawy jarmark 49

Rozdział III Hajże na borsuka . 61

Rozdział IV - Tajemniczy właz 74

Rozdział V O strachach i innych sprawach 89

Rozdział VI Znaleziony plan 107

Rozdział VII Pan Stolnik w opałach 124

Rozdział VIII Sprzysiężenie 141

Rozdział IX Napad w lesie . 156

Rozdział X W Zamościu i w futorze 171

Rozdział XI Tajemnica rodziców 183

Rozdział XII Alarm 201

Rozdział XIII Zmiany 211

Rozdział XIV Niespodziewane spotkanie 227

Rozdział XV Strzał armatni 241

Rozdział XVI Pierwsze czyny wojenne „Dębowych tarcz" 255

Rozdział XVII Trzy listy 276

Rozdział XVIII Najstraszniejsza noc fortalicji 286 Rozdział XIX Przez lody 302

Rozdział XX Pietrek uwięziony 315

Rozdział XXI Do Czarnieckiego 337

Rozdział XXII Zaczyna się nowe życie 353

Rozdział XXIII Koniec opowieści 367

Objaśnienia trudniejszych wyrazów i znaków 375

Okładkę, stronę tytułową Ilustracje projektował
EUGENIUSZ KWERKO

Redaktor ALICJA ZAGORSKA - CZARNECKA

WYDAWNICTWO LUBELSKIE.

LUBLIN 1967

Wydanie I. Nakład 20 000 + 257 egz. Ark, wyd. 17. Ark. druk. 24. Papier druk. sat. kl. V, 70 g 82 x 104 cm z Fabryki Papieru w Częstochowie. Oddano do składania 20 XII 1966 r. Druk ukończono w czerwcu 1967 r. Cena zł 20,

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN

w Lublinie, ul. Unicka 4. Zam. 4214. P-4